



WALDEMAR BEDNARUK

*Łniewalające, śmiate, złe*

OSZUSTKI, INTRYGANTKI I AWANTURNICE CZASÓW SARMATÓW

WALDEMAR BEDNARUK

*Zniewalające, śmiałe, złe*

OSZUSTKI, INTRYGANTKI I AWANTURNICE CZASÓW SARMATÓW



Projekt okładki: Olga Bołdok-Banasikowska  
Opracowanie graficzne środka: TYPO Marek Ugorowski

Redakcja: Elżbieta Szelest  
Redaktor prowadząca: Anna Sperling  
Korekta: Firma UKKLW – Urszula Gac, Weronika Trzeciak  
Zdjęcia na okładce: Shutterstock

Copyright © by Waldemar Bednaruk, 2022  
Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2022

ISBN 978-83-6721-756-9

Wydawca:  
TIME Spółka Akcyjna  
ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa  
wydawnictwoharde.pl  
facebook.com/hardewydawnictwo  
instagram.com/harde\_wydawnictwo

Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: [harde@grupazpr.pl](mailto:harde@grupazpr.pl)

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

# SPIS TREŚCI

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Wprowadzenie](#)

[Kobieta sukcesu](#)

[Marysieńka](#)

[Trudne początki](#)

[Pani Zamoyska](#)

[Celadon i Astrea](#)

[Pani Sobieska](#)

[Starość](#)

[Agnieszka Machówna](#)

[Prolog](#)

[Narodziny polskiej Wenus](#)

[Dzieciństwo](#)

[Małżeństwo](#)

[Ucieczka](#)

[Powrót](#)

[Ponowna ucieczka](#)

[Na cesarskim dworze](#)

[Wenecja](#)

[Powrót do Wiednia](#)

[Powrót do kraju](#)

[Proces](#)

[Trybunał](#)

[Piękna Bitynka – Zofia Glavani](#)

[Dudu](#)

[Pani Witt](#)

[Grigorij Potiomkin](#)

[Szczęsny Potocki](#)

[Wdowa](#)

[Zakończenie](#)

[Bibliografia](#)

[Przypisy](#)

## Wprowadzenie

Historia, którą chcę Wam opowiedzieć, mogłaby nosić tytuł *Staropolski Kopciuszek* albo *Kobiety sukcesu na dworach Sarmatów*. Jest to bowiem książka o trzech słynnych kobietach, które dzięki swojej ciężkiej pracy, odrobinie szczęścia i nieprzeciętnej urodzie osiągnęły niewyobrażalny dla innych sukces. Jedne zaczynały od nędzy rodzinnego domu, jako niewolnice lub niewiele lepiej sytuowane chłopki pańszczyźniane, jak Zofia Glavani i Agnieszka Machówna, by wspiąć się na wyżyny pierwszych salonów w Europie. Inne zaczynały skromnie, choć nie tak nisko jak Marysienka D'Arquien, od pozycji ubogiej dwórki królowej Ludwiki Marii do żony najbogatszego Polaka Jana Sobiepana Zamoyskiego, a po jego śmierci – Jana Sobieskiego, by wraz z nim zasiąść na polskim tronie.

Dzieliło je niemal wszystko, łącznie z narodowością, stanem, do którego pierwotnie należały, i typem urody. Łączyło zaś pragnienie wyrwania się z biedy, porzucenia przeciętności i małości, by wejść do świata ówczesnych elit. O skali ich sukcesu świadczy pamięć zachowana o nich do naszych czasów. Mimo upływu wieków one wciąż żyją w legendach, obrazach, pieśniach i wierszach, a kolejne pokolenia sięgają do ich biografii, by odpowiedzieć sobie na pytanie, czy było warto.

## Kobieta sukcesu

Sukces definiujemy dzisiaj jako spektakularne spełnienie swoich marzeń, wybiecie się ponad przeciętność otoczenia, osiągnięcie ambitnych celów zawodowych. W dobie mass mediów królują w nich kobiety sukcesu. Są obiektem podziwu i zazdrości przedstawicielek swojej płci oraz pożądania mężczyzn. Pobudzają wyobraźnię tłumów, pociągają swoim przykładem kolejne pokolenia, motywując je do wysiłków na rzecz rozwoju własnej kariery.

Liczy się to, by zaistnieć, pokazać się, znaleźć się na ustach wszystkich. Nieważne jak, nieważne gdzie, byle stać się sławnym – nie zginąć w tłumie!

Kim była kobieta sukcesu w dawnych czasach? Jak osiągała swoje cele w życiu? Czy różniła się od obecnych celebrytek?

To są pytania, na które czytelnicy tej książki będą mogli odpowiedzieć po jej lekturze. Znajdziecie tutaj zaskakujące fakty, różnice i podobieństwa ukazujące, iż pewne mechanizmy nigdy się nie zmieniają. Czas płynie, ale pewne prawdy pozostają niezmiennie.

Żywy i popularny w XX wieku mit awansu społecznego od pucybuta do milionera znany był i w dawnych czasach, choć nie tak go wówczas definiowano. Pobudzające wyobraźnię marzenie uciśnionych, by wyrwać się z biedy i zamieszkać w pałacu, jest znane ludzkości od zarania dziejów.

Niektórym się udało i to oni inspirowali naśladowców do kolejnych prób pójścia w ich ślady – każdym sposobem i za każdą cenę!

# MARYSIENKA

*Kobiety są rajem dla oczu, czyszcem dla sakiewki i piekłem dla duszy*

hiszpańskie przysłowie

## Trudne początki

Dobiegające z dołu donośne odgłosy chrapania na przemian z mokrym mlaskaniem wiecznie spragnionego smakosza nie pozwalały Marysienke zmrużyć oka do białego rana. Przewracała się więc z boku na bok coraz bardziej wściekła, zakrywała uszy poduszką, próbowała nie myśleć o tym, w co się wplątała, ale nic to nie dawało. Przez cały czas przed oczami przewijały jej się sceny z poprzedniego wieczoru, a ona nie mogła uwierzyć, że to wszystko wydarzyło się naprawdę.

Koszmar, którego doświadczała w tym momencie, był jej nocą poślubną. Wczoraj, czyli 3 marca Roku Pańskiego 1658, wyszła za mąż za starszego od siebie o czternaście lat mężczyznę. Teraz obok łoża, na podłodze, jedynie na podścielonym krótkim dywaniku, spał pijany jak bela jej właśnie poślubiony mąż Jan Zamoyski zwany przez szlachtę Sobiepanem, bo – jak sam o sobie lubił mówić – sam był sobie panem i niczego od innych nie potrzebował.

– *A zapowiadało się tak pięknie!* – westchnęła, wspominając ten moment, gdy się dowiedziała, że zainteresował się nią najbogatszy kawaler w Polsce. Człowiek, do którego majątku wzdychały najpiękniejsze panny w kraju. Marzenie wszystkich rodziców pańien na wydaniu, o dochodach tak wielkich i koneksjach tak wspaniałych, że mógłby myśleć o księżniczkach z pierwszych rodów Europy.

– *Ale nie pomyślał!* – uśmiechnęła się w ciemności. – *Pomyślał o mnie i mnie zapragnął!*

Na chwilę zapomniała o udręce nocy poślubnej i nawet nie słyszała hałasów wydobywających się z gardzieli wybranka.

– *Ależ dziewczyny pozieleniały z zazdrości!* – aż mimowolnie pisnęła cichutko na wspomnienie pierwszego klejnotu, jaki otrzymała w prezencie od swojego adoratora. Mimo trwającej wojny ze Szwecją i trudnej sytuacji finansowej

wszystkich zwolenników króla Jana Kazimierza, a do tego kręgu zaliczał się jej wielbiciel, otrzymała od niego krzyż złożony z pięciu wielkich diamentów, którego wartość szacowano na dwanaście tysięcy franków. Cudnej urody drobiazg miał wartość większą niż zarobki całego życia przeciętnej rodziny w kraju. A on podarował go jej ot tak, by zwrócić na siebie uwagę.

I zwrócił!

Na wieść o tym geście jęk zawodu nieprzeliczonych zastępów pretendenteek do wydania się za tego „księcia na Zamościu”, jak go zwano, rozległ się od morza do morza. Ona zaś promieniała szczęściem. Jeszcze go nie widziała, niewiele o nim słyszała, ale sam fakt, iż najbogatszy kawaler w kraju przesłał jej rzecz tak cenną, że zamilkły wszystkie dwórki królowej, sprawił, iż poczuła się na ten krótki moment najszczęśliwszą dziewczyną na świecie.

Ale akurat ona była skazana na sukces!



Wydawałoby się, że o Marysienke Sobieskiej wiemy już wiele, jeśli nie wszystko. Jest to jedna z najbardziej znanych postaci historycznych, o której każdy słyszał, a niejeden czytał. Popularność jej biografii w minionych dekadach osiągała poziomy sławy dzisiejszych gwiazd sportu i kina. Każdy Polak i każda Polka wiedzą, że to jest ta zła kobieta, która rządziła naszym sławnym królem Janem III Sobieskim, pogromcą Turków spod Wiednia. Słyszeliśmy o listach pisanych do niej przez małżonka, o miłości, jaką ją darzył, o erotycznych perełkach, jakie sobie przemycali w korespondencji.

Ale czy ktoś czytał te listy? Czy widział jej korespondencję pisaną do niego i do innych osób z tych czasów? Czy oprócz listów króla Jana znamy inne źródła z tej epoki?

Kiedy się chwilę zastanowimy, dojdziemy do wniosku, że niby wszystko wiemy, a tak naprawdę nic nie wiemy! Nawet podstawowe fakty z jej życia wymagają weryfikacji, zaś prawdziwe intencje – głębokiego przemyślenia.

Do niedawna jeszcze trwał spór o datę narodzin polskiej królowej. Znacznych problemów przysparzało badaczom ustalenie w sposób jednoznaczny i niebudzący wątpliwości nie tylko dnia czy miesiąca, lecz także roku urodzenia Marysienki. Co prawda nie urodziła się ona w chłopskiej chacie ani nawet w skromnym domku handlarza, tylko w dworku szlacheckim, więc teoretycznie lepiej sytuowani rodzice powinni zadbać o utrwalenie wydarzenia, jakim były narodziny dziecka. Jednak najwyraźniej nikt nie pomyślał, iż ta mała dziewczynka może odegrać aż tak wielką rolę w historii świata.

Przez wieki podejrzewano, iż sama Maria Kazimiera, podobnie jak pozostałe bohaterki tej książki, odmładzała się stale, podając późniejszy rok urodzenia,



zaś jej biografowie nie mogli zdecydować, którą datę wybrać.

A było w czym wybierać!

Wśród możliwych dat mieliśmy w kolekcji rok 1634, 1635, 1638 lub 1641. Oczywiście te późniejsze pojawiały się głównie za sprawą samej zainteresowanej, w powszechnej opinii odejmującej sobie lat w dojrzałym wieku. Jednoznacznie wykluczyć żadnej ze wskazanych dat się nie dało, jednak za najbardziej prawdopodobną do niedawna uznawano rok 1635<sup>1</sup>. Teraz wiemy, iż zarzuty o odmładzaniu się naszej bohaterki były bezpodstawne i jednoznacznie potwierdziła się data 28 czerwca 1641 roku<sup>2</sup>.

Urodziła się w Nevers, a jej rodzicami byli margrabia Henryk Albert de la Grange d'Arquien, wówczas kapitan gwardii w regimencie młodszego brata ówczesnego króla Francji Ludwika XIII, i Franciszka de la Châtre, ochmistrzyni księżniczki Marii Ludwiki Gonzagi, należącej do francuskiej arystokracji przyszłej żony polskich królów Władysława IV i Jana Kazimierza. W tym związku przyszło na świat siedmioro dzieci. Maria była prawdopodobnie trzecia w kolejności. Przed nią urodziły się dwie siostry: Joanna i Franciszka, które z braku innych perspektyw zostały umieszczone w klasztorze.

Rodzina naszej bohaterki, liczna i zajmująca ostatnie miejsce w ówczesnej strukturze władzy, nie dawała dostatecznego oparcia w drodze na szczyty. Podobnie jak majątek nadmiernie rozdrobniony, przez co zbyt mały, by zapewnić społeczny awans przynajmniej niektórym z przedstawicieli rodu.

Na szczęście dzięki matce Marysienki, służącej od lat rodzinie Gonzagów, udało się uprosić księżniczkę Marię Ludwikę, by zechciała zostać matką chrzestną naszej bohaterki, potem umieścić ją w swoim otoczeniu, a następnie zabrać ze sobą w daleką i niebezpieczną podróż do Polski, dokąd wyruszyła, by zostać kolejną królową kraju nad Wisłą.

★

Zanim jednak do tego doszło, protektorka Marysienki, Maria Ludwika zwana u nas Ludwiką Marią, musiała bardzo długo czekać, by rozpocząć realizację swych królewskich ambicji. Urodzona w 1611 roku w rodzinie szczytującej się pokrewieństwem z rodami monarszymi ówczesnej Europy, z ojcem będącym prawnikiem ostatniego cesarza bizantyjskiego i chrzestnymi w osobach króla Francji Ludwika XIII i jego matki Marii Medycejskiej, nie mogła sama decydować o swoim małżeństwie. Związek z taką osobą był kuszący dla wielu i mógł dla kandydatów do jej ręki mieć znaczenie strategiczne, dlatego o jej zamążpójściu nie decydowała ona ani nawet jej rodzina, ale sam król Francji.

Już gdy miała szesnaście lat, pojawiły się plany wydania jej za mąż za młodszego brata króla Francji Gastona Orleańskiego, ale władca, widząc w tym

zagrożenie dla swojej pozycji, odmówił zgody na związek<sup>3</sup>. Kiedy zaś pojawiły się pogłoski, iż do małżeństwa może dojść mimo sprzeciwu monarchy, kandydatka na bratową Ludwika XIII została uwięziona i pozostawała pod strażą w twierdzy Vincennes, a potem w klasztorze przez trzy długie lata.

Ten przykry incydent nie ograniczył jej ambicji i mimo zesłania na prowincję, bo tak należy traktować rozkaz króla, by po wypuszczeniu jej z klasztornej zamknięcia udała się do rodzinnego Nevers, Marysienka starała się utrzymywać kontakty z wielkim światem. Doniesienia z tego okresu jednoznacznie wskazują, iż zbudowała wokół siebie dwór, na którym obowiązywała etykieta będąca kopią zasad funkcjonowania dworu królewskiego. W miarę swoich skromnych możliwości, mimo niełaski dworu, rozwijała siatkę powiązań, w której nie brakowało przeciwników kardynała Richelieu – ówczesnego pierwszego ministra na dworze Ludwika XIII<sup>4</sup>.

Również po to, by pozbyć się kłopotliwej i bardzo ambitnej osóбки, powstał plan wysłania jej z kraju i wydania za żonę za ówczesnego króla polskiego Władysława IV pochodzącego ze szwedzkiej dynastii Wazów. Władysław – ciesząc się również, przynajmniej formalnie, tytułami króla Szwecji i cara Rosji – nie spieszył się jednak do żeniaczki. W chwili, gdy we Francji rodziły się plany matrymonialne z udziałem jego osoby, czyli w 1634 roku, miał lat trzydzieści dziewięć i skutecznie bronił się przed ślubnym kobiercem. Ostatecznie, przymuszony przez swe otoczenie, wybrał na żonę (ale dopiero trzy lata później) córkę cesarza Ferdynanda II Cecylię Renatę.

Po raz drugi więc plany matrymonialne wobec dwudziestotrzyletniej już Marii Ludwiki spaliły na panewce. Po raz pierwszy z powodu sprzeciwu dworu francuskiego, po raz drugi przez brak woli kandydata do żeniaczki, jednak trzecie podejście rokowało znacznie lepiej, gdyż zarówno kardynał Richelieu, jak i kandydat do ręki księżniczki wydawali się zdeterminowani, by tym razem doprowadzić do ożenku.

Był rok 1640. Księżniczka miała niemal trzydzieści lat i powoli przyzwyczajano się do myśli, że pozostanie w stanie niezamężnym już na zawsze. Wtedy w jej otoczeniu pojawił się młodszy brat polskiego króla Jan Kazimierz, który dość niefortunnie rozpoczął swą podróż po Europie, trafiając do francuskiego więzienia. Tuż po przybyciu do Francji został oskarżony przez kardynała Richelieu o szpiegostwo na rzecz Hiszpanii i wtrącony na niemal dwa lata do lochu. Dopiero po interwencji Władysława IV i groźbie wrogich kroków wobec Francji został uwolniony i niemal prosto z twierdzy trafił w objęcia Ludwika Marii. O ich romansie huczał cały Paryż, a świetnie poinformowany Richelieu knuł, by z tej mąki upiec chleb dla swego pana, zamieniając niefortunny incydent z uwięzieniem na małżeństwo łączące dwa kraje silnym węzłem o podłożu również politycznym.

Niestety, w Polsce ten pomysł nie znalazł uznania, Jan Kazimierz został pilnie wezwany do kraju, a jego niedoszła małżonka zabijała czas, prowadząc salon literacki, przez który przewinęło się wielu miłośników pióra. W międzyczasie romansowała, wybierając na swych kochanków osoby niemile widziane na dworze. Jeden z tych związków skończył się tragicznie, gdyż jej kochanek, markiz de Cinq-Mars, został oskarżony o spisek przeciw królowi i ścięty we wrześniu 1642 roku. Ludwika Maria zaś po raz kolejny zaznała goryczy wygnania na prowincję.

Wkrótce jednak kardynał Richelieu zmarł, a jego następca w fotelu pierwszego ministra, kardynał Mazarini, pozwolił spiskowcom wrócić do łask. Wkrótce też do Paryża dotarły wieści o śmierci Cecylii Renaty, czyli żony Władysława IV, co ożywiło plany połączenia francuskiej księżniczki z monarchą znaną z Wisły. Tym razem nic już nie stanęło na przeszkodzie i latem 1645 roku francuski poseł w Warszawie podpisał wstępne porozumienie umożliwiające związek pięćdziesięcioletniego koronowanego wdowca z trzydziestoczteroletnią panną. Potem był ślub w Paryżu zawarty przez pełnomocnika królewskiego z księżniczką i długa podróż do Polski, w którą wraz z orszakiem panny młodej wyruszyła również nasza bohaterka Marysieńka.

\*

Początki były bardzo trudne dla wszystkich.

Francuzi, przybывая do Polski, obawiali się życia w tym odległym i zupełnie im nieznanym kraju. Nikt się nie łudził, iż zawarty związek ma inne podłoże niż polityczne z zabarwieniem ekonomicznym. Król chciał realizować swój wielki plan wojny z Turcją, ale nie miał pieniędzy i nie mógł przekonać szlachty, niechętej kolejnej awanturze, do swojej wizji aktywności na arenie międzynarodowej. Dlatego bogactwo żony, wnoszącej w posagu ogromną sumę siedmiuset tysięcy skudów i dysponującej jeszcze większą kwotą ze sprzedaży swych dóbr we Francji, czyniło ją atrakcją w jego oczach bez względu na jej wiek, urodę i reputację. Liczył, iż za te pieniądze wyposaży armię do swoich celów.

Ona zaś, ambitna i zniechęcona długim oczekiwaniem na właściwego kandydata do jej ręki, pragnęła władzy i splendorów związanych z pozycją królowej dużego europejskiego państwa<sup>5</sup>. Dlatego układ – pieniądze za koronę – został zawarty dość szybko, zaś zawartość kufrów płynących do Polski okazała się ważniejsza od urody panny młodej i atrakcyjności pana młodego.

Pierwsze spotkanie małżonków miało miejsce wiosną 1646 roku, kiedy to powtórzono uroczystości ślubne w obecności obojga oblubieńców i zaczął się dwuletni okres pożycia, który stał się poligonem doświadczalnym dla samej królowej i jej dworu.

Marysienka z za pleców swej pani pilnie obserwowała bystrymi oczętami, jak trudno jest rządzić krajem, w którym władza króla jest tak bardzo ograniczona przywilejami jego poddanych. Jak monarcha nie może sam decydować ani o polityce zagranicznej, ani o ustroju wewnętrznym, ani nawet o własnej osobie, gdyż władca jest tyleż panującym, ile sługą kraju, na którego tronie zasiada. Przybysze z obcych stron nie rozumieli istoty systemu ustrojowego państwa, w którym przyszło im żyć, dlatego ze zdumieniem obserwowali poufale relacje poddanych z królem i zakulisowe działania monarchy pragnącego realizować swą wolę polityczną<sup>6</sup>.

Nasza bohaterka mimo młodego wieku przeszła również szybki kurs panowania nad sypialnią, do której nie raczył zaglądać pan mąż. Cały dwór w napięciu oczekiwał wizyty króla w łóżu królowej, gdyż przez szereg tygodni nie kwapił się on, by się pofatygować, skonsumować małżeństwo i dopełnić swych obowiązków małżeńskich z korzyścią dla kraju i dynastii. Co prawda monarcha miał już dziedzica, urodzonego w 1640 roku ze związku z Cecylią Zygmunta Kazimierza, ale w tamtych czasach nawet na królewskim dworze śmiertelność dzieci była bardzo duża i szansę na przetrwanie dynastii dawało tylko liczne potomstwo<sup>7</sup>.

W końcu dygnitarze dworscy poczuli się w obowiązku, by poprzez ambasadora francuskiego nakłaniać królową do większej aktywności na tym polu i do nęcenia małżonka słowem, gestem i czynem, by ten zechciał łaskawie spłodzić z nią potomstwo. Wojewoda poznański Krzysztof Opaliński wystosował nawet w tej intencji stosowne pismo do tegoż dyplomaty, w którym czytamy: *A najpierw, żeby nie była tak nieśmiałą względem króla i wchodziła rezolutnie do jego pokoju, jak to królowa nieboszczka zwykła była czynić bez żadnego natręctwa z jej strony; Król Jegomość bowiem bierze przeciwne zachowanie się za dowód niedostatecznego dlań afektu Jej Kr. Mości. Prócz tego należy jej być cokolwiek śmiałą w pieszczaniu go i udzielaniu miłosnych satysfakcji... ponieważ król nasz miłościwy jest cokolwiek lubieżnym w tej materii miłosnej, co Waszmość Pani zrozumiesz dobrze, aczkolwiek nie umiem użyć należytych do wytłumaczenia się terminów, lepiej się znając na praktyce w tych rzeczach niż na rozprawianiu o nich*<sup>8</sup>.

Zadanie postawione przed oblubienicą nie było łatwe, gdyż wypadało, aby ona – dotychczas panna i z definicji osoba niedoświadczona w łóżkowych zmaganiach – oczekiwała na inicjatywę ze strony znajdującego się na rzeczy wdowca. Istniała jednak obawa, że nigdy się nie doczeka, a ostrzegano, że młodszy już nie będzie. Do tego władca, ponaglany w tych kwestiach, często zasłaniał się chorobą, choć nie zawsze wymówka ta opierała się na faktach. Istotnie był już wówczas schorowany i cierpiał na liczne dolegliwości, ale każdą chwilę lepszego samopoczucia trawił w ramionach kobiet zapewniających mu większą podnieję. Małżonka bowiem od pierwszego wejrzenia nie przypadła mu do gustu i długo nie mógł się przemóc, by spróbować z nią małżeńskich rozkoszy. W końcu jed-

nak liczne interwencje poddanych przyniosły skutek – naciskani z obu stron nowożeńcy spotkali się w łożu, jednak o efektach tych schadzki historia milczy.

✱

Wiemy, że w tych trudnych miesiącach Marysienka była bardzo blisko królowej, w jej bezpośrednim otoczeniu, wszystko obserwowała i uczyła się od niej nielatywnej sztuki bycia żoną władcy. A było to zaiste wyzwanie niemałe i zapewne nieraz pojawiły się wątpliwości, czy za taką cenę warto było tak wiele poświęcić. Król Władysław, jak wspomniano, niechętnie korzystał z wdzięków żony, za to bardziej niż ochoczo sięgał do jej szkatuły, dążąc do realizacji swoich ambitnych planów w polityce międzynarodowej. Nie mając zgody sejmu na ściąganie podatków i uzbrajanie wojsk przeciwko Turcji, starzejący się monarcha próbował przechytryć opornych poddanych i dyskretnie prowadził zaciąg żołnierzy z prywatnych środków. Jednak konsekwentna odmowa szlachty w sprawie nowej wojny prowadziła do mnożenia wzajemnych pretensji i utraty pieniędzy na rzecz wojsk, których nie można było użyć do działań zbrojnych. Próby wywołania konfliktu z Turcją przy pomocy podburzanych Kozaków prowadziły z kolei do wzrostu napięcia na południowo-wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej.

W konsekwencji wiosna 1648 roku zastała dwór w niezwykle trudnej sytuacji – król wydał już na swoje mrzonki całą sumę, jaką Ludwika Maria wniosła mu w posagu, pożyczył od niej drugie tyle i wszystko stracił, nie osiągnąwszy żadnego z zakładanych celów. Dodatkowo z kresów zaczęły dochodzić wieści o buncie Kozaków, którzy pod wodzą Bohdana Chmielnickiego, zamiast na wrogów, ruszyli zbrojnie na swoich panów. Kiedy z tej strony napłynęły informacje o pierwszych klęskach wojsk polskich, król niespodziewanie zachorował i zmarł w wieku pięćdziesięciu trzech lat.

W stojącym na krawędzi przepaści kraju grupa przybyszów z Francji znalazła się w szczególnie skomplikowanym położeniu. Królowa wdowa straciła cały kapitał przywieziony ze sobą i poza tytułem, który w tym momencie nie miał wielkiej wartości, nie uzyskała niczego w zamian. Jej próby zabezpieczenia na mężowskich majątkach ziemskich przekazywanych na potrzeby króla sum spotykały się z niechęcią szlachty, która zazdrośnie strzegła, by każda złotówka płynąca z krajowych plonów trafiała do jej sakiewek. Podobnie było z urzędami, których część królowa próbowała obsadzić swoimi ludźmi. To też nie wzbudzało entuzjazmu szlachty pragnącej monopolu na wszystkie stanowiska.

W takiej chwili Ludwika Maria musiała podjąć decyzję co do swojej przyszłości – zostać i walczyć o swoje czy wyjechać i pogodzić się z utratą pozycji oraz majątku. Już pobieżna znajomość jej osobowości nie pozostawia wątpliwości co do tego, że nie była osobą łatwo rezygnującą ze swoich ambicji.

Postanowiła walczyć.

Dokonała przeglądu swoich zasobów i przygotowała plan działania. W pierwszej kolejności musiała odzyskać sympatię szlachty i skłonić ją do uznania jej praw do majątku, jaki zainwestowała w mrzonki zmarłego króla. Już wiedziała, że z Polakami najlepiej postępować po dobroci i brać ich na litość. Postanowiła, że będzie się prezentować jako samotna, opuszczona przez wszystkich, zrozpaczona i bezradna wdowa, którą należy otoczyć opieką. Dlatego należało na jakiś czas zredukować jej francuski personel, by usunąć z oczu przeciwników zarzewie konfliktu. To oznaczało, że część dworu będzie musiała wyjechać z Polski, i ten los spotkał również Marysienkę<sup>9</sup>.

Możemy sobie wyobrazić, jak trudne było to rozstanie dla nich obu. Te dwa lata spędzone na obczyźnie zbliżyły je do siebie, łącząc więzami mocniejszymi niż pokrewieństwo. Jednak aby osiągnąć cel, należało się poświęcić. Wyjazd nastąpił w 1648 roku, w jakim miesiącu – tego dokładnie nie wiemy. Dziewczynka wróciła do rodzinnego miasta, gdzie przez kilka lat pobierała nauki w klasztornej szkole sióstr urszulanek. Edukację formalną uzupełniała w tym czasie o naukę dworskich manier, którą jej zapewniła hrabina de Maligny – stryjenska zamieszkująca w pobliskim majątku w Prye.

W tym czasie jej protektorka umacniała swoją pozycję w Polsce, gdzie przy niemałym wpływie Ludwika Marii na króla obrano przyrodniego brata jej zmarłego męża, Jana Kazimierza. Jak pamiętamy, znała go z jego wizyty we Francji przed laty, kiedy to miał ich połączyć, jak plotkowano, płomienny romans. Nie może więc dziwić, iż to jego kandydatura była jej bliższa niż drugiego konkurenta do tronu – kolejnego brata nieboszczyka – księcia Karola. Tym bardziej iż zaraz po śmierci Władysława IV w głowach szlachty narodził się plan, by kandydatowi do korony zaofiarować w pakiecie rękę królowej wdowy, co byłoby dla budżetu państwa niezwykle korzystne ze względu na zobowiązania kraju wobec niej. Wymyślono, że – aby nie wypłacać jej należnych funduszy i nie zapewniać godnej oprawy – Maria Ludwika mogłaby poślubić nowego władcę.

Królowa nie protestowała, pod warunkiem że będzie miała wpływ na kandydata do jej ręki. Tym sposobem zawarto nieformalną umowę, dzięki której Jan Kazimierz uzyskał poparcie szlachty, został wybrany na nowego monarchę i rozpoczął starania o rękę swej bratowej. W maju 1649 roku, rok po śmierci pierwszego męża, Ludwika Maria stanęła na ślubnym kobiercu po raz drugi.

Mimo uzyskanej dzięki nowemu małżeństwu stabilizacji jeszcze nie czas było myśleć o sprowadzeniu do Polski odesłanych dworzan, więc i Marysienka musiała poczekać na wezwanie. W wielkiej polityce bowiem ważyły się losy ich nowej ojczyzny. Wciąż trwało powstanie Chmielnickiego i cała uwaga dworu skupiała się na zażegnaniu tego niebezpieczeństwa. Dopiero w 1652 roku sygnał o zgodzie na przyjazd dotarł do Nevers. Jesienią tego roku Marysienka przybyła do Warszawy wraz z zakonnicami – siostrami miłosierdzia zwanymi szarytkami,

których pierwszy klasztor właśnie ufundowała Ludwika Maria, chcąc mieć pod swoim boki zakon opiekujący się ubogimi i chorymi.

Powitanie po wielu latach rozłąki było radosne. Maria trafiła ponownie do najbliższego kręgu dwórek królowej. Mając lat jedenaście, nadal uczyła się, uzupełniając wykształcenie nabyte w ojczyźnie. Już podczas pierwszego pobytu opanowała dość dobrze podstawy języka polskiego, teraz zaś doskonaliła swoje umiejętności, obserwując swoją patronkę również w politycznym działaniu.

A było na co patrzeć!

O ile bowiem przy pierwszym mężu Ludwika Maria nie miała zbyt wielu okazji, by wywrzeć wpływ na bieg spraw państwowych ze względu na poglądy Władysława IV na miejsce kobiet w polityce, o tyle teraz sytuacja odmieniła się radykalnie. Jan Kazimierz chętnie słuchał rad żony i niejednokrotnie, znużony sprawami, do których nie miał głowy, pozwalał jej decydować o obsadzie urzędów, o awansach, a nawet o kierunkach polityki międzynarodowej. W powszechnej opinii nowy król był słaby i zmienny w swych nastrojach, zaś osobą od trudnych decyzji, więc stanowczą i zdecydowaną, pozostawała jego małżonka.

Oprócz bezpośredniego wpływu na władcę miała też królowa inne metody oddziaływania na rzeczywistość. Należy bowiem pamiętać, iż polski monarcha był silnie ograniczony w swoich prerogatywach i niejednokrotnie jego poddani potrafili narzucać swoją wolę królowi w najważniejszych kwestiach i w najmniej oczekiwanym momencie, czego najlepszym przykładem była sprawa wojny z Turcją, bezskutecznie forsowana przez Władysława IV.

Ludwika Maria z bliska obserwowała tę przegraną walkę pierwszego męża i doszła do wniosku, że sterowanie władcą to za mało, by osiągać naprawdę ambitne cele polityczne. Potrzeba jeszcze skutecznego narzędzia wpływu na przywódców szlacheckich, którzy będą w stanie kształtować opinię publiczną w kierunku przez nią pożądanym. Oczywiście zawsze w takich sytuacjach sprawdzały się pieniądze i stanowiska, ale tych, po pierwsze, miała za mało, a po drugie, sojusze oparte na tej podstawie bywały zawodne i nietrwałe. Każdy obiecywał wszystko, dopóki nie otrzymał upragnionej funkcji lub nabitej sakiewki. Później zaś, jako że znakomita większość urzędów w Polsce była dożywotnia, a pieniądze szybko się kończyły, tak pozyskany stronnik chciał więcej. Odebrać mu raz przekazanego urzędu się nie dało, podobnie z gotówką, więc niejednen niewdzięcznik zaraz gdzie indziej szukał dawcy nowych profitów.

Dlatego jednym z narzędzi swojej polityki królowa postanowiła uczynić młode i śliczne dwórki sprowadzane z Francji, gdzie ze względu na brak perspektyw niejedna skończyłaby w klasztorze lub jako żona ubogiego prowincjusza. U boku władczyni zaś otwierały się przed nimi świetne perspektywy niedostępne w ich ojczyźnie. Doskonale znana i szeroko opisana już w literaturze

polityka królowej polegała na kojarzeniu małżeństw polskich możnowładców z dwórkami królowej.

Pomysł, mimo powszechnej krytyki ze strony oburzonych świętoszków, okazał się niezwykle skuteczny w kooptowaniu stronników. Niejedna dwórka bez posagu pochodząca ze skromnego domu dzięki protekcji królowej została panią w magnackim pałacu, by stamtąd wspierać dozgonnie swoją protektorkę. Marysienka była wówczas jeszcze za młoda, by mogła dołączyć do legionu żołnierzy walczących za sprawę swej monarchini. Uczyła się więc i rozwijała posiadane umiejętności, dbając jednocześnie o rozrywkę królewskiej pary. Zachowały się z tego okresu wzmianki o jej udziale w przedstawieniach teatralnych, w których uczestniczyła chętnie i ze znacznym powodzeniem.

Okres beztroskiej zabawy był jednak krótki, gdyż Polska toczyła w tym czasie kolejne wojny z sąsiadami i uwagę królewskich małżonków zaprzętały sprawy tak ważne, iż na rozrywki pozostawało coraz mniej czasu. Przyznać trzeba, iż cały dwudziestoletni okres panowania króla Jana Kazimierza można określić mianem wojennego, gdyż był on napiętnowany powstaniem, buntami i konfliktami zbrojnymi z sąsiadami <sup>10</sup>.

Najtragiczniejsze skutki miała wojna ze Szwecją toczona w latach 1655–1660, zwana u nas potopem szwedzkim. W literaturze zwraca się uwagę, iż do jej wybuchu przyczynił się w znacznym stopniu sam król, który – mimo iż nie miał wielkich szans na odzyskanie szwedzkiego tronu, którego mienił się po swych przodkach spadkobiercą – nie chciał zrezygnować z pustego tytułu, powodując zadrażnienia w relacjach z sąsiadem. Jednocześnie jego skłonność do flirtów i romansów z każdą kobietą w pobliżu, bez względu na jej stan małżeński, prowadziła do gorszących scen, w tym do konfliktu z wpływowym awanturnikiem z jego otoczenia, Hieronimem Radziejowskim.

Cały ciąg niefortunnych działań w relacjach z tym człowiekiem sprawił, iż z dotychczasowego królewskiego powiernika stał się on wrogiem, skazańcem, banitą i zdrajcą, który przeszedł na żołąd króla Szwecji Karola Gustawa.

Zaczął się od małżeństwa trzydziestoosmioletniego, podwójnego już wdowca o ogromnych ambicjach i dokonaniach politycznych Hieronima Radziejowskiego z trzydziestoletnią wdową Elżbietą ze Słuszków Kazanowską. On, cieszący się poparciem pary królewskiej gwałtownik, obrotny, zaradny i majątny polityk, w którego życiorysie były skargi o gwałty na kobietach, więzienie żon, bicie i znęcanie się nad nimi. Ona, młoda jeszcze, bajecznie bogata po zmarłym mężu, bardzo piękna i na dodatek niezależna.

To nie mogło się udać!

Radziejowski próbował, na wzór swoich poprzednich związków, podporządkować sobie żonę, odebrać jej kontrolę nad majątkami, odizolować od otoczenia i w samotności cieszyć się jej wdziękami, których mu zazdrośczoneo jak kraj długi i szeroki. Żona jednak nie zamierzała ulegać. Mimo bicia i szykanowania



nie poddała się i nie dała się zamknąć w domu. Miała przy tym wsparcie samego króla, który cenił sobie jej towarzystwo. Zazdrosny Radziejowski oskarżył króla o romans ze swoją żoną, wysyłając list do będącej wówczas w ciąży Ludwiki Marii.

Elżbieta odpowiedziała pozwem o unieważnienie małżeństwa. By się zabezpieczyć przed przemocą, schroniła się w klasztorze i wezwała swego brata na pomoc. Próba zbrojnego zdobycia klasztoru, walki na ulicach z królewską strażą i krwawe starcia wojsk przeciwników wywołały zgorszenie szlachty i pociągnęły za sobą oskarżenie o obrazę majestatu królewskiego. Nikt bowiem, pod groźbą utraty głowy, nie mógł w Polsce dobywać broni pod bokiem monarchy. Dlatego nie może dziwić szybki wyrok śmierci na warchoła i jego ucieczka przed karzącą ręką wymiaru sprawiedliwości.

Zaczęła się długa epopeja wędrującego po Europie banity, który – ufny w swą nietykalność – odwiedzał kolejne państwa, knując przeciwko swojemu władcy. Rozsiewał przy tym szkodliwe plotki, oczerniał kochliwego króla i szukał pomocy w usunięciu go z tronu. Nikt oczywiście nie zamierzał mu pomóc. Z rozbawieniem słuchano o jego nieszczęściach z frywolną żoną, ale poza werbalnym wsparciem nie uzyskał niczego.

W końcu trafił do Szwecji.

Tam dopiero jego apele o interwencję trafiły na żyzną glebę. Po zakończeniu wojny trzydziestoletniej w Szwecji przebywała ogromna liczba weteranów wojennych, dla których poza wojskiem nie było zajęcia. Do tego kraj był zbyt mały i zbyt biedny, by utrzymywać armię, jaką stworzył marzący o podbojach na miarę Aleksandra Macedońskiego młody król Karol Gustaw. I tu zeszedł się drogi mściwego zdrajcy z ambitnym wodzem. Radziejowski swoimi knowaniami przyczynił się znacząco do decyzji Szwedów o tragicznym w skutkach najeździe na Polskę. To on przekonał Karola Gustawa o słabości państwa polskiego. W długie zimowe wieczory snuł opowieści o szlachcie nienawidzącej swojego władcy, o brakach w uzbrojeniu, kruchości murów, ale, co najważniejsze, o bajecznych bogactwach czekających tylko, by po nie sięgnąć.

Latem 1655 roku dwie potężne armie szwedzkie runęły na bezbronną Polskę. Szybkość działania i znajomość miejscowych realiów sprawiły, iż obrona nie popisała się skutecznością. Niewątpliwie, gdyby nie pomoc zdrajcy, Szwedzi nie osiągnęliby tak spektakularnych sukcesów w tak krótkim czasie. Dotkliwie porażki szły w parze z powszechną zdradą króla przez ówczesne elity. W ciągu kilku tygodni praktycznie wszyscy dowódcy wojskowi poddali się najeźdźcy, zaś kolejni panowie składali przysięgę na wierność Karolowi Gustawowi, wypowiadając posłuszeństwo Janowi Kazimierzowi.

Sam król ułatwił swoim poddanym decyzję, gdyż – widząc powszechną klęskę – uciekł z kraju i w przypływie rozpaczliwej rozmyślał o abdykacji. Gdyby nie garstka wiernych dworzan na czele z królową, która nie chciała słyszeć o rezy-

gnacji z tronu, inwazja mogłaby się skończyć pełnym sukcesem Szwedów. Spośród wielkich nazwisk tego czasu wierności królowi dotrzymani jedynie: marszałek wielki koronny Jerzy Lubomirski, wojewoda witebski Paweł Sapieha oraz starosta kałuski Jan Zamoyski. Spośród wszystkich twierdz ówczesnej Rzeczypospolitej nie poddały się jedynie: Gdańsk, Jasna Góra i Zamość.

Natomiast na stronę wroga przeszli wszyscy pozostali, łącznie z hetmanami, również mało wówczas jeszcze znaczący, ale ważny dla naszej historii Jan Sobieski.

Historia zapamiętała ten czas jako miesiące wielkiej hańby polskiej i litewskiej szlachty, załamania psychicznego króla Jana Kazimierza i heroicznej postawy jego małżonki, która swoją niezwykłą energią, wiarą i pewnością zwycięstwa natchnęła wątpliwego monarchę. Była wówczas wszędzie, nawet, czego wcześniej nie praktykowano, na polu bitwy, i działała z niezwykłym poświęceniem, prowadząc rozmowy z każdym, kto tylko mógłby w najmniejszym stopniu przyczynić się do pokonania Szwedów.

Dzięki tym zabiegom, ale i przez błędy samych agresorów, którzy zrazili do siebie dotychczasowych sojuszników łupieżstwem, chciwością, brakiem poszanowania uczuć religijnych i patriotycznych, karta powoli zaczęła się odwracać od zwycięzców. Wiosną 1656 roku wojska polskie stopniowo porzucały Szwedów, wracając na służbę do prawowitego władcy. Pod koniec marca tego roku uczynił to też Sobieski. Jednak musiało jeszcze upłynąć wiele wody w Wiśle, by sprowadzonego wroga pozbyć się raz na zawsze z naszych ziem.

Zanim do tego doszło, czekało jeszcze naszych bohaterów wiele cierpień i wyrzeczeń. Nigdy dotąd Polska nie została tak gruntownie złupiona przez żadnego wroga. Ówczesne straty porównuje się do tych, które ponieśliśmy w czasie dwóch wojen światowych w XX wieku. Szwedzi byli niezwykle metodyczni w swojej grabieży, mieli dość czasu i możliwości, by ograbić kraj z wszelkich kosztowności. Wywieziono zbiory większości bibliotek, okradziono kościoły, klasztory, prywatne domy i dwory. Wszystko, co dało się zdemontować, zabierano ze sobą, nie oszczędzano drzwi i okien, rzeźb ani obrazów. Z sufitów i ścian skuwano freski i płaskorzeźby, a z połączanych ścian zeszkrobywano złocenia. A wszystko, czego nie udało się zagrabić, niszczone. Najazdy Hunów, Wizygotów i Wandalów łącznie nie uczyniły w Rzymie takich zniszczeń jak najazd Szwedów na Polskę. Według ówczesnych relacji nie darowano nawet starym spódnicom służby królewskiej, które Karol Gustaw kazał pieczołowicie spakować i odesłać do kraju.

W cieniu tych dramatycznych wydarzeń próbowano żyć i odtwarzać przynajmniej pozory normalnego życia. Królowa nie osiągnęłaby swoich sukcesów w tych trudnych latach bez dotychczasowego doświadczenia oraz znajomości polskich realiów. Doskonale wiedziała, że musi wynagrodzić wierność sojusznikom i przynajmniej, odstępując od kar, skłonić zdrajców do powrotu pod pano-

wanie prawowitego władcy. Dlatego to za jej przyczyną król obsypał łaskami i awansami nawet tych, którzy nie dochowali mu wierności, co było gorzkim doświadczeniem klóącym się z naszym poczuciem sprawiedliwości, ale niewątpliwie przyspieszającym moment uspokojenia nastrojów.

Jedynie najwierniejszy z wiernych Jan Zamoyski skutecznie umykał przed awansami i nagrodami. Przyczyna tego była dla współczesnych niezrozumiała, acz bardzo prosta – mianowicie miał on swoją dewizę, w myśl której postępował, a która utrwaliła jego przydomek – Sobiepan, jak kazał się zwać, by podkreślić swoją autonomię. Uważał, że sam dla siebie jest panem, to, co ma, w zupełności mu wystarcza i niczego więcej nie potrzebuje. Dlatego nie pożądał stanowisk i unikał nadań. Co ciekawe, dochował on wierności królowi, mimo iż w chwili elekcji popierał jego kontrkandydata księcia Karola Ferdynanda. Kiedy ten jednak przegrał wybór, nie miał oporów, by uznać wolę większości szlachty <sup>11</sup>.

Nie mogąc go nagrodzić tak jak innych, a pragnąc na zawsze związać z sobą, królowa postanowiła sięgnąć do sprawdzonych metod i oddać mu za żonę swoją ulubioną dwórkę Marysieńkę. Ta osiągnęła już wiek, w którym jej rówieśniczki wydawano za męża, i choć z kandydatem do jej ręki dzieliło ją czternaście lat, nie widziano w tym nic zdrożnego. W literaturze trwa spór, czy to królowa wyszła z inicjatywą, zanim młodzi się spotkali, czy sam Sobiepan zauważył dziewczynę i okazał zainteresowanie, a Ludwika Maria skrzętnie wykorzystała nadarżającą się okazję, by umiejętnie zarzucić sieć na zatwardziałego kawalera.

Królowa zapewne wiedziała na temat Zamoyskiego wszystko, gdyż nie ukrywał on swoich zainteresowań. To, co u innych mogłoby uchodzić za wady, on prezentował jako swoje atuty – od najmłodszych lat był hulaką i utracjuszem, miłośnikiem kobiet wątpliwej konduity, a od kilku lat szczyił się posiadaniem niewielkiego prywatnego przybytku zwanego przez pełną podziwu szlachtę haremem. Trzymał w nim grupkę młodych i ładnych dziewczyn, które przyuczono, by zapewniały rozrywkę swemu panu. Jednocześnie był najbogatszym poddanym ich królewskich mości zwanym księciem zamojskim. Jego prywatna twierdza Zamość uchodziła za niezdobytą i w odpowiednich rękach mogła przechylić szalę każdej wojny na korzyść tego, po czyjej stronie stał jej właściciel. Ogromny majątek pozwalał mu na utrzymywanie ze swojej szkatuły licznych formacji wojskowych, które w tym trudnym momencie oddał do dyspozycji Jana Kazimierza.

W trudnych chwilach klęski, kiedy król utracił znakomitą większość swych wojsk i niemal całe uzbrojenie, to zamojskie działa przyczyniły się do sukcesu podczas szturmów Warszawy. Jednocześnie był też Sobiepan prawie trzydziestoletnim kawalerem i pod względem majątkowym niewątpliwie najlepszą partią, na którą czyhały wszystkie wolne kobiety w tej części Europy, mimo dość nieatrakcyjnego wyglądu, charakteru i manier mogących razić dobry smak wielu

nawet mniej wymagających kobiet. Ten wnuk wielkiego Jana Zamoyskiego był bardzo miernego wzrostu, określano go niekiedy wręcz mianem karła, charakteryzowały go też gruba sylwetka, brzydka twarz i wiecznie zataczający się z powodu opilstwa chód. Jeśli do tego dodamy fakt, iż z jednej ze swych zagranicznych podróży przywiózł chorobę weneryczną, co trudno było ukryć, towarzyszącą mu do końca życia, to trzeba uznać, iż tylko góra złota mogła dodać blasku jego wiecznie przepitym oczom.

Ona zaś wyrosła na śliczną pannę średniego wzrostu o pięknych czarnych włosach i małym, lekko zadartym nosku. Ani chuda, ani pulchna, zgrabna i zaokrąglona w tych miejscach, w których powinna być zdrowo i atrakcyjnie wyglądająca kobieta. Jej urodą zachwycali się dworscy poeci, zaś czarne, błyszczące inteligencją oczy niejednego już przywiodły do szybszego bicia serca. Był wśród nich i późniejszy król Jan Sobieski, który – ujrawszy najpiękniejszą dwórkę królowej – już o niej nie zapomniał, choć nie miał szans, by starać się o jej rękę. W porównaniu z Sobiepanem nie był jeszcze nikim znaczącym ani politycznie, ani tym bardziej majątkowo. A co nie mniej istotne, jego apodyktyczna matka rządząca rodziną twardą ręką i konsekwentnie budująca potęgę rodu, prędzej zabiłaby syna, niż pozwoliła, by ożenił się z ubogą cudzoziemką.

Ostateczna decyzja o połączeniu tych dwojga zapadła w lipcu 1656 roku we właśnie odzyskanej z rąk szwedzkich Warszawie. Została poprzedzona licznymi zabiegami i, jeśli wierzyć rewelacjom pewnego francuskiego podróżnika, również tajną rywalizacją króla i królowej. Otóż w chwili swojego największego upadku po utracie królestwa, podczas wygnania, jakiego doświadczał na przełomie lat 1655 i 1656, Jan Kazimierz postanowił poszukać pocieszenia w ramionach jednej z dwórek swej małżonki, panny Schönfeld. Ta osiemnastoletnia wówczas Austriaczka uchodziła za wyjątkową piękność budzącą zainteresowanie wszystkich mężczyzn. Podobno nie oparła się zalotom króla i postanowiła ukradkiem pocieszać go w ciężkich chwilach. O zdradzie męża dowiedziała się wkrótce królowa, utrzymująca swój fraucymer w surowych karbach moralnej dyscypliny. Postanowiła więc odesłać do rodziców zdradliwą pannicę, która nie potrafiła docenić zaszczytu służenia polskiej władczyni.

Król w konfrontacji z małżonką, jak czynił to za każdym razem, wyparł się romansu z dziewczyną. Aby zapobiec wydaleniu jej z dworu, niepomyślniejszych doświadczeń z podobnymi pomysłami, umyślił zastosować po raz kolejny ten sam manewr i dla niepoznaki wydać kochankę za męża, by nadal korzystać z jej wdzięków. Jego wybór padł na Sobiepana. Jan Kazimierz liczył, że ten libertyn, sam podchodzący niezwykle swobodnie do kwestii wierności małżeńskiej i śmiało korzystający z wdzięków panien i mężatek, nie będzie miał nic przeciwko temu, iż tym razem to król będzie dorabiał rogi jemu.

Ruszyły przygotowania, by skłonić kandydata do ożenku.

Mimo dramatycznej sytuacji wojennej król znalazł czas, by zająć się zabezpieczeniem swojej zdobyczy – co najmniej dwukrotnie wysłał posłów z listami do Zamościa, prezentując ordynatowi zalety przyszłej małżonki. Jednak królowa szybko się zorientowała w szytej grubymi nićmi intrydze i zaproponowała Sobiepanowi rękę pięknej Marysienki. Ten niewątpliwie poczuł się mile połączony – oto król i królowa, niezależnie od siebie, zaproponowali mu związek z dwiema najpiękniejszymi dwórkami. Podobno doszło nawet do prezentacji obu kandydatek, a ordynat miał być na zmianę raz u jednej, raz u drugiej, by osobiście poznać ich zalety. Oczywiście nie było w tym nic zdrożnego, ot, kurtuazyjne wizyty w obecności innych osób.

Jak relacjonowano, obie panny, dotychczas zaprzyjaźnione, opanował duch rywalizacji, a w konsekwencji zazdrość i wzajemna niechęć, która przetrwała do końca ich życia mimo zamążpójścia obu kobiet. Ostatecznie, jak zawsze, wygrała królowa. Była bardziej zdecydowana, pomysłowa i przebojowa w swoich poczynaniach. Młodej Austriaczce z polecenia królowej obrzydzono polskiego magnata. Przy pomocy jej rodaka dyplomaty perswadowano, iż niechęć, jaką Polacy darzą Austriaków, będzie dla niej brzemieniem, z którym sobie nie poradzi, radząc, by zainteresowała się raczej kimś bliższym sobie mentalnie i kulturowo.

Jednocześnie wywierano presję na ordynata – argumentowano przewagą Marysienki również tym, że jest młodsza od rywalki o trzy lata. Wszystkich środków nacisku nigdy już nie poznamy, ale niebagatelne znaczenie miała narodowość Marysienki – Sobiepan już wcześniej – nie wiemy, na ile szczerze – deklarował, iż chciałby poślubić Francuzkę. Uznawał wyższość kobiet tej nacji nad innymi przedstawicielkami płci pięknej. Nie można również wykluczyć życzliwych podszeptów o romansie króla z jedną z konkurentek, co niewątpliwie zraziło dumnego magnata do roli parawanu w miłosnych igraszkach władcy. Wszystkie te czynniki połączone ze sobą doprowadziły do tego, iż Zamoyski zgodził się na propozycję królowej<sup>12</sup>.

Ogłoszenie planowanego związku z piękną Marysienką spowodowało z kolei kontrakcję krewnych i bliskich Sobiepana. Zachowały się ślady tego typu działań w postaci korespondencji marszałka wielkiego koronnego Jerzego Lubomirskiego z nuncjuszem papieskim, który został zobowiązany do przeciwdziałania ujawnionym zamierzeniom matrymonialnym. Sekretarz tegoż marszałka pisał z polecenia swego pana do nuncjusza w sierpniu 1656 roku:

*Wasza Przewielebność*

*Z polecenia jasnie wielmożnego jmp. marszałka, mojego pana, mam uwiadomić Waszą Przewielebność o sprawie, do której jmp. marszałek przywiązuje wielką wagę. Jmp. marszałek dowiedział się, że ułożone zostało małżeństwo między jmp. Zamoyskim, jego kuzynem, a jmc panną d'Arquien i że małżeństwo to ma być wkrótce zawarte. Ponieważ nie tylko najbliżsi krewni jmp. Zamoyskiego, ale wszyscy najprzed-*

niejsi panowie z niechęcią patrzą na związek takiego pana jak on z cudzoziemką i nie pochwalają tego, że królowa stara się swoje panny powydawać za najpierwszych panów królestwa – przeto dla uniknięcia przykrości, jakich jmc panna d'Arquien mogłaby doznać od wszystkich krewnych jmp. Zamoyskiego, a po pewnym czasie i od niego samego, jak również ze względu na tysiąc innych zgubnych następstw jmp. marszałek polecił mi prosić w jego imieniu Waszą Przewielebność, ażeby Wasza Przewielebność raczył wpłynąć na królową, iżby to małżeństwo zerwała. W imieniu jmp. marszałka proszę Waszą Przewielebność o zachowanie tajemnicy w tej sprawie<sup>13</sup>.

Nie wiemy, czy nuncjusz podjął starania w przedmiotowej sprawie. W zachowanych źródłach brak informacji na ten temat.

Co do najbliższych krewnych i ich reakcji na planowany związek, to warto podkreślić, iż Sobiepan nie miał już w tym momencie rodziców – ojciec Tomasz zmarł, gdy ten miał jedenaście lat, matka Katarzyna z domu Ostrogska zaś osierociła go w wieku piętnastu lat. Nie żyła już również jego starsza o trzy lata siostra Joanna po mężu Koniecpolska. Natomiast najstarsza z rodzeństwa – starsza od Jana o cztery lata Gryzelda Wiśniowiecka, wówczas już wdowa po słynnym pogromcy Kozaków Jeremim Wiśniowieckim – żyła i mieszkała w Zamościu.

Sobiepan w swoich listach do Marysienki z okresu narzeczeństwa informuje o trosce Gryzeldy o zdrowie narzeczonej, sugerując życzliwość i przyjazne zainteresowanie. Marysienka odwzajemnia się równie grzecznymi zwrotami: *Proszę, podziękuj Wć ode mnie Księżnej JMci [Wiśniowieckiej], że raczy o mnie pamiętać i zapewnij ją Wć, że jestem jej oddana do usług*. I w kolejnym: *Proszę, złóż Wć moje uniżone podziękowanie Księżnej JMci [Wiśniowieckiej] i zapewnij ją Wć, że jestem jej oddana do usług*<sup>14</sup>. Jednak sądząc na podstawie późniejszych relacji obu pań oraz poglądów Wiśniowieckiej na kwestie urodzenia i pochodzenia bratowej, nie należy przywiązywać większej wagi do tych czysto kurtuazyjnych zwrotów.

Natomiast reakcje bliskich narzeczonej na planowany związek były pozytywne. Królowa, w której ręce oddano los dziewczyny, odpowiednio zarekomendowała rodzicom Marysienki kandydata do jej ręki. Ze względu na wojenne okoliczności oraz znaczną odległość nie wybierali się oni w podróż do Polski, by uczestniczyć w uroczystościach, ale w przesłanym liście udzielili swojego błogosławieństwa.

Trwający niemal dwa lata okres narzeczeństwa wypełniła wojna. Młodzi widywali się rzadko, natomiast byli informowani o sobie na bieżąco poprzez listy własne, pisemne relacje bliskich oraz ustne przekazy krążących między miejscami ich pobytu posłańców. Zachowały się dwa listy Marysienki do Sobiepana z najwcześniejszego okresu ich narzeczeństwa, obydwie z maja 1657 roku, kiedy to istniało realne zagrożenie powtórnego oblężenia Zamościa. Tym razem sprzymierzony ze Szwedami książę siedmiogrodzki Rakoczy po wkroczeniu w granice Rzeczypospolitej wzywał Zamoyskiego do wydania w jego ręce niezdobytej twierdzy, zaś otoczenie Jana Kazimierza podtrzymywało magnata

w woli oporu. Pisała do niego własnoręcznie królowa, wyrażając przekonanie, iż powinien osobiście dowodzić załogą, gdyż wcześniejsze doświadczenie wykazało, że tylko w takiej sytuacji obrona twierdzy będzie skuteczna.

To przekonanie umacniała narzeczona, pisząc pełen pochlebstw list, niewątpliwie z inspiracji swojej protektorki, w którym podtrzymywała w odwadze i komplementowała Sobiepana: *...doszły mnie listy Wci, dwa przez jmp. Przeczkowskiego, a jeden w dzień później przez kozaka, w którym mi Wć piszesz, że z godziny na godzinę oczekujesz Wć nieprzyjaciół. Życzę Wci, żeby ich spotkał taki sam afront, jak za pierwszym razem. Przypuszczam, że niełatwo teraz będzie o nowiny od Wci; nie wątpię jednak, że Wć zostaniesz oswobodzony od nieprzyjaciół, skoro tylko król pośle Wci potężną odsiecz. ... Nie potrzebuję napominać Wci, żebyś Wć pozostał wierny królowi, gdyż niebo Wci udzieliło daru wierności; proszę więc tylko, żebyś Wć uważał na siebie...*<sup>15</sup> Drugi zaś już po otrzymaniu wieści, iż wróg odstąpił od swojego zamiaru oblegania zamojskiej twierdzy.

Sylwetki narzeczonych przewijają się też w korespondencji królowej, która nie bez satysfakcji pisze do swojej przyjaciółki o zamojskim panu: *Zdaje się być zakochany w małej d'Arquien; jeżeli kiedy pokój nastąpi w Polsce, to będzie miał siedemset tysięcy liwrow rocznego dochodu i najpiękniejsze domy na świecie, cudownie umeblowane. Jakiś czas później zaś: Książę Zamoyski jest tak bardzo zakochany, że swojej wybrance ofiarowuje milion talarów w podarunku, dwanaście tysięcy rocznie na drobne wydatki, a nadto cztery tysiące rocznie z dochodów ze starostwa; jeżeli się będzie dobrze prowadziła, gdy zostanie jego żoną, i będzie go kochała, przyrzeka jej wiele innych korzyści. Skoro tylko umowa zostanie podpisana, pošę ją do jej matki, a książę napisze do obojga rodziców*<sup>16</sup>.

I jakże tu nie kochać takiego konkurenta?!

W miarę upływu czasu ochota do ożenku u obojga wzrastała. Sobiepan był umiejętnie podgrzewany w swoich uczuciach zapewnieniami o stałej miłości narzeczonej oraz o licznych konkurentach do jej ręki, nieustających w staraniach o jej życzliwe spojrzenie – najwyraźniej żyłka rywalizacji została rozbudzona. Kiedy było tylu chętnych do jej ręki, tym bardziej zależało mu, by prześcignąć innych i zwyciężyć w tych szrankach. Marysienka zaś słyszała zewsząd, jaką to jest szczęściarą i jak wiele panien bez chwili zastanowienia mogłoby ją zastąpić na ślubnym kobiercu.

Podtrzymywaniu uczucia sprzyjały też niezwykle hojne prezenty. Sobiepan, jak zawsze, nie liczył się z kosztami i przy każdej okazji obsypywał oblubienicę cennymi klejnotami. To zaś wzbudzało zazdrość innych pań z fraucymeru i upewniało Marysienkę, iż lepiej trafić nie mogła.

Na marginesie głównego nurtu wydarzeń tej historii zmierzających w stronę ołtarza dwojga młodych ludzi działały się rzeczy związane z wielką polityką, które mogły mieć ogromny wpływ na dalsze losy naszych bohaterów. Otóż królowa, szczęśliwa, iż intrygi matrymonialne toczą się zgodnie z jej wolą i zachwycona

kandydatem do ręki swojej ulubionej dwórki, pomyślała, że można z nim zrealizować również inny, bardziej dalekosiężny plan. Ludwika Maria, obserwująca problemy słabości władzy królewskiej, chciała wzmocnienia pozycji władcy. Z tej chęci narodził się plan wyboru nowego króla jeszcze za życia obecnego (tak zwana elekcja *vivente rege*), co niewątpliwie umocniłoby tron, ale kosztem szlachty, której niezakłócona swoboda wyboru monarchy zostałaby tym sposobem uszczuplona.

Pierwotnie wśród potencjalnych pretendentów do następstwa tronu upatrywano członka rodziny cesarskiej, jednak na tym etapie skłaniano się ku rodzinnemu kandydatowi. I tu pojawiło się nazwisko Zamoyskiego. W kilku pismach z tej epoki wspomniano – jako o możliwym następcy – właśnie o Sobiepanie. Jednak sam ordynat nie wyrażał woli ubiegania się o tak zaszczytną funkcję, a i jego zdolność do zabiegania o nią oceniono wkrótce jako znikomą.

W końcu zapadła decyzja o sformalizowaniu związku. Co ciekawe, datę i miejsce ślubu wyznaczyła sama królowa, jak się wydaje, bez konsultacji z narzeczonymi. Pierwotnie donoszono, iż ordynat został wezwany do Warszawy na 17 lutego 1658 roku, by w tym dniu stanąć na ślubnym kobiercu. Jednak nie robił on nadziei, by miał zdążyć z przybyciem w tym terminie. W chwili podejmowania decyzji dwór monarszy wraz z królową i samą Marysienką przebywał w Poznaniu. Zamierzano wyjechać stamtąd 28 stycznia i stanąć w Warszawie 10 lutego. Marysienka z pewnym niepokojem pisała do narzeczonego 4 lutego, skarżąc się przy okazji na ból zęba, iż: *Spodziewamy się zastać Wć w Warszawie, ale ja myślę, że Wć przyjedziesz dopiero w dwa tygodnie po nas*<sup>17</sup>.

Ale i dwa tygodnie to za mało, by poczynić stosowne przygotowania, i to dla obu stron. Tymczasem królowa posłała do Zamościa, by jej stamtąd przywieziono opis weselnych uroczystości pierwszego ordynata na Zamościu, czyli dziadka Sobiepana, aby z tego źródła zaczerpnąć inspirację dla przygotowywanych uroczystości. Złośliwcy co prawda komentowali, że na tamtym weselu w orszaku szedł słoń, więc chcąc nawiązać do wydarzeń sprzed lat, trzeba by i teraz sprowadzić podobne zwierzę aż z Indii, co zajmie nieco czasu, ale przygotowania posuwały się naprzód.

W Zamościu Sobiepan, zanim wyruszył w drogę do Warszawy, nadzorował ostatnie poprawki, instruował służbę na okoliczność wjazdu młodej pary do miasta i nie bez żalu żegnał się ze swoim haremem. W literaturze co prawda zachował się obraz Marysienki w gniewie rozpędzającej sławny przybytek męża w dniu wjazdu do Zamościa, ale prawdopodobnie sam ordynat zadbał o to, by przed przyjazdem żony pozbyć się wszelkich dowodów swojej rozpusty. Inna sprawa, to jak długo miało trwać to wygnanie haremu. Na stałe czy tylko tymczasem, do chwili, aż będzie można niepostrzeżenie znowu ściągnąć go w pobliże?



Na okoliczność tego głośnego w kraju *exodusu* zamojskich pań do specjalnych poruczeń Jan Andrzej Morsztyn ułożył wiersz:

### **Paszport kurwom z Zamościa**

*Zośka z Zamościa, Baśka z Turobina,  
Jewka ze Zwierzyńca, z Krzeszowa Maryna,  
Te cztery kurwy, z piątą panią starą,  
Pod dobrą idą na wędrówkę wiarą.  
Służyły wiernie, póki pański długi  
Kuś potrzebował ich pilnej posługi;  
Teraz, że z ślubną związku zwarte żoną,  
Precz ich zapewne od dworu wyżoną.  
Powracają się (niech wie każdy, komu  
Wiedzieć należy) z odprawą do domu,  
Przełoż niech im nikt drogi nie kazi,  
Lecz darmo, jako luźne kurwy, łązi. <sup>18</sup>*

Sobiepan wyruszył z Zamościa 22 lutego 1658 roku, a więc pięć dni po wskazanym przez królową terminie ślubu, i niespiesznie ruszył w stronę Warszawy. Dzień później wymaszerował z Turobina regiment piechoty w barwach ordynata, który miał uświetnić ceremonię. Narzeczony, mimo ponagleń, wyraźnie się nie spieszył, trasę o długości około dwustu sześćdziesięciu kilometrów, którą mógł przebyć w ciągu trzech–czterech dni, pokonywał przez dziewięć. Narzeczona próbowała go ponaglić, pisząc: *Wydaje mi się, że jeżeli Wć nie przyjedziesz najpóźniej we czwartek, to nie uda się już odbyć wszystkich ceremonii towarzyszących zazwyczaj okazjom takim jak ta, która nas czeka. Oczekując zaszczytu ujrzenia Wci, pozostają Wci oddana do usług.*

Jednak wysłany do Warszawy w celu nadzorowania przygotowań człowiek Sobiepana, Żaboklicki, zalecał swemu panu, by odpoczywał po drodze, bo przed nim w najbliższych dniach moc atrakcji i trzeba, by był wypoczęty: *Bardzo się dobrze stało, żeś WMPan wcześniej stanął w Warce i żeś przebył Wisłę, tam żebyś WMPan odpoczął przez czwartek.* Znał on bowiem zwyczaje ordynata i wiedział, że wszędzie po drodze towarzyszyły jego podróży spotkania ze szlachtą, picie do rana, toasty, powinszowania i ucztę. Sugerował, by wjazd do Warszawy odbyć w sobotę w południe i nie odkładać za długo, wyjechać wcześniej z rana, bo potem ciężko będzie zdążyć, przebijając się przez tłumy winszującej szlachty ... *bo wszystka szlachta cum applausu zajeżdżać będzie WMPanu Dobrodziejowi; ale ja to poprzędę wszystko i rano w piątek w Piasecznie będę... <sup>19</sup>*

Żaboklicki nie rozwija swojej myśli, ale możemy się domyślać, że znając panujące zwyczaje, doskonale wiedział, iż bez ciężkiej pijatyki nie byłoby łatwo się przebić przez te spragnione rzesze. W tej sytuacji to on zaferował się nieco

osłonić swego pana i w jego imieniu częstować, przepijać do szlachty i dziękować za powinszowania, tak by pan młody mógł się zaprezentować na własnym ślubie w dość przyzwoitym stanie.

Plan w pełni się powiódł. Co prawda nie obeszło się bez kilku kielichów, ale w tej sytuacji traktowano je jako lekarstwo na wrodzoną nieśmiałość ordynata, co podkreślono przy okazji wjazdu do stolicy: *W jego postawie i zachowaniu nie było ani śladu zakłopotania, którego dawniej nie potrafił nigdy ukryć...* Przybycie pana młodego do Warszawy w otoczeniu pięknie okrytych formacji mundurowych oraz tłumów ciągnącej na wesele szlachty odnotowywano z podziwem: *Zamoyski przybył na dwór z tak licznym i wspaniałym orszakiem, że piękniejszego nie widziano i o znakomitszym nie słyszano od dawna* <sup>20</sup>.

Przygotowany drobiazgowo scenariusz przewidywał, iż uroczystościom weselnym będzie towarzyszyć bogata oprawa, zaś wszystkie elementy ceremoniału zajmą wiele dni, aż do wypełnienia wszystkich zaplanowanych punktów programu. Tuż po przybyciu na dwór nastąpiło podpisanie tekstu negocjowanego wcześniej kontraktu ślubnego. Sobiepan zapisał w nim swojej przyszłej małżonce nieco mniejsze kwoty, niż się wcześniej spodziewano. Być może w tym tkwiła przyczyna opóźnienia daty zawarcia małżeństwa, że otoczenie Zamoyskiego dążyło do ograniczenia nazbyt hojnych donacji i negocjowano rozsądniejszy, niż pierwotnie zakładano, kontrakt. Ostatecznie do dokumentu wpisano oprawę dla Marysieńki w kwocie sześciuset tysięcy złotych zabezpieczonych na posiadłościach niewchodzących w skład dóbr ordynackich, bo tych zgodnie z prawem nie można było obciążać. Ponadto Sobiepan zobowiązał się wypłacać jej corocznie dwanaście tysięcy złotych na osobiste wydatki.

Po tych nużących formalnościach można było przystąpić do kolejnych, nie mniej uciążliwych pozycji scenariusza. Jeszcze w tym samym dniu, czyli w sobotę, 2 marca, odbyły się oficjalne zaręczyny. Sobiepana w przewidzianych zwyczajem ceremoniach reprezentowało dwóch družbów, Stefan Czarniecki i Michał Radziwiłł, oraz marszałek jego dworu, zwany z powodu pełnionej funkcji hrabią, Mikołaj Podlodowski. To temu ostatniemu przypadł zaszczyt przemawiania w imieniu swojego pana do królewskich małżonków występujących pod nieobecność rodziców w roli opiekunów panny młodej. W swojej mowie słaawił zalety kandydata do ręki dwórki, wywodził starożytność jego rodu i ukazywał zasługi dla króla i Rzeczypospolitej.

Po tej przydługiej nieco mowie ordynat, ubrany w lśniące brylantami szaty, ofiarował narzeczonej pierścień ogromnej wartości, który ona z wdzięcznością przyjęła. Następnie przekazano królowej diamentowy diadem, by to ona osobiście włożyła go na skronie promieniejącej szczęściem Marysieńki. Teraz głos zabrał kanclerz królowej, biskup Jan Władysław, późniejszy prymas Polski i kanclerz wielki koronny. On z kolei w imieniu rodziny narzeczonej słaawił zalety

panny młodej, podkreślając zaszczyt, jaki spotyka ordynata poprzez spowinowacenie z tak znakomitym rodem.

Tę część uroczystości uświetnił bal na Zamku Królewskim, w którym nie uczestniczyła główna aktorka, gdyż dla niej przygotowano dodatkowe atrakcje, określane niekiedy w literaturze mianem wieczoru panieńskiego, choć wówczas jeszcze nie znano i nie praktykowano tego typu zabaw. W ramach tej rozrywki z polecenia królowej przygotowano kąpiel dla Marysienki i jej przyjaciółek w perfumowanych wodach królewskiej łaźni. Wejście do i wyjście z kąpeli celebrowano na wzór antycznych ceremonii, by podkreślić niezwykłość wydarzeń, w których uczestniczył wąski krąg zaufanych dwórek.

Wszystko to oczywiście dało asumpt do kolejnych prezentów od pana młodego, który z tej okazji podarował przyszłej małżonce wysadzaną klejnotami garderobę, suknie i sobolowe futro o ogromnej wartości.

Dopiero nazajutrz, czyli 3 marca – w ostatnią niedzielę karnawału w tym roku – przewidziano uroczystości *stricteweselne*. Do oprawy zaangażowano tysiące zbrojnych, nie mniejszą liczbę służby i pokojowych, zaś przybyła tłumnie z całego kraju szlachta tworzyła barwne i hałaśliwe otoczenie dla tego niecodziennego wydarzenia. A wszystko to w cieniu toczącej się wciąż wojny ze Szwecją.

Uroczystości weselne trwały do środy, a młoda para została jeszcze na królewskim dworze przez cztery tygodnie. Wypito w czasie ich trwania trzysta beczek wina, które Sobiepan kazał sprowadzić do stolicy, i zjedzono niewyobrażalne ilości spędzanej do Warszawy każdego dnia zwierzyny wszelkiego gatunku i rodzaju.

## Pani Zamoyska

Czy związek trzydziestoletniego hulaki z siedemnastoletnią dwórką królowej przy odrobinie wysiłku i dobrej woli obu stron mógł się przeistoczyć w dobre małżeństwo?

Niektórzy z komentatorów, znając ich późniejsze losy, twierdzą, że z połączenia rozpieszczonej ulubienicy Ludwika Marii z pijanicą i dziwkarczem nie mogło wyniknąć nic dobrego. Od razu przekreślają i skazują na niepowodzenie wszelkie nadzieje na to, by związek mógł przetrwać i rozwinąć się w szczęśliwe dla obojga stadło.

To prawda, że początki były trudne. Już sam fakt odwlekania przyjazdu do Warszawy przez Sobiepana nie nastrajał do niego życzliwie narzeczonej i jej otoczenia. Potem jednakże wspaniałe prezenty i bogata oprawa musiały zrobić dobre wrażenie, zacierając częściowo złe wspomnienia. Po ślubie nie było najlepiej – wszystkie źródła potwierdzają, że noc poślubną pan młody spędził nie w łóżku, ale na dywaniku obok łóżka, gdy Marysienka spała samotnie w pościeli. Co gorsza, związek nie został skonsumowany również w kolejnych dniach i tygodniach. Co było tego powodem, trudno dziś odgadnąć, ale faktem jest, że do pierwszego pełnego zbliżenia między nowożeńcami doszło dopiero po opuszczeniu przez nich stolicy – podczas noclegu w Warce lub nawet po przybyciu do Zamościa.

Uroczyste powitanie nowożeńców w rodowej siedzibie magnata mogło wróżyć nowe otwarcie i lepsze czasy dla ich związku. Do bram miasta wylegli wszyscy mieszczanie, okoliczna szlachta i delegacje chłopów oraz Żydów. Powinszowaniom i przemowom nie było końca. Niestety, kilka dni po przyjeździe w Zamościu wybuchł pożar, który strawił trzydzieści cztery domy w rynku, kościół franciszkanów i szereg budynków gospodarczych. Odczytano to jako kolejny zły znak dla młodego małżeństwa, które musiało się na czas odbudowy przenieść do Zwierzyńca. Tam Marysienka została pozostawiona sama sobie, gdyż Sobiepan wyruszył przejąć w posiadanie otrzymane przed rokiem starostwo w Kamieńcu Podolskim, a potem na przegląd swych rozległych majątków.

Trzeba przyznać, że nie wyglądało to dobrze – ledwie młoda para wprowadziła się do domu, a już mąż pozostawił małżonkę, by zająć się pilniejszymi sprawami, i nagle ona została sama w obcym otoczeniu z nieznanymi sobie osobami. Przyzwyczajona do nieustannego gwaru panującego wokół osób królewskich, została skazana na nudę życia na prowincji.

Doskonale wiemy, że powiedzieć, iż małżeństwo Sobiepana i Marysienki było nieudane, to jak nic nie powiedzieć. Z tym stwierdzeniem wszyscy się zga-

dzają, natomiast powody klęski tego ambitnego zamierzenia matrymonialnego będą emocje i spory.

W dużym uproszczeniu można stwierdzić, że znaczna część badaczy, może nawet większość, winą za nieudany związek obarcza Marysienkę, reszta zaś Sobiepana. Czy można dziś jednoznacznie stwierdzić, jak doszło do narastania problemów, i orzec, kto ponosi większą odpowiedzialność za ten stan? Nie będzie to łatwe, ale spróbujemy.

Warto na początku podkreślić, jak różne oczekiwania w stosunku do siebie miały strony kontraktu małżeńskiego. Jedno z przysłów dotyczących narzeczonych głosi, iż ona, stając na ślubnym kobiercu i znając niedostatki wybranka, liczy, że go zmieni; on zaś, koncentrując się głównie na wyglądzie, liczy, że ona się nie zmieni – oboje przeżyją głębokie rozczarowanie, jeśli nie dorosną w tym związku, nie włożą w pracę nad sobą dużego wysiłku i nie nauczą się akceptować niedoskonałości partnera.

Tutaj też mieliśmy do czynienia z sytuacją, gdy ona liczyła, iż ten podstarzały (jak na tamte czasy) hulaka, dziwkarz oraz lekkomyślny egoista stanie się kochającym mężem, odpowiedzialnym ojcem i gospodarnym zarządcą wielomilionowego majątku. Będą razem wychowywać dzieci, dorabiać się, bywać w najlepszym towarzystwie i wydawać zarobione pieniądze na jej potrzeby. On zaś liczył, że młodziutka i śliczna małżonka, oprócz zaspokajania jego potrzeb seksualnych, skupi się na rodzeniu i nianczeniu dzieci, pozostawiając mu swobodę życia w dotychczasowym stylu. Że nie będzie ingerować w jego hulanki, trwonienie pieniędzy, z czasem może nawet uda mu się sprowadzić swój harem i żyć jak do tej pory, a przyjaciele i rodzina przestaną męczyć go o to, by się ustatkował i spłodził potomka.

Krytycy podkreślają egoizm Marysienki, jej oczekiwania, wymagania wobec otoczenia i skupienie na sobie, na przyjemnościach i na zabawie. Wytykają jej zamięłowanie do wygody i rozrywek, przytaczając garść dowodów, jakie przetrwały do naszych czasów. Jednym z nich jest znany pobyt naszej bohaterki w poznańskim klasztorze sióstr benedyktynek w grudniu 1657 roku, gdzie została zakwaterowana na czas pobytu dworu królewskiego w tym mieście. Nie było w tym nic niezwykłego, gdyż w czasach ciągłego niedostatku porządnych miejsc noclegowych klasztory powszechnie służyły za miejsca, w których było można bezpiecznie zamieszkać, będąc w obcym mieście.

W klasztornej kronice odnotowano w sposób następujący okoliczności goszczenia panny d'Arquien: *Panna to była najzacniejsza z fraucymeru królewskiego, której wielebna panna ksieni ustąpiła izdebki swojej z wielkim niewywczaśem swoim i aż w chorobę była wpadła... Było to bycie panny tej poniekąd z niezbudowaniem inszych. W nocy było trzeba doktora puszczać do niej. Senatorów wiele ją nawiedzało i częstym chodzeniem bardzo się uprzykrzali, i przez kościół chcieli chodzić do niej, nie było pokoju przed nimi. A że łaźni często używała, a wody w klasztorze nie było, musieli ją*

*ustawnie mężczyźni z miasta nosić. Miała swoje sługi i ochmistrzynię, stół jej był z królewskiej kuchni* <sup>21</sup>.

W listach zaś do Sobiepana w tym trudnym okresie wojny, ale w czasie pobytu w Dankowie, Marysienka skarżyła się na brak służby, niedostatek wygód i rozrywek. Zamiast martwić się o walczący z najeźdźcą kraj, cieszyła się z nadchodzącego wesela, na którym miała nadzieję potańczyć przez trzy dni.

To prawda, że Marysienka była rozpieszczona! Cóż w tym dziwnego? Królowa traktowała ją jak córkę, dziewczyna była jej oczkiem w głowie – ulubioną dwórką i maskotką, którą wszyscy wokół rozpieszczali, komplementowali i nadskakiwali jej w spełnianiu najwymyślniejszych zachcianek. Była typową nastolatką dorastającą w luksusowym otoczeniu. Czy znalazłoby się wiele osób, które oparłyby się takim pokusom i mimo wszystko pozostały odporne na oferowane zewsząd atrakcje życia dworskiego? Ośmielam się wątpić. Szczególnie w odniesieniu do osób młodych, pełnych życia i spragnionych zabawy.

Oskarżano Marysienkę, że nie kochała swojego męża i nie starała się o jego względy, szukając ujścia dla swych uczuć gdzie indziej. Sugerowano, że już stając na ślubnym kobiercu, nieszczerze przysięgała miłość i wierność, gdyż jej serce należało do młodszego wybranka – Jana Sobieskiego. Na potwierdzenie tych oskarżeń przytaczano znacznie późniejsze słowa tego ostatniego, że pokochał ją w odległej przeszłości, jeszcze jako wolnego od zobowiązań małżeńskich podlotka.

Słusznie podnoszą obrońcy naszej bohaterki, że ona sama Sobieskiego wówczas nie знаła. Być może on ją wypatrzył podczas jednej z wizyt na dworze we fraucymerze królowej, ale wówczas żadnych kontaktów nie nawiązano, to wydarzenia z okresu znacznie późniejszego.

Trudno co prawda uwierzyć w to, że młoda i piękna dwórka mogła się zakochać w mężczyźnie pokroju Sobiepana, więc w dniu ślubu – jak znakomita większość tego typu związków w tamtych czasach – było to małżeństwo zawierane bez miłości. Widzimy jednakże z jej strony próby przypodobania się mężowi. Zarówno przed ślubem, jak i po nim Marysienka podejmowała wysiłki, by zyskać jego uwagę, przychylność i sympatię. Wielokrotnie wyrażała troskę o jego bezpieczeństwo, gdy nie przebywali razem, i nie były to tylko czysto kurtuazyjne zwroty. Jednakże nie spotykały się one z właściwą reakcją i z czasem stawały się coraz rzadsze.

Możemy więc bez ryzyka pomyłki uznać, iż w tym związku nie było miłości. Zamiast niej narastały wzajemne pretensje, niezrozumienie potrzeb, a w efekcie niechęć do drugiej strony. Aby prześledzić przebieg rozwoju, a z czasem narastania tego przynębiającego procesu, zacznijmy od chwili, gdy Zamoyski opuścił małżonkę, by dokonać objazdu swych dóbr.

Wyjazd nastąpił 7 maja 1658 roku, a więc dwa miesiące po ślubie, miesiąc po przyjeździe do Zamościa i około dwóch tygodni po przeprowadzce do Zwie-

rzyńca. Ledwie kurz opadł po ostatnim koniu w jego orszaku, a już zaczęły się problemy ze służbą i z dworskimi oficjalistami. Wiemy, że dotychczas otoczenie Sobiepana tuczyło się przy nim w sposób wręcz bezprzykładny. On sam nie miał głowy do rachunków, lekką ręką rozdawał pieniądze, nie żądając rachunków, a jak sobie podochocił przy stole, to jego słynna już rozrzutność rosła proporcjonalnie do liczby wychylonych kielichów. Oczywiście korzystał z tego, kto mógł, i wielu się przy nim wzbogaciło.

Swoją skłonność w tej dziedzinie ujawnił bardzo wcześniej, przyprawiając o ból głowy opiekunów, którzy do czasu osiągnięcia przez niego dojrzałości odpowiadali za stan jego majątku. Jak wspomniano wcześniej, jego ojciec Tomasz zmarł, gdy Jan miał zaledwie jedenaście lat, matka – gdy skończył piętnaście. Ustanowieni przez ojca w testamencie opiekunowie: Stanisław Koniecpolski, Albrycht Stanisław Radziwiłł, Jakub Sobieski i biskup krakowski Jakub Zadzik nie mieli wiele pracy, dopóki żyła matka, która gospodarnie zajmowała się ogromnymi włościami. Jednak po jej śmierci, praktycznie nazajutrz po pogrzebie, piętnastolatek poczuł się na zamku panem i rozpoczął swe rządy od wielkiego festiwalu rozdawnictwa. Rozdawał pieniądze, ozdoby, klejnoty, przywileje, ulgi podatkowe na rzecz ordynacji, a nawet nieruchomości.

Szastał dobytkiem do tego stopnia, że wieść o jego wyczynach dotarła wkrótce do opiekunów, którzy w trybie pilnym popędzili do Zamościa, by ratować, co się dało. Oczywiście nie wszystko można było odwołać, ale dobitnie uświadomiono młodzieńcowi, że zgodnie ze statutem ordynacji nie można obciążać ani pomniejszać majątku wchodzącego w skład tego kompleksu dóbr, zaś prawo do dysponowania majątkiem zyska dopiero po ukończeniu dwudziestego czwartego roku życia. W tej sytuacji unieważnili większość jego decyzji, jednak wiele darowizn nie zostało udokumentowanych na piśmie, dlatego też trudno było dotrzeć do ich beneficjentów.

Obrażony taką kuratelą młodzian zażądał zgody na wyjazd za granicę i takową uzyskał, po czym na wiele lat opuścił rodzinny Zamość. Po powrocie nadal nie liczył się z pieniędzmi, a po ukończeniu wymaganego prawem wieku już swobodnie trwonił majątek zgromadzony przez przodków. Efekt był taki, że jeden z teoretycznie najbogatszych ludzi w kraju, okradany i naciągany na różne datki przez oficjalistów, służbę i bliskich, często nie miał do dyspozycji wystarczających środków na własne potrzeby. Tym się jednak nie przejmował, żądał, by spełniano jego polecenia, i tak też było, co prowadziło do zadłużania się magnata.

Dopóki młodzi małżonkowie przebywali razem, nie było problemów, ale po wyjeździe Jana służba najwyraźniej lekceważyła polecenia nowej pani. Może nie otrzymali w tej kwestii stosownych instrukcji, a może otrzymali, ale ich nie realizowali, wiedząc, że im się upiecze? Faktem pozostaje, iż młoda pani poczuła się na tyle dotknięta, by napisać list do odpowiedzialnego za zaopatrzenie-

nie oficjalisty: *Panie Wacławowicz, Czyli ja nie pani, że tak mię dzieckują sobie? Co rozkażę, to na spak czynią! Czemu tak nie czynią, jak przy Jegomości? Co to ich rozkażalam baryłę wina przysłać, a oni garcami posyłają – a ja się będę musiała wstydić, kiedy kto przyjedzie! Owsa kazałam kilkadziesiąt korcy, a oni dwa postali! Jakom żywa takich rządów nie widziała, jako tu są, niech się już odmienia, dlaboga! Pieniądze pacholetom niech będą, proszę, bom ja się za nich wstydić nie powinna, co boso prawie chodzą! Za tym szewcem do burmistrza iść trzeba, żeby wolnym zostawał, aż do przyjazdu Jegomości, od łanowego. Praczkę przyslijcie sam*<sup>22</sup>.

Problemy z zaopatrzeniem dworu młodej pani Zamoyskiej, z wykonywaniem jej poleceń oraz z szacunkiem dla niej przewijały się w korespondencji praktycznie przez cały okres małżeństwa. Personel niechętnie spełniał jej życzenia, a kiedy jeszcze próbowała wprowadzić kontrolę i nadzór przynajmniej nad tą częścią majątku, którą jej zapisano w kontrakcie ślubnym, to przyzwyczajony do samowoli i bezkarności zespół znienawidził ją ostatecznie.

W swoich listach wielokrotnie żaliła się na niewłaściwe traktowanie ze strony ludzi zatrudnianych przez męża. On sugerował, by postarała się ich pozyskać, by okazała im życzliwość i tym sposobem osiągała cele<sup>23</sup>. Ona nie chciała prosić ani przymilać się służbie, czuła się panią i żądała, by wykonywano jej polecenia. Prawdopodobnie, gdyby otrzymała jednoznaczne wsparcie ze strony męża, osiągnęłaby zakładane cele. On jednak, jak się zdaje, nie uczynił wiele w tym kierunku, stąd jej gorzka refleksja: *Zasmucasz mnie Wć do najwyższego stopnia; jestem pewna, że Wci służy bardzo Wć za to kochają i zachwyceni są Wci postępowaniem. Z czasem być może zaczęły go bawić te jej nieustanne przepychanki, co prawdopodobnie okazał, zachęcając tym samym do wzmożenia oporu wobec małżonki.*

Marysienka, widząc już na początku pewien wspólny front budowany przeciw niej przez wyższych oficjalistów dworskich mających bezpośredni dostęp do ucha ordynata, podejmowała sprytne, a z czasem coraz bardziej nerwowe próby wyrwania męża spod ich wpływu. W kilku listach do Sobiepana wyraziła swe życzenie, dodając, iż pewnie nie zostanie spełnione, bo ten czy inny z pracowników Zamoyskiego się nie zgodzi. Liczyła najwyraźniej, że tym sposobem podrażni ego partnera i skłoni go do postępowania zgodnie ze swoimi intencjami. Ta dość rozpaczliwa próba wyrwania męża z kręgu osób mających na niego zły wpływ się nie powiodła. Zapewne oni stosowali te same metody i obawa przed mianem pantoflarza była silniejsza niż lęk przed niezadowoleniem żony.

Nieco tylko upraszczając, można powiedzieć, że historia związku Marysienki i Sobiepana to nieustanna walka między jego starym towarzystwem a nową żoną. Ona próbowała przyciągnąć go do siebie, okazując miłość. W jej listach początkowo pełno jest zwrotów typu: *Najdroższy i najukochańszy mężu...; najdroższe serce moje...; drogie moje serce*. Wyrzów tęsknoty, gdy go nie ma obok: *Jestem*



w rozpacz, że Wci ze mną nie ma, wróć, proszę, Wć jak najprędzej...; Wracaj Wć jak najspieszniej...; Staraj się Wć wrócić jak najrychlej w dobrym zdrowiu.

Nie brak też pieszczotliwych i żartobliwych określeń, w których nazywa go synkiem i tiaptutą: *Moy kochany sinku gnoiku, iako do mnie nie będziesz pisiwał, nie bede cie miała za sinka, ale za gnoyka, szfinia ty, i nie będziesz ciacia. ...Do zobaczenia więc, drogi mój tiaptuta nie nazbyt kochany.*

Z czasem pojawiają się delikatne i dowcipne połamanki w sytuacji, gdy docierają do niej informacje o jego niemoralnym prowadzeniu się: *Pamiętaj Wć modlić się do Boga i nie oddawaj się Wć zanadto swawoli, żeby Bóg nie skarał Wci za grzechy...*

Sama w każdym liście, z reguły na jego zakończenie, zapewnia o swojej pokornej postawie: *Proszę, wierz mi Wć, że jestem, najdroższe serce moje, Wci pokorną, posłuszną, wierną i oddaną do usług żoną...; ...i wierzaj mi Wć, że choć pogrążona jestem w melancholii, pozostaję nadal, najdroższy mój i najukochańszy, Wci bardzo pokorną i posłuszną, wierną żoną...; Bardzo wierna i posłuszna żona, oddana Wci do usług.*

Potem – na skutek nieodwzajemniania oświadczeń – temperatura uczuć stygnie. Coraz więcej gorzkich słów, coraz częstsze wyrzuty z obu stron. Sobiepan uważa, że Marysieńka utrzymuje zbyt duży dwór i że wydaje za dużo pieniędzy. Ona zaklina się, że żyje niemal w nędzy: *Ogromnie niechętnie niepokoję Wć jeszcze i tym listem, odda go Wci jmp. Czechański, którego zmuszona jestem odprawić, nie mając za co żyć...; muszę pożyczać pieniądze skąd się tylko da, żeby mieć za co utrzymać panny, które są ze mną, co do mnie, to dzięki Bogu nie kosztują Wci ani grosza, bo moje zmartwienia nie pozwalają mi nic jeść.*

W chwilach rozpacz nie brakuje szantażu emocjonalnego i obwiniania o złe traktowanie: *Wyznam Wci, że czuję się bardzo nieszczęśliwa, ogromnie mnie Wć zawiodłeś, nigdy bym nie przypuściła, że Wć tak prędko o mnie zapomnisz i że afekt Wci tak rychło przygaśnie, widzę przecież, że ledwo się tli. Zasmucasz mnie Wć do najwyższego stopnia...*<sup>24</sup>

Późnym latem 1658 roku udało się jednak doprowadzić do chwilowego zbliżenia małżonków i to na tyle skutecznie, że Marysieńka zaszła w ciążę. Chwilowa euforia obojga nie trwała długo, bo Zamoyski szybko wrócił do polityki unikania żony. Pozbawiona życzliwych osób wokół siebie, a przez to odpowiedniej opieki, bała się o dziecko. Wzywała męża do powrotu, by zaopiekował się nią, jednak obowiązki wojskowe uniemożliwiały mu spełnienie jej prośby. Napisał nawet w tej sprawie do królowej, prosząc, by wysłała jedną ze swych dwórek do jego małżonki, aby dotrzymywała jej towarzystwa i swą obecnością podtrzymywała na duchu. W odpowiedzi Ludwika Maria prosiła Sobiepana o zgodę na przyjazd Marysieńki na dwór królewski, by tam ona mogła zapewnić stosowną opiekę nad swoją chrześniaczką.

Mija wiele miesięcy, zanim wyjazd do Warszawy jest możliwy, jednak w połowie grudnia Zamoyska dociera do stolicy i stamtąd pisze do męża w oczekiwaniu na powrót królowej. Wkrótce odżywają wzajemne pretensje – ona pisuje często, czuje się źle, nawiedzają ją czarne myśli, on odpowiada znacznie rzadziej, co w połączeniu z innymi problemami wywołuje kolejne fale skarg: *Nie mogę Wci napisać nic więcej, zbyt jestem przybita...; ...zaklinam Wc na Boga, żebyśmy trzymali ze sobą...; Wc, jeżeli już nie z życzliwości, to bodaj z litości nad niešťczęsną kobietą, jaką jestem w obecnym stanie...*

Jak twierdzi, przez ciągłe zmartwienia z powodu męża czuje się i wygląda tak źle, że przez wiele dni nie może się na oczy pokazać królowej: *Nie widziałam jeszcze królowej, lękam się ją zobaczyć, bo nie zdołam na tyle nad sobą zapanować, żeby mój płacz nie zdradził jej mojego utrapienia.*

Do tego dochodzą nieustanne problemy z pieniędzmi, których ciągle mało i mało: *Dobrze widzę, że Wc pragniesz, żebym umarła z głodu...; Piszesz Wc w liście do jmp. Szomowskiego, który dopiero co przeczytałam, że Wc przyślesz mi pieniądze, żebym miała na wszystkie potrzeby – ale list ten napisałeś Wc już dosyć dawno, więc straciłam wszelką nadzieję. Jmp. Gótecki i jmp. korągy mówią o dwudziestu tysiącach liwów, które ze sobą wzięłam; ależ źle ich poinformowano, Wc sam wiesz lepiej, że miałam ze sobą tylko sześć tysięcy liwów i że musiałam popłacić długi. Zostało mi pięćset liwów...; Królowa pożyczyła mi trzysta liwów...; Posyłam Wci wykaz sum, które wydane zostały na popłacenie wszystkich należności. Uważ Wc, czy pieniądze było dosyć.*

Sobiepan dopiero teraz mógł się przekonać, jak kosztowną instytucją okazało się dla niego małżeństwo. Dotychczas przyzwyczajony, by wszystkie środki z ogromnego majątku przeznaczać na własne zachcianki, teraz musiał je dzielić z potrzebami luksusowej żony. Kiedy jeszcze uwzględnimy fakt, iż trwała wojna pomniejszająca wpływy, to zrozumiemy, iż ordynat znalazł się w nie lada kłopotcie. Próbował co prawda zaradzić mu poprzez wcześniejsze ściąganie należnych danin, ale to tylko odsuwało problemy w czasie. W efekcie zadłużenie rosło i trzeba się było ratować sprzedażą rodowych klejnotów i zastawianiem sreber stołowych, oczywiście znacznie poniżej ich rzeczywistej wartości.

Gdyby chociaż Zamoyski sam postarał się ograniczyć odrobinę swoje wydatki, to może byłaby nadzieja na ratunek, ale tylko rachunki na utrzymanie piwnicy wynosiły rocznie w tym okresie pięćdziesiąt cztery tysiące złotych. Nieumiarkowane korzystanie zarówno z niej, jak i z innych pokus, o czym wieści z domu dochodziły do Warszawy, przysparzało Marysieńce dodatkowych zmartwień, stąd kolejne narzekania i sarkastyczne uwagi: *Nie będę Wci prosiła, żebyś Wc na siebie uważał, bo Wc nie masz się dla kogo oszczędzać i nie zrobiłbyś Wc tego dla mnie. Nie przypuszczałam, że miałam aż tyle słuszności, kiedy Wci mówiła, że mnie Wc nie kochasz. Pomyśl Wc o swoim dziecku, niechże nie będzie sierotą – niech Bóg ma je w swojej opiece – może to do Wci trafi.*

Im bliżej połogu, tym więcej skarg, wezwań do przyjazdu, który mąż obiecał, a nie spieszył się spełnić, i czarnych myśli opanowujących stopniowo jej umysł. Pierwszego lutego próbowała skłonić go do przyjazdu podstępem i groźbą: *Co się tyczy przyjazdu Wci, to nie spodziewam się go, chyba żeby się tak spodobało jmp. [ko]rągy. Rozwiązanie czeka mnie w przeciagu czterech albo pięciu tygodni [...] na pewno, że Wć nie przyjedziesz do mnie, chyba żeby on tego zechciał. Będę mogła [powiedzieć] umierając, że ten krótki czas, kiedy żyłam na świecie z Wcią, nie był szczęśliwy, ponieważ Wć nie chciałeś sprawić mi nawet tej przyjemności, żebym mogła Wć zobaczyć, choć Wć wiedziałeś, w jakim jestem stanie. Bardzo Wć wynudziłam, ale będę miała przynajmniej tę satysfakcję, że jeżeli umrę, to Wć sam jeden będziesz mógł robić sobie wyrzuty, że nie żyję i że życzyłam sobie umrzeć. Wci bardzo pokorna, kochająca żona, wiernie Wci oddana do usług*<sup>25</sup>.

Zaraz jednak w tym samym liście na dole dopisała: *Nie umiem się powstrzymać i muszę Wci napisać, że Wci kochaną buzię w imaginacyi milion razy całuję, ogromnie niecierpliwa, że nie mogę tego zrobić w rzeczy samej. Mimo to nie przestaję się bardzo na Wć gniewać. ...Do zobaczenia, drogie moje serce, kochany tiaptuta.*

Wyczekiwany tak niecierpliwie mąż nie spieszył się z przyjazdem. Ciągłe odkładał decyzję. Dłuższy pobyt w Warszawie byłby kosztowny i niewygodny ze względu na obrady sejmu, które w tamtym okresie odbywano. Najazd parlamentarzystów z ich orszakami zawsze powodował kłopoty z mieszkaniami i aprowizacją, co sygnalizowali ludzie ordynata przygotowujący jego przybycie. Ostatecznie więc pojawił się u boku małżonki dopiero w drugiej połowie kwietnia, kilka dni przed porodem.

Pierwszym dzieckiem Sobiepana i Marysieńki, powitym jeszcze przed osiemnastymi urodzinami pani Zamoyskiej, była dziewczynka, której nadano na cześć królowej imiona Ludwika Maria. Niestety, dziecko żyło zaledwie przez miesiąc i zmarło pod koniec maja 1659 roku.

Bolesna strata córki na szczęście nie załamała naszej bohaterki, która w stosunkowo krótkim czasie pozwoliła się wciągnąć w wir dworskich rozrywek i stopniowo wróciła do życia towarzyskiego. Rozumiała jednak, jak ważne dla rodu Zamoyskich jest posiadanie następcy ordynata, dlatego jeszcze w tym samym roku zaszła ponownie w ciążę. Niestety, i tym razem nie udało się osiągnąć wymarzonego celu. Ciąża zakończyła się poronieniem, prawdopodobnie w wyniku upadku z sań, jakiego Marysieńka doznała podczas przejażdżki.

Tym razem przygnieciona poczuciem winy Marysieńka znacznie ciężiej przeżyła utratę dziecka. Na wiele tygodni pograżyła się w rozpacz i cierpieniu. Nie miała obok siebie nikogo, komu mogłaby się zwierzyć, ani nikogo, kto mógłby ją pocieszyć. W obcym domu, wśród obcych ludzi, lekceważona przez służbę i znienawidzona przez szwagierkę Gryzeldę Wiśniowiecką, uważającą, że jej brat popełnił niewybaczalny mezalians, próbowała odzyskać równowagę po kolejnym ciosie.

Sytuacji nie poprawiała postawa męża i jego otoczenia. On sam zapewne też czuł się źle w położeniu, w jakim się znalazł. Mógł nie okazywać uczuć, szaleć po staremu w gronie kompanionów i kobiet lekkich obyczajów, udawać obojętność, ale brak dziedzica mimo dwukrotnej ciąży małżonki nie nastrojał optymistycznie. Pocięchy i wsparcia nie szukał jednak w związku, lecz poza nim, systematycznie oddalając się od żony.

Marysienka mimo wszystko się nie poddała. Głęboko ukryła swój ból, dumę, gniew i żal i po raz kolejny przystąpiła do walki o uczucia Sobiepana. Za każdym razem było trudniej, ale tego oczekiwała od niej królowa i tego wymagało jej własne bezpieczeństwo. On zaś, toczony chorobą weneryczną, która stopniowo odbierała mu zmysły, trzymany w szponach przez liczne nałogi, coraz rzadziej wracał do rzeczywistości. Wyraźnie unikał kontaktów z żoną, która zasypywała go listami z zapewnieniami miłości, wierności i posłuszeństwa. Starła się go pozyskać prezentami, prosiła, by dbał o siebie, i poprzez wspólnych znajomych zabiegała o jego życzliwość. Mimo iż nie było jej łatwo, by się przełamać, starała się być dla niego atrakcyjna i pociągająca. Wabiła go do siebie i uwodziła, by zechciał raz jeszcze spotkać się z nią w sypialni.

Udało się! Latem 1660 roku, jeszcze przed jej dziewiętnastymi urodzinami, ponownie była w ciąży.

Trudno się nawet domyślać, co musiała czuć, przejść i wycierpieć kobieta w jej sytuacji, by osiągnąć ten cel. Ta wesola, beztraska i do niedawna rozpieszczana przez wszystkich ulubienica królowej stanęła w obliczu niechęci, pogardy i przeciwności, których zupełnie się nie spodziewała. Musiała być naprawdę silna i zdeterminowana, aby mimo wszystko się nie poddać. Jednak podjęty wysiłek odbił się na jej zdrowiu. Prawdopodobnie również zaraziła się już od męża kiłą, bo mimo że to nie była jej pierwsza ciąża, czuła się źle i niezwykle ciężko znosiła wszelkie niedogodności.

Tym razem również skorzystała z zaproszenia swojej matki chrzestnej i dołączyła do jej dworu, by pod opieką królewskich lekarzy i w towarzystwie przyjaznych osób czekać na rozwiązanie. Ludwika Maria nie zapomniała o swojej dwórcie i zawsze chętnie widziała ją u swego boku. Sama późno wyszła za mąż, ale mimo to z ogromną determinacją walczyła o dziecko i wbrew czarnowidzom dwukrotnie urodziła. Pierwszy raz, gdy miała trzydzieści dziewięć lat, zaś drugi – po ukończeniu czterdziestu. Niestety, pierwsze dziecko – Maria Anna Teresa – zmarło po roku, drugie zaś – Jan Zygmunt – po miesiącu od narodzin.

Rozumiała więc ból i niepokój macierzyństwa, zawsze wspierała swoje podopieczne i w miarę możliwości opiekowała się nimi podczas porodu. I tym razem rozstanie z mężem źle wpłynęło na relacje Marysienki z Sobiepanem. Wzajemne oskarżenia, pretensje i ostre w tonie listy z tego okresu pokazują, jak bardzo oddalili się od siebie w stosunkowo krótkim czasie. Pozostający pod wpływem otoczenia, coraz bardziej chory i wiecznie pijany magnat, który wyru-

szył na wyprawę przeciwko Kozakom i Moskalom, zaczął nalegać, by zostawiła królewskie towarzystwo i czym prędzej wracała do domu.

Czująca się coraz gorzej Zamoyska obawiała się porzucić dobrą opiekę, jaką się aktualnie cieszyła, by pojechać do pustego i wrogiego domu. Kilka tygodni przed porodem prosiła przyjaciela towarzyszącego ordynatowi w wyprawie, by wybadał, czy faktycznie z miłości i z troski o nią pochodzą te nalegania, czy to kolejny spisek jego doradców: *...i czy życząc sobie mojego powrotu do domu, rzeczywiście kieruje się dobrym sercem i ma naprawdę zamiar zjechać się ze mną, czy też to tylko jakiś podstęp, do którego namówili go jego zauszownicy, chcąc, żebym wróciła do domu, podczas gdy jego zatrzymano by potem na Ukrainie, a to po to, żebym z rozpaczy umarła podczas porodu, nie mając go przy sobie, i będąc pozbawiona pociechy ze strony Królowej JMci, która nie pozwala mi jechać od siebie i utrzymuje, że wszystko to jest lotrowskim pomysłem jego zauszowników, pragnących, żebym umarła, albo zamierzających mi zabrać dziecko. Czuję się jak ptak na gałęzi, nie wiedząc, czego powinnam się strzec. Postanowiłam, że choćbym miała nawet rozgniewać na siebie królową, to jeżeli dostanę polecenie, żebym wracała do domu, cokolwiek miało by się stać, nawet gdyby życie moje było w niebezpieczeństwie, będę posłuszna. ... Wiadomo, jak go kocham i jestem pewna, że ani on, ani nikt inny nie śmiałyby w to wątpić*<sup>26</sup>.

Marysienka liczyła, że działając bezpośrednio na męża, oraz za pośrednictwem królowej i przyjaciół zdoła go skłonić, by pozwolił jej zostać w miejscu, gdzie miała stosowną opiekę. On jednakże coraz bardziej stanowczo nalegał. Obiecywał, że wkrótce działania wojenne zostaną zakończone i wówczas pospieszy, by spotkać się z nią, zaopiekować i, co najważniejsze, wypędzić jej wrogów ze swojego otoczenia, czego ona powinna być świadkiem.

W pierwszych dniach listopada nadeszły pomyślne wieści z pola walki. Donoszono, że polskie wojska pokonały wroga, podpisano układy pokojowe i zwycięska armia wraca do domu. W tej sytuacji, mimo słotnej, jesiennej pogody i słabości, Marysienka, posłuszna stanowczemu żądaniu męża, ruszyła w drogę do Zamościa. Oczywiście powiadomiła o tym Sobiepana, który w liście doręczonym jej 18 listopada 1660 roku po raz kolejny doprowadził ją do rozpaczy, o czym zawiadamiała w swojej relacji: *...pisze mi, że wróci do domu dopiero na Boże Narodzenie, bo chce przedtem dojrzeć swoich majątków; obiecywał mi, że jeżeli wrócę do domu, to przyjedzie do mnie w ciągu dwóch tygodni, tymczasem zaś nie będzie go przez przeszło trzy miesiące. Uwierzyłam jego obietnicom i rozgniewałam na siebie Królową JMci, że nie chcę odbywać u niej połogu. Zrobiłam to z miłości dla niego, więc jeżeli go tutaj nie będzie, kiedy będę rodziła ...to oświadczam... że jego nieobecność podczas mojego rozwiązania przekona wszystkich, że on chce mnie uśmiercić zgrzyzotą. Z pewnością przecież pamięta ten okres, kiedy byłam w Warszawie, i wie, że gdyby wtedy nie było przy mnie Królowej JMci, lekarzy i chirurgów, to na pewno byłabym umarła – a tutaj nie ma nikogo. Jeżeli jednak przyjedzie, to urodzę mu pięknego syna, który będzie się bił równie dobrze jak jego tatuś...*<sup>27</sup>

Wbrew obawom w nocy z 4 na 5 grudnia 1660 roku Zamoyska urodziła żywą dziewczynkę, której nadano imiona Katarzyna Barbara. O narodzinach córki ordynata zawiadomiła w swoim nieco zgryźliwym stylu jego siostra Gryzelda, prosząc, by pospieszał do domu jak najprędzej: *Lubo wiem, żebyś WMć Dobrodziej bardzo życzył sobie syna, ale wróżę, gdy obaczysz córkę, będziesz kontent; bo lubo pierwsza była, ta jednak, że w domu WMć Dobrodzieja urodzona jest, tym większy afekt ojcowski znać ma; który abys jej oświadczył...* <sup>28</sup>

Sobiepan wrócił do Zamościa 23 grudnia 1660 roku, zastając żonę już w nieco lepszym stanie, za to córkę słabą i chorowitą, przez co powątpiewano w możliwość jej dłuższego życia. Ochrzczona zaraz po narodzinach dziewczynka żyła jednak mimo słabych rokowań. Jej rodzice zaś rzucili się w wir karnewałowych rozrywek. Mimo trudnych i wojennych czasów Zamość wypełnił się gośćmi, wino lało się strumieniami, zaś różna z pieczyстым nie przestawały się kręcić.

Jak się wydaje, ten okres należał do nielicznych, w których stosunki między małżonkami można byłoby uznać za poprawne. Ordynat dalej szalał i pił, szastał pieniędzmi i rozdawał majątek, będąc pod wpływem upojenia, ale żona – poza delikatnymi wymówkami – starała się nie zadrażniać i tylko w cichości snuła kolejne plany oderwania go od mającego zły wpływ towarzystwa. Wiosną tego roku w jej głowie powstał projekt wspólnego wyjazdu do Francji.

Początkowo Zamoyski przyklasnął tej idei, rozpoczął przygotowywanie gruntu pod planowaną podróż, ale z czasem jego zapał do zagranicznych wojaży w towarzystwie małżonki osłabł. Pisała o tym w jednym z listów: *Co się tyczy Księcia JMci, to znasz Wć zapał, z jakim wciąż mówi o swoim zamiarze podróży do Francji, ale co się tyczy mnie, to wiem, że wszystko to mówi na wiatr; a przecież jeżeli tu zostanie, to zrujnuje się zupełnie samymi tylko darowiznami. Jak wyjechałam stąd do Warszawy, tysiąc ludzi wymogło na nim papiery... i pobrali ich na dziewięć tysięcy liwrow; a on powiada do mnie: jak długo tutaj będę, nie może być inaczej.*

Tymczasem w kraju sytuacja polityczna stawała się coraz bardziej skomplikowana. Wojny ze Szwecją, z Rosją i Kozakami zakończono, ale w kraju pozostały wojska, którym nie popłacono należnego żołdu, to zaś prowadziło do buntów, konfederacji wojskowych, przymusowych rekwizycji i starań o łatanie dziur w budżecie każdymi możliwymi środkami. Do tego królowa uznała, iż jest to najlepszy moment do przeforsowania od dawna przygotowywanego projektu przeprowadzenia wyboru nowego władcy za życia Jana Kazimierza (elekcja *vivente rege*). To wszystko sprawiało, iż dwór nie popierał wyjazdów zagranicznych żadnego ze swoich popleczników, potrzebując ich poparcia na miejscu.

Okoliczności te opóźniły o rok planowany wyjazd, a i sam Zamoyski wydawał się mieć coraz mniej serca do podróżowania do dalekich krajów w towarzystwie żony. Miała ona nieodparte wrażenie, iż był to kolejny wyraz wpływu otoczenia ordynata na decyzje podejmowane przez niego w tamtym okresie. Marysieńka

nie zamierzała jednak rezygnować z planów i energicznie organizowała przygotowania do podróży, którą – w nadziei na udział w niej męża – odkładała coraz bardziej. Sobiepan może jej w tym nie wspierał, co nie budzi zdziwienia, jeśli się zna jego dotychczasowe postępowanie, ale też nie ma śladów, by utrudniał czy odradzał wyjazd. Przeciwnie, w korespondencji z tego okresu znajdujemy zapewnienia, że do Francji przyjedzie i dołączy do małżonki, tyle że z kilkutygodniowym opóźnieniem.

O zamiarze wyjazdu ordynata zostali też poinformowani rodzina i przyjaciele, o czym wiemy z listu jego siostrzeńca, przyszłego króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, piszącego doń w te słowa: *Proszę Wci, drogi Wuju, racz Wć powiadomić mnie o dacie Wci wyjazdu do Francji, ażebym mógł mieć zaszczyt pożegnać Wć przed Wci podróżą*<sup>29</sup>.

Ostateczna decyzja o wyjeździe zapadła w pierwszych dniach nowego, 1662 roku. Zamoyscy mieli się udać do Warszawy, by tam podczas obradującego (od 20 lutego do 1 maja 1662) sejmku wspierać dwór w jego politycznych planach, a potem wyruszyć do Francji. Sobiepan wysłał żonę przodem (wyjechała z Zamościa 26 lutego), zatrzymany w dobrach przez obowiązki, obiecując wkrótce podążyć za nią, ale swoim zwyczajem zwlekał i odkładał, aż ostatecznie do stolicy nie przybył.

Sejm zakończył się porażką dworu i jednoznacznym odrzuceniem forsowanych planów dynastycznych. Szlachta nie chciała nawet słyszeć o wyborze króla za życia obecnie panującego. Królowa jednakże nie potraktowała zdecydowanej postawy sejmku wystarczająco poważnie. Uznała, że jednorazowe potknięcie nie zatrzyma jej na drodze do realizacji wielkiej wizji wzmocnienia tronu w Polsce. Potrzebowała jednak do pomocy wpływów zarówno Zamoyskiego, jak i innych popularnych panów, w tym Jana Sobieskiego.

Marysienka jednakże nie była chwilowo potrzebna w kraju, więc uzyskała zgodę na wyjazd. W połowie kwietnia wyruszyła w drogę, by przez Amsterdam dotrzeć w połowie maja do Paryża.

W literaturze przedstawiono ten wyjazd jako ucieczkę wyrodnej żony i matki od chorego dziecka i potrzebującego jej męża, dając ten przypadek na przykład i przestrożę lekkomyślnym mężczyznom, by sobie z obcych stron małżonek nie brali: *Tego czasu jmp. Zamoyska, wojewodzina sandomierska, bez woli i wiadomości męża, wzięwszy zły umysł i radę, zabrawszy dostatki i skarb, złoto, srebro, klejnoty, pieniądze, o których powiadano być miało 70 000, podmówiwszy sługę starszego i innych pacholąt do kilkunastu, ujeżdża do cudzej ziemi, do ojczyzny swej ku Francji pod niebytność samego p. wojewody, który na sejmie bawił się w Warszawie. Lepiej było w domu się ożenić ze szlachcianką jaką polską, zdrowiej by było i pożyteczniej, i każdemu takowemu dobrze taką żonkę pojmovać rozpustnemu!*<sup>30</sup>

Tymczasem w chwili wyjazdu nie było niczego sensacyjnego w tej peregrinacji młodej wojewodziny do wód dla polepszenia zdrowia oraz w odwiedzinach

do dawno niewidzianej rodziny.

No, prawie niczego!

Opinii publicznej mogły się nie spodobać dyspozycje odnoszące się do prywatnego majątku, który Marysieńka zostawiła w kraju. Otóż zarząd swoich posiadłości oraz nadzór nad pozostałymi interesami finansowymi powierzyła nie mężowi, jak to bywało w zwyczaju, ani nie zaufanemu słudze, lecz swoim przyjaciółom Janowi Sobieskiemu i Janowi Sapieże.

Jednak czy, znając talent męża do trwonienia pieniędzy, jakakolwiek kobieta mogła spokojnie powierzyć mu opiekę nad swoimi majątkami?

Odpowiedź jest jednoznaczna i nikt ani wówczas, ani później nie miał wątpliwości, że Zamoyska postąpiła roztropnie, bo ani sam ordynat nie byłby w stanie dopilnować ich z należytą starannością, ani żaden sługa nie powstrzymałby Sobiepana przed sięganiem do szkatuły żony, co już się zdarzało wcześniej wielokrotnie. Jedynie zaprzysięgli wrogowie Marii Kazimiery mogli jej z tego tytułu czynić wyrzuty, ale takich nie brakowało i plotki krążyły po kraju.



## Celadon i Astrea

Warto w tym miejscu pozostawić na chwilę podróżującą do Francji bohaterkę naszej historii i cofnąć się nieco do innego wątku, tak by pewne wybory, decyzje i kroki stały się dla czytelników bardziej zrozumiałe. Otóż dla nikogo nie jest tajemnicą, że związek Zamoyskich, mówiąc bardzo delikatnie, nie należał do udanych. Mimo podejmowanych wysiłków, raczej jednostronnych, Sobiepan nie zapalał miłością do żony. Po bardzo krótkim okresie zauroczenia jej urodą, świeżością oraz pewną egzotyką rodem z Francji znudziły go obowiązki rodzinne i powrócił do starych kawalerskich przyzwyczajzeń.

Marysieńce zaś po równie krótkim okresie zachłyśnięcia się potęgą i bogactwem jej adoratora pozostał niesmak i rozczarowanie, gdy przyszło jej żyć z wiecznie pijanym, rozpustnym i gruboskórnym syfilytykiem. Próbowwała co prawda rozbudzić w nim uczucia, utrzymać go u swego boku i żyć z nim jak żona z mężem, ale najwyraźniej nie było to możliwe. Sobiepan był na dodatek niestały w postanowieniach, niesłowny (przynajmniej w stosunku do żony) i zupełnie obojętny na jej krzywdę. A tej, w swoim mniemaniu, Marysieńka doznawała na każdym kroku i wręcz nieustająco.

Autorowi nie chodzi o to, by wybielać obiekt swych badań, ale – jak wspomniano – słów krytycznych pod jej adresem powiedziano aż nazbyt wiele, często przykładając późniejsze czyny do wcześniejszych kroków, by ukazać zło i perfidię Marysieńki. Obiektywnie rzecz biorąc, nie miała lekko w pałacu swego męża, szczególnie gdy była skazana na towarzystwo swojej szwagierki Gryzeldy, pogardzającej nią i wręcz poszukującej okazji, by przysporzyć jej przykrości. Warto odnotować, iż z czasem jej działania spotkały się z równie okrutną wzajemnością.

Po tym koniecznym wstępie przejdę do opisanego okoliczności powstania jednego z najsłynniejszych w dziejach naszego kraju trójkątów miłosnych, czyli narodzin związku Marysieńki z Janem Sobieskim. Otóż, jak on sam później twierdził, poznał i pokochał swoją wybranekę, jeszcze gdy była czternastoletnim podlotkiem, i to do tego stopnia, iż miał sobie wówczas postanowić, że tylko ta i żadna inna nie zostanie nigdy jego żoną.

Jednakże ta miłość nie powstrzymywała późniejszego króla od licznych przygód miłosnych, które przysporzyły mu reputacji kobieciarza, bawidamka i pozeracza niewieścich serc. Zresztą jeden z takich romantycznych incydentów uratował mu prawdopodobnie życie. Otóż kiedy wiosną 1652 roku dwudziestotrzyletni Jan zakochał się na zabój w pięknej córce ochmistrza swojej rodziny, o której względy konkurował litewski magnat Michał Pac, wyzwał konkurenta na

pojedynek i odniósł rany na tyle poważne, że nie uczestniczył w wyprawie przeciwko Kozakom. Jego starszy brat Marek wyruszył więc bez niego i został wraz z innymi jeńcami zamordowany po bitwie pod Batohem na rozkaz Chmielnickiego.

Ta historia bynajmniej nie zniechęciła go do kobiet i po niej kronikarze odnotowali cały ciąg podobnych jej romantycznych awantur. Przy czym cieszący się ogromnym powodzeniem pań wojak ani myślał swój los związać tylko z jedną z nich, o czym szczerze pisał po latach w jednym z listów do Marysieńki, kiedy ta mu wyrzucała niestałość w uczuciach oraz to, że tak desperacko zabiegał o ożenek z nią, a kiedy już do niego doszło, nie dość gorliwie adorował żonę: *Najpierw, moja panno, ja z natury mojej byłem tak łącznym do ożenienia, jako łączno złączyć wodę z ogniem. Jedną się kontentować miłością nie tydzień, ale dzień jeden było niepodobna* <sup>31</sup>.

Z Marysieńką spotykali się podczas różnych dworskich i rodzinnych uroczystości, szczególnie po jej ślubie z Sobiepanem. Prawdopodobnie Sobieski nawet tańczył na ich weselu. Nic w tym dziwnego – należeli przecież z Zamoyskimi do tego samego kręgu towarzyskiego i byli ze sobą spokrewnieni. Ojciec Jana, Jakub Sobieski, został wyznaczony na opiekuna małoletniego ordynata na Zamościu i oni sami znali się osobiście <sup>32</sup>.

Natomiast co do bliższej znajomości tych dwojga i jej natury w początkowym okresie kontaktów, to należy ją datować na miesiące jesienne 1659 roku, w czasie których nawiązali niezobowiązującą więź korespondencyjną. Musimy pamiętać, iż życie w Zamościu, szczególnie po doświadczeniach z królewskiego dworu, było dość nudne i monotonne. Zwłaszcza że bardzo często mąż pozostawiał Marię Kazimierę samą w zamku na długie tygodnie i miesiące, skazaną na zgryźliwe towarzystwo swojej siostry Gryzeldy i niechętnego jej otoczenia.

Pewną rozrywkę stanowiły wizyty sąsiedzkie, uroczyste bale, wesela, chrzciny oraz gry i zabawy, którym się wówczas oddawano, ale na dłuższą metę takie atrakcje okazały się niewystarczające dla młodej dziewczyny. Nieco ciekawsze stały się występy teatru działającego na wysokim poziomie w ówczesnym Zamościu, ale i to nie zapewniało wystarczającej podniety. Kiedy więc pewnego razu z sąsiedzką wizytą zjawił się przystojny sąsiad Jan Sobieski mający swój majątek Pielaszkowice dosłownie o kilka mil od posiadłości ordynata, to między nim a piękną gospodynią została nawiązana nić sympatii.

Początkowo znajomość ta ograniczała się do kurtuazyjnych listów pisanych w żartobliwym tonie przez obie strony <sup>33</sup>. O ile jednak Marysieńce ta forma znajomości w zupełności wystarczała, o tyle Sobieski, przyzwyczajony do szybkich i łatwych zwycięstw, nie tylko na polu bitwy, wkrótce przeszedł do ofensywy, domagając się jednoznacznych deklaracji. Zamoyska, nie zamierzając stać się jedną z wielu łatwych zdobyczy sąsiada, obruszyła się na taką obcesowość: *Mam do Wci żal, że w ostatnim liście żądałeś Wć czegoś, czego nie mogę Wci użyzyć bez*

obrazy. Jeżelibyś się Wć sam nad tym uczciwie zastanowił, to musiałbyś przyznać, że Wć postępujesz niesłusznie. Błagam więc, żebyś Wć nie stawiał żądań, których nie mogę wysłuchać, a którym przykro mi jest odmawiać... Żegnaj mi Wć, żyjemy zadowoleni w cnocie <sup>34</sup>.

W tamtym okresie myśl o zdradzeniu męża, do którego pisała pełne miłości listy o wierności, posłuszeństwie i oddaniu, nie przychodziła jej do głowy. Niewinne flirty – owszem, korespondencja z przystojnym sąsiadem – czemu nie, ale romans – zdecydowanie nie. Już podczas pierwszego spotkania Sobieski, jak wynika z późniejszych pism, obiecał pięknej pani na Zamościu, iż będzie jej przesyłał ploteczki z wielkiego świata. Do niej, uwięzionej przez męża w zamku, wieści z królewskiego dworu oraz nowinki z magnackich pałaców docierały ze znacznym opóźnieniem albo wcale, na co poskarżyła się sąsiadowi, więc na złożoną deklarację chętnie przystała na jego ofiarę w postaci częstych relacji pisemnych z miejsc, gdzie on aktualnie przebywał.

Sobieski nie zamierzał zawracać sobie głowy zaspokajaniem ciekawości sąsiadki. Jak już wiele razy w przeszłości, powiedział kobiecie to, co chciała usłyszeć, do tego dorzucił standardowy zestaw obietnic i komplementów, kilka razy westchnął, zachwycił się urodą, pobrylował dowcipem i męskim urokiem, uznając, że zasłużył na nagrodę w postaci wejściówki do jej sypialni.

A tu dostał zdecydowaną odprawę.

Wygląda na to, że po tym kubie zimnej wody zamierzał sobie odpuścić dalsze starania. Później co prawda dorobił do początków ich znajomości obszerną legendę i snuł opowieść, jak to zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i nie mógł zapomnieć jej oczu, jednak prawda była o wiele bardziej banalna, by nie rzec brutalna. Przyzwyczajony do raczej łatwych podbojów, miał swoją sprawdzoną taktykę godną wielkiego wodza, a sprowadzającą się w skrócie do: krótkiego przygotowania, zdecydowanego ataku, zdobycia celu i natychmiastowego odwrotu. Kiedy się nie sprawdzała, szybko zapominał i szukał innego obiektu.

Jednak Marysienka nie była taka jak inne!

Onie pozwoliła mu o sobie zapomnieć. Większość kobiet w takiej sytuacji, kiedy męczyzna jednoznacznie sygnalizował swoje oczekiwania, albo godziła się na jego propozycję, albo uciekała i zrywała kontakty. Ona jednak odmówiła wdzięków, twarzą żądając jednocześnie, by spełnił swoją obietnicę: *Nie mogę się powstrzymać, żeby Wci nie napisać, jak bardzo jestem zdziwiona, że Wć nie dbasz o to, żebym miała wiadomości o mojej dobrej Pani; jeżeli Wć z innymi też tak samo postępujesz, to nic dziwnego, że gniewnie Wci odpisują. Ja się nie oburzam, bo wiem, że Wć nie masz powodu, żeby pilniej dzielić się nowinami ze mną niż z kimkolwiek innym. Odwołuję się tylko do względów, jakie kawalerowie mają na ogół dla osób mojej płci, a ponieważ wiem, że Wć znany jesteś ze szczególnej dla dam uprzejmości, jako jedna z tych dam ośmielam się żywić nadzieją, że Wć zechcesz okazać mi łaskę i raczysz przysłać mi świeże wiadomości o Królestwu IchMć.*

Wspomniana szczególna uprzejmość Sobieskiego do dam mijała mu natychmiast, gdy tylko odwiedził sypialnię obiektu swoich knozań. Czy Zamoyska o tym wiedziała? Zapewne tak, jednak mimo to, a może właśnie dlatego domagała się uparcie spełnienia obietnic.

Sobieski był wyraźnie wściekły. Pewnie jeszcze nigdy nie zetknął się z takim przypadkiem, by po danym koszu kobieta jak gdyby nigdy nic korespondowała z nim i jeszcze żądała, by wysyłał jej jakieś nudne sprawozdania z życia dworu. W odpowiedzi grubiańsko stwierdził, że nie widzi powodu, dla którego kobietom miałyby się należeć jakieś szczególniejsze względy, oraz zaproponował, iż poprosi ochmistrzynię dwórek królewskich, by pisała dla niej sprawozdania z życia dworu, gdyż on nie ma na to czasu.

Najwyraźniej liczył, że tym razem Zamoyska się obrazi i przestanie go nękać. Ona jednak cierpliwie dalej zapewniała o swojej życzliwości, skarżyła się na swój los i domagała się relacji z życia dworu zgodnie ze złożoną jej obietnicą. On zaś raczej nie odpisywał, a jeśli już, to zdawkowo i z rzadka, skupiając się na drażniących ją przechwałkach, a stan ten trwał co najmniej kilka miesięcy. W kwietniu 1660 roku, wyraźnie wściekła, pisała: *Uważam, że Wć jesteś doprawdy śmieszny, jeżeli Wć myślisz, że powinno się do Wci pisywać, podczas gdy Wć oddajesz się rozrywkom. Mylisz się Wć, jeżeli Wć sądzisz, że ktoś musi być Wci gazetą, znudziło mnie to i zawiadamiam Wć, że postanowiłam przestać odtąd do Wci pisywać. Jeszcze tylko jedno Wci powiem, że u mnie nie jest carczema, gdzie się wpada tylko na godzinę* <sup>35</sup>.

Pomimo zapewnień o zerwaniu korespondencji z jej strony musiała do niego napisać co najmniej raz jeszcze, skoro w lipcu 1660 roku wypominała mu: *Dziwię się, że tak długo nie dostaję od Wci odpowiedzi; nie myślę się, kiedy powiadam, że co z oczu, to z myśli, ale nie gniewam się o to, że inna zajęła moje miejsce, byleby go była warta.* Dalej zaś skarżyła się na męża (który w jej obecności, pijany, omal nie zabił człowieka i tylko jej interwencja powstrzymała rozlew krwi) i prosiła o radę w sprawie projektu kontraktu z pewnym kupcem.

W końcu podrażniony sytuacją zdobywca, być może będąc pod wpływem alkoholu i za namową przyjaciół, zajechał niespodziewanie do Zamościa i wtargnął do komnat ordynatowej (prawdopodobnie 22 lipca 1660 roku). Raczej nie przemyślał tej sytuacji, bo nachodząc w domu żonę swojego kuzyna i znajomego (być może nawet przyjaciela), urządził jej brutalną i prostacką wręcz awanturę. W obraźliwych słowach powiedział, gdzie ma jej życzliwość, która zupełnie nic dla niego nie znaczy, oznajmiając, iż spodziewał się okazania jej w zupełnie inny sposób.

Gospodyni nie zawstydziła się, nie złękła i nie uciekła przed brutalną napaścią, lecz odważnie stawiała czoła grubianinowi. Potrafiła w ostrych słowach przywołać go do porządku, zażądać szacunku należnego jej jako kobiecie, szczególnie kobiecie zamężnej, znajdującej się u siebie w domu pod opieką męża. On

odparował, iż nie widzi powodu, by okazywać jej szacunek, i wybiegł, ponagląc swego towarzysza Jana Sapiechę, prawdopodobnie świadka całego zajścia, do natychmiastowego odjazdu.

I znów inna kobieta na jej miejscu obraziłaby się śmiertelnie. Życzyłaby sobie, by nigdy więcej nie mieć do czynienia z takim gburem i prostakiem. Ona jednak podeszła do tego na zimno, poczekała jakiś czas, pozwoliła sobie i jemu ochłonać z emocji, by już wkrótce zasygnalizować gotowość do ponownego nawiązania kontaktów. Napisała w tym celu list do Sapiechy, by za jego pośrednictwem skłonić narwanego adoratora do napisania do niej listu z przeprosinami.

Dlaczego to zrobiła? Czy to miłość do awanturnika skłoniła ją do takiej wyrozumiałości? Czy nuda na prowincji? A może rozkaz królowej, której zależało na kontroli rosnącego w siłę magnata, okazującego coraz większą skuteczność i przydatność na polu walki? Tego nie wiemy, być może każdy z tych czynników po trosze.

Sobieski po pewnym czasie, zapewne za namową przyjaciół, przeprosił Marię Kazimierę za swoje zachowanie, a potem podarował jej na zgodę Karła Muszkę, który miał ją rozbawiać w trudnych chwilach i być żywym dowodem jego przywiązania do niej.

W nawiązanej ponownie korespondencji początkowo jeszcze wiele było uraz i wzajemnych pretensji, ale coraz wyraźniej widać wolę poprawnego ułożenia wzajemnych relacji. Z czasem można dostrzec sygnalizowane już wcześniej przedziwne pomieszanie ról. Oto starszy od Marii Kazimiery o dwanaście lat kawaler otrzymuje rolę przybranego syna, który pisze do niej jak do starszej przyjaciółki czy wyrozumiałej matki. Ona wprost nazywa go swoim synkiem i traktuje jak dziecko: *...i wierz mi Wć, że będę dla Wci dobrą mamusią, jeżeli Wć będziesz dla mnie dobrym dzieckiem...; ...to oświadczam Wci, jako swemu synowi...; Czuję, że się ośmieszam w oczach Wci, mieszając się do spraw, które mnie nie obchodzą, jednakże nosząc miano mateczki Wci, nie mogę się wstrzymać, żeby nie powiedzieć, co o tym myślę* <sup>36</sup>.

Ten charakterystyczny rys w korespondencji Marysieńki, widoczny w listach zarówno do Sobiepana, jak i Sobieskiego, niewątpliwie wymaga zbadania przez fachowców z innej dziedziny, ale warto zwrócić nań uwagę i zauważyć trudne relacje ich obu ze swoimi matkami. Obaj mieli z tego powodu specyficzne podejście do kobiet. Traktowali je przedmiotowo. Wykorzystywali i porzucali, zanim one zdążyły ich zranić, jakby mszcząc się za oziębłość matek. Ona, wyczuwając ich niedojrzałość emocjonalną oraz przemożną potrzebę akceptacji i opieki ze strony matki, mimo młodego wieku wchodziła w rolę opiekunki tych podstarzałych rozpustników.

W korespondencji z Sobieskim, nie mogąc zaoferować mu nic więcej, Zamoyska uczyniła się w pewnej chwili kandydatką na jego teściową. Obiecała

mu w listopadzie 1660 roku, będąc w zaawansowanej już ciąży, że jeśli urodzi córkę, to przyzna mu do niej szczególne prawa. Potem w kolejnych listach relacjonowała rozwój dziecka, przemawiała do niego w imieniu córki i planowała ich wspólną przyszłość.

Jednocześnie doradzała mu w sprawach kolejnych podbojów sercowych, niekiedy złośliwie udając, iż zupełnie jej nie obchodzi, którą sypialnię aktualnie szturmuje: *Co się tyczy Wci kuzynki, to bardzo okrutna jest, że Wci nie chce widzieć, ale Wć potrafisz tak dobrze udawać umierającego, że w końcu da się wzruszyć i Wć znajdziesz sposób ułagodzenia jej.*

Czytając listy z tego okresu, widzimy, jak stopniowo znikają wzajemne pretensje, gwałtowne wymówki i konflikty. Ich miejsce zajmują zrozumienie, przyjaźń i współpraca na polu politycznym, na którym oboje wspierali politykę dworu. Intensywna korespondencja tej dwójki wzbudziła zainteresowanie wielu osób, zarówno z otoczenia ordynata, jak i przeciwników politycznych królowej. Stąd wiele w tym czasie napomnień ze strony Marii Kazimiery, by Sobieski lepiej pieczętował swoje listy, bo docierały do niej w takim stanie, iż każdy mógł zapoznać się z ich treścią. Następnie pojawiły się wezwania do palenia jej korespondencji z ostrzeżeniami o szpiegach w jego otoczeniu: *Nie ośmielając się wystawiać na los szczęścia sprawy tego rodzaju, Królowa JMć prosi Wci z góry, ażebyś Wć list mój po przeczytaniu natychmiast spalił. ...Spal Wć mój list. ...Spal Wć mój list zaraz po przeczytaniu, żeby nikt go nie widział, nikomu nie można ufać*<sup>37</sup>.

Wiedząc o przechwytywaniu ich korespondencji oraz o jej wykorzystywaniu między innymi do nastawiania przeciwko niej męża, pisała: *Nie powinieneś się Wć dziwić, że na wszelkie sposoby starają się przejmować moje listy – ci ludzie na pewno nie chcą mojego dobra, jeżeli zaczęli tak postępować. Ale nie zadowolą zbytnio swojej ciekawości, nawet jeżeli przeczytają wszystkie moje listy: w żadnym nie ma nic, o czym bym nie chciała, żeby się dowiedzieli. Jednakże to naprawdę niegodziwe...*

Konsekwentne szpiegowanie dwójki konspiratorów doprowadziło do odkrycia, iż wymieniali się oni drobnymi prezentami, co Gryzelda chciała potraktować jako dowód zdrady jej brata przez bratową. W korespondencji pojawił się motyw pierścionka, który należał do Wiśniowieckiej, a trafił w ręce Marysienki, która z kolei podarowała go Sobieskiemu. Ten traktował go jak talizman i nosił na sercu. Kiedy sprawa się wydała, Maria Kazimiera zażądała natychmiastowego zwrotu zarówno tej, jak i innych pamiątek. Wiedząc, iż jej listy są czytane, tłumaczyła całą sprawę w zupełnie innym duchu, jakby to nie był prezent, a tylko wzór na miarę, wysłany, by złotnik mógł wykonać zamówienie.

Kiedy jej prośba nie została niezwłocznie spełniona, pisała zagniewana, nie bacząc na groźbę dekonspiracji: *Pierścionek, o który mnie prosi Księżna JMć, ponieważ do niej należy, zwróć mi Wć, proszę; to nie jest przecież żadna relikwia, żebyś ją Wć nosił w szkaplerzu. Zwróć mi Wć, proszę to wszystko, bo Wć jeszcze długo zabawisz*

w Warszawie, a mnie to potrzebne. Nie mów mi Wć, że nie masz czasu... przecież zapowiedziałeś mi Wć, że Wć wysłesz umyślnego <sup>38</sup>.

Z czasem w ich korespondencji, z zachowaniem matczynej terminologii, pojawia się pewien rodzaj szyfru, przy użyciu którego piszą o sobie i swoich dokonaniach czy myślach jako o tym, co czyniły inne, niewymienione tu, ale obojgu znane osoby: *Jestem rada, że Wć okazałeś się posłuszny swojej mateczce...; Radzę Ci, jak matka, spalić to, co mogłoby wyrządzić krzywdę osobie, która do Wci pisała, gdyby przypadkiem wpadło w ręce innej osoby. Wć jesteś człowiekiem rozsądnym, zatem zaklinam Wć, żyjmy w dobrej harmonii, jak prawdziwa matka z synem, a Wć będziesz szczęśliwy, czego Wci gorąco życzę. Gdybym wiedziała, że mogę się czymkolwiek przyczynić do Wci szczęścia, uczyniłabym to z całego serca, wierz mi Wć, przecież jestem Wci mateczką.*

Dalej zaś strofuje go żartobliwie: *W końcu, jeżeli już przyjąłam Wć za syna, to zaopiekuję się Wcią, ale pod warunkiem, że Wć nie będziesz tego zbytnio wykorzystywał i że nie przyniesie mi wstydu wychowywanie takiego dziecka. Prawdę mówiąc, obawiam się, że Wć jesteś zanadto rozpustny, i ludzie będą mnie ganili, że nie dosyć biłam Wci różgą, kiedy Wć byłeś mały. Zresztą jeżeli mnie Wć kochasz, to powinieneś Wć myśleć o tym, żeby dać pociechę mojej starości, żeniąc się; ale ja już tracę nadzieję i boję się, że Wć przez całe życie będziesz nic dobrego.*

Potem przechodzi do sedna: *A teraz mówmy poważnie. Napisałeś Wć komuś w liście, że Wć jesteś z pewnego powodu melancholiczny. Czas już, żebyś Wć przestał drwić sobie ze mnie; przyznaję, że w przeszłości postępowałam niewłaściwie. Miej Wć do mnie zaufanie i nie rozpaczaj Wć; jeżeli to ten powód, którego się domyślam, to wszystko będzie dobrze, bylebyś tylko Wć przyrzekł, że będziesz Wć kochał tę osobę czy stą, niewinną miłością. ... Zatem polecam się Wci synowskiemu przywiązaniu i upewniam, że jestem Wci bardzo oddaną matką.*

Stosowany szyfr ulegał ciągłym modyfikacjom, a kiedy oboje odkryli i zakochali się w powieści Honoriusza d'Urfé o szalonych przygodach dwójki zakochanych w sobie pasterzy, przyjęli w swojej korespondencji imiona głównych bohaterów tejże historii: Sobieski został Celadonem, a Marysienka Astreą, choć używali wobec siebie również innych określeń, dla niego Proch i Jesień, dla niej Róża, Esencja, Bukiet czy Jutrzenka. Idąc za ciosem, nadali również pseudonimy pozostałym osobom, o których pisali. I tak Sobiepan został Fujarą, Koniem, a czasem też Makrelą, jego siostra zaś Basetlą lub Brytfanną. Swoje uczucie nazwali pomarańczami, które w listach przesyłali sobie coraz częściej.

Jesienią 1661 roku para naszych bohaterów spotkała się w Warszawie i to wówczas doszło do schadzki i złożenia tak zwanych ślubów karmelickich, podczas których Sobieski w kościele karmelitów i w obecności kapłana złożył swej wybrance uroczyste przyrzeczenie, iż ze względu na miłość, jaką ją darzy, będzie od tej pory żył samotnie i w czystości. Ona ze względu na swój stan małżeński nie mogła mu ślubować tego samego, ale już od jakiegoś czasu starała się

uniknąć współżycia z mężem<sup>39</sup>, a nawet przebywania w jego towarzystwie, o czym donosiła w jednym z listów: *Będę z nimi siadała do stołu i widywała się tylko wtedy, kiedy nie można będzie inaczej. Fujara bardzo się na mnie z tego powodu gniewa, ale choćby miał się gniewać jeszcze bardziej, to i tak będę się ich starała widywać jak najrzadziej. ... Fujara oznajmił mi, że Brytfanna chce ze mną mówić; odpowiedziałam mu na to, że ja nie chcę*<sup>40</sup>.

Zmiana zachowania bratowej, która dotychczas zabiegała o towarzystwo Sobiepana, wabiła go do siebie i przyciągała na wszelkie możliwe sposoby, zaniepokoiła Gryzeldę. Była niewątpliwie bystrzejsza i bardziej spostrzegawcza od swego brata, który rzadko zachowywał trzeźwość, koncentrując swą uwagę głównie na zabawie. Dlatego to ona wzięła na siebie ciężar śledzenia ordynatowej i udowodnienia jej niemoralnego prowadzenia się. Jak się wydaje, stosunkowo szybko odkryła fakt złożenia ślubów karmelickich, jednak odkryć a udowodnić to nie to samo, więc opanowała ją obsesja zdemaskowania francuskiej rozpustnicy.

Niespełna dwa miesiące po spotkaniu w kościele karmelitów zmarła matka Sobieskiego Teofila (27 listopada 1661 roku), jedyna, jak się wydaje, osoba, której się bał przez całe swoje dotychczasowe życie. To mu dało większą swobodę, zarówno w kwestii rozporządzania sobą, jak i swoim majątkiem. Musiał odechnąć z ulgą i swą radość zasygnalizować swojej Jutrzence, skoro ośmieliła się pisać do niego tak otwarcie i lekceważąco wkrótce po tym fakcie: *Pospiesz się Wć i jedź Wć do domu, żeby się załatwić prędko z tym pogrzebem; boję się, żeby to nam nie popsulo okazji widzenia się. W kolejnym liście zaś: Ten pogrzeb trzeba zakończyć jak najprędzej. Byłabym w największej rozpaczy, gdyby nie udało się skutkiem tego wszystkiego znaleźć czasu na spotkanie...*<sup>41</sup>

✱

W takiej to sytuacji znalazła się Marysieńka w przeddzień wyjazdu do Francji.

Jej związek z Celadonem rozwijał się skrycie i już na tym etapie trudno podejrzewać, by był czysto platoniczny. Śledząca ją bratowa sączyła ordynatowi do ucha sensacje na temat rogów, jakie żona mu przyprawia z przystojnym imiennikiem. Sobiepan, ciągnięty w różne strony, nie mógł się zdecydować, komu zaufać, i popadał w obłęd, który w pewnym momencie chciała wykorzystać Maria Kazimiera i nawet się odgrażała, że przeprowadzi proces uznania go za niepoczytalnego, by w ten sposób uratować jego i jego majątek przed całkowitą ruiną.

Wyjazd Zamoyskiej do wód we Francji mógł wiele zmienić w jej związku z mężem, gdyby ten zdecydował się jej towarzyszyć, ale niestety na planach się skończyło. Ona dotarła do Paryża w połowie maja 1662 roku. Obiecowała sobie



wiele po tej wizycie, jednak nie osiągnęła nic. Francuski dwór królewski, mimo mocnych rekomendacji, zignorował jej przybycie. Na arystokratycznych salonach nie zrobiła furory. Generalnie można stwierdzić, iż jej pobyt przeszedł nad Sekwaną bez echa. Oczywiście odwiedziła rodzinę, odbyła kurację u wód, odpoczęła od męża, krajowej polityki i domowych obowiązków, ale nic poza tym.

Nie doczekała się przyjazdu samego Zamoyskiego. Próbowwała wówczas ściągnąć do siebie Sobieskiego, ale i ten plan pozostał niezrealizowany. Pieniądze się kończyły, a z kraju nie napływały nowe. Ordynat, wydający stale więcej, niż wpływało do jego kufra, nie był w stanie, ale i nie chciał jej wesprzeć. Jeszcze przed jej wyjazdem to ona pożyczala pieniądze jemu, by miał na podróż do Warszawy<sup>42</sup>. Teraz zaś, pomimo wyznaczenia przez Marię opiekunów dla swych majątków, ściągał dochody z jej dóbr i obracał na swoje potrzeby, na co w imieniu Marii Kazimieri skarżył się do królowej Sobieski, prosząc o interwencję.

Niestety, podczas jej nieobecności jedyna żyjąca córeczka Zamoyskich, dwuletnia Katarzyna Barbara, zachorowała i zmarła w połowie grudnia 1662 roku, prawdopodobnie z powodu zarazy szerzącej się wówczas w kraju. Zanim wieść o śmierci dziecka dotarła do matki, zorganizowano pogrzeb i pochowano je podczas skromnej uroczystości. Marysieńka wróciła do Polski jesienią 1663 roku, po półtorarocznym pobycie poza granicami kraju.

Jej powrót, podobnie jak wyjazd, wywołał szereg plotek i nieprawdziwych oskarżeń. Niektórzy po latach twierdzili, że przebywała za granicą przez trzy lata i wróciła z niesłubnym dzieckiem, którego mąż żadną miarą nie chciał uznać za swoje. Miała więc kolejne lata spędzić w separacji z ordynatem, mieszkając na królewskim dworze<sup>43</sup>.

W rzeczywistości nic takiego nie miało miejsca. Gdy wróciła do Zamościa, ordynat był bardzo chory, przez co nie wziął udziału w moskiewskiej wyprawie wojennej, w której uczestniczył Sobieski. Nie na tyle jednak, by zrezygnować z pijaństwa oraz rozpusty. W swoich listach do Waćławowicza domagał się w tych dniach przysłania do Zamościa dobrego wina, oczywiście ze względów zdrowotnych, czyli do zapijania lekarstw: *Proszę postaraj się WMć dla mnie o jakie puzdro wina, bo widzi Bóg, że mi o zdrowie idzie, że po lekarstwie muszę tak kiepskie wino pić błażeńskie*<sup>44</sup>.

Najwyraźniej dzięki tej sprawdzonej kuracji od razu przypomniał sobie drogę do sypialni małżonki i nie minęło wiele dni, gdy Maria Kazimiera znowu była w ciąży.

Niestety, ani dojrzałość małżonków, ani postępująca choroba ordynata nie przyczyniły się do zgodniejszego pożycia. On dalej trwonił majątek w takim tempie, że zaniepokojona królowa sugerowała, by Zamoyska doprowadziła do separacji własnych interesów od mężowskich, aby uratować chociaż tę część majątkowości, która do niej należała. Wiemy, że pewne kroki w tym kierunku zostały poczynione. Po kraju krążyły plotki, iż wkrótce może zostać z jej strony

złożony pozew o unieważnienie małżeństwa. Jednak Marysieńka zaskoczyła wszystkich, stanowczo dementując te pogłoski.

W listach do Sobieskiego, ku jego najwyższemu zdumieniu, ponownie pojawiły się zapewnienia o miłości do męża i dozgonnym trwaniu u jego boku. Nie wiemy, na ile szczere były te wyznania. Czy faktycznie Marysieńka liczyła na renesans pożycia małżeńskiego, czy tylko pisała tak, wiedząc, iż jej listy są czytane przez szwagierkę? A może chodziło o wzbudzenie zazdrości w Celadonie, który potężnie zawiódł swoją Astreeę, odmawiając przyjazdu do Francji, a teraz trzymając się z dala od niej przez wiele miesięcy?

Jest też taka teoria, która głosi, iż spodziewano się rychłego zgonu ordynata, więc rozsądniej z jej strony byłoby, aby – zamiast się rozstawać – powalczyła o testament, w którym cały majątek przypadłby właśnie jej.

Faktem jednak jest, że przez pewien czas Zamoyska okazywała znaczną determinację w trwaniu przy mężu mimo wszystkich wcześniejszych i aktualnych przykrości. Kurowała go, opiekowała się nim i czuwała przy łożu, gdy miał gorsze dni. Niestety, gdy tylko czuł się nieco lepiej, od razu wracał do swoich pijackich nawyków, zaś jego przyjaciele na czele z Gryzeldą odciągali jego myśli od małżonki, ukazując ją w jak najgorszym świetle.

Z czasem więc atmosfera wzajemnej nieufności, pretensji i wyrzutów ponownie zagościła między małżonkami, zaś dodatkowych problemów przysporzył im brat Marysieńki, który wraz z nią przyjechał do Polski. Sobiepan, jak się wydaje, znienawidził go od pierwszego spotkania i za wszelką cenę chciał się pozbyć Francuza ze swojego domu. Pierwszego marca 1664 roku odnotowano, iż po kolejnej awanturze, podczas której ordynat chciał zabić szwagra, ten został wyprawiony czym prędzej do zaprzyjaźnionej rodziny, by ująć mściwej ręce gospodarza.

Wkrótce w ślad za nim wyruszyła również Maria Kazimiera. Podobno rozmyślała o powrocie do Francji, ale tymczasem udała się do Warszawy, a stamtąd do Gdańska. I to właśnie tam, prawdopodobnie w sierpniu 1664 roku, urodziła kolejną już dziewczynkę, która była również słaba i przeżyła zaledwie kilka miesięcy.

Wraz z kolejnym ochłodzeniem w relacjach z mężem wzrosła temperatura uczuć do Sobieskiego, który musiał być solidnie skołowany tą nieustanną karuzelą w relacjach z kobietą, która jeszcze kilka tygodni wcześniej zwracała mu wolność, zapewniała o miłości do męża, by teraz tęsknić za nim i ponownie kochać.

Dla lepszego zrozumienia kontekstu warto zwrócić uwagę na zmianę stosunku dworu do obu magnatów. Zamoyski nie dał się politycznie wykorzystać w stopniu, w jakim spodziewano się to uczynić. Nie chciał robić kariery, wspinać się po szczeblach najwyższych urzędów i odmawiał ich przyjmowania, a jeśli już nadano mu jakąś godność, to tego samego dnia podczas pijatyki odda-

wał ją innemu. Znane są nawet przypadki, że zapominał o tym fakcie i dwukrotnie oddał ten sam urząd dwóm różnym osobom. W polityce więc znaczył coraz mniej i nie chciał więcej znaczyć. Jego jedyną ambicją było dobrze zjeść, dobrze napić się i zabawić. Na dodatek w tym momencie, ze względu na jego stan zdrowia, nie widziano perspektyw dalszego korzystania z jego usług. Uznano, że i tak wkrótce umrze i nie będzie z niego pożytku.

Natomiast Sobieski rósł w siłę i znaczenie. Dał się poznać jako znakomity wódz, cieszył się popularnością wśród szlachty i chętnie piał się po szczeblach politycznej kariery. Inwestowanie w niego było perspektywiczne. Stąd nacisk królowej na swoją chrześniaczkę, by wróciła do wysyłania swoich „pomarańczy”, czyli wyrazów gorącej miłości do pana Jana.

A czas był to dla dworu arcytrudny i od Sobieskiego mogło zależeć bardzo wiele. Zbliżał się sejm, na którym miała się rozstrzygnąć sprawa elekcji *vivent regem*. Na czele opozycji antydworskiej stanął dotychczasowy wierny sojusznik króla w jego walce ze Szwedami, marszałek wielki koronny oraz hetman Jerzy Lubomirski. Przeciwników było wielu, i do tego potężnych, więc należało pozyskać jak najwięcej sojuszników. Sobieski został wybrany na posła z województwa ruskiego, które jednocześnie uchwaliło instrukcję sejmikową jednoznacznie potępiającą plany dworu.

Nowo obrany poseł był w potężnym kłopotcie, gdyż z jednej strony powinien wykonać instrukcję sejmikową pod groźbą narażenia się na gniew wyborców, a to wówczas był istotny czynnik dyscyplinujący reprezentantów, z drugiej zaś nie chciał wojny z królową. Naciskany przez dwór i ponaglany przez Marysienkę, wił się jak piskorz. Próbował uniknąć jednoznacznej deklaracji, spóźniając się na inaugurację obrad sejmowych. Wyruszył w drogę do Warszawy w dniu rozpoczęcia prac parlamentu i niespiesznie podróżował, licząc, że zanim dojedzie, to szala zwycięstwa przechyli się na jedną lub drugą stronę.

W międzyczasie marszałek Lubomirski został postawiony przed sądem sejmowym, oskarżony o zdradę króla i ojczyzny oraz o podstępne knowania z wrogami Rzeczypospolitej. Spodziewając się skazania magnata, królowa dzieliła już skórę na niedźwiedziu i nęciła Sobieskiego, oferując w zamian za poparcie jej polityki jeden z urzędów, który miał zostać odebrany Lubomirskiemu. Ku zaskoczeniu wszystkich odmówił królowej i dochował wierności instrukcji i swemu przyjacielowi marszałkowi, któremu zawdzięczał życie.

Podczas osobistego spotkania z Sobieskim królowa wpadła w tak wielki gniew, że nie mogła się opanować, potem załała się łzami, ale i to nie przekonało go do uległości. Potem usprawiedliwiał się w liście do swojej Astrei: *Wymówić, nie tylko wypisać niepodobna, jako się mam za nieszczęśliwego, że mi nie przyszło dosyć uczynić woli i rozkazaniu Wci dobrodziejki mojej; że jednak nie ze mnie wina, sama Wc moja dobrodziejko, wiem, że uznasz i osądzisz – bo co ze mnie, wiem,*

że nikt i nigdy na świecie żadnej rzeczy z tak wielką nie pragnął pasją, jako ja szczęścia i honoru tego...

Nie mógł postąpić inaczej, gdyż cały ciąg nieszczęśliwych okoliczności stał na przeszkodzie, ale żałował do tego stopnia, że już chyba od tej pory zawsze: ... w czerni chodzić będzie, jako najnieszczęśliwszy człowiek na świecie... Groźby Marysienki, iż po zawodzie, jaki jej sprawił, chce się od niego uwolnić raz na zawsze, sprawiły, że: ...*plakał kilka razy ...i wszystkich do zatrzymania [jej] szuka sposobów.* Od tej pory obiecywał: ...*nic nie chce czynić bez wiadomości od swego Bukieta, którego interesa milsze jej [mu] daleko, niżeli swoje własne.*

Prosił więc pokornie o łaskę wybaczenia i jak najrychlejszego spotkania: ...*co abyś mi z łaski swej [Wć] odpuścić raczyła uniżenie proszę. Wszak WMć dobrodziejka łatwo sądzić możesz, jako ja sobie łaskę jegomości obserwować chcę, poświęciwszy się na wieczną usługę WMci dobrodziejki swojej, której i teraz uniżenie do nóg upadając jestem i będę najwierniejszym i najzyczliwszym sługą*<sup>45</sup>.

Wkrótce sąd sejmowy uznał Lubomirskiego za zdrajcę (wyrok z 22 grudnia 1664 roku), skazał go na banicję i utratę urzędów, więc królowa nabrała otuchy, iż jej plan przeforsowania zmian może się powieść, byleby tylko przeciągnąć na swą stronę Sobieskiego i odsuwającego się od dworu Zamoyskiego. Rozpoczęły się na nowo zabiegi. Zaproszono Sobiepana na dwór, ale ten nie skorzystał z okazji poprawy relacji z monarchą, przeciwnie, nawet okazywał coraz większą życzliwość skazańcowi.

Tym większy nacisk wywierano na Sobieskiego, który unikał jednoznacznych deklaracji jak ognia. Żalił się, że od ustawicznych awantur i przemożnej presji jest mu tak źle, iż chciałby jak najprędzej opuścić dwór: ...*a tam się udać, gdzie już oczy poniosą, bo już ledwie w głowę nie zajdzie od ustawicznych kłótni, i które już do tych przyszły terminów, że jej [jemu] podobno wiecznej nabawią niełaski.*

Królowa, która liczyła, że ściągając Sobiepana do swego boku, pokaże wszystkim, iż ma jego poparcie<sup>46</sup>, zadowolili się tym, iż pozostał on w Zamościu i pił, jak gdyby wstrzymując się od głosu, bo oficjalnie Lubomirskiego też nie poparł, mimo wysyłanych sygnałów. Ale Sobieskiemu nie zamierzała darować. Sięgnęła po swą najstraszliwszą broń. Przebywający na warszawskim dworze poseł Ludwika XIV skwapliwie donosił swemu panu: *Wojewodzina sandomierska, córka markiza d'Arquien, którą królowa umyślnie sprowadziła, a która ma nad nim absolutną władzę, zdołała uzyskać, że zmienił zdanie.*

Nie do końca jednak i nie wprost, jak się okazuje po bliższym przyjrzeniu sprawie. Otóż negocjacje w sprawie poparcia polityki dworu w zamian za łaskę Marysienki i wysoki urząd dla Celadona rozbijały się o to, którą funkcję dostanie w nagrodę – on domagał się buławy hetmańskiej, którą chciano dać za ogromne zasługi Stefanowi Czarnieckiemu. Jemu zaś oferowano łaskę marszałka wielkiego koronnego, czym on nie był szczególnie zainteresowany.

Ostatecznie Sobieski uległ, ale mimo potężnych nacisków, również ukochałnej Astrei, nie do końca i na swoich warunkach, prosząc, by awans zachować w tajemnicy i nie nalegać na szybkie odebranie urzędu. Dwór obawiał się, że może próbować zerwać się z uwięzi i, by do tego nie dopuścić, chciał go jednoznacznie i otwarcie związać ze sobą. Czemu ten się stanowczo sprzeciwił, pisząc do Marysienki: *Odpowiedziałem, że to z siłu przyczyn rzeczy są niemożne, a najbardziej, że to już sobie u Królowej JMci wymówił, która mi to przy WMci mojej dobrodziejce przyrzekła i obiecała. Że tedy u jmci ks. kanclerza te moje nie idą racje, uciekam się do WM Pani jako dobrodziejki mojej i tej, nad którą nie szukam inszej promocji, abys z Królową JMcią o tym rozmówić się chciała, aby tak na mnie nie następowano; bom ja już i tak dosyć gwałt sobie wielki uczynił na szczególne WMci mojej dobrodziejki rozkazanie. Niechaj Królowa JMć pośle do jmci ks. kanclerza, żeby całe tego poniechał aż do powrotu mego, bo niepotrzebne niedowiarstwo, które mię tym bardziej do usług Królestwa IchMci odrażać musi. Jużem ja dziś oznajmił jmci ks. kanclerzowi, że jeżeliby na mnie następować chciał, tedyby mi jutro i zaraz z Warszawą pożegnać się przyszło* <sup>47</sup>.

Jak więc widzimy, wpływ Zamoyskiej na Sobieskiego był, ale nie tak przemożny, jak się wszystkim wydawało. On werbalnie zapewniał o swoim całkowitym oddaniu pani wojewodzynie sandomierskiej, komplementował, do nóżek padał, rączki całował, ale w polityce robił to, co dla niego dobre, a nie to, czego żądały królowa i jej najpiękniejsza chrześniaczka. Doskonale wiedział, że w danym momencie lepiej mu się nie afiszować łaskami dworu, bo utraci sympatię szlachty, a jej poparcie mogło mu się jeszcze przydać. Dlatego po zakończeniu obrad sejmu, nie informując nikogo o nowym urzędzie, wyruszył na spotkanie z wyborcami na sejmiku w Sądowej Wiszni.

To tam zastały go wieści o śmierci Stefana Czarnieckiego. Ten wielce dla ojczyzny zasłużony wódz otrzymał upragnioną buławę hetmańską, której niedawno domagał się Sobieski, dosłownie na łożu śmierci. Ledwie ją przyznano i znów zawakowała. Teraz już liczył pan Jan, iż go nie ominie. Tymczasem sprawa nie została jeszcze przesądzona. Zabiegom o jej przyznanie uważnie przyglądał się poseł francuski, który stwierdził, że w obecnej chwili nie ma w Polsce nikogo, kto mógłby Czarnieckiego zastąpić: *Królowa upatruje następcę w chorążym koronnym [Sobieskim], którego obdarowała marszałkowską laską: jest przekonana, że ma mir u wojska i że nie brak mu odwagi, ale sama przyznaje, że przejawia on skłonność do skapstwa, a w dodatku jest kapryśny, ociężały, chwiejny, dość niedbały i trudny do kierowania.*

Chyba ta ostatnia cecha najbardziej niepokoiła Francuzów i królową. Obawiano się, że znowu będzie kaprysił i wydziwiał nad przyjęciem buławy. Król zaś z kolei godził się na mianowanie go hetmanem, ale pod warunkiem że zostanie mu odebrane marszałkostwo, by przez połączenie dwóch najwyższych urzędów nie urósł nadto w siłę i znaczenie, jak niedawno Lubomirski. Rozwa-

żano nawet, by mianować go hetmanem czasowym, a nie – jak dotychczas innych – dożywotnim. Francuski poseł proponował najpewniejszy, według niego, sposób na zapewnienie sobie wierności Sobieskiego: *Ażeby chorążęgo przywiązać jeszcze mocniej do interesów Waszej Królewskiej Mości, królowa prosi, ażeby Wasza Królewska Mość zechciał przyznać mu jurgielt, 12.000 liwrów, który wypłacano zmarłemu...*<sup>48</sup> Ludwik XIV, do którego była skierowana ta prośba, przychylił się do niej, a wymieniony w piśmie skwapliwie przyjął podwyżkę (do tej pory otrzymywał osiem tysięcy liwrów) i od tej pory każdego roku Sobieski otrzymywał od Francji stałą, wyższą pensję.

Natomiast w kwestii buławy hetmańskiej swoim zwyczajem Celadon krygował się w liście do Astrei, chciał, by go prosić i przekonywać. Narzekał na nieustanne naciski dworu i na trudy związane z nowymi obowiązkami: *W takich rzeczach nie trzeba samemu w sobie upatrywać godności, ale trzeba, żeby ją kto inszy uznał. Ja się sam sądzę, że bym temu dosyć nie uczynił, a wiem też, że tego żaden pretendować nie może, choćby też i cała miała zginąć Polska. (...) Mnie że tak ichmoście swymi szacują mowami, niestuszenie czynią, bo moja, chwała Bogu, doświadczona już rezolucja. Niech mię, dlaboga, ichmoście zaniechają, wszak w niczym ichmościom nie przeszkadzam, a i z Polski z drogą duszą gotówem ichmościom ustąpić i tak tylko prostym być szlachcicem! Szczęśliweż to generalstwo w cudzych krajach, gdzie się nie buntuje żołnierz, gdzie hetman o samej tylko myśli bitwie, mając komisarzów do zapłaty i do wszystkich potrzeb.*

To oczywiście były tylko słowa.

Sobieski zapewniał, że nie ma ambicji politycznych, że nie chce zaszczytów ni awansów, a jego jedyną ambicją jest to, że: *...nie życzy, tylko umrzeć u nóg swej Astrei*. Tymczasem po prostu w tym momencie przyjęcie buławy było mu wybitnie nie na rękę. Oznaczało bowiem, iż zostanie zmuszony do poprowadzenia wojsk w najgorszej z możliwych wojen – w wojnie domowej. W tamtym momencie bowiem prawdopodobieństwo zbrojnego starcia wojsk królewskich z buntownikami sprzeciwiającymi się monarszym reformom, na czele których stanie wybitny dowódca Jerzy Lubomirski, było bardzo duże.

Jak wspomniano, Sobieski nie chciał konfrontacji z Lubomirskim. Szanował go, cenił i na dodatek zawdzięczał mu życie, więc robił, co mógł, by nie dać się wplątać w nadchodzącą awanturę.

Nie pozostawiono mu jednak wyboru. Niemal wszyscy wówczas musieli się opowiedzieć po jednej ze stron i tylko nielicznym było dane pozostać z boku. W literaturze akcentuje się wielki wpływ Marysieńki na decyzję Sobieskiego o przyjęciu buławy i zdecydowanym opowiedzeniu się po stronie dworu w nadchodzącym starciu. Jest to wersja atrakcyjna, również ze względu na przedmiot naszych badań, bo można docenić bohaterkę i ukazać jej wpływ na bieg najważniejszych wydarzeń w państwie. Jednak w myśl znanej łacińskiej sentencji tłu-

maczonej: *Platon mym przyjacielem, lecz większą przyjaciółką prawda* trzeba nam się trzymać faktów.

A fakty są takie, że Sobieski był trudno sterowalny. Ci wszyscy, którzy ukuli sobie obraz uległego Celadona na przykładzie jego korespondencji z ukochaną Astreą, mają go za pantoflarza. Szczególnie podatni są ci, którzy znają tylko część dokumentów albo ich opisy i mają świadomość jakiegoś ułamka rzeczywistości składającej się z ciekawostek i smaczków wyciągniętych przez łowców sensacji. I taki obraz, stworzony przez nich, stał się dominujący w polskiej literaturze. Bo plotka i sensacja zawsze będą ciekawsze niż prawda i fakty.

Tymczasem wyraźnie widzimy, że Sobieski w swoich listach całuje rączki, pada do nóżek, prosi i przeprasza, błaga wręcz o wyrozumiałość i rozgrzeszenie, jeśli postąpi wbrew woli Marysieńki, ale ustępuje tylko wtedy, gdy jest mu to na rękę. Nie chce tworzyć drugiego mitu – obrazu cynicznego polityka i gracza całkowicie odpornego na wdzięki pięknej wybranki, ale nie możemy zapominać, że mieliśmy do czynienia z wybitnym mężem stanu stąpającym twardo po ziemi, kroczącym śmiało do obranego celu, o którym on sam nie wspomina, może jeszcze początkowo go nie zna, ale pragnie wielkości, chce się wybić ponad przeciętność i konsekwentnie buduje swoją karierę.

Widzimy mającą źródła w tamtych chwilach dużą niepewność stronnictwa dworskiego w stosunku do Sobieskiego. Pytanie, czy zechce przyjąć buławę hetmańską. Czy opowie się po stronie dworu, a przeciw Lubomirskiemu. Tymczasem z jego postawy jednoznacznie przebija ambicja, by otrzymać oferowaną funkcję. Wbrew temu, co pisał, uważał, że jest jej godzien, że mu się należy i powinien ją dostać. Problemem był moment jej przekazania, warunki, na jakich ją otrzyma, i sposób zdobycia. Dlatego sygnalizował niechęć, wahanie oraz wewnętrzne rozdarcie. Bo tak wypadało się zachować, bo tego oczekiwała opinia publiczna. Wiedział jednak, że następna okazja, jeśli takowa będzie, może mu się trafić jak Czarnieckiemu dopiero na łożu śmierci, bo inni kandydaci byli młodzi i zdrowi, a on miał plany, ambicje i zamierzenia.

Dlatego, wyraziwszy wszystkie swoje zastrzeżenia, pozwolił się kusić, prosić i przekonywać, targować o przyjęcie upragnionej buławy na swoich warunkach. Udając obojętność na zaszczyty i brak zainteresowania awansami, licytował wyższą stawkę.

12 marca 1665 roku rozpoczęły się obrady sejmu trwające do 28 marca, na których spodziewano się przyjazdu chorążego koronnego, ale on nie przybył, wyraźnie unikając spotkania z królową. W tym czasie krążyły listy i trwały negocjacje.

Tymczasem 7 kwietnia 1665 roku po krótkiej chorobie zmarł, w wieku niepełna trzydziestu ośmiu lat, mąż Marysieńki Sobiepan Zamoyski. Po kraju gruchnęła wieść o tym nagłym zgonie, oczywiście zaprawiona plotkami o otruciu ordynata. Pierwszą podejrzaną była małżonka, ale jej nie było u boku męża,

zaś zarządzona przez rodzinę sekcja zwłok wykazała, że to kiła zakończyła przedwcześnie hulaszczy żywot tego potomka twórcy potęgi znakomitego rodu.

Poseł francuski zatrwożył się reakcją Sobieskiego po tym wydarzeniu. Otóż – jako jeden z niewielu – nie przysłał on wdowie pisma z kondolencjami. Ta, zamiast pospieszyć do Zamościa i zająć się przygotowaniami do pogrzebu, została w Warszawie. Zaczęto spekulować, że gorące uczucie minęło, i nawet królowa zwątpiła w przydatność chrześnicy. Na wszelki wypadek jednak nie pozwoliła jej odjechać od swego boku. Trzymała ją przy sobie jak przynętę, licząc, że jednak drapieżnik się pojawi.

Długo kazał im czekać. Wiedział o śmierci Zamoyskiego praktycznie nazajutrz po fakcie. Jednak zjawił się w Warszawie dopiero dwa tygodnie później i znów zadziwił wszystkich, oświadczając, iż nie jest zainteresowany awansami, a pragnie jedynie konkurować o rękę pięknej wdowy. *Jeżeli wytrwa w swoim postępowaniu, to zadziwi wszystkich, którzy mieli odmienne zdanie o jego usposobieniu i obyczajach* – odnotował zdumiony de Lumbres<sup>49</sup>. Jednak za kulisami tego teatru toczyły się twarde negocjacje. Sobieski stawiał żądania, chciał zatrzymać obydwu urzędy i nie godził się na żadne warunkowe czy czasowe sprawowanie funkcji hetmana.

Uwaga gapiów, którzy nic nie wiedzieli o tajnych naradach, skupiła się na wątku obyczajowym. Zaczęły się debaty nad priorytetami i przyzwoitością. Wszyscy zdawali sobie sprawę z faktu, iż zanim będzie można myśleć o nowym małżeństwie, wypadałoby przynajmniej pochować nieboszczyka, o przyzwoitym okresie żałoby nikt już nie wspominał. Jednak dotychczasowe zachowanie Sobieskiego napełniało królową obawami, że jak ten wyjedzie z Warszawy, to całkiem ostygnie w swych miłosnych zapałach. Parła więc do natychmiastowego ślubu, nie zważając na niesławę, jaką ściągnie na swoją chrześniaczkę.

Zachowała się do naszych czasów historyjka, która miała usprawiedliwiać nagłą decyzję o ślubie zaledwie pięć tygodni po zgonie Sobiepana. Otóż wedle niej zakochani mieli się spotkać na nocnej schadzce, podczas której zostali zaskoczeni przez królową o godzinie jedenastej w nocy. Władczyni, oburzona widokiem, oświadczyła Sobieskiemu, że musi natychmiast poślubić zhańbioną kobietę albo zginąć. Autor opowieści pomija zupełnie sprawę tego, na jakiej podstawie i z czyich rąk miałyby grozić amantowi śmierć, ale dla dobra historyjki i my przechodzimy nad tym faktem do porządku dziennego. Zagrożony śmiercią kochanek prosi o rękę wybranki. Udają się do prywatnej kaplicy królowej, wzywają księdza i w obecności grupki spiskowców biorą ślub.

Wszystko miało być tajne, by uchronić dobre imię wdowy, ale nazajutrz żyła tym cała Warszawa, a wieść o zamążpójściu wdowy dotarła do Zamościa najpóźniej trzy dni po fakcie<sup>50</sup>. Pięć dni po ślubie słynny Bogusław Radziwiłł, w młodości przyjaciel nieboszczyka, z którym zdobywał doświadczenie w paryskich burdelach, pisał do swej narzeczonej z Królewca, proponując podobne ułatwie-



nia: ...wesele nie zabawi, jeśli będziemy chcieli iść za przykładem jmp. Sobieskiego, marszałka terazniejszego wielkiego koronnego, który przed tygodniem ślub wziąwszy z wdową nieboszczyka pana wojewody sandomirskiego Zamoyskiego, który dopiero sześć niedziel jako umarł, która nawet u ciała nie była, poszedł z nią zaraz bez żadnego bankietu do pościeli. Ceremonia wprawdzie, że krótka i nie kosztowna, bardzo mi się podoba, ale proceder wdowy bynajmniej, bo tak zacny człowiek, który ją z nędzy wziął i panią uczynił, godzien był trochę łez i pożałowania. ... Aleć się to dobrze nagrodzi p. Zamoyskiej, która trafi na tak humorowatego męża, jakiego w Polsce nie masz [51](#).

## Pani Sobieska

Zwykle traktujemy małżeństwo z Zamoyskim jako epizod w życiu Marysienki, preludium do związku z prawdziwą miłością jej życia, czyli z Janem Sobieskim. Jednakże nie było ono tak krótkie ani nic nieznaczące, jak nam się czasem wydaje – związek z ordynatem przetrwał siedem długich lat, a to dłużej, niż trwa kilkanaście procent małżeństw w obecnych czasach. Był burzliwy i przyjęło się mniemać, iż również nieszczęśliwy, jednak warto pamiętać, iż Maria Kazimiera była w nim co najmniej cztery razy w ciąży i urodziła trójkę żywych dzieci. Co prawda wszystkie zmarły we wczesnym dzieciństwie, ale Zamoyska do samego końca walczyła o zapewnienie ciągłości rodu swego męża.

Jest to też, nie licząc dzieciństwa, czas najmniej znany w życiu przyszłej polskiej królowej. Okres małżeństwa z Sobieskim znacznie dokładniej przebadano i opisano w literaturze krajowej i zagranicznej. Dlatego też ponadtrzydziestoletnie pożycie Astrei z Celadonem zajmie na kartach naszej książki znacznie mniej miejsca, by nie powtarzać informacji doskonale znanych czytelnikowi.



Małżeństwa z miłości występowały niezwykle rzadko w najwyższych sferach ówczesnego społeczeństwa. Panowało przekonanie, że mogą sobie na nie pozwolić tylko osoby nic nieznaczące. Dlatego fakt, iż do takiego związku doszło, budził i nadal budzi wielkie emocje. Jednak zanim nasi kochankowie przeszli do etapu „i żyli długo i szczęśliwie”, musiało upłynąć wiele wody w Wiśle.

W pierwszej kolejności Marysienka musiała zamknąć sprawy z rodziną nieboszczyka męża. Kwestie spadkowe i zabezpieczenie własnych interesów majątkowych, choć traktowane niejednokrotnie z pogardą jako przyziemne i niegodne zajmowania się nimi przez osoby na poziomie, należało uregulować i nie dało się ich uniknąć.

Młoda wdowa, mając nadzieję, iż nikt jeszcze nie wie o jej ponownym zamążpójściu, wyruszyła do Zamościa. Przed wyjazdem Marii Kazimiery Sobieski łaskawie przyjął – oferowane mu w pakiecie z ręką wdowy po ordynacie – nominacje na obie funkcje, zarówno cywilną (marszałkostwo), jak i wojskową (buławę hetmańską), i to na swoich warunkach, czyli bez żadnych ograniczających go zapisów.

Wyjazd do Zamościa nastąpił w ostatnich dniach maja. Marysieńce, dla dodania otuchy przed arcytrudnym wyzwaniem, królowa dodała do towarzysztwa liczny poczet swoich panien dworskich, a dla oprawy i bezpieczeństwa regiment piechoty dworskiej. Spodziewano się trudnej przeprawy, szczególnie gdy dojdzie do rozmów o podziale majątku, jednak nikt nie był przygotowany na takie powitanie, jakie zgotowano wdowie na rozkaz siostry nieboszczyka Gryzeldy Wiśniowieckiej.

Kiedy 5 czerwca orszak ordynatowej stanął pod murami miasta, zastał zamknięte wszystkie bramy, których mimo wezwania nie otworzono. Zgromadzony tłum mieszkańców lżył najbardziej niewybrednymi słowami zarówno wdowę, jak i jej towarzyszy. A kiedy w imieniu Zamoyskiej zapytano dowódcę twierdzy, czy wie, z kim ma do czynienia, odpowiedziano, iż owszem, z *panią Sobieską*.

Nikt już nie miał wątpliwości, że tajemnica zawartego małżeństwa jest tu doskonale znana. Dowódca eskorty chciał szturmem zdobywać miasto, ale Marysieńka wiedziała, że te mury opierały się znacznie potężniejszemu przeciwnikowi, i kazała poniechać tej myśli, by uniknąć dalszych zniewag. Kiedy więc negocjacje nie przyniosły skutku, upokorzona, zawróciła ze łzami w oczach spod szanów niegościnnego miasta.

W Warszawie pocieszenie znalazła w ramionach swojego Celadona, który teraz wydawał się rozmiłowany jak podłotek. Obsypywał swą wybrankę najczulszymi słowami, pozbawiony na krótko jej obecności, zapewniał z drogi: *Tak mi się twoja śliczność, moja złota panno, wbiła w głowę, że zawrzeć oczu całej nie mogłem nocy. ... Owo widzę, że mię twoje wdzięczne tak oczarowały oczy, że bez nich i momentu wytrwać będzie niepodobna...*

Plotkom i złośliwościom w całym kraju nie było końca. Sam Andrzej Morsztyn poświęcił im niewielki poemacik, w którym drwił w następujących słowach:

*Moda nastala poprzedzać wesele,  
Umie to Wenus i jest tego wiele,  
Kto umie, wszystkiego dokazywać może,  
A komuż wadzi skryte nasze łóżce?*

*My się z sobą cieszymy,  
Nie bawiąc pospieszmy,  
A ksiądz trafi prawie  
Po małżeńskiej sprawie.*

*I tam małżeństwo dawno już zawzięte  
Ślub poprzedziło i obrzędy święte... [52](#)*

Ani dwór królewski, ani sami zainteresowani nie chcieli takiej sławy, dlatego w najkrótszym możliwym terminie zaplanowano wesele. Oczywiście trzeba było poczekać, aż rodzina złoży do grobu pierwszego męża Marysieńki, bo tego wymagał surowy obyczaj, ale już na upływ terminu żałoby, jakiej wypadałoby dochować, nie zwracano uwagi.

Piątego lipca, a więc jeszcze przed upływem trzech miesięcy od śmierci Zamoyskiego i mniej niż miesiąc od jego pogrzebu, rozpoczęły się huczne uroczystości weselne. Kochankowie mieli pewien problem ze ślubem, gdyż raz wziętego nie można było powtórzyć, ale dla zachowania pozorów utrzymywali, iż spotykają się po raz pierwszy na ślubnym kobiercu, zaś świadków poprzedniego nie było aż tak wielu, więc jak gdyby nigdy nic przeszli raz jeszcze całą procedurę.

Stając przed ołtarzem, Maria Kazimiera miała dwadzieścia cztery, a Jan trzynaście sześć lat i był młodszy od swojego poprzednika o dwa lata. Ślubu udzielał im w obecności królewskiego małżeństwa sam nuncjusz papieski Antonio Pignatelli, późniejszy papież Innocenty XII. Zaś po kraju rozeszły się złośliwe powiedziona o starym kawalerze, który długo czekał na ożenek, ale kiedy już się zdecydował, to trudno byłoby znaleźć drugiego takiego pod słońcem, który by był tak gruntownie ożeniony jak sam Jan Sobieski. Z jedną kobietą w krótkim czasie wziął dwa razy ślub, a jeśli pamiętamy wcześniejsze tak zwane śluby karmelickie, to mamy potrójne węzły małżeńskie.

Nic dziwnego, że trzymały tak mocno!

Miesiąc miodowy trwał zaledwie tydzień, gdyż pan młody musiał zaraz wsiadać na koń i ruszać na wojnę z konfederatami występującymi przeciw królowi pod wodzą Lubomirskiego. Dziwna wojna trwała wiele miesięcy, bo ani jedni, ani drudzy nie mieli ochoty walczyć ze sobą, a w tym czasie Marysieńka słała tęskne listy do swego ukochanego Celadona. On odpowiadał jej równie płomiennymi zapewnieniami o miłości – uczucie kwitło w najlepsze!

Wojna zakończyła się klęską obozu dworskiego – Sobieski poniósł porażkę w bitwie ze swoim przeciwnikiem i choć Lubomirski się ukorzył i przeprosił króla, to plany reform ustrojowych trzeba było zarzucić. Dla Marysieńki najważniejszy był fakt, iż jej protektorka, będąca dotychczas motorem forsowanych zmian, w wyniku doznanego upokorzenia podupadła na zdrowiu. Próba leczenia jej poprzez upuszczanie krwi nie pomogła i 10 maja 1667 roku Ludwika Maria zmarła w wieku pięćdziesięciu sześciu lat, pogrążając podopieczne i swojego męża w głębokiej żałobie.

Natomiast w życiu prywatnym naszej bohaterki wreszcie w pełni zaświeciło słońce. Co prawda rozliczenia spadkowe z Gryzeldą spędzały jej sen z powiek, ale ciężar negocjacji zdjął z jej barków mąż i nie musiała już osobiście się angażować w wyniszczające psychicznie przepychanki. Ostatecznie nie uzyskała wszystkiego, co chciałyby wywalczyć, ale wyroki sądów, a potem również

zawarte porozumienie zapewniły jej godny udział w masie spadkowej, co zabezpieczyło ją materialnie na resztę życia.

Dopełnieniem rodzinnego szczęścia była ciąża, w którą Marysienka zaszła w pierwszych tygodniach 1667 roku. Dotychczasowe doświadczenia nie napawały optymizmem, gdyż z czterech jej ciąż nie żyło już ani jedno dziecko, ale lekarze dawali nadzieję na wyleczenie choroby wenerycznej przekazanej jej przez Sobiepana, co powinno zwiększyć szanse dziecka na przeżycie. Musiała jednak udać się na kurację do Francji, gdzie medycyna, zwłaszcza zaś umiejętność leczenia tej konkretnej choroby, zwanej u nas „francuska”, stała na o wiele wyższym poziomie.

Wyruszyła w daleką drogę 2 czerwca 1667 roku, zaś Sobieski został w kraju, by bronić ojczyzny przed kolejnymi niebezpieczeństwami, tym razem ze strony Tatarów i Kozaków. Jesienią Celadon pokonał wrogów, zaś jego małżonka powiła 2 listopada zdrowego syna, któremu dano na imię Jakub. Rodzice nie posiadali się ze szczęścia. Tym bardziej że trudna kuracja zakończyła się sukcesem, przez co wzrosły nadzieje na posiadanie kolejnych zdrowych dzieci. W sumie Sobieska była w tym związku co najmniej trzynastą razą w ciąży, w tym jednej bliźniaczej, co w połączeniu z poprzednimi czterema daje imponujący wynik nawet w tamtych czasach. Niestety, większość dzieci zmarła przy porodzie albo we wczesnych latach życia. Do dorosłości dożyła tylko czwórka, w tym trzech synów i jedna córka.

Do kraju Marysienka powróciła w połowie września 1668 roku wyleczona i ze zdrowym synem. W samą porę, by wziąć udział w przygotowaniach do elekcji nowego króla. Jan Kazimierz bowiem abdykował w tych dniach, zrzekając się polskiej korony. Ruszyła machina przygotowań i potężne naciski obcych dworów, by obrać kandydata powolnego ich interesom. Ona, jako Francuzka z pochodzenia, mimo nie dość dobrego przyjęcia jej na dworze Ludwika XIV podczas ostatniej wizyty, podjęła się negocjowania w imieniu swego rodaka, księcia Kondeusza.

W literaturze zachował się obraz przemożnego wpływu Marii Kazimiery na przebieg ówczesnych przygotowań do elekcji. Powołując się na jej korespondencję z francuskimi dyplomatami, w której ustalała warunki, na jakich Sobieski poprze Francuza, wywodzi się, iż decydowała o jego ówczesnej polityce w sposób całkowity. On sam pisał już wcześniej dosyć żartobliwie o jej zapędach do dyrygowania nim: *Wć moja duszo, widzę, że bardzo tęsknisz beze mnie; ale tak przecię, jak rozumieć mogę, że i mnie, i zdrowie moje gotowaś poświęcić interesom du palais enchanté [żartobliwie o francuskim dworze]* <sup>53</sup>.

Spójrzmy jednak na fakty. A są one następujące: Sobieski brał pensję od Francuzów i miał za nią popierać ich politykę w kraju, co też umiarkowanie czynił, ale tak, by jego własne interesy na tym nie ucierpiały. W swoich słowach oczywiście, zgodnie z ówczesną konwencją, podkreślał uległość, wyolbrzymiał

uczucia, jakie żywił do Francji, i zapewniał o powolności wobec życzeń żony. Na jego gładkie słówka połączone z czołobitnością wobec małżonki dawali się nabrać najwytrawniejsi politycy. Pisali potem do swoich mocodawców: *Działa ona bardzo dobrze i mężowi swojemu, nad którym posiada wszelką władzę, wraz z wszystkim, czego się życzy, zapewniając mię, że czyni to jako dobra poddanka króla [Francji]* <sup>54</sup>.

Kiedy jednak Marysienka po długich i zażartych bojach wynegocjowała układ, na mocy którego w zamian za aktywne, jednoznaczne i natychmiastowe poparcie całą siłą swego autorytetu Kondeusza Sobiescy mieli otrzymać znaczne gratyfikacje finansowe w gotówce i nieruchomościach, on odmówił podpisania. Nic nie dało kuszenie *wszystkimi ślicznościami ...najwdzięczniejszym ciałeczkiem ...ani też protestacje ...i lamenty*.

Hetman, powołując się na przysięgę zabraniającą porozumiewania się z kandydatami do tronu, jaką złożył wcześniej wraz z całym sejmem, odmówił spełnienia życzenia małżonki. Przez wiele godzin Astrea histeryzowała, obrażała się na swego Celadona, ale niczego nie zwojowała. Z tej ekscytacji aż dostała gorączki i popadła w ciężką chorobę, ale podpisu nie wymusiła.

Kiedy zebrał się sejm elekcyjny, ambasadorowie obcych państw donosili mocodawcom, że małżonki najprzedniejszych magnatów sprzedawały za złoto poparcie swoich mężów. Była wśród nich i nasza bohaterka, ale znowu zawiodła się na swoim ukochanym. Kiedy 6 czerwca doszło do dramatycznych wydarzeń skutkujących wykluczeniem kandydatury Kondeusza – czego zażądała szlachta sandomierska, a poparli ją wszyscy posłowie – przymuszono senatorów do poparcia tego wniosku. Uczynił to również Sobieski, aczkolwiek nieco sarkając na zuchwalstwo braci szlacheckiej. Marysienka w rozpaczliwym geście ratowania swojego kandydata szeptała najczulszymi słowy, pieszcząc swego kochanego, prośby o zerwanie sejmu, ale i tym razem się nie ugiął. Zmuszona była wręcz odwoływać się do poparcia jego najbliższych przyjaciół, jednak i oni nic nie wskórali.

Szlachta wybrała sobie na króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Siostrzeńca Sobiepana Zamoyskiego, syna Gryzeldy zwanej przez Marysienkę pogardliwie Brytfanną, którego sam Sobieski szczerze nienawidził i miał zwalczać przez całe jego krótkie panowanie. Jednak nie postąpił wbrew prawu, do błagań żony się nie przychylił i nie zerwał sejmu elekcyjnego.

Mimo starań nowego króla Sobiescy nie przyłączyli się do grona jego zwolenników. Pozostali w opozycji i uczestniczyli we wszystkich działaniach wymierzonych w tego władcę. Wokół króla Michała skupiło się środowisko prohabsburskie, natomiast oni nadal współtworzyli stronnictwo francuskie, które po tak dotkliwej klęsce, jaką się stała elekcja monarchy, straciło znaczną część finansowania oraz sympatię Ludwika XIV.

Marysienka pozostawała jednak czynna.

Spiskowanie, intrygi, szyfrowane listy i tajne spotkania to był żywioł zapewniający jej rozrywkę oraz poczucie, że uczestniczy w wielkiej polityce i że ma jakiś wpływ na bieg najważniejszych spraw w Europie. On był przede wszystkim żołnierzem i dowódcą – do tego coraz lepszym w swoim fachu – i spełniał się na wojnie, pozwalając żonie na działanie, często w imieniu obojga. Długo celem tych działań było osadzenie na polskim tronie kandydata suflowanego przez Francję. Rozważano również usunięcie panującego władcy, cieszącego się poparciem Austrii, i osadzenie na jego miejscu Francuza, ale ostatecznie plany te nie zostały zrealizowane.

W trakcie długiej i wyczerpującej wojny z Turcją nieudolny król Michał – który na tronie zasiadł w wieku dwudziestu dziewięciu lat – mając zaledwie trzydzieści trzy lata, zachorował i zmarł na zatrucie pokarmowe (10 listopada 1673 roku). W tym samym czasie hetman Sobieski odniósł świetne zwycięstwo nad Turkami pod Chocimiem (11 listopada 1673 roku). Te dwa wydarzenia spłótły się w świadomości szlachty w jedno – mówiono, że król umarł, by z zaświatów czuwać nad ojczyzną, i zapewnił zwycięstwo Polakom.

Rozpoczęły się przygotowania do nowej elekcji. Opromieniony sławą pogromcy Turków Sobieski również przybył do Warszawy, gdzie nieustannie towarzyszył mu tłum szlachty winszującej mu tak świetnego zwycięstwa. Początkowo planowano, by tę popularność wykorzystać dla przeforsowania na tron kolejnego Francuza, jednak po niedawnej dotkliwej i pod wieloma względami kosztownej porażce Ludwik XIV był bardzo ostrożny w staraniach o tron dla swojego poddanego. Przesłany z Paryża z misją kontrolowania i finansowania akcji wyborczej biskup Forbin Janson miał w pierwszej kolejności za zadanie blokować kandydata Habsburgów i ewentualnie wspierać wybór korzystny dla Francji.

Przywiezione przez biskupa środki na kampanię w wysokości czterystu tysięcy liwrów mogły mieć istotne znaczenie dla przebiegu wydarzeń, dlatego polecono mu, by je przekazał Sobieskiemu i Morsztynowi jako przywódcom stronnictwa francuskiego i z nimi uzgodnił, kogo popierać, by utracić kandydaturę księcia lotaryńskiego wspieranego przez Wiedeń.

I znów w literaturze podkreślono rolę Marysienki, która swym sprytem i logicznymi wywodami zaszczepiła w umyśle francuskiego dyplomaty myśl, iż tylko jej mąż jest w stanie zgromadzić wokół siebie wystarczające poparcie wyborców. Potem zaś przekonała do swoich racji zarówno jego, jak i pozostałych przywódców stronnictwa, z samym Sobieskim włącznie, by następnie sprytnym zagranem podsunąć tę kandydaturę szlachcie i osiągnąć spektakularny sukces.

Faktycznie przedstawiane podczas sejmku elekcyjnego oferty obcych dworów nie wzbudziły zachwyty w kraju nad Wisłą. Ani Lotaryńczyk, ani wspierany dość niemrawo przez Francję palatyn neuburski nie porwali za sobą tłumów.

Natomiast wszędzie, gdzie pojawiał się Sobieski, nie pretendując do korony, wywoływał spontaniczne reakcje wdzięcznych za wybawienie od tureckiej nawały Polaków. Maria Kazimiera, widząc, iż nikt z jej rodaków nie ubiega się o tron, utwierdzała się w przekonaniu, że przyszlą królową mogłaby zostać właśnie ona.

Kiedy ta myśl, rzucona podobno przez nią dość lekko po raz pierwszy już cztery lata wcześniej, zagnieżdżyła się w jej głowie i gdy w tych gorących majowych dniach 1674 roku oczami wyobraźni Marysieńka zobaczyła siebie w monarszych splendorach, rzuciła się w wir intryg, by niezwłocznie wykorzystać szansę i przekuć ideę w czyn. Trudno jej odmówić doświadczenia w tego typu zakulisowych zabiegach. Miała możliwości i środki, urok osobisty do przekonywania innych i wielki talent do zjednywania sojuszników. Co najważniejsze jednak, miała męża, który w tym momencie był gwiazdą wielkiego formatu świecącą oślepiającą jasnością na europejskim firmamencie, uwielbianą i podziwianą przez szlachtę.

Na przygotowywany przez licznych współpracowników – ale i zwykłych żołnierzy jeżdżących po kraju i głoszących własnymi słowami i łupami chwałę swego wodza – grunt jak na żyzną glebę padły słowa przyjaciela rodziny, wojewody ruskiego Stanisława Jabłonowskiego, który zachęcił szlachtę swojego województwa do wyboru Sobieskiego. Zgodny krzyk uniesionych entuzjazmem tłumów podchwyciły kolejno inne województwa. Zanim przeciwnicy polityczni się spostrzegli, już myśl o wyborze na króla Lwa Lechistanu, jak z niechętnym podziwem mówili o nim Turcy, poniosła się jak pożar na najdalsze krańce pola elekcyjnego. I po chwili już tylko Litwini, podtrzymywani w oporze przez zacieklego wroga Sobieskich Krzysztofa Paca, nie godzili się na ten wybór.

Wbrew swoim doradcom prącym za wszelką cenę do zakończenia procedur jeszcze tego samego dnia, nawet wbrew Litwie hetman poprosił o czas na przekonanie przeciwników. Najbliższa noc była pełna gorączkowych rozmów, nalegania, przeciągania i przekonywania nieprzekonanych. Zanim nastał świt, setki tysięcy dukatów przeszło z ręki do ręki i mglisty poranek zastał pole elekcyjne zjednoczone wokół króla Jana. W poniedziałek, 21 maja 1674 roku, zgromadzona na polu elekcyjnym szlachta praktycznie jednym głosem wołała: *Vivat Joannes Rex!*

I tak oto Maria Kazimiera Sobieska została żoną króla!

Uroczystości koronacyjne ze względu na trwającą wojnę z Turcją trzeba było odłożyć, ale w końcu na jej skroniach spoczęła upragniona korona. Nie obyło się bez złośliwości, wrogowie szkalowali przy tej okazji nową monarchinię, wyciągali wszelkie brudy z przeszłości i, dorzucając nowe, tworzyli wypaczony obraz bezdusznej i pazernej cudzoziemki, która dokonała skoku na tron i publiczną szkatułę.



W literaturze okres królewski naszej bohaterki, trwający ponad dwadzieścia lat (1674–1696) został dość dobrze zobrazowany, chociaż ponownie – bazując z nadmierną ufnością na korespondencji – wyolbrzymiono w nim jej wpływ na politykę męża. Marysieńka była bardzo aktywną politycznie kobietą, niewątpliwie uwielbiała splendor, jaki ją otaczał, chciała czuć potęgę władzy i decydować o losach świata. Jej królewski małżonek, znając jej zamiłowanie do wielkiej gry, pozwalał jej na udział w negocjacjach, informował ją o swoich zamiarach, rozmawiał o sprawach państwa i słuchał, co miała w tych kwestiach do powiedzenia. W swoich listach nadal zapewniał o oddaniu, padał do nóżek, całował rączki i stópki, a potem raz jeszcze się kłaniał: *całując i ściskając milion razów wszystkie śliczności serca mego jedynego; ...i najulubieńszego mego ciałeczka...*, utwierdzał, że wszystko czyni dla niej i na jej rozkazanie.

Jednak gdy z tej powodzi słów odciśniemy komplementy, gładkie słówka i cały ten szum, który czyniła Astrea wokół siebie i swego Celadona, to zostanie nam prosta, twarda i brutalna wręcz rzeczywistość. Można ją streścić w jednym zdaniu – Sobieski był wielkim mężem stanu, wybitnym politykiem, strategiem, wodzem i szczerym patriotą, a praktycznie wszystko, co czynił, czynił dla dobra ojczyzny. Oczywiście widzimy w jego działaniach przebłyski prywaty, gdy stara się zabezpieczyć interesy swoje i swojej rodziny. Wiemy o pieniądzach, jakie brał od obcych dworów, i widzimy, że niekiedy nie tylko zgadzał się ze zdaniem żony, ale też postępował zgodnie z jej życzeniem.

Ale czy, idąc z nurtem polityki obcych dworów albo planów swojej ukochanej, nie realizował jednocześnie swoich zamierzeń? Czy nie było tak, że ustępował i zgadzał się tylko tam, gdzie było mu to na rękę i suflowane rozwiązania nie stały w sprzeczności z jego planami? Natomiast w przeciwnym razie twardo bronił swych racji albo w milczeniu, by nie wywoływać awantur, robił to, co uznął za stosowne?

Ukazaliśmy ten mechanizm na kilku wcześniejszych przykładach i on działał w dalszym ciągu, z czasem nabierając pewnej gładkości i automatyzmu. Maria Kazimiera była mądrą kobietą. Jak widzimy, nigdy się nie poddała w swoich zakusach na pełne podporządkowanie sobie męża i prowadzonej przez niego polityki, ale niewątpliwie już na wczesnym etapie ich znajomości zrozumiała, że nie będzie to łatwe. Oboje mieli silne charaktery, choć on ukrywał swój stalowy kręgosłup w otoczce czołobitnej uległości sprawiającej wrażenie braku własnej woli i pełnego podporządkowania się małżonce. Ustępował w rzeczach drobnych, nie zależało mu, by mieć rację w każdej sprawie, ale tam, gdzie chodziło o imponderabilia, nie uznawał kompromisów. Czasem wprost, a czasem żartem, niekiedy od razu lub odsuwając sprawę w nieokreśloną przyszłość, jednak zasadnicze sprawy rozstrzygał po swojemu.

Nawet tuż przed śmiercią potrafił dowcipnie opędzić się od jej nacisków, gdy przez wiele miesięcy żądała od niego sporządzenia testamentu, czemu on się

stanowczo sprzeciwiał, mawiając: *Nikt nie słucha mnie za życia, czyż po śmierci będzie inaczej?* Widział bowiem, iż testament nie uchronił od wojny o spadek nikogo spośród bliskich zmarłych przyjaciół. I na nic zdały się prośby i błagania, namowy przyjaciół i argumenty doradców – jak się uparł, to nie popuścił. Miał najwyraźniej nadzieję, że konieczność porozumienia się w sprawie podziału majątku scementuje coraz bardziej skłóconą rodzinę.

Natomiast tym, czego im odmówić nie sposób i tu wszyscy się zgadzają, była miłość tych dwojga. Pełna erotyzmu i namiętności miłość, która przetrwała długie lata, zastąpiona wzajemną czułością i przyjaźnią w późniejszych już latach. Oboje mieli ogniste temperamenty, doskonale się dobrali w swoich oczekiwaniach wobec partnera i pozostawili nam w swoich listach pomnik miłości na miarę mitycznych kochanków znanych jedynie z romantycznych legend.

## Starość

Śmierć wielkiego króla Jana w wieku sześćdziesięciu sześciu lat uczyniła niepełną pięćdziesięcioletnią Marysienkę najniezwyklejszą z kobiet, co podkreśliła ona w liście pisanym miesiąc po doznanej stracie: *Nie ma już bez niego żadnej dla mnie przyjemności w życiu. Wszak szczęście moje polegało bardziej na radowaniu się jego osobą aniżeli jego koroną.* Miała prawo ubolewać nad doznaną tragedią, tym dotkliwszą, iż w tych trudnych chwilach nie zaznała wsparcia w rodzinie, o którą tak zaciekle przez całe życie zabiegała. Ukochany pierworodny syn Jakub, wówczas dwudziestodwuletni pretendent do schedy po rodzicielu, wykazał się wówczas wyjątkowo nieludzkim postępowaniem, co prawdopodobnie utraciło jego szanse na objęcie tronu po zmarłym ojcu.

Otóż kiedy reszta rodziny pograżyła się w rozpacz i płakała nad zwłokami nieboszczyka w Wilanowie, on czym prędzej, już pierwszej nocy po śmierci króla popędził do Warszawy i wkroczył do Zamku Królewskiego, by opanować skarbiec i złożone w nim kosztowności. Od pilnującej zamku gwardii królewskiej odebrał przysięgę wierności i nakazał nie wpuszczać nikogo bez jego zgody. Tuż za nim jednak przedostali się przez bramy państwowi dygnitarze odpowiadający za stan finansów publicznych, marszałek i podskarbi wielki koronny Stanisław i Hieronim Lubomirscy, którzy, ignorując protesty królewicza, opieczętowali wejścia do skarbcza.

Rankiem Jakub powiadomił matkę przez wysłanych deputatów, iż nie wpuści jej do zamku, na co ona zareagowała wybuchem wściekłości. Bez chwili refleksji z obu stron rozpoczęły się emocjonalne ataki, z radością obserwowane i podsycane przez wrogów rodu. Rozesłano listy do dostojników świeckich i duchownych, w których oskarżano się nawzajem o najnikczemniejsze intencje. Maria Kazimiera postanowiła złamać opór syna i w asyście pozostałych dzieci oraz senatorów i dygnitarzy, pod eskortą kilku husarskich chorągwi, przygotowała w pośpiechu kondukt żałobny, by wyruszyć z ciałem króla do Warszawy.

Jakub nie ustąpił i bram zamku nie otworzył. Zgromadzony tłum ze zgorzeleniem obserwował całą sytuację. Po dłuższym oczekiwaniu królowa wdowa ze łzami w oczach odstąpiła od murów, nakazując pozostawić ciało oczekujące na przebłysk rozsądku młodego Sobieskiego. Kiedy wreszcie dygnitarze przemówili młodzieńcowi do rozumu, bramy otwarto i nieboszczyka wniesiono do środka, ale trudno było odzyskać szacunek w oczach ludzi. Tym bardziej że do opinii publicznej docierały kolejne wieści o innych gorszących sporach o pieniądze.

Oto w zamku żółkiewskim zgromadzono jeszcze większe skarby, o które rozegrał się równie dramatyczny wyścig jak o te w Warszawie. I znów syn uprzędził matkę, a ona próbowała wydrzeć mu z rąk choć część przejętych dóbr.

Gorsząca walka o wielomilionową fortunę poróżniła ród Sobieskich na stałe, zaś wyborców przekonała, iż nie warto powierzać żadnemu z nich korony królewskiej. Po elekcji Augusta II z saskiej dynastii Wettinów Marysienka jeszcze przez jakiś czas pozostała w kraju, jednak w 1699 roku wyjechała i już do Polski nie wróciła. Przez wiele miesięcy podróżowała po Italii, witana z wdzięcznością jako żona wybawcy spod Wiednia.

Potem osiadła na stałe w Rzymie, gdzie mieszkała przez piętnaście lat, prowadząc wystawne życie godne wielkiej królowej. W tym czasie często gościła w papieskim pałacu, najpierw za pontyfikatu znanego jej jeszcze z Polski Innocentego XII, który jako nuncjusz papieski udzielał jej ślubu z Celadonem, a po jego śmierci w 1700 roku – Klemensa XI.

Jej marzeniem jednak był powrót do rodzinnej Francji. Początkowo nie było to możliwe ze względu na wydarzenia, jakie się rozegrały w Polsce po śmierci króla Jana. Francuzi wówczas nie byli zadowoleni z postawy królowej wdowy i Ludwik XIV poczuł się urażony sposobem, w jaki jego ambasador i promowany przez niego kandydat do tronu zostali przyjęci przez Marię Kazimię. Z czasem jednak wzajemne animozje przygasły i można było myśleć o takiej podróży.

Marysienka kilkakrotnie wracała do tych planów, ale ostatecznie dopiero w czerwcu 1714 roku opuściła Wieczne Miasto i drogą morską wyruszyła niespiesznie do Francji. Odwiedziła po drodze Lyon, rodzinne Nevers i okolice Awinionu, zanim dotarła do celu. We wrześniu tego roku przybyła do zamku w Blois, gdzie znalazła ostatnie miejsce zamieszkania.

W czwartek, 30 stycznia 1716 roku, siedemdziesięciopięcioletnia królowa wstała jak co dzień wczesnym rankiem i po spożyciu śniadania zasiadła w fotelu przy nagrzanym kominku w towarzystwie swej damy, madame Ludwika Dupont towarzyszącej jej od wielu lat i przybyłej tu wraz z nią znad Wisły.

– Czemu uciekłyśmy z Polski? – królowa wyciągnęła kościste dłonie w rękawiczkach w stronę buzującego wesoło ognia.

– Przed dojmującym zimmem – podsunęła pani Ludwika usłudzenie, dyplomatycznie pomijając inne okoliczności wyjazdu. – Chciałyśmy dożywać późnych lat w południowym słońcu i cieszyć się z klimatu, który lepiej służy dojrzałym damom.

– No właśnie – uśmiechnęła się gorzko Marysienka – a tu mamy mróz trzaskający jak w Polsce, tylko gdzieś po drodze futra się zagubiły.

– A pamiętasz narzutkę z wilczych ogonów? – ożywiła się nagle królowa.

– Pamiętam! – pani Dupont się poderwała. – Król przesłał ją jaśnie pani chyba spod Chocimia. Ale gdzież ona może być?

– Nie wiem. Nie widziałam jej od wyjazdu z Wilanowa i do tej pory nie była potrzebna.

Posmutniały na chwilę i w milczeniu wspominały dawne lata świetności.

– Gdybyż choć pani Bełkacka z nami była – rozmarzyła się królowa. – Ta by wiedziała, jak nas rozgrzać w taki dzień! Zrobiłaby nam kaszę, buraki i kapustę z dziczyzną podlewaną winem!

– Dużą ilością słodkiego wina!

Śmiały się z nostalgią, narzekając, że tu nikt nie potrafi dobrze gotować, a na przepiórczych jajach i serze trudno przetrwać takie mrozy, kiedy w nocy woda w kubku przy łóżku zamarza.

– Przyślij mi dziś po obiedzie Garniera – mruknęła z niechęcią królowa, która nie lubiła wizyt lekarza, a które, niestety, stawały się dla niej uciążliwą codziennością.

Jednak ostatnio czuła się coraz gorzej. Od śmierci ukochanego syna Aleksandra w czerwcu ubiegłego roku czuła smutek i ciągły niepokój. A od tygodnia w ogóle nie sypiała. Leżała w nocy z otwartymi oczami i martwiła się o siebie, swoich ludzi oraz swoje dzieci, które jeszcze pozostały przy życiu.

Przybyły w popołudniowej porze lekarz zbadał ją i orzekł, iż wszystkie te dolegliwości biorą się z żołądka, w którym zalegają niewydalone pozostałości. Zalecił płukanie żołądka w porze wieczornej. Znowu się z nim nie zgadzała, postanowiła jednak zaufać jego wiedzy.

O ósmej wieczorem lekarz przeprowadził wspomniany zabieg, który gwałtownie pogorszył stan zdrowia królowej. Nagle, na oczach swojego dworu, zaczęła umierać i zanim ktokolwiek się zorientował, nie było już czasu na ostatnie namaszczenie ani na spowiedź i komunię. Zmarła około godziny dziewiętej wieczorem tego samego dnia, którego wspominała z przyjaciółką przysmaki kuchni polskiej. Jej zabalsamowane ciało przewieziono do Polski, gdzie spoczęło u boku ukochanego króla Jana III Sobieskiego.

# AGNIESZKA MACHÓWNA

*Najlepszą kobietą jest ta, o której na zewnątrz domu nie słyszy się ani złego, ani dobrego*

Tukidydes

Znajomość twórczości Tukidydesa na polskiej wsi raczej nie była powszechna, ale sama myśl wydaje się na tyle uniwersalna, że możemy przyjąć, iż i tam pojęcie „dobrej żony” rozumiano podobnie.

## Prolog

Wieczorny rechot chóru żab przerwało nagle pojawienie się srebrnej tarczy księżycy. Płazy, jakby zawstydzone jasnością księżycowej poświaty, umilkły wszystkie w jednym momencie. W tej niespodziewanej ciszy wyraźnie jak wystrzał zabrzmiało trzaśnięcie gałązki w koronie wiekowej jabłoni stojącej w pierwszym szeregu pogrążonego w ponurym cieniu sadu.

Przechodzący tuż obok stary ogrodnik zawahał się przez moment, czy podnieść głowę i zlustrować otoczenie, szukając kryjących się w ciemnościach istot, czy lepiej zignorować hałas i iść w swoją stronę. Po chwili wybrał drugie rozwiązanie i, westchnąwszy, ruszył przed siebie.

– Dzieci! – mruknął z pobłażliwością pod sumiastym wąsem.

Nie musiał wysilać wzroku, by wiedzieć, że w koronie drzewa, dobrze ukryty przed ludzkim wzrokiem, gnieździ się drobiazg z pobliskiej wsi. W każdą sobotę lata najlepiej położone pod względem widokowym drzewa w sadzie zamieniały się w trybuny dla małych gapiów. Zasiadali tam w milczeniu i z wypiekami na umorusanych buziach obserwowali życie wielkich tego świata.

Sam sad i to, co dało się z niego zauważyć, znajdowały się na południowym krańcu Puszczy Sandomierskiej.

To tam, niedaleko Łańcuta, w samym sercu rozległych dóbr rodu Lubomirskich, mieścił się majątek Kolbuszowa. Stojąca w środku rozległego ogrodu letnią rezydencję, która była świadkiem niejednego wydarzenia z życia szlacheckiego rodu, otaczały z pewnego oddalenia wiekowe drzewa dostarczające jego mieszkańcom każdej jesieni obfitości słodkich owoców. Drzewa te służyły jednakże również za siedziska dla miejscowych dzieciaków, które od pokoleń sadowiły się na ich rozłożystych gałęziach, by z oddalenia podziwiać kreacje gości odwiedzających mieszkańców w każdą sobotę od wiosny do wczesnej jesieni.

Niepisana umowa między leciwym ogrodnikiem a małymi intruzami przewidywała, iż ten pierwszy nie dostrzegał tych drugich, pod warunkiem iż nie czynili szkody w jego królestwie. Mogli przychodzić i podglądać, ale deptanie po kwiatnych rabatach czy łamanie gałęzi na drzewach skutkowało natychmiastowym wzmoczeniem czujności i wielotygodniowym zakazem wstępu do ogrodu, który egzekwowano z pomocą złośliwego psa.

Starano się więc, by ogrodnik nie miał powodów do irytacji, a on tolerował regularne pielgrzymki na konary najkorzystniej położonej jabłoni.

– W końcu ja też kiedyś siadywałem na tej samej gałęzi! – odpowiadał żonie na pytania o swoją wyjątkową wyrozumiałość.

Znakomita większość dzieci przychodziła nieregularnie ze względu na nawał obowiązków, które każde z nich musiało wypełnić, zanim skończył się długi dzień pełen pracy. Czasami były tak zmęczone, że po przyjeździe z pola padały bez siły, zasypiając, zanim głowa dotknęła posłania, a ich miejsca na gałęzi zajmowali nowi. Innym razem przybywały późno po zmroku, opuszczając najciekawszy moment zajeżdżania powozów przed ganek dworku.

Te emocje towarzyszące każdej nowej nocy!

– Kto przyjechał? – cichutki szept doleciał z dolnej gałęzi, skąd nie było widać dość dobrze. Tam siedziały mniejsze dzieci, których nie dopuszczano do najlepszych miejsc.

– Cicho! Jeszcze tu jest! – ostrzeżenie przed starym ogrodnikiem przeleciało jak szmer od góry do dołu.

Zadawane szeptem pytania, zakłady o to, kto przyjechał, z kim i w co będzie ubrany, stanowiły rytuał znany na konarach jabłoni od pokoleń. Potem kolacja przy świecach – w ciepłe dni przy otwartych oknach. Po kolacji tańce, śpiewy, spacer w sadzie, kiedy flirtująca młodzież przechadzała się tuż pod ich drzewem, i tak do późnej nocy w każdą sobotę.

Jak wspomniano, większość gapiów spóźniała się na początek i musiała wracać do domu w połowie przyjęcia. Zresztą chłopców interesowały przede wszystkim sprawy związane z samą kolacją. Rozmawiali głównie o jedzeniu, zastanawiając się, jak też może smakować bażant nadziewany truflami albo w czym jest lepsze wino z korzeniami od miodu ze skórkami pomarańczy.

Dyskusja bywała tyleż zażarta, ile zupełnie bezprzedmiotowa – żaden bowiem nie miał nigdy najmniejszych szans, by spróbować omawianych z taką pasją przysmaków. Kiedy więc znikaly ze stołu, stopniowo ulatniali się z liściastej trybuny również ich wielbiciele. Dłużej zostawały dziewczynki zainteresowane tańcami i strojami modnych pań przybywających do letniej rezydencji. Ale i one odchodziły jedna po drugiej, jakby w takt kolejnej piosenki przygrywanej przez dworską orkiestrę sprowadzaną z Łańcuta, by bawić zaproszonych gości.

I tylko jedna z nich – mała Agnieszka Machówna – przez wiele lat nigdy nie opuściła ani jednego sobotniego wieczoru w parku na drzewie. Bez względu na porę roku i pogodę tkwiła na gałęzi, zupełnie nie zwracając uwagi na pozostałych gapiów. Przychodziła pierwsza, jeszcze zanim podjechał powóz najbardziej niecierpliwego ze wszystkich gości, i schodziła ostatnia, kiedy pożegnano największych maruderów. Często docierała do domu o świcie, ale rodzina nauczyła się nie zwracać uwagi na jej dziwne zwyczaje.

Początkowo domownicy próbowali ograniczać jej wyjścia do pańskiego ogrodu – w końcu wszystkie dzieci miały swoje obowiązki i nikt na wsi nie mógł sobie pozwolić na wolne popołudnie. Od odpoczywania była niedziela i tylko w tym jednym dniu, nie licząc świąt, ograniczano pracę w obejściu. Agnieszka



jednak, mając już osiem lat, prosiła, by dzień wcześniej wyznaczano jej, co ma zrobić w sobotę, i wstawiała przed świtem, tak by na czas wyrobić się ze swoimi obowiązkami.

W domu wszyscy widzieli, jak jej zależy na tych sobotnich wyjściach, a że wszystkie zadania wykonywała z należytą starannością, to i nie widziano potrzeby, by zabraniać czy utrudniać coś, co traktowano jak nieszkodliwą fanaberię dziecka o nadmiernie wybujałej wyobraźni.

A wyobraźnię miała mała Agnieszka nad podziw rozwiniętą. Obserwowała w napięciu wszystkie rozgrywające się przed jej oczami sceny, zauważała każdy szczegół i każdy gest. Niekiedy poruszała w ciszy ustami, naśladując wypowiedane słowa. W samotności zaś ćwiczyła ich wymowę głośno.

Była wtedy nie tylko obserwatorką, ale w swojej wyobraźni również uczestniczką wszystkich tych wspaniałych uroczystości.

## Narodziny polskiej Wenus

Można powiedzieć, że Agnieszka wybrała sobie fatalny czas, by przyjść na świat. Późniejsza bohaterka legend i pieśni urodziła się bowiem w trudnym dla rodaków roku 1648. Był to rok wybuchu rujnującego ojczyznę powstania Chmielnickiego, które doprowadziło do zniszczenia i wyludnienia znacznych połaci kraju. Zbuntowani przeciw władzy Kozacy pod wodzą Chmielnickiego w sojuszu z Tatarami złupili niemal połowę kraju, docierając ze swoimi zagonami aż do ziem centralnej Polski.

Konsekwencje powstania odczuwano przez wiele lat nie tylko na terenach objętych bezpośrednio działaniami wojennymi. Nawet w odległych zakątkach Rzeczypospolitej pojawiły się problemy z zaopatrzeniem w żywność, zaś uciekająca z zagrożonych obszarów ludność powodowała napięcia społeczne, przynosząc niepokój w rejony od dawna nietknięte butem najeźdźcy. Można się więc spodziewać, że i w jej rodzinnej wsi odczuwano skutki tych dramatycznych wydarzeń.

Agnieszka urodziła się we wsi Kolbuszowa leżącej na skraju Puszczy Sandomierskiej, wówczas na terenie województwa sandomierskiego, zaś obecnie podkarpackiego. Wojska Chmielnickiego nie dotarły aż tak daleko, ale przez kilka tygodni oblegały odległy o sto kilometrów Zamość, więc atmosfera wojennego zagrożenia musiała być silnie odczuwana w jej rodzinnym domu. Korzystne położenie wsi przy ważnym szlaku handlowym Sandomierz – Przemyśl wpływało nie tylko na jej rozwój, lecz także na kontakty z obcymi – każdego dnia drogą obok jej domu ciągnęły wozy kupców z odległych stron. W czasie wojen zaś szeregi uciekinierów z zagrożonych okolic.

Ta dość duża jak na ówczesne warunki wieś należała wówczas do magnackiego rodu Lubomirskich. Do rozległych dóbr zamożnej rodziny włączył ją w 1616 roku Stanisław Lubomirski, w swoich czasach najpotężniejszy z magnatów małopolskich, jeden z najbogatszych i najbardziej wpływowych polskich panów. To on wybudował w Kolbuszowej letnią rezydencję, do której zapraszał swoich gości, by przy dobrym winie i muzyce spędzać beztrudnie czas.

Nie znamy dokładnej daty narodzin Agnieszki, gdyż w tamtych czasach nie prowadzono ewidencji urodzin chłopskich dzieci. A gdyby nawet, to prawdopodobnie informacja nie przetrwałaby do naszych czasów ze względu na burzliwe losy naszego narodu, które doprowadziły do zniszczenia znakomitej większości polskich archiwaliów.

Możemy natomiast spróbować ustalić, kiedy nasza bohaterka przyszła na świat na podstawie jej imienia. W tamtych czasach w rodzinach chłopskich

i mieszczańskich zazwyczaj nadawano dziecku imię świętego – patrona dnia urodzenia<sup>55</sup>. Mawiano, iż dziecko przychodziło na świat ze swoim imieniem. Imieniny Agnieszki obchodzone są dziewięć razy w roku, od stycznia do listopada. Najczęściej jednak dwudziestego pierwszego stycznia i dwudziestego kwietnia. I to wśród tych dwóch dat należy prawdopodobnie poszukiwać terminu urodzenia naszej bohaterki.

Nie wiemy, czy Agnieszka była pierwszym, czy kolejnym dzieckiem swoich rodziców. Gdybyśmy mogli stwierdzić, że była pierworodnym potomkiem, wtedy statystycznie bardziej prawdopodobną datą jej urodzin byłby dwudziesty kwietnia ze względu na okres zawierania na wsi związków małżeńskich. Przypadał on w przytłaczającej większości na koniec lata i początek jesieni danego roku, a gdy dodamy jeszcze do tego fakt, iż pierwsze dziecko w takich związkach rodziło się po upływie dziewięciu–dziesięciu miesięcy, to moglibyśmy z dużą dozą prawdopodobieństwa wskazać dokładną datę urodzenia się naszej bohaterki na dzień 20 kwietnia 1648 roku.

Nie wiemy, czy jej przyjściu na świat towarzyszyła radość z powitania nowego członka rodziny, czy raczej obojętność, a nawet smutek, gdy dziecko traktowano jako następny dopust boży. Raczej musimy podejrzewać to drugie, gdyż dziewczynki na wsi przyjmowano z o wiele mniejszym entuzjazmem niż chłopców, których uznawano za przydatniejszych w prowadzeniu ciężkich prac polowych.

Dzieci w chłopskich rodzinach rodziło się o wiele więcej niż w związkach szlacheckich czy mieszczańskich. Normą było kilkanaście porodów przypadających statystycznie na jedną kobietę. W ciągu pierwszych dziesięciu lat małżeństwa praktycznie każdego roku rodziło się jedno dziecko, później częstotliwość porodów malała. Kobieta dwudziestopięcioletnia bywała matką po dziesięciu porodach. Warto zaznaczyć, że w trudnych latach nieurodzaju ponad połowa dzieci umierała przed ukończeniem pierwszego roku życia. Natomiast do pełnoletności dożywała – bez względu na okoliczności – mniej niż połowa urodzonych na wsi.

Tak więc duża śmiertelność dzieci w połączeniu ze zjawiskiem większej umieralności chłopców niż dziewczynek sprawiały, iż narodziny dziewczynki nie były w chłopskim domu powodem do hucznego świętowania – często mawiano: „Ot, po prostu kolejna gęba do wyżywienia”, która miała szanse pół na pół, by dożyć pierwszych urodzin!

Ze względu jednak na rodzinę i sąsiadów w miarę możliwości wypadało uczcić narodziny dziecka. Rozmach tego świętowania zależał od zamożności rodziców, ich hojności, płci dziecka i liczby dzieci w rodzinie. Najsolenniej witano na świecie pierwsze dziecko i pierwszego syna. Świętowanie zaczynały kobiety przyjmujące poród, które częstowano wódką w podzięcie za wysiłek. Odgłosy radości ścigały do izby, w której odbył się poród, sąsiadki, i tak po

chwili umęczoną matkę i jej oseska otaczały rozochoczone kobiety spełniające kolejne toasty za pomyślność dziecięcia. Zdarzało się, że i kobietę w połogu częstowano alkoholem, co rzadko pozytywnie wpływało na stan zdrowia jej i karmionego jej piersią dziecka.

Mężczyźni w tym czasie nie mieli wstępu do domu. Świątowali więc oddzielnie w sadzie, w stodole lub gospodzie, w zależności od pory roku, fantazji i zasobności sakiewki.

Kilka dni po porodzie odbywał się chrzest. Ze względu na dużą umieralność dzieci wiejskich Kościół zalecał szybki chrzest i prosił ludzie zazwyczaj stosowali się do tych zasad. Niezwykle ważną sprawą był dobór rodziców chrzestnych – szukano osób dobrze sytuowanych, wierząc, że dzięki temu dziecko będzie miało łatwiej w życiu. Dlatego też wójt, sołtys, zarządca, a niekiedy nawet dzierżawca czy ktoś z rodziny właściciela wsi bywali proszeni o trzymanie noworodka do chrztu.

Chrzest zawsze był okazją do świętowania. Zapraszano rodzinę, sąsiadów, czasem nawet całą wieś. Goście przynosili drobne podarki i przy zastawionym stole bawiono się, wznosząc toasty za przyszłość ochrzczonego dziecka.

Dziewczynka przysła na świat w ubogiej rodzinie chłopów pańszczyźnianych. Jej los był więc zasadniczo przesądzony w chwili narodzin, gdyż przynależność stanową dziedziczyło się po rodzicach i nie pozostawiono zbyt wielu możliwości zmiany swojego położenia. Jedynie nieliczni chłopcy – można rzec szczęśliwi wybrańcy, często dzięki protekcji – poprzez naukę, służbę Bogu lub służbę wojskową mogli za zgodą pana poprawić swoją dolę. Ale ich odsetek był tak niewielki i do tego stale ograniczany, iż nie wpływał na ogólny obraz braku perspektyw chłopskich dzieci.

Znakomita większość, przywiązana prawem do roli, kończyła swój żywot w tym samym miejscu, gdzie go rozpoczęła, i niejednokrotnie w większej nędzy niż ich rodzice, bo rozdrabniane między dzieci gospodarstwa dawały coraz mniejsze dochody. Pracowała w pocie czoła na dobrobyt swych panów.

Można by rzec, że w tych okolicznościach niepotrzebna była nadzwyczajna przenikliwość wróżki, by jednoznacznie nakreślić los nowo narodzonej dziewczynki. Jak każdą w jej wsi, czekało ją trudne i pełne niebezpieczeństw dzieciństwo wypełnione pracą ponad siły, wczesne zamążpójście, liczne porody, wczesna starość tuż po trzydziestym roku życia i przedwczesna śmierć.

W tym konkretnym przypadku niewielki promyk nadziei dawało nowo narodzonej dziewczynce zajęcie ojca, który mimo swojego chłopskiego pochodzenia osiągnął pewien awans na tle rówieśników. Otóż w młodości pełnił funkcję dobosza milicji pańskiej w Dubnie leżącym wówczas w dobrach potężnego rodu Zasławskich. Mógłby więc, korzystając z dawnych znajomości, próbować umieścić któreś ze swoich dzieci wśród służby dworskiej, co dawałoby nowe możliwości wyrwania się z wiejskiej biedy.

Jakie to były możliwości w tamtych czasach?

Chłopcy poprzez swój spryt, inteligencję, zaradność i usłużność mogli zwrócić na siebie uwagę pana lub kogoś z jego otoczenia, by w ten sposób zyskać szansę na awans. Dziewczynki musiały polegać na wdzięku i urodzie, które czasem przynosiły zainteresowanie panów. Kontakty intymne ze służbą nie budziły większego zgorznięcia, o ile to szlachta wykorzystywała żeńską służbę.

Natomiast zainteresowanie pań męskim personelem było nie do przyjęcia. Szlachta nie akceptowała bękartów w swoim gronie. Wierzono w wyjątkową misję szlachty i w niezwykłą moc krwi szlachetnie urodzonych, dlatego zazdrośnie strzeżono sypialni pań, gdyż nie chciano wychowywać nie swojego dziecka. Co nie znaczy, że nie zdarzały się w tym towarzystwie przypadki zdrady, a w jej wyniku również poczęcia dziecka pozamałżeńskiego. Zawsze jednak, gdy do takiej sytuacji doszło i prawda ujrzała światło dzienne, kończyło się to skandalem i oburzeniem salonów.

W przypadku panów rzadko kto się gorszył. Ciężarną służkę wydawano szybko za męża za innego sługę albo chłopca z rodzinnej wsi i dawano jej na osłodę jakąś gratyfikację, która czyniła ją bardziej atrakcyjną w oczach przyszłego męża. Czasem był to kawałek ziemi, częściej jednak okrągła suma, dzięki której zaradna kobieta mogła wieść żywot na wyższym poziomie niż jej rówieśniczki nieobdarzone pańskim zainteresowaniem.

Na wsi nic się nie ukryło. Wszyscy o takich przypadkach wiedzieli i nie wywoływało to większych skandali. Niektórzy badacze szacują, że od pięciu do dwudziestu procent dzieci urodzonych na wsi w analizowanym okresie to potomstwo z nieprawego łoża. Oczywiście nie za każde z nich odpowiadała szlachta, ale miała w tym swój istotny udział. Liczba dzieci nieślubnych wzrastała w okresie wojen i niepokoїв, wtedy zwiększała się liczba gwałtów na bezbronnej ludności wiejskiej, a wraz z nimi także bękartów.

Czy ojciec naszej bohaterki podejmował wysiłki na rzecz poprawy losu swoich dzieci poprzez umieszczenie ich przy dworze? I czy dotyczyły one właśnie Agnieszki? Tego nie wiemy. Nawet jeśli tak, to raczej nieskuteczne, gdyż w jej życiorysie nie znajdujemy śladów bezpośrednich kontaktów z miejscowymi panami. Ale już sam fakt, że ojciec pracował na dworze magnata, jego opowieści o bogactwie i przepychu, jakim otaczali się najmożliwiejsi ówczesnego świata, musiały pobudzać wyobraźnię żadnych wrażeń dzieci.

## Dzieciństwo

Ponure skrzywienie kół starego wozu raniło uszy wszystkich w promieniu kilkudziesięciu kroków. Wóz ciągnęła jeszcze starsza od niego chabeta z żebrami niemal przebijającymi się przez skórę noszącą ślady bata na całym kościstym grzbiecie. Obok wozu szedł równie chudy Żyd w połatanym chałacie, który chciał jak najspieszniej pozbyć się swojego ładunku kołyszącego się w rytm kroków konia. Nawet pobieżny rzut oka pozwalał stwierdzić kryjącym się w swoich obejściach gapiom, iż przewożony ładunek to zawinięte w starą szmatę zwłoki wychudzonej kobiety.

Za wozem sztywno maszerował złamany cierpieniem mężczyzna w otoczeniu gromadki pochlipującego drobiazgu. Oprócz męża i dzieci nikt inny nie towarzyszył nieboszczce w tej ostatniej drodze na ziemi. Przed nimi wylaniał się piaszczysty, łysy pagórek z kilkudziesięcioma świeżymi grobami, na których jeszcze nie wyrosła trawa. Wśród nich – jak szczerba w uzębieniu – czernił się pusty dół oczekujący na ładunek skrzypiącego przeraźliwie wozu.



Nietypowy to dość obrazek w opisywanych czasach.

Był to okres wielkich uniesień religijnych i przesadnego wręcz celebrowania najważniejszych chwil w życiu każdego człowieka. A śmierć niewątpliwie pozostawała, po narodzinach i małżeństwie, jednym z trzech najważniejszych momentów dla każdego. Dlatego starano się w nim uczestniczyć i podkreślać jego znaczenie. W ostatniej drodze każdemu mieszkańcowi wsi towarzyszyła cała lokalna społeczność. Przed złożeniem ciała do grobu odbywała się obowiązkowa msza żałobna w kościele. Zwłoki wystawiano na widok publiczny, żegnano się ze zmarłym, modlono się w jego intencji, wspomniano zasługi, składano kondolencje rodzinie i przemawiano.

W przypadku zmarłych z wyższych stanów uroczystości pogrzebowe mogły trwać przez wiele kolejnych dni, a uczestniczyły w nich nieprzebrane tłumy. Rodzina zmarłego, chcąc okazać szacunek nieboszczykowi, prosiła o asystowanie w ostatniej drodze jak największą liczbę osób duchownych, by razem wypraszały łaskę życia wiecznego dla zmarłego <sup>56</sup>.

Następnie w zależności od statusu chowano ciało w samej świątyni – to dla duchownych i największych panów – albo na przykościelnym cmentarzu

w obrębie murów świątyni – dla pozostałych. Po pogrzebie wyprawiano stypę, na którą zapraszano wszystkich uczestników pogrzebu.

Idąca z góry, od magnackich dworów moda na przesadne celebrowanie pochówków przenikała do nizin społecznych. Wielcy tego świata wydawali majątki, by pokazać potęgę swego rodu i uczcić zmarłego, przyćmiewając przy okazji uroczystość zorganizowaną przez sąsiada. Zachowały się do naszych czasów opisy ceremonii godnych faraona. Przygotowania do takich wydarzeń zajmowały miesiące i lata. Zaczynano je niekiedy jeszcze za życia, a kontynuowano po śmierci. Nieboszczyk, by spocząć w poświęconej ziemi, musiał niekiedy i rok poczekać w chłodnym lochu, zanim rodzina zorganizuje odpowiednią dla swej pozycji galę. Uczestniczyły w niej setki księży z hierarchami Kościoła na czele, tysiące powozów i koni oraz dziesiątki tysięcy ludzi.

W wyniku zapotrzebowania na tego typu usługi powstała cała wielka branża usług pogrzebowych, gotowa zaspokoić najbardziej wyrafinowane zachcianki. Specjaliści od tego typu uroczystości przygotowywali inscenizacje z udziałem aktorów mające na celu jak największe poruszenie uczestników pogrzebu. W pewnym momencie popularność zyskał zwyczaj charakteryzowania jednego z dworzaków na podobieństwo nieboszczyka. Ubierano go w jego szaty oraz zbroję, sadzano na ulubionego konia i polecano jechać za trumną z opuszczoną głową. Z relacji świadków wynika, iż widok ten wywoływał grozę i na zawsze zachowywał się w pamięci gapiów.

Człowiek ten po ustawieniu trumny w wypełnionym po brzegi kościele na dany znak wjeżdżał w pełnym rynsztunku do środka, niekiedy w galopie, i tuż obok katafalku spadał z hukiem na posadzkę. Niestety, nie udało się uniknąć wypadków przy takiej okazji, spadający w zbroi sługa i pędzący przez tłum koń przysparzali ofiar nawet wśród najbliższej rodziny zmarłego. Dlatego też z czasem zaniechano tego kontrowersyjnego zwyczaju. Dłużej natomiast utrzymało się ceremonialne kruszenie kopii w kościele, łamanie szabli i niszczenie insygnów urzędu piastowanego przez nieboszczyka.

Całość uzupełniały wyciskające łzy kazania najlepszych mówców w państwie <sup>57</sup>, lamentujące i mdlejące co chwilę płaczki, kiry, kapy, srebrne i pozłacane trumny oraz grobowce z marmuru zdobione rzeźbami mistrzów dłuta z całego świata.

Nie wszystkich było stać na pochówek z taką pompą, ale niższe stany też chciały godnie się zaprezentować na pogrzebie. Dlatego w odpowiedniej skali, ale jednak ze stosownym dla zasobności sakiewki przepychem żegnano szczególnie głowy rodów.

Pogrzebanie ciała bez mszy, asystujących mu tłumów i z dala od sakralnej budowli to widok raczej niecodzienny. Jednak tym razem tak właśnie musiało być.

Opisywany bardzo skromny ceremoniał pogrzebowy dotyczył matki naszej bohaterki. Gdzieś tam wśród drepącego za trumną drobiazgu była też czteroletnia Agnieszka odprowadzająca wraz z rodziną na cmentarz zmarłą przedwcześnie rodzicielkę. Był rok 1652 i przez kraj przetaczała się epidemia dżumy. W Kolbuszowej nie było rodziny, w której ktoś nie straciłby bliskiej osoby. Pogrzeby odbywały się kilka razy dziennie i dla bezpieczeństwa żyjących pochówków dokonywano w małych grupkach i w miejscu odległym od kościoła.

Czarna śmierć zebrała tego roku obfite żniwo, szczególnie wśród wycieńczonych głodem włościan. W małej główce Agnieszki, obok pełnych żalu wspomnień za utraconym ciepłem matki, rodziła się myśl, iż choć w domu bywało ciężko i biednie, to teraz może być już tylko gorzej. Może jeszcze nie zdawała sobie z tego w pełni sprawy, ale nikt na wsi nie mógł przetrwać w samotności. Żaden mężczyzna ani żadna kobieta nie byli w stanie samodzielnie wykonać wszystkich obowiązków związanych z hodowlą zwierząt i uprawą ziemi. Przez kilka dni, a nawet tygodni poza okresem intensywnych prac polowych można było sobie poradzić, ale na dłuższą metę ciężar gospodarowania na wsi był nie do udźwignięcia w pojedynkę.

Jeśli jeszcze dodatkowym obciążeniem stawały się małe dzieci, które nie były w stanie pracować w pełnym wymiarze i samodzielnie zadbać o siebie, wówczas należało jak najszybciej poszukać pomocy. Pisarze z wyższych sfer dziwili się czy wręcz gorszyli znieczulicą swoich poddanych, którzy – zanim jeszcze małżonek ostygł w grobie – już szukali sobie nowych partnerów. Wspominano z niechęcią o podrzucaniu mniejszych dzieci na wychowanie krewnym zmarłego małżonka czy, w braku takowych, porzucaniu ich jak bezdomnych zwierząt na ulicach miast. Tymczasem brutalna rzeczywistość zmuszała ludzi do okrutnych zachowań. Aby przetrwać w tych okolicznościach i zapewnić przetrwanie przynajmniej części potomstwa, trzeba było robić rzeczy nieakceptowalne z naszego punktu widzenia oraz z perspektywy elit ówczesnego społeczeństwa.

Czy Agnieszka w tym wieku zdawała sobie sprawę, że śmierć matki oznacza dla niej kres ubogiego, ale jednak szczęśliwego dzieciństwa? Czy podejrzewała, że wraz ze śmiercią matki utraci też ojca?

Tego nie wiemy.

Historia milczy też o dalszych losach jej rodziny. Prawdopodobnie ojciec, pozbywszy się przynajmniej części potomstwa, ożenił się ponownie i ograniczył kontakt z dziećmi z pierwszego małżeństwa.

Kronikarze odnotowali, że po śmierci matki Agnieszka trafiła na wychowanie do swoich ciotek. Nie miała tam łatwego życia. Ale wiejskie dzieci z reguły nie miały lekkiego życia. Już od najmłodszych lat musiały pracować w gospo-



darstwie. Nie było czasu na naukę w dzisiejszym tego słowa znaczeniu, nie wspominając o zabawie. Na zabawę mogły sobie pozwolić dopiero po wypełnieniu wszystkich obowiązków, a wtedy nie miały już czasem siły na nic innego poza snem.

Kilkuletnie dzieci pracowały w domu i w obejściu. Zajmowały się młodszym rodzeństwem i zwierzętami. Już ośmioletnie dzieci pracowały w polu niemal na równi z rodzicami, wykonując początkowo lżejsze obowiązki, by z czasem przyuczyć się do wszystkich zadań typowych dla ówczesnych mieszkańców wsi.

Podstawowym zadaniem Agnieszki już od najmłodszych lat było pasanie trzody i drobiu. Wczesnym rankiem od wiosny do późnej jesieni, często jeszcze przed wschodem słońca, wypędzała więc swoje stadko poza obejście, prowadząc je do lasu lub na leżące na skraju wsi nieużytki. Musiała pilnować, by zwierzęta nie weszły w uprawy, wyrządzając szkodę, oraz by nie porwało ich dzikie zwierzę. Po kilku godzinach sprowadzała swoich podopiecznych do zagrody, a kiedy zwierzęta przesypiały większość dnia, ona pracowała w polu, dbając o zabezpieczenie dla nich zapasów paszy na zimę. Kosiała i suszyła trawę, zbierała żołądźdźki dla świń. Zajmowała się też cioteczным rodzeństwem, które zawsze traktowano lepiej od pozbawionej opieki własnych rodziców dziewczynki. Po południu powtarzała rytuał znany z poranka i wracała do zagrody o zmroku.

W zimie oprócz karmienia i pojenia zwierząt czas wypełniały prace pod dachem. Kobiety odnawiały ubrania, darły pierze i szyły odzienie oraz pościel, łuskały groch, piekły, gotowały i sprzątały. Mężczyźni naprawiali budynki, wyrabiali narzędzia do pracy w polu, przywracali do użytku zepsuty po sezonie sprzęt.

Zima to trudny czas dla każdego stworzenia, ale dla stłoczonych w czterech ciasnych ścianach włościan musiała być szczególnie uciążliwa. Przy tej liczbie osób w wielopokoleniowej rodzinie nie było łatwo przetrwać do wiosny. Chłopskie domy składały się przeważnie z jednej ciasnej izby mieszkalnej, przedsionka i komory pełniącej rolę spiżarni. W tej jednej izbie gnieździło się kilkanaście, a czasem nawet ponad dwadzieścia osób.

Latem większość przebywała na zewnątrz, a część nawet spała poza domem – w stodole, a w szczególnie upalne noce nawet w sadzie. Zimą wszyscy tłoczyli się przez większość czasu na tej niewielkiej przestrzeni. Tylko w domach najzamożniejszych gospodarzy układano podłogę z desek, większość zadowalała się ubitą ziemią zwaną klepiskiem.

Wyposażenie składało się z jednego łoża, w którym spali gospodarze, nierzadko z kilkorgiem drobiazgu, czasem wstawiano drugie łóżko dla dziadków. Dzieci spały na klepisku, w lecie wprost na ziemi, a w zimie na legowisku ze słomy, która miała chronić przed chłodem. Przytulone do siebie ogrzewały się

wzajemnie ciałami. Gdzieś w tej gromadzie spała też Agnieszka, jako obca zapewne z dala od przyjemnego ciepła bijącego z paleniska.

Poza łózkami w chłopskich domach stały skrzynie na pościel, na ścianach i pod sufitem wisiały półki na naczynia i domowe sprzęty, oprócz tego stół i zydle, a w komorze półki i beczki, w których trzymano zapasy jedzenia.

Jedzenie na wsi było bardzo skromne i monotonne. W tamtych czasach nie uprawiano jeszcze ziemniaków. Sprowadził je do Polski Jan III Sobieski, ale początkowo były uprawiane tylko w królewskich ogrodach jako roślina ozdobna, ceniona z powodu pięknych kwiatów. Do celów spożywczych zaczęto je wykorzystywać znacznie później i dopiero w XIX wieku przyjęły się powszechnie na wsi.

Chłopi w tym okresie z konieczności byli niemal wegetarianami, żywili się kaszami, wyrobami mącznymi, grochem, jajami, mlekiem i serem pod różnymi postaciami. Hodowali zwierzęta, ale raczej na sprzedaż na pańskie stoły. Mięso jadano wyłącznie od święta i w niewielkiej ilości.

Aby wyżywić taką gromadę domowników, wszyscy musieli pracować od świtu do nocy przez cały rok. Czasu na rozrywkę było mało. Dla Agnieszki najważniejszą i prawdopodobnie jedyną atrakcją były sobotnie wypadki do pańskiego sadu, by podglądać życie wyższych sfer. W zimie była pozbawiona i tej odrobiny radości. Pozostawały więc wspomnienia lata i marzenia o wielkim świecie.

Znając późniejsze losy naszej bohaterki, jej inteligencję, wdzięk, spryt i zaradność, wielu zastanawia się, czy zdobyła w dzieciństwie jakieś wykształcenie. Czy przynajmniej opanowała sztukę czytania i pisania? W oparciu o ówczesne realia należy na te pytania odpowiedzieć przecząco. Nikt na wsi wówczas nie mógł sobie pozwolić, by tracić czas i pieniądze na uczenie bezużytecznych dla przetrwania umiejętności. W połowie XVII wieku wieś polska była całkowicie pogrążona w mrokach analfabetyzmu. Panowie byli przeciwni jakiegokolwiek formie kształcenia swoich poddanych. Uważali, że zbędna wiedza odrywa uwagę od pracy i sprawia, że chłopi stają się leniwi, krnąbrni i zuchwali.

Oczywiście pewien poziom wiedzy na temat uprawy roli i hodowli zwierząt musieli mieć, ale to im przekazywano w domu, natomiast wprowadzanie nowych upraw czy metod gospodarowania odbywało się pod nadzorem i z inspiracji dworu. Do tego znajomość pisma nie była chłopom potrzebna. Jedyną wiedzę spoza tego zakresu, i to w dość okrojonym wymiarze, przekazywali właścianom księża, którzy nauczali podstawowych zasad wiary i wpajali konieczne do zbawienia nakazy i zakazy.

Fakt ten przestanie nas szokować, jeśli sobie uświadomimy, że w połowie XVII wieku wykształcenie nie było powszechne nawet wewnątrz najbardziej uprzywilejowanego i skupiającego w swym ręku całość władzy politycznej stanu szlacheckiego. Jedynie magnaci utrzymywali na swych dworach nauczycieli,

którzy od najmłodszych lat uczyli kolejne pokolenia panów. Szlachta średnio zamożna w większości dbała o podstawową naukę pisania i czytania, zarówno w języku polskim, jak i po łacinie, jednak okresy zmagani wojennych, szczególnie na obszarach zagrożonych, sprzyjały raczej przyuczaniu do rzemiosła wojennego. Ślęczenie nad księgami nie było wówczas w modzie.

Najliczniejsza w społeczeństwie drobna i uboga szlachta w znakomitej większości nie umiała się nawet podpisać. Dobitnie świadczą o tym uchwały sejmikowe podpisywane przez nielicznych. Obecność pozostałych odnotowywano poprzez krzyżyki, które stawiali na znak swojego poparcia dla przyjmowanych postanowień<sup>58</sup>.

Podobną prawidłowość obserwujemy wśród mieszczan – elity przywiązywały większą wagę do wykształcenia, natomiast spóśpolstwo pozostawało ciemne i niewykształcone.

Aby dopełnić obrazu, warto wspomnieć, iż wszelkie dane dotyczące nauczania odnoszą się tylko do mężczyzn, gdyż kobiet powszechnie nie uczono nawet na dworach arystokratów. Córki wielkich tego świata przygotowywano do zupełnie innej roli w społeczeństwie. Miały być matkami, żonami, damami do towarzystwa, które powinny rodzić, służyć swym panom ku ich zadowoleniu i prowadzić dom przy pomocy niezliczonych sług. Poza tym ładnie się uśmiechać i dobrze wyglądać, a do tego teoretyczne wykształcenie nie było im potrzebne.

Oczywiście wiele pań z wyższych sfer potrafiło pisać i czytać. Świadczą o tym zachowane do naszych czasów listy. Jednak poza opanowaniem tej sztuki nie obciążano kobiecych umysłów nadmiarem wiedzy, zaś równie wiele arystokratek utrzymywało sekretarzy, którzy w ich imieniu prowadzili korespondencję. Powszechnie wówczas uznawano, iż nauczanie kobiet jest nie tylko niepotrzebne, ale wręcz szkodliwe dla ich delikatnych organizmów.

Nikt nie mówił wprost, że wykształcona kobieta mogłaby skonfundować swojego męskiego rozmówcę. Zawstydić go swoją wiedzą, poniżyć w oczach innych rozmówców i zniechęcić do dalszej konwersacji. Tym samym malały jej szanse na zamażpójście, a to było głównym celem i zadaniem ówczesnych kobiet. Zamiast tego operowano pojęciami „niekobiecych tematów”, „męskich rozmów o wojnie i polityce”. Kobiące rozmowy powinny być obracać się wokół rodziny, dzieci, domu i gospodarstwa. Natomiast w rozmowach z mężczyznami kobiety miały, według ówczesnych kanonów wychowania, głównie słuchać, uśmiechać się, dziwić, zachwycać, robić wielkie oczy, jeszcze szerzej się uśmiechać i podziwiać elokwencję rozmówcy.

Dlatego rozpowszechniano pogląd o niższości intelektualnej kobiet, która powodowała, iż mozolny proces edukacji był w ich przypadku i tak skazany na porażkę. Ich rozum miał być niezdolny do skupienia się na istocie rozpatrywanego problemu. Skoro więc i tak nie było nadziei na sukces, to nie widziano sensu w daremnych staraniach. Już A.M. Fredro pisał: *Rozum mężczyzną, biało-*

głową afekt tylko rządzi, oraz kocha, oraz nienawidzi, nie gdzie rozum, ale gdzie afekt, tam wszystko. Szymon Starowolski uzupełniał tezę o wyższości emocji i uczuć kobiet nad rozumem: *Pospolicie białogłowy nie umieją miary w życiu i obyczajach zachować, albo się nakłaniają na tę albo na ową stronę. Gdy kogo miłują, miłują bez miary, gdy kogo nienawidzą i gniewają się bez miary, kiedy poczną być dobrymi, tak że świętymi zostają.* Mężczyzna zaś miał być ostoją racjonalności i rozsądku, które do roztrząsania poważnych rzeczy bardziej przystają.

Poglądy te uzupełniano stwierdzeniami o zatrzymaniu się w rozwoju umysłowym kobiet na pewnym początkowym etapie, charakterystycznym dla kilku-letniego dziecka. Z pełną powagą przyjmowano tezy typu: *Białogłowa nie jest sposobna do nauki dla grubości mętów mózgowych, zapychających się i tępość czyniących.* Co z kolei powodowało, iż częściej niż mężczyźni kobiety miały dawać się zwodzić wytworom własnej wyobraźni stojącej w opozycji do rozumu.

Prezentowane przez mężczyzn z pełną mocą przekonania nie były prostowane przez kobiety. Same, wychowane według tych zasad, pilnie strzegły, by ich córki powieleły sprawdzone wzorce, uznając, iż to, co sprawdziło się w ich przypadku, musi być dobre dla ich dzieci. I nie należy rozumieć, że polscy przedstawiciele płci brzydkiej byli ustosunkowani do pań bardziej pogardliwie niż ci z innych nacji, świadczą o tym niezliczone przykłady wypowiedzi obcych myślicieli, spośród których przytoczę tylko jednego, ale za to znanego wszystkim: *Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale nauki tak nie pasują do kobiety, jak siodło do wołu* – stwierdził Erazm z Rotterdamu.

W tej sytuacji brak wykształcenia mógł być nie tyle przeszkodą, ile wręcz atutem Agnieszki. Co innego brak ogłady i obycia towarzyskiego, brak wiedzy, jak reagować w określonych sytuacjach. Opanowanie zasad ówczesnego *savoir-vivre'u* należało do kanonu wychowania panien z dobrego domu i ich nieznanomość mogła stanowić największy problem Agnieszki udającej kogoś, kim nie była, ale o tym w dalszej części książki.

W ciężkiej codziennej walce o przetrwanie kształtował się charakter naszej bohaterki. Życie chłopów pańszczyźnianych w XVII wieku nie było łatwe, a dla małej dziewczynki niemającej oparcia w najbliższej rodzinie mogło stać się prawdziwą udręką. Odkąd umarła jej matka, niczego nie dostała za darmo. Na każdą kromkę czarnego chleba musiała zapracować po wielokroć, bo ciotki miały własne dzieci i nie zamierzały poświęcać ich przyszłości kosztem siostrzenicy. Dały jej dach nad głową, ale to wszystko, na resztę musiała zasłużyć.

Nie miała własnego kąta, gdyż w miarę potrzeb przepędzano ją z jednego gospodarstwa do drugiego. Na wiosnę jedna ciotka urodziła dziecko, to zabierała ją do siebie, by pomagała w prowadzeniu domu i opiece nad noworodkiem. Latem u drugiej obrodziły owoce, ktoś musiał je zerwać i przetworzyć na zimowe zapasy, gdy rodzina była zajęta pracą w polu, więc wzywano ją tam. I tak wydzierano ją sobie od wiosny do jesieni, ale w zimie nikt jej nie chciał,

więc bywało głodniej i chłodniej, lecz kiedy przetrwała do wiosny i skończyła pięć lat, nauczyła się już dbać o siebie. W takich warunkach przetrwała niemal dwanaście lat.

Oprócz sobotnich wypraw do pałacowego ogrodu życie Agnieszki w tym okresie niewiele różniło się od typowego dzieciństwa chłopskiego potomstwa. Było wypełnione od rana do wieczora rozlicznymi obowiązkami, a na przyjemności czasu pozostawało już niewiele.

Jednak znając późniejszą dbałość Agnieszki o wizerunek, możemy założyć, że była w swoim otoczeniu dzieckiem wyjątkowym, odróżniającym się od rówieśników tak bardzo, iż musiała się czuć obco. Na co dzień bosa i skromnie ubrana, ale w przeciwieństwie do reszty dzieciaków nie brudna, wyróżniała się szczególną starannością o schludność. Maniery, w których naśladowała uczestników sobotnich spotkań w starym dworku, budziły wesołość domowników. Zarówno dzieci, jak i dorośli szydzili z jej odmienności, traktowali jej zachowanie jak dziwaczne fanaberie, stukali się w głowę, naśladowali karykaturalnie jej mowę, podglądali ją i potem wyśmiewali.

Agnieszka musiała się czuć inna, wyalienowana, ale też wyjątkowa. Z głową pełną marzeń trudno było zaakceptować siermiężną rzeczywistość. Niewątpliwie nie chciała być taka jak jej rówieśnicy, którzy swoim ograniczeniem wzbudzali w niej politowanie. Przez to była osamotniona. Nie miała z kim rozmawiać, bo nikt jej nie rozumiał, więc rozmawiała sama ze sobą, miała swój własny świat wymyślonych przyjaciół, z nimi prowadziła kulturalne rozmowy, flirtowała i tańczyła, widząc się w roli królowej balu.

## Małżeństwo

To spadło na nią jak grom z jasnego nieba!

Jeszcze kilka dni temu żyła ze swoimi marzeniami w bezpiecznym świecie wypełnionym pracą. Nie było łatwo, ale przez cały czas żyła nadzieją na szczęśliwą odmianę swojego losu. Nie wiedziała, na czym będzie ona polegać, ale była pewna, że nastąpi już wkrótce. Może jutro księżę na czarnym koniu zawita do ich wioski i zakocha się w niej od pierwszego wejrzenia? Może pojutrze ojciec wróci i wprowadzi ją na salony, gdzie Agnieszka zachwyci wszystkich swoją urodą? Może za kilka dni przyjedzie nieznany wujek i zabierze ją daleko stąd do lepszego świata? Może...

Teraz już skończyło się wszelkie „może”.

Teraz już wiedziała, że nie ma przed nią przyszłości. Czeką ją taki sam los, jaki spotkał wszystkie kobiety we wsi. Wydadzą ją za męża, urodzi gromadkę dzieci, jeśli przeżyje kolejne porody, to przedwcześnie zestarzeje się od ciężkiej pracy i potem umrze, zapewne przed ukończeniem czterdziestu lat.

Świadomość nieuchronności tego losu, która spadła na nią i przygniotła ją jak drzewo starego Olczaka w lesie ostatniej zimy, stała się paraliżująca.

Siedziała na twardej ławie w kolbuszowskim kościele i płakała. Łzy dwoma nieprzerwanymi strumieniami płynęły po jej ślicznej buzi, spływając po brodzie i wsiąkając w pożyczoną przez ciotkę suknię. Własnej sukienki stosownej do ślubu nie miała.

Po raz pierwszy od wielu lat nie przejmowała się swoim wyglądem. Przeciwnie, chciałyby być teraz tak brzydka, by wzbudzić odrazę tego, którego wybrano jej na męża.

Niestety, nie zapowiadało się na to – obok niej wytrwale sterczał stary kozak i rozbierał ją wzrokiem, szczerząc poczerniałe pieńki zębów.

– Panie Boże, spraw, aby to był tylko koszmarny sen, z którego obudzę się zaraz, by wyruszyć ze swym stadkiem na leśne pastwiska! – prosiła, modląc się gorliwiej niż kiedykolwiek.

Niestety, to nie był sen.

W wieku szesnastu lat Agnieszkę wydano za męża za starszego od niej prawdopodobnie o dziesięć lat Bartosza Zatorskiego, który wydawał jej się w tamtym momencie starcem stojącym niemal nad własnym grobem.

Wbrew powszechnemu mniemaniu wczesne śluby w dawnych czasach nie były normą. W świadomości naszego pokolenia utrwalił się fałszywy obraz łączenia w pary dzieci. Przekonanie to umacnia w nas szereg przykładów z historii Polski. Pierwsza żona Kazimierza Wielkiego Aldona miała w chwili ślubu lat dwanaście (rok później urodziła córkę), Jadwiga Andegaweńska, wychodząc za mąż za Władysława Jagiełłę, ledwie ukończyła lat trzynaście, zaś Elżbieta Habsburżanka, pierwsza żona Zygmunta Augusta, siedemnaście.

Podobne przypadki zdarzały się w rodzinach rycerskich i arystokratycznych, jednak były to wyjątki wymuszane polityką, regułą zaś, na co wskazują przeprowadzone badania, stały się związki osób pełnoletnich. Z danych statystycznych wynika, iż w XVII i XVIII wieku czas wchodzenia w pierwsze związki małżeńskie nie różnił się aż tak zasadniczo od obecnego. Przeciętny Polak żenił się, mając powyżej dwudziestu pięciu, zaś Polka wychodziła za mąż w wieku powyżej dwudziestu lat. I była to granica o kilka lat niższa niż w krajach Europy Zachodniej. We Francji mężczyźni żenili się w tym okresie, mając dwadzieścia siedem lat, kobiety – o trzy lata mniej, w Anglii i Norwegii granica ta w przypadku obu płci była o dwa lata wyższa.

Statystyki zaniżały związki osób z nizin społecznych. Co prawda i tu Kościół postulował, by na ślubnym kobiercu stawały osoby, które ukończyły osiemnasty rok życia, ale życie na wsi toczyło się swoim rytmem. Ludzie wcześniej tutaj dojrzewali, szybciej się starzeli i przedwcześnie umierali. Nie było czasu na długą młodość i pozostawanie w stanie bezżennym. Z jednej strony właściciele wsi naciskali na szybkie ożenki – poddani w związkach byli mniej skłonni do buntu, za to bardziej pracowici. Musieli utrzymać rodzinę, więc gorliwość małżonków w wypełnianiu obowiązków wobec dworu rosła. Z drugiej – presja bliskich i otoczenia, oczekujących, by młodzi ludzie zaraz po osiągnięciu dojrzałości łączyli się w pary, tworząc nową rodzinę. Dlatego na wsi kobiety wydawano za mąż w wieku piętnastu–szesnastu lat, a mężczyźni żenili się, mając siedemnaście–osiemnaście lat.

Nieco tylko generalizując, można stwierdzić, iż najważniejszym czynnikiem odgrywającym kluczową rolę w skłonności (lub jej braku) do wczesnych związków był szeroko rozumiany dobrobyt danej grupy społecznej. Elity żyjące w doskonałych warunkach mogły sobie pozwolić na dłuższe dzieciństwo i bez troskie lata młodości spędzanej na zabawie. Biedni nie korzystali z tego luksusu.

Wszyscy jednak wcześniej czy później musieli wstąpić w związek małżeński. Nie wyobrażano sobie zamierzonego życia w pojedynkę. Panujące zwyczaje, presja społeczna, wreszcie w niektórych środowiskach ścieżka awansu i rozwoju zawodowego wymuszały posiadanie współmałżonka. Człowiek osiągał pełnię swojego rozwoju osobistego dopiero po wstąpieniu w związek małżeński. Natomiast wcześniej nie był pełnowartościowym członkiem społeczeństwa,

traktowano go jak wiecznie małoletniego mimo formalnej dorosłości. Jego życie, szczególnie starych panien, uważano za godne współczucia i starano się ze wszystkich sił, by zmienić ten stan. Nie dotyczyło to wdów czy wdowców – oni już przeszli przez próbę małżeństwa i, nawet gdy nie mieli dzieci, cieszyli się szacunkiem porównywalnym do estymy dla osób pozostających w związkach.

W środowisku mieszczańskim tylko żonaty mężczyzna był godzien, by go przyjąć do cechu. Tylko głowa rodziny mogła piastować odpowiedzialne funkcje w miejskim magistracie. Ślub był potwierdzeniem osiągnięcia pełnej dojrzałości, usamodzielnienia się, wyrwania spod opieki rodziców.

Wśród szlachty takiej silnej presji nie było i nie uzależniano wprost możliwości piastowania funkcji publicznych od posiadania żony, jednak z zachowanych przekazów wiemy, iż z nieufnością odnoszono się do kawalerów. Żonaci cieszyli się większym zaufaniem i szacunkiem, co sprawiało, że chętniej wybierano ich na stanowiska wymagające autorytetu. W domu również członkowie rodzin pozostający w związkach mieli większe prawa od wolnych. To im wcześniej wydzielano należną im część majątku, to oni mieli silniejszy głos w sprawach rodu.

Najsilniejszy nacisk panował jednak w środowisku chłopskim. Uprawa ziemi w tamtych czasach wykluczała możliwość poradzenia sobie z tym zadaniem w pojedynkę. Dlatego przekazywanie gospodarstwa było możliwe dopiero po zawarciu małżeństwa przez syna, na którym spoczywał obowiązek opieki nad niedołączonymi członkami rodziny.

Konsekwencją całego splotu ukazanych czynników była ogromna presja na łączenie się ludzi w pary. Jedynie osoby z marginesu społecznego, biedota wiejska i miejska, ale też osoby kalekie, których nie byłoby stać na utrzymanie rodziny, pozostawały w stanie bezżennym, co nie budziło zgorszenia.

✱

O gotowości młodych ludzi do wstąpienia w związek małżeński decydowali nie tyle sami zainteresowani, ile ich rodziny, które, uznawszy, iż nadszedł właściwy moment, przyjmowały na siebie obowiązek znalezienia odpowiedniego kandydata/kandydatki. Gotowość wstąpienia w związek małżeński sygnalizowały rodzina dziewczyny i ona sama poprzez symboliczne ogłoszenie światu, iż w domu znajduje się panna na wydaniu. Taki przekaz polegał na szczególnej staranności w dbaniu o wystrój obojczyka i ozdabianiu otoczenia domu. Tak więc ściany domu na wiosnę malowano, obojczyk porządkowano, podwórze wysypywano piaskiem, czasem również kamyczkami układanymi w wymyślne wzory. Ścieżkę do domu lub wjazd do majątku przyozdabiano kwiatami, zieleń, zaś



w niektórych okolicach wywieszano z dala widoczny wieniec na tyczce przy bramie albo obok domu. Zamiast wieńca praktykowano również wywieszanie koła od wozu, zaś w dworach szlacheckich kobierców i kilimów.

Panny na wydaniu wystawiały kwiaty w oknach i zakładały ogródek przed domem, by mieć z czego uwić swój wianek. Oprócz kwiatów w ogródku musiały się więc znaleźć rośliny niezbędne do przygotowania wianka o każdej porze roku, nawet zimą: ruta, lawenda, rozmaryn i mirt. To od tego zwyczaju wzięło się złośliwe stwierdzenie dotyczące starych panien, że ciągle jeszcze „sieją rutkę” w ogrodzie, co miało oznaczać, że nie porzuciły nadziei na zamążpójście, mimo iż odpowiedni wiek dawno minął.

Co prawda takie informowanie otoczenia o gotowości do małżeństwa nie było potrzebne – wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi, głosiło popularne przysłowie. Wszyscy więc wiedzieli, gdzie w okolicy znajduje się panna na wydaniu, zaś rozmowy o łączeniu par były ulubionymi tematami towarzyskich spotkań. Większość związków i tak zawierano w bliskiej okolicy w myśl ludowej zasady głoszącej, iż należy kraść daleko, a żenić się blisko.

Atrakcyjność panny na wydaniu zależała nie tyle od jej urody, ile od posiadanego posagu, czyli majątku, który dziewczyna otrzymywała od swojej rodziny w chwili zamążpójścia. Szczególnie wśród szlachty kwestie majątkowe i towarzyskie (możliwość wżenienia się do odpowiedniej rodziny lub łączenia rodów) odgrywały istotną rolę. Im większy ród, tym ważniejsze stawały się możliwości finansowe i koligacje łączonej pary. Więcej w tym było strategii i polityki, a mniej miłości, decyzje zaś zapadały ponad głowami nowożeńców, których rzadko pytano o zdanie.

Podobne zasady obowiązywały wśród elit mieszczańskich. Paradoksalnie najwięcej swobody w doborze współmałżonka pozostawiano młodym w środowiskach uboższych, szczególnie zaś w wiejskim. Tutaj młodzi przeważnie znali się osobiście przed ślubem. Przy wspólnej zabawie, przy pracy lub podczas odpoczynku był czas na flirty, rozmowy i bliższe poznanie się nawzajem. Niekiedy nawet na wzajemne zauroczenie czy miłość, której rodzina przeważnie nie stawiała na drodze. Zresztą nie obowiązywały tutaj te rozbudowane konwenanse, krępujące zachowanie młodych z wyższych sfer. Ludzie byli bardziej bezpośredni, mniej skrępowani, dlatego i o wyrażanie własnych uczuć było łatwiej.

Jednak i w tym środowisku bezpośrednio rozmowy o małżeństwie rzadko praktykowano. Młodzi mogli snuć plany, marzyć o wspólnej przyszłości, jednak konkrety były zbyt krępujące, by pozostawić to przyszłym małżonkom. W powszechnym zwyczaju było używanie do rozmów pośredników, zazwyczaj osoby spokrewnionej lub zaprzyjaźnionej z rodziną konkurenta do ręki panny.

Kiedy więc rodzina panny na wydaniu zasygnalizowała gotowość do wydania jej za mąż, nastawał czas przysyłania swatów. Jednak zanim do tego doszło, lepiej było wybadać szanse kandydata. Dzięki temu zarówno kawaler, jak i jego

rodzina byli mniej narażeni na wstydlive odrzucenie. Wśród wielkich ówczesnego świata proces sondowania się nawzajem, podchodów, negocjacji warunków, również finansowych, przypominał grę w szachy i mógł trwać przez całe lata. Zanim wprost zgłoszono swoje zainteresowanie, delikatnie zasięgano rady dalszych krewnych, zbierano plotki, kupowano informacje od służby. Każdy gest i każde słowo mogły mieć znaczenie, więc dyplomatyczne zdolności pozostawały w cenie, a osoby mające dar dyskretnego prowadzenia rozmów cieszyły się wielkim poważaniem.

Biedniejsi załatwiali sprawy szybciej i prościej, ale i tu nie obywało się bez swatów. Nikt nie chciał spotkać się z osobistą odmową, szczególnie w otoczeniu obcych sobie osób. Lepiej było usłyszeć złą nowinę od własnego krewnego występującego w roli swata niż od niedoszłego teścia. Zaskoczeni odmową konkurenci niejednokrotnie reagowali emocjonalnie, więc lepiej dla wszystkich, by w pobliżu nie było żadnej z osób, które uraziły miłość osobistą kandydata. Takie nieprzemyślane gesty czy słowa bywały przyczyną dodatkowego ośmieszenia, a ludzie wówczas byli bardzo drażliwi i wyczuleni na punkcie swojego honoru, więc było bezpieczniej dla wszystkich, by delikatnie przekazywano złą nowinę w otoczeniu rodziny i przyjaciół.

Z czasem, by uniknąć krępującego wyrażania uczuć – a tym samym narażenia się na dotknięcie – znacznym stopniu zaniechano używania słów, przechodząc w sferę znaków i symboli. Swatów przybywających w konkury i delikatnie sondujących szanse swojego kandydata do ręki panny na wydaniu w zależności od nastawienia przyjmowano gościnnie albo nie.

Jeśli zabiegi były mile widziane, to gospodarze karmili i poili swatów najlepszym, co mieli w domu. Jeśli jednak nie, to poczęstunku nie było wcale albo podawano potrawy uznawane za symboliczne, mające jednoznacznie pokazać niechęć gospodarzy. Wśród nich królowała słynna czarna polewka, czyli zupa z krwi kaczki lub innego drobiu, czasem podawana też w wersji z czarnych jagód. Innym symbolicznym poczęstunkiem był arbuż, dlatego mówiło się, że konkurent dostał arbuza na znak odrzucenia. Podobną symbolikę miało wręczenie wieńca grochowego czy kosza z wikliny, niekiedy pozbawionego dna, przez co mowa o daniu komuś kosza<sup>59</sup>.

Przy odmowie należało zachować powagę i niezwykłą delikatność, by nie urazić uczuć zalotnika i nie sprowokować go do jakichś gwałtownych czynów w obronie swojego honoru. W złym guście były drwiny z konkurenta, złośliwości czy pogardliwe traktowanie swatów. Ponadto pretendujący do ręki powinien zachować się z godnością w razie odmowy i nie czynić żadnych wstretów wybrance ani jej rodzinie. Źle widziane było obrażanie się, krytykowanie czy obmawianie z zemsty. Taki drażliwy zalotnik był obiektem złośliwości otoczenia, a jego szanse następnym razem u innej panny malały.

Kiedy strony się dogadały i decyzja co do połączenia młodych zapadła, wydarzenia nabierały tempa. O ile wcześniej przy negocjacjach i wzajemnym sondowaniu nie zalecano pośpiechu, o tyle już po wyrażeniu zgody nie było na co czekać. Konkurent zawiadomiony o przychylności panny czym prędzej przybywał do niej ze śpiewem, a kogo było stać, to i z orkiestrą, by się pokłonić rodzicom i samej dziewczynie. Prosił o rękę i w ciągu kilku dni organizowano wesele. Jeśli nie było ważnych przeszkód, nikt nie czekał do przyszłego miesiąca, o roku nie wspominając. Jedynie na królewskich dworach i wśród arystokracji przygotowania zajmowały więcej czasu, by dostojni goście z najodleglejszych stron Europy mogli przybyć na wesele.

\*

Czy Agnieszka знаła przyszłego męża? Czy obdarzyła go przed ślubem uczuciem?

Być może go znała – przynajmniej z widzenia. W końcu należał do personelu służącego bezpieczeństwu i wygodzie rodziny, do której należała jej rodzinna wieś. Był kozakiem, czyli członkiem formacji zbrojnej służącej ochronie bezpieczeństwa swoich panów. Towarzyszył im w podróżach, a na co dzień pilnował bram i murów pałacu.

Mogła widywać go, gdy przyjeżdżał do letniej rezydencji w Kolbuszowej, eskortując jaśnie państwo w ich drodze do pałacyku. W końcu spędzała każdy sobotni wieczór na obserwacji zwyczajów wielkich tego świata. Może nawet jej się spodobał w starannie uszytym mundurze, tak innym od chłopskich siermiężnych strojów. Może zaimponował jej swoim dziarskim wyglądem oraz znacznie wyższą od jej własnej pozycją w ówczesnym społeczeństwie. W końcu wieśniacy tworzyli najniższy szczebel drabiny społecznej, zaś służba dworska stała wyżej w hierarchii. Natomiast, sądząc z późniejszych losów ich związku, o głębszym uczuciu między nimi nie mogło być mowy – przynajmniej z jej strony.

On ją zobaczył, zapragnął i dostał, dogadując się z ciotkami, prawdopodobnie nie tylko bez jej zgody, ale nawet bez wiedzy o prowadzonych ustaleniach. Ona chciała innego życia – marzyła o księciu. Nie chciała być żoną kozaka, rodzić mu dzieci i służyć. Chciała mieć własną służbę, chciała się bawić jak te szlachcianki, które podglądała w sobotnie wieczory. Dlatego dzień, który powszechnie kojarzy się ze szczęściem, dla niej musiał być koszmarem. Zwątpienie w możliwość spełnienia się jej marzeń i snów byłoby jak najbardziej na miejscu. Podobnie jak załamanie i rozpacz towarzyszące jej w godzinach tej ciężkiej próby charakteru.

W zwyczaju tamtych czasów leżało okazywanie lęku przez pannę w dniu ślubu. Do tego pewnej dozy niechęci przed opuszczeniem rodzinnego domu, porzuceniem dzieciństwa, znajomych kątów i rodziny, by od tej pory gospodarować na swoim. Ten strach i opór, przełamywane przez narzeczonego, miały też symbolizować obawę niewinnego dziewczęcia przed wkroczeniem w świat dorosłych, przed nowymi obowiązkami, niepewną przyszłością, która zastępowała bezpieczeństwo i dotychczasową stabilizację.

Przez pewien czas zachowały się w niektórych okolicach znane z czasów przedpaństwowych obyczaje inscenizowanego porywania panny z domu rodziców przez zalotnika i jego kompanów. Oczywiście prawo surowo karało porwanie panny z domu rodziców bez ich zgody, ale takie odgrywanie uprowadzenia stanowiło atrakcję dla otoczenia, a uczestnikom pozwalało na podkreślenie zróżnicowanego podejścia do kwestii małżeństwa: on to ten, który bardzo chce i gotów jest na wszystko, by zdobyć wybrankę, ona się lęka i opiera, jednak ulega pod wpływem przemocy. Była okazja, by z jednej strony wykazać się odwagą i determinacją, z drugiej zaś zademonstrować zdolności dramatyczne poprzez rozpacz i udawaną niechęć porwanej uwożonej przemocą do ołtarza.

Oczywiście, nie lekceważąc niepokoju towarzyszącego obojgu młodym ludziom, wstępującym na nową drogę, należy stwierdzić, iż w znakomitej większości młodzi wyrażali dobrowolną zgodę połączenia się węzłem małżeńskim. A okazywana awersja panny młodej do stanu małżeńskiego maskowała radość, której okazywać dziewczynie nie wypadało. Najdobitniej wyraził to w ostatniej części *Trylogii* Sienkiewicza imię Onufry Zagłoba, stwierdzając, iż tak to się owe panny miłowania boją jak pies sadła.

Jednak w przypadku Agnieszki uczucie totalnej beznadziei i towarzyszące mu załamanie w dniu ślubu i w kolejnych, spędzonych u boku męża, nie były udawane.

✱

Mimo poniesionej klęski Agnieszce udało się w dość krótkim czasie otrząsnąć i odzyskać wrodzony optymizm. Szybko poradziła sobie z zauroczonym nią małżonkiem i wzięła go pod pantofel. Najważniejsze dla niej w tych pierwszych miesiącach stało się uniknięcie ciąży, co – jak wiemy – skutecznie zrealizowała. Jak jej się to udało zrobić, tego nie wiemy, ale faktem jest, iż w przeciwieństwie do swoich rówieśniczek, które pierwszą rocznicę ślubu świętowały przy kołysce pierwotnego potomstwa, a każdą kolejną w podobny sposób, wydając na świat swoje latorośle jedno po drugim, ona nie miała dzieci z Bartoszem.

Dzięki temu mogła powrócić do swych marzeń z okresu przedmałżeńskiego. Nie mając zbyt wielu obowiązków, gdy mąż od świtu do nocy pozostawał na

służbie u pana, mogła pomyśleć o swoim rozwoju. Prawdopodobnie to w tym okresie opanowała przynajmniej w podstawowym zakresie sztukę czytania i pisania, które to umiejętności w późniejszym czasie dopełnią jej wizerunek wielkiej damy z dobrego domu. Kto jej pomógł w nauce? Możliwości nie było zbyt wiele. Na pewno nie jej mąż. Od szeregowych żołnierzy czy członków prywatnych formacji mundurowych nie wymagano takich umiejętności. Gdyby je miał, to mógłby awansować, a nic nie wiemy o jego karierze, dlatego można mieć pewność, iż pozostał do końca życia analfabetą. Jedynie oficerowie i to raczej wyższych szarż posiadli tę sztukę.

Na wsi mógł to uczynić jedynie ksiądz lub ktoś z członków dworu. Kto to był? Tego nie wiemy i musimy pozostać w sferze domysłów.

## Ucieczka

Plan ucieczki z męzowskiego domu był gotowy od wielu tygodni. Niesiona dotychczas z prądem wydarzeń, Agnieszka postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i uczynić pierwszy, radykalny krok na drodze do realizacji marzeń o wielkim świecie. Najwyraźniej już rozumiała, że nie przybędzie do Kolbuszowej rycerz na czarnym koniu, by ją porwać do lepszego świata. Nie odwiedzi jej bogaty wujek, aby ofiarować jej bardziej kolorowe jutro.

– Jeśli nie zrobię nic, to za chwilę będzie za późno, by się stąd wyrwać! – powiedziała sobie pewnego wiosennego poranka, podejmując nieodwołalną decyzję. – Teraz albo nigdy!

W noc poprzedzającą ucieczkę nie mogła zasnąć i, leżąc w ciemnościach z otwartymi oczami, jeszcze raz robiła przegląd wszystkich słabych punktów, które mogłyby doprowadzić do wykrycia jej planów. Aby je zrealizować, musiały jednocześnie wystąpić wszystkie czynniki umożliwiające niepostrzeżone oddalenie się od domu na czas wystarczająco długi, by pogoń nie zdołała jej pochwycić, zanim zmyli tropy. Była pilnowana dzień i noc na zmianę przez samego Bartosza, a gdy jego nie było, to przez żółzowatą teściową, która zawsze pytała, dokąd idzie i kiedy wróci. Jakby tego było mało, krok w krok chodziła za nią siostra męża, nie do końca normalna nastolatka, która dla brata byłaby gotowa ją ugotować w garnku, gdyby tylko wydał jej takie polecenie.

– Muszę zostać sama, chociaż na kilka pacierzy! – to wiedziała na pewno, ale jak to zrobić, nie wzbudzając podejrzeń, tego jeszcze nie wymyśliła. Przygotowała się w wielkiej tajemnicy, ukrywając nieco pieniędzy zaoszczędzonych ze sprzedaży jajek. A wczoraj nadeszła wiadomość, na którą czekała od tak dawna – nazajutrz, kiedy Bartosz uda się jak co dzień na służbę, dowie się, że czeka go kilkudniowy wyjazd, o którym Agnieszka wiedziała, ale nie poinformowała małżonka – to była jej szansa!

★

Rok 1668, w którym Agnieszka ukończyła dwudziesty rok swojego życia i czwarty w związku małżeńskim z Bartoszem Zatorskim, był dla Polski czasem zawirowań politycznych. Rok wcześniej zmarła królowa Ludwika Maria, a król Jan Kazimierz, skłócony ze szlachtą i zniechęcony do dalszego panowania, postanowił zrezygnować z korony i wyjechać do Francji. Po wielu latach wojen

kraj pogрузył się w zamęcie dysput, knowań i ostrej walki politycznej o następstwo tronu.

W tych warunkach Agnieszka decyduje się na ucieczkę od męża, by z dala od niego rozpocząć nowe życie. Jej cel to oddalony o sto pięćdziesiąt kilometrów w linii prostej, licząc od rodzinnej wsi, Kraków. Miasto dość duże jak na ówczesne warunki, chociaż leżące nieco na uboczu ówczesnej polityki i życia towarzyskiego. Te koncentrują się wokół Warszawy, gdzie z reguły przebywa król ze swoim dworem, oraz Lublina i Piotrkowa, gdzie na sądy trybunalskie przyjeżdżają tłumy szlachty, by się procesować, obserwować, kto z kim się wadzi, i przy okazji bawić się wśród śmietanki towarzyskiej ściągającej nieodmiennie z najdalszych okolic.

Przed naszą bohaterką droga do przebycia – zdawałoby się – niedaleka, ale jeśli weźmiemy pod uwagę brak transportu i niebezpieczne drogi pełne dezertorów, maruderów i zwykłych rzezimieszków po niedawnych wojnach – pełna niebezpieczeństw. Jak Agnieszka ją przebyła i czy dokonała tego własnymi siłami, czy przy pomocy kogoś życzliwego, tego nie wiemy. Możemy podejrzewać, że ktoś jej pomagał w ucieczce oraz w czasie pierwszych dni pobytu w mieście i że prawdopodobnie była to osoba szlachetnie urodzona.

W pamięci zachowały się jej wyczyny na krakowskich salonach. Odnotowano, iż bywała w dobrym towarzystwie, bawiła się i romansowała, budząc niechęć szlachetnie urodzonych rywalek. Kobieta o takiej urodzie, co zgodnie podkreślali zarówno jej zwolennicy, jak i wrogowie, nie mogła pozostać niezauważona. Jednak by zaistnieć wśród wielkich tego świata, musiała w jakiś zuchwały sposób dostać się między nich. Nie można było wejść z ulicy i wmieszać się w tłum. Elity nie dopuszczały do siebie nikogo, kto nie mógł wykazać się pokrewieństwem oraz znajomością z innymi członkami tego gremium.

Agnieszka bez pomocy szlachetnie urodzonej osoby nie mogłaby sobie poradzic choćby w zdobyciu odpowiedniego stroju, nawet mając wystarczającą sumę pieniędzy, co jest nie do wyobrażenia przy ówczesnych cenach. Stroje dla członków stanu szlacheckiego szyli na zamówienie najlepsi krawcy z materiałów o wartości znacznie przekraczającej wieloletnie dochody wiejskiej dziewczyny. Ktoś więc musiał się nią zaopiekować. Prawdopodobnie jeszcze przed ucieczką z domu męża Agnieszka poznała odpowiedniego mężczyznę – zamożnego szlachcica, może nawet spokrewnionego z rodem Lubomirskich, który pomógł jej uciec i wprowadził ją na salony Krakowa. Musiał to być człowiek odważny albo na tyle zdesperowany w swym uczuciu do pięknej kolbuszowianki, by ryzykować nie tylko swoje dobre imię, ale też własną przyszłość. Pomoc w ucieczce poddanki (poddanego również) ówczesne prawo traktowało jako kradzież mienia, więc nawet jeśli wziąć pod uwagę swobodne podejście szlachty do paragrafów, był to zarzut poważny, mogący zepsuć widoki na przyszłą karierę desperata.

Ten jednak, niewątpliwie pod gwałtownym naciskiem samej zainteresowanej, odważył się na taki krok. Agnieszka została ubrana, przeszkolona w sztuce konwersacji, tańca i etykiety, a następnie wprowadzona na salony. Niewątpliwie przydały jej się wówczas obserwacje poczynione z wysokości gałęzi drzewa w sadzie jaśnie państwa z czasów dzieciństwa. Wśród małopolskiej szlachty, jak wspomniano, wywołała ogromne poruszenie. Mężczyźni tracili dla niej głowę, kobiety usychały z zazdrości, kipiąc z wściekłości, gdy ich mężowie nagle tracili zainteresowanie światem, zamieniając się w jednej chwili w bezwolne stworzenia wodzące zahipnotyzowanym wzrokiem za zjawiskową pięknoscią. Na stosunkowo krótki moment stała się największą atrakcją sezonu. Bywała w najlepszych domach, zabiegano o jej względy, zapraszano i zabawiano.

Aby wkraść się do tego towarzystwa, musiała mieć dobrą legendę, która nie budziła podejrzeń co do jej szlacheckiego pochodzenia. Zazwyczaj w takich sytuacjach powoływano się na krewnych z odległych kresów Rzeczypospolitej. Tam, na ziemiach nawiedzanych przez ciągle wojny, niejeden ród wyginął, nie pozostawiając żywych świadków, a jedynie opowieści o istnieniu takiej rodziny. Ktoś doskonale zorientowany w ówczesnych parantelach mógł jej pomóc w opracowaniu dobrej historii, która wytrzymała próbę ognia najgorszych plotkarek, każdego wieczoru próbujących znaleźć najmniejszą szczelinę w jej zachwycającym pancerzu.

Niewątpliwie w czasie swojego krakowskiego epizodu stała się Agnieszka przyczyną niejednej rodzinnej tragedii, gdyż, jak odnotowali kronikarze, korzystała ze swych wdzięków ponad miarę i nie zachowywała przykładowej skromności. Po latach zarzucono jej rozwiązłość, folgowanie grzesznym chuciom i uwiedzenie ogromnej rzeszy dotychczas bogobojnych i wiernych mężów.

Świat salonów bez wątpienia oczarował Agnieszkę. Nowe życie w niczym nie przypominało siermiężnej rzeczywistości z czasów dzieciństwa i wczesnej młodości. Stroje, potrawy, klejnoty, zabawy, zabiegający o jedno spojrzenie mężczyźni, wściekle jak osy kobiety – to wszystko musiało się wydawać snem, o którym od dziecka marzyła. Musiała się zachłysnąć nowym życiem, w którym nie miała obowiązków poza tym jednym, by dobrze się bawić i podtrzymywać urok rzucony na otoczenie.

I gdzieś wówczas popełniła błąd!

Nie wiemy, czy to spisek kobiet, które intuicyjnie wyczuły fałszywą nutę w jej opowieści o swojej przeszłości i drażyły dotąd, aż dopięły swego, czy może odrzucony kochanek, który pomógł jej zaistnieć na salonach, zdradził jej sekret z zazdrości. Może do Krakowa przybył ktoś z łańcuckiego dworu, kto w pięknej damie rozpoznał żonę zwykłego dobosza. A może to on sam dotarł aż tak daleko w poszukiwaniu utraconego szczęścia. W każdym razie po kilku miesiącach cudownego życia Agnieszka została zdemaskowana i wypędzona z wysnionego raj.



## Powrót

Lustrzana sala błyszczała tysiącem świec. Parkiet lśnił, jakby sam był jednym wielkim lustrem, w którym odbijała się śmietanka towarzyska przybyła z najodleglejszych okolic Małopolski. Siedzące pod ścianami matrony wachlowały się, pilnie obserwując poczynania młodzieży. Dostojni panowie, jeden po drugim, przenikali dyskretnie przez drzwi wiodące do bocznych sal, gdzie kwitły nieskrępowane już obecnością pań pijaństwo i hazard. Młodzi mężczyźni krążyli po parkiecie, zabawiając rówieśniczki i rezerwując miejsca w ich karnecikach na najbliższe tańce. W kącie orkiestra stroiła instrumenty.

Do niedawna wszystko toczyło się według starych, prostych i stabilnych zasad, nad których przestrzeganiem czuwało gremium złożone z dostojnych matek i babć pilnujących, by panowie nie pozwalali sobie na zbyt wiele. Uśmiechały się z pobłażliwością, widząc rejterujących małżonków, którym się wydawało, że są tak sprytni, iż umykają tym sposobem ich czujnemu spojrzeniu. Zimnym wzrokiem studziły nadmierne zapawy młodych. A kiedy któryś zapominał się w zbyt zuchwałym ściskaniu drobnej rączki, reagowały natychmiast, wzywając zarumienioną nieszczęśnicę, by dotrzymała towarzyswa stęsknionej babce.

Tak było do chwili, gdy do salonu wkroczyła Agnieszka.

Głośny szmer rozmów ucichł natychmiast, jak na wydany rozkaz. Wszyscy wstrzymali oddech, a panowie nagle przestali się interesować winem i kartami. Szlachetnie urodzone młódki zostały same, jakby wybuchła wojna. A wokół nowo przybyłej gęstniał tłum nieopanowanej ciekawości, pomieszanej z zachwytem.

Orkiestra zaczęła grać, a ona ruszyła na środek parkietu. Ludzka ciżba rozstępowała się przed nią jak spienione fale przed laską Mojżesza. Dookoła oczy, dziesiątki, setki i tysiące wpatrujących się w nią oczu, jedne życzliwe, inne gniewne, jeszcze inne złośliwe...

Drgnęła, przebudzona, i poruszyła się, jeszcze nie całkiem przytomna, czując na twarzy smrodliwy oddech teściowej. Nie musiała otwierać oczu, by wiedzieć, że jak co dzień wpatruje się w nią z bliska, nachylając się tuż nad nią, jakby wachała świąteczną pieczeń. Obok na wąskim, twardym sienniku wyczuwała obecność Bartosza, który spał jak zabity, dopóki matka nie potrząsnęła go za ramię.

Ciekawe, jak długo będzie spał, kiedy ta stara prukwa pewnego razu zdechnie i nie przyjdzie go obudzić? – zastanowiła się Agnieszka, jeszcze zanim otworzyła oczy, by twardo odpowiedzieć na złośliwe spojrzenie teściowej.

– Wstawaj, ladacznico! – usłyszała zwyczajowe zawołanie obecne w ich relacjach od kilku miesięcy. – Świnie już tęsknią za towarzystwem prawdziwej

damy! Idź je nakarmić! – zarechotała, z czułością głaszcząc ramię ukochanego syneczka. – No już, synku, śniadanie na stole, chodź, zjesz coś, bo się spóźnisz na służbę! Mama przygotowała ci pyszną jajecznicę.

★

Pierwsze dni po powrocie pamiętała niewyraźnie, jak przez gęstą mgłę otaczającą jej głowę jeszcze wiele tygodni po tym, jak opuściła salony Krakowa. Ledwie przeszła przez koślawą furtkę obejścia, a rzucili się na nią we troje, bijąc, kopiąc i szarpiąc leżącą bez ruchu w błocie Agnieszkę. Upadła tam już po pierwszym potężnym ciosie w głowę i nie miała ochoty wstawać.

Najzjadle atakowała matka Bartosza – pluła, drapała po twarzy i rwała całymi garściami włosy z głowy synowej, jakby chciała na zawsze pozbawić ją urody, która przyniosła nieszczęście jej ukochanemu synkowi. Czysta nienawiść wylewała się z jej ust, gdy syczała przez spienione wargi najgorsze obelgi, jakimi można obdarzyć kobietę. Pluła i kopała po całym ciele, aż w końcu sama upadła bez tchu tuż obok, nie przestając wbijać ostrego jak sztylet spojrzenia w spływającą krwią twarz najbardziej znienawidzonej kobiety na świecie. Gdyby wzrok mógł zabijać, spopieliłaby ją tym spojrzeniem na kupkę żalonych resztek, jakimi była dla niej w tej chwili synowa.

On sam bił jakby bez przekonania. Więcej w jego ciosach wyczuwała żalu i tłumionej miesiącami rozpacz niż gniewu. Przez spływającą z głowy krew widziała, że stanął nad nią z zacisniętymi pięściami, dysząc z wysiłku i drżąc na całym ciele pod wpływem targających nim emocji. W końcu wszyscy pokładli się na środku podwórka, zbyt zmęczeni, by wymówić choć słowo, nieświadomi, że wokół ogrodzenia tłoczą się zaciekawieni sąsiedzi.

Ona milczała. Bez jęku przyjmowała razy, nie dając satysfakcji swoim oprawcom. Nie miała wyrzutów sumienia, niczego nie żałowała. Nie czuła się zobowiązana do dochowania wierności mężowi narzuconemu jej siłą, bez jej wiedzy i zgody. Powiedziała mu nazajutrz po ślubie: *Kiedyś ucieknę do lepszego świata*, ale on nie uwierzył albo zapomniał. Może miał też nadzieję, że ona porzuci swoje marzenia, przyzwyczai się, a nawet polubi. Dom, dzieci, codzienne obowiązki, ale i drobne przyjemności sprawiają, że zostanie z nim na zawsze.

Agnieszka trafiła na kilka dni do chlewika z parą warchlaków, gdzie teściowa z lubością zamykała ją, karmiąc tą samą strawą, co jej współlokatorów. Najwyraźniej jęcza nie przemyślała wcześniej, co zrobi, gdy synowa wróci do domu. Nie miała wątpliwości, że uciekła od jej syna w poszukiwaniu lepszego życia, ale planowanie jej przyszłości po powrocie zaczynało się i kończyło na mękach, jakie zada dziewczynie. Natomiast co potem, to już nie wiedziała. O rozwodzie czy wypędzeniu nie mogło być mowy – ksiądz prędzej by ją samą wypędził

z wioski, niż zgodził się na rozwód, a w zasadzie na unieważnienie małżeństwa, gdyż rozwodów wówczas nie praktykowano. Tyle to już wiedziała – że dwoje ludzi łączono na całe życie i nawet jak jedna strona zdradziła drugą, to jedynie można było się odplacić tym samym albo pięściami dać nauczkę zdzirze takiej jak jej synowa.

Zresztą dziedzic też nie dopuszczał, by jego poddani mogli decydować o sobie. Mieli pracować dla niego ze wszystkich sił i nie tracić energii na głupoty. Próby rozstania mogły się co najwyżej skończyć chłostą dla jednej i drugiej strony.

Ostatecznie zaś największą przeszkodą w radykalnym rozwiązaniu problemu stała się ona sama, bo po ucieczce Agnieszki uspokoiła sąsiadów historyjką o jej wyprawie z pomocą do ciężarnej kuzynki mieszkającej w odległych ostępach borów sandomierskich. Chciała synkowi oszczędzić upokorzenia, więc na poczekaniu wymyśliła wymówkę, która potem obróciła się przeciw niej. Kiedy po powrocie synowej zgotowali jej tak huczne powitanie, nie mogła się opędzić od sąsiadek złośliwie pytających o płeć dziecka, które przyjęła na świat Agnieszka, kiedy jej tu nie było. Ciągłe pytania, nachodzenie w domu i wścibstwo mieszkańców całej okolicy w końcu zmusiły ją do wypuszczenia Agnieszki z chlewika, bo przetrzymywanie jej tam stało w jawnej sprzeczności z misterną legendą opracowaną przez teściową.

W końcu po kilku dniach wyrodna synowa trafiła ponownie pod dach domu. Wszyscy udawali szczęśliwą rodzinę i tylko na uboczu poszturchiwania i obelgi nie dały jej zapomnieć o popełnionej zbrodni. Wieczorem zaś dopingowany przez matkę i siostrę Bartosz dwoił się i troił, by spłodzić potomka, który raz na zawsze przywiąże niewierną Agnieszkę do niego i jego domu. Sapał nad nią i dyszał, pryskając z wysiłku na jej kamienną twarz śliną każdej nocy, przy głośnych pomrukach aprobaty matki, a ona w milczeniu, połykając łzy bólu, zносиła te wszystkie szykany. Leżała bez ruchu, gdy jej kazano, wstawiała i szła do pracy bez skargi, gdy tego od niej wymagano, jednak tylko jej ciało przebywało w domu męża, jej myśli błądziły daleko stąd.

W głowie buntowniczkii rodził się nowy, lepszy plan! Wyciągnęła wnioski z porażki i przygotowała się o wiele lepiej. Doświadczenie z pobytu w Krakowie okazało się bezcenne.

Drugi raz nie popełnię tych samych błędów! – zaklinała rzeczywistość w samotnej ciemności, przezuwając z pasją zielsko mające ją uchronić przed ciążą.

## Ponowna ucieczka

Niezdolnie długie dwa lata trwały przygotowania do drugiej ucieczki. Początkowo chciała się zerwać i biec przed siebie, jak tylko wypuszczono ją z zamknięcia. Serce wyrывało się do innego świata. Nienawidziła tego smrodu, brudu, a najbardziej otaczających ją ludzi, którzy stali na drodze do jej szczęścia. Ale wiedziała, że trzeciej szansy może już nie być. Musiała się lepiej przygotować.

Z jednej strony zdawała już sobie sprawę z tego, czego będzie potrzebować najbardziej w szerokim świecie i jakich problemów oczekiwać, z drugiej – domownicy wiedzieli też, czego można się po niej spodziewać, i nawet na chwilę nie spuszczała jej z oczu. Jeśli przed pierwszą wyprawą czuła się jak w więzieniu o zaostrzonym rygorze, to teraz było to więzienie na szczycie wieży. Nikt nie mógł przebywać w jej obecności bez czujnego ucha jednego z domowników, nie mogła na krok ruszyć się poza zagrodę, by jej nie towarzyszyli strażnicy.

A jednak cierpliwość została nagrodzona!

Wiosną 1670 roku, wykorzystując chorobę teściowej, wokół której skupiła się cała uwaga rodziny, Agnieszka zniknęła. Nauczony doświadczeniem Bartosz, porzucając cierpiącą matkę, wskoczył na konia i ruszył czym prędzej w stronę Krakowa, spodziewając się, że żona zechce wykorzystać zdobyte znajomości, by tam ukryć się przed jego pościgiem. Tymczasem Agnieszka uciekała w drugą stronę i z każdą chwilą odległość między nią a ścigającym ją mężem rosła, zamiast maleć. Cel jej podróży był dwukrotnie dalej niż Kraków, który sobie obrała za pierwszym razem. Nie minął jednak tydzień, gdy jej zachwyconym oczom ukazały się wyniosłe mury Warszawy.

Nie mogła Agnieszka wybrać lepszego czasu na przybycie do stolicy. Chcąc się ukryć w tłumie, miała tu możliwości daleko większe niż w prowincjonalnym Krakowie. Do tego ferment towarzyszący zachodzącym zmianom sprzyjał jej planom. Otóż jesienią poprzedniego roku szlachta wybrała sobie nowego króla. Na miejsce ustępującego Jana Kazimierza dokonała elekcji syna sławnego wodza Jaremy – Michała Korybuta Wiśniowieckiego. Idąca wbrew woli ówczesnych elit koronacja wywołała potężny ferment w kraju, który podzielił się na dwa zaciekle zwalczające się obozy: regalistów popierających króla i malkontentów z hetmanem wielkim koronnym Janem Sobieskim na czele.

Warszawskie salony były pełne rozpolitykowanych stronników jednej bądź drugiej strony, zwracających mniejszą uwagę na nowe twarze w towarzystwie. Malkontenci bez końca spiskowali, dążąc do usunięcia z tronu nowego władcy za wszelką cenę, planowano zamachy, knuto podstępny. Regaliści oskarżali prze-

ciwników o zdradę i nawoływali do karania magnatów wysługujących się obcym dworom wbrew interesom szlachty i ich państwa. W atmosferze nienawiści i wzajemnych oskarżeń zerwano sejm koronacyjny pod byle pretekstem, a wojsko zostało bez żołdu, bo nie można było uchwalić podatków.

Wszędzie w gospodach przesiadywały szlachta, delegacje żołnierzy, poselstwa od obcych władców zabiegające o audiencję. Gwar, ruch i przepychanki sprzyjały anonimowości. Do tego w mieście zaroilo się od cudzoziemców, licznie przybyłych w orszaku świeżo poślubionej przez Michała Korybuta królowej Eleonory Habsburżanki, córki cesarza Ferdynanda III i przyrodniej siostry cesarza Leopolda I. Zawsze w takich sytuacjach do nowo tworzącego się dworu spływają zewsząd niebieskie ptaki w nadziei na intratną posadę.

Nauczona bolesnym doświadczeniem Agnieszka postanowiła gruntownie zmienić swoją strategię. Znała już zasady funkcjonowania elitarnego świata śmietanki towarzyskiej, więc wiedziała, że po pierwsze, musi zdobyć lepszą legendę dla swojego pochodzenia, po drugie zaś, że powinna zachowywać się dyskretniej niż poprzednim razem.

*Koniec z szalonymi tańcami w blasku tysięcy świec!* – postanowiła nieodwołalnie, choć nie było jej łatwo zapomnieć cudownego uczucia otaczającej ją zewsząd zawiści żon, kochanek i narzeczonych, które piorunowały ją niezliczonymi spojrzeciami, gdy wirowała na parkiecie w objęciach oczarowanych nią mężczyzn.

Czy podczas tej ucieczki korzystała z pomocy z zewnątrz? Tego nie wiemy, ale nie można wykluczyć, że niepostrzeżenie nawiązała kontakt z jednym ze swoich wielbicieli z przeszłości, by dostać się do Warszawy i być może odzyskać szaty, bez których nie mogłaby się pokazać w towarzystwie. Prawdopodobnie jeszcze w Krakowie usłyszała o potężnym i zasłużonym dla kraju rodzie Zborowskich, który na skutek splotu nieszczęśliwych wydarzeń wymarł stosunkowo niedawno, nie pozostawiając w swojej podstawowej linii żyjących potomków. Żyli co prawda dalsi krewni, jednak w większości zubożali i nieuczestniczący w życiu publicznym.

Postanowiła więc nasza bohaterka, że objawi się światu w swoim nowym wcieleniu jako Agnieszka Zborowska, panienska z magnackiego rodu, jedyna córka nieżyjącego już Marcina Zborowskiego. Tym razem jej celem nie była zabawa, lecz ucieczka na zawsze od swojej przeszłości. Miała dość czasu na przemyślenia, analizę błędów, które doprowadziły do wykrycia jej mistyfikacji, oraz swoich niedostatków, które nie pozwalały jej na swobodne poruszanie się w najwykwintniejszym towarzystwie.

Postawiła na skromność, dużą dozę tajemniczości i wiele niedopowiedzeń wynikających z jej trudnych przeżyć, tak by nie wikłać się w zbyt szczegółowe wyjaśnienia, mogące prowadzić do kolejnego zdemaskowania. Po raz pierwszy opowiedziała swoją historię smutnym, pełnym cierpienia, drżącym głosem, co

chwilę przerywając ze wzruszenia, co zniechęcało wrażliwych słuchaczy do zadawania pytań mogących ranić jej uczucia. Później zaś pozwalała, by inni opowiadali o niej. Sama zaś wzbraniała się przed poruszaniem tak bolesnych dla niej tematów, co spotykało się z pełnym zrozumieniem.

Wkrótce wszyscy już wiedzieli, że mają do czynienia z ostatnią przedstawicielką wspaniałego niegdyś rodu mogącą się poszczycić pochodzeniem tak znacznym, iż lepszego nie sposób sobie wyobrazić. Cały poczet zasłużonych ojczyźnie przodków tworzył drzewo genealogiczne o budzącym powszechny szacunek składzie. Jej ojciec arystokrata zakochany w ubogiej szlachciance Kopicównie popełnił co prawda swego rodzaju mezalians, żeniąc się ze zwykłą szlachcianką, ale nie było to nic takiego, co nie zdarzało się od czasu do czasu w każdym senatorskim rodzie. Ważne, iż żona również należała do stanu szlacheckiego.

Ona była owocem tej wielkiej miłości urodzonym bez rozgłosu w niewielkim dworku z dala od ludzkich oczu. Niestety, matka umarła w połogu, a zrozpaczony ojciec oddał niemowlę na wychowanie krewnym ze strony żony mieszkającym na uboczu wielkiego świata. Żyła więc sobie Agnieszka na prowincji w zwykłym szlacheckim domu bez wygód i dorastała otoczona troską krewniaków, nie zdając sobie sprawy ze znakomitości swego rodu.

Dopiero niedawno powiedziano jej, kim jest i od kogo pochodzi, wysyłając samą do wielkiego miasta. Nie znała życia na salonach, stąd nieśmiałość, skępowanie i braki w edukacji oraz ogładzie. Wszyscy to rozumieli i chętnie wybaczyli, pokrywając drobne potknięcia pobłażliwym uśmiechem.

– Wiadomo – mówiono – kto miał bidulkę nauczyć manier, gdy, zamknięta wśród lasów, rosła na dzikuskę. Teraz się nią zajmiemy, wprowadzimy w odpowiednie towarzystwo i znajdziemy jej godnego męża.

Nowa strategia przyniosła spodziewane owoce. Agnieszka stała się popularna, jej uroda i wdzięk przyciągały uwagę, a smutna historia przysparzała sympatyków. Ona sama unikała zwracania na siebie uwagi na większą skalę, wystrzegała się skandali, głośnych wystąpień i jawnego zgorszenia. Udawała niewinną panienkę z dobrego rodu i trzeba przyznać, że doskonale jej to wychodziło. Nie minęło wiele czasu, gdy wokół niej pojawiło się kilku konkurentów do jej ręki, gotowych się z nią ożenić nie ze względu na jej majątek, bo tego nie miała i przyznawała to otwarcie, ale z powodu doskonałych koligacji, którymi się chwaliła, a przede wszystkim uroku osobistego.

Młoda, piękna, nieśmiała i cierpiąca spotykała się z nieustającymi przejawami sympatii i współczucia szlachty kręcącej się wokół królewskiego dworu. Zapraszano ją, wspierano i obdarowywano. Nie zabrakło też chętnych, by pomagać w doborze odpowiedniej partii do jej ręki. Agnieszka nie mogła długo wybrzydzac, gdyż wiedziała, że jest tylko kwestią czasu, gdy natknie się na

kogoś, kogo już spotkała podczas swojego pobytu w Krakowie, i ten ktoś zdemaskuje ją jako oszustkę. Musiała wyjechać jak najdalej i jak najszybciej.

Ostatecznie jej wybór padł na cudzoziemca. W otoczeniu nowej królowej przebywało wielu godnych kawalerów. Jeden z nich, będący bogatym z domu oficerem cesarskiego regimentu o nazwisku Kollati, wpadł w oko Agnieszce. Zamierzał wkrótce wrócić na wiedeński dwór i proponował małżeństwo i wspólną podróż daleko od szukającego jej męża.

Agnieszka przyjęła oświadczenia, oczywiście nie wspominając o tak drobnym fakcie, iż aktualnie pozostaje w legalnym związku małżeńskim z innym mężczyzną. Odbył się skromny ślub i młodzi wyruszyli w podróż do Austrii.

## Na cesarskim dworze

– Czy mogę panią prosić do tańca? – Agnieszka bardziej się domyśliła, niż zrozumiała słowa przystojnego arystokraty, który kłaniał się grzecznie przed nią, wyciągając w jej kierunku wypielęgnowaną dłoń gestem niebudzącym wątpliwości.

Jeszcze się nie nauczyła niemieckiego, ale pewnych słów nie trzeba tłumaczyć. Skinęła wdzięcznie główką i ruszyła lekkim krokiem w stronę środka parkietu. Kolejny już wieczór była najbardziej rozchwytywaną kobietą w całym Wiedniu. Od kiedy przybyła tutaj ze swoim świeżo poślubionym mężem, zapraszano ich na każdy bal, jaki się odbywał w pałacu cesarskim. Co prawda letni pałac cesarski w Schönbrunn, w którym miało być tysiąc czterysta czterdzieści jeden pokoi, lustrzane sale balowe i zdobne wykończenia inkrustowane czternastokaratowym złotem, dopiero był budowany, ale i tak przebogate wnętrza rezydencji cesarskiej zwanej Hofburgiem robiły na niej piorunujące wrażenie. W porównaniu z Krakowem, który przed laty wydał jej się siódmym cudem świata, i zrujnowaną po potopie szwedzkim, a jeszcze nieodbudowaną Warszawą, Wiedeń jawił jej się jako miasto jak z bajki. Wielkie, gwarne i ociekające bogactwem całego świata miasto zapewniało anonimowość, o jakiej marzyła w chwili swojej ucieczki. Poczula się tutaj bezpieczna i zarzuciła ostrożność, z jaką występowała w Warszawie. Nie odrzucała żadnego zaproszenia, brylowała w towarzystwie, uwodząc każdego mężczyznę w zasięgu wzroku, bez względu na wiek i stan cywilny.

O dziwo Kollati, którego miała za światowca pragnącego zdobyć ją z czystej chęci posiadania kolejnego klejnotu w swojej bogatej już kolekcji rzeczy cennych i wyjątkowych, okazał się mężczyzną małostkowym i osobą o niezwykle wąskich horyzontach. Jego miłość szybko stała się zaborcza, zazdrośna i egoistyczna, w nie mniejszym stopniu niż jej pierwszego męża. Nie chciał jej dzielić z nikim innym i czuła wyraźnie, iż najchętniej, po pokazaniu wszystkim swojego nowego nabytku, zamknąłby ją na cztery spusty w swoim skarbcu mieszczącym się w jednym z jego majątków kilka mil na zachód od stolicy.

*Może to ja tak działałam na mężczyzn – zastanowiła się przez chwilę – że wszyscy kochają mnie miłością tak zaborczą, że jak koguty skaczą sobie do oczu? A może z nimi jest coś nie tak, że nie rozumieją potrzeb kobiety pragnącej tylko korzystać ze swojej urody?*

Wzruszyła pogardliwie ramionami, czując palący wzrok Kollatiego na swoich plecach.



*Jak tak dalej pójdzie, to nim minie ten sezon, ktoś w końcu odstrzeli ten jego głupi łeb w kolejnym pojedynku!* Wiedziała, że w ciągu ostatniego miesiąca jej zazdrosny małżonek sprowokował kilka incydentów, które zakończyły się pojedynkami z jej najgorliwszymi adoratorami. Do tej pory los mu sprzyjał – zręczny szermierz i dobry strzelec zostawił za sobą kilku poszatkowanych i postrzelonych zalotników, ale kiedyś każdy musi trafić na zręczniejszego od siebie.

Chyba i on doszedł do podobnego wniosku albo miał już dość robienia z niego głupca i rogacza, gdyż w połowie sezonu nakazał spakować swoje kufry i bez słowa opuścił wynajmowany na obrzeżach Wiednia niewielki dworek, udając się do swych dóbr na prowincji.

Agnieszka znalazła się w dość kłopotliwym położeniu.

Gdyby miała własne pieniądze, mogłaby pozostać w stolicy i dalej używać życia, niekrępowana już obecnością zazdrosnego męża. Jednak nie dysponowała środkami, które pozwoliłyby jej na życie w drogim mieście na odpowiedniej dla jej pozycji stopie.

Większość kobiet w jej sytuacji już po kilku dniach, najdłużej po dwóch tygodniach narastania zaległości w opłatach za wszelkie dobra, którymi się otaczały osoby o ich pozycji, wybrałyby jedną z dwóch dróg: albo schowałyby dumę i ruszyła pokornie za małżonkiem, by wieść u jego boku spokojniejszy żywot, albo prosiłaby go o pieniądze na zapłacenie rachunków oraz łaskawą zgodę na pozostanie w mieście. Zarówno na pierwsze, jak i drugie rozwiązanie Agnieszka była zbyt dumna. Zdesperowana kobieta w jej sytuacji mogła też polegać na hojności wielbicieli, którzy z ochotą spełniliby jej każdą, choćby najbardziej kosztowną zachciankę, i tej metody w pierwszej chwili się chwyciła. Jednak – nauczona doświadczeniem ze swoich pobytów w Krakowie i Warszawie – wiedziała, że na dłuższą metę doprowadzi to do kolejnych problemów, a być może nie mniejszego zniewolenia i zależności od kaprysów innych osób.

Agnieszka nie byłaby sobą, gdyby postępowała jak inne kobiety. Przemysłała swoje szanse na sukces w każdym możliwym wariantcie postępowania i doszła do wniosku, że na zagrywkę z wcielenie się w postać skruszonej żony wracającej pokornie pod skrzydła urażonego pana męża ma zawsze czas. Nawet gdyby Kollati nie chciał jej przyjąć, to nie miałby wyjścia – jego otoczenie zmusiłoby go do tego, bo rozwód nawet w przypadku zdrady był nie do pomyślenia. Oczywiście wiązałoby się to z koniecznością pokajania się z jej strony oraz rezygnacji z dotychczasowego trybu życia, ale na pogrzebanie się żywcem na wsi zawsze mogła się zdecydować, więc postanowiła walczyć.

Zdawała sobie sprawę z faktu, iż po kilku miesiącach pobytu w Wiedniu stała się dość popularną osóbką. Znano ją jako żonę oficera ze starego szlacheckiego rodu, ale również jako cudzoziemkę o tragicznej przeszłości. Od pierwszych chwil na obczyźnie umiejętnie rozsiewała pogłoski o swoim ciężkim losie sieryoty, spadkobierczyni potężnej fortuny i nie mniej wielkiej spuścizny duchowej

po sławnych przodkach. Stopniowo budując pochlebny dla siebie przekaz, pozwoliła się domyślać swoim rozmówcom, iż mają do czynienia z księżniczką uwiedzioną przez ich niewdzięcznego rodaka, który wywiózł ją z dala od bliskich, by tutaj więzić i wykorzystywać w sposób wołający o pomstę do nieba. Ona zaś z bezprzykładną odwagą próbuje walczyć o prawo kobiet do wychodzenia z domu.

Dzięki umiejętnie szeptanym tu i ówdzie słówkom rosła jej sława pięknej, skrzywdzonej, niepokornej, przy jednoczesnym wzroście niechęci do domowego tyrana. Znalazła współczucie i pełne zrozumienie nie tylko wśród zauroczonych nią mężczyzn, ale nawet w gronie niechętnych takiej rywalce kobiet. Zasięgnawszy języka tu i ówdzie, po dłuższej naradzie z życzliwymi jej osobami postanowiła, iż nie będzie się kajać i prosić męża o wybaczenie, lecz zażąda uznania jej praw. Zaprezentuje się jako strona pokrzywdzona w tym związku i wezwie do naprawienia doznanych krzywd.

Trzeba przyznać, że w tamtych czasach nawet kobiety urodzone w magnackich czy też królewskich pałacach nie zdobyłyby się na taki krok. Historia zna przypadki, kiedy córki i siostry panujących władców musiały ulec naciskom otoczenia i ugiąć kark przed wolą męża. Mimo stojących za nimi wpływów, pieniędzy i władzy najbliższych nie były w stanie wygrać w sporze z małżonkiem, któremu ówczesne prawo przyznawało rolę opiekuna w stosunku do żony i jej pieniędzy. Ze wszystkimi konsekwencjami tego faktu. Agnieszka, nie mając takiej pozycji, bez wsparcia rodziny, pozbawiona samodzielności ekonomicznej, postanowiła jednak walczyć. I czy to nieświadomość realiów, czy naiwność naszej bohaterki – o tym trudno rozstrzygać, jednak coś ją pchało w stronę starcia z siłą, z którą nie miała prawa wygrać.

Trzeba przyznać, że nasza rodaczka miała tupet ponad wszelką miarę, nawet z dzisiejszego punktu widzenia. Nie tracąc energii na włóczenie się po sądach i dochodzenie w nich swoich praw do utrzymania przez męża czy wprost do udziału w jego majątku, zażądała audiencji u samego cesarza. Nie ulega wątpliwości, że ktoś z najbliższego otoczenia władcy musiał ją tam rekomendować. Uroda Agnieszki miała swoich adoratorów wśród elit na najwyższym szczeblu wiedeńskiej arystokracji, nie może więc dziwić to, że znalazła odpowiednią osobę, która ułatwiła jej dojście do cesarskiego ucha. Być może sam władca dążył do spotkania z młodszą o dziesięć lat, słynącą z urody żoną swojego oficera.

Cesarz Leopold I Habsburg był bowiem wielkim miłośnikiem kobiet, szczególnie młodych i ładnych. Przy wyborze kolejnych żon decydujące znaczenie miał dla niego ich wiek. Mając dwadzieścia sześć lat, zaręczył się z czternastoletnią siostrzenicą, córką swojej starszej rodzonej siostry, królowej Hiszpanii Marianny Habsburg. Ożenił się z nią kilka lat przed przybyciem Agnieszki do Wiednia, kiedy wybranka osiągnęła wiek piętnastu lat. W ciągu następnych sze-

ściu lat jego wybranka urodziła cesarzowi czwórkę dzieci, a przy porodzie piątego zmarła, mając niespełna dwadzieścia dwa lata.

Pomijając nieformalne związki, od których władca nie stronił, był on mężem trzech żon, które urodziły mu w sumie szesnaścioro dzieci. Każdą kolejną wybrankę dzieliła od niego coraz większa różnica wieku. W 1673 roku, w marcu zmarła Marianna, a jeszcze w tym samym roku, po siedmiu miesiącach, pojął za żonę drugą swoją kuzynkę, Klaudię Felicytę Habsburg. Ona miała dwadzieścia lat, on trzydzieści trzy. Trzy lata później ponownie został wdowcem i przed upływem dziewięciu miesięcy ożenił się z dwudziestojednoletnią księżniczką palatyńską Eleonorą Wittelsbach, która przeżyła cesarza, mimo iż urodziła dziecięcioro żywych dzieci.

Niski i koszmarnie brzydki, był miłośnikiem muzyki, kolekcjonerem sztuki i wielbicielem kobiecego piękna. Sam nie grzesząc urodą, lubił się otaczać wszystkim, co wzbudzało jego zachwyty. Zachowane wizerunki cesarza ukazują nam dość pokraczną postać z charakterystyczną dla Habsburgów przerośniętą dolną wargą, która rzucała się w oczy już z daleka. Do tego pokaźny nos i wydłużona broda niedodające uroku mężczyźnie o dość posępnym wyrazie twarzy. Tym, co przyciągało do niego kobiety, nie licząc władzy i bogactwa, były piękny głos i umiejętność gry na licznych instrumentach. Cesarz, nie zważając na swą pozycję, chętnie śpiewał, występował na scenie, grał i komponował, pozostając hojnym mecenasem kultury.

Historia milczy na temat miejsca i przebiegu spotkania cesarza z naszą bohaterką. Czy odbyło się ono w blasku sali audiencyjnej cesarskiego pałacu? Czy w zaciszu monarszej sypialni, jak niektórzy sugerują? Tego nie wiemy. Niewątpliwie jednak w jednym z tych miejsc cesarz został przekonany, iż urocza i nieco bezradna osóbką, z którą właśnie ma do czynienia, została skrzywdzona przez jego poddanego. Ile takich spotkań się odbyło i do jakich metod perswazji Agnieszka musiała się posunąć, by przekonać cesarza do swoich racji, tego też nie wiemy. Wiemy natomiast, jaki był owoc tych zabiegów.

Cesarz zdawał się absolutnie przekonany, iż ma do czynienia z niewinnym dziewczęciem, spadkobierczynią jednego z polskich arystokratycznych rodów. Sierotą podstępem wywabioną z klasztoru przez bezwzględного uwodziciela, który przejął jej rodzinne klejnoty o ogromnej wartości, sięgającej nawet stu tysięcy złotych. Obecnie bezdusznie unikającym opieki nad swoją ofiarą porzuconą bez grosza przy duszy. Wzbudzony w duszy monarchy gniew na tak niehonorowe postępowanie oficera zaowocował bezprecedensowym wyrokiem skazującym Kollatiego na zapłacenie Agnieszce ogromnej sumy, będącej odzwierciedleniem należnych jej kwot zagarniętych przez męża.

Szok, niedowierzanie i zaskoczenie – tak można najlepiej określić reakcję otoczenia na decyzję władcy, na odwołanie od której nie było cienia szansy. Bez rozprawy sądowej, bez wysłuchania drugiej strony, z naruszeniem wszelkich

praw i zasad cesarz nakazał swojemu oficerowi wypłacić sumę rujnującą jego finanse. Mówiono, że w skomplikowanej sytuacji międzynarodowej Leopold nie chciał narażać swoich dobrych relacji z Polską, że obawiał się skandalu i że działał w dobrze pojętym interesie swojej młodszej siostry, która zasiadała wówczas na polskim tronie wraz z Michałem Korybutem Wiśniowieckim.

Faktem jest, iż w Polsce walka polityczna przeciwko królowi przybrała w tym okresie niezwykle ostrą postać. Opozycja wytoczyła najcięższe działa, próbując za każdą cenę i wszelkimi sposobami usunąć króla z tronu. Emocje z obu stron sięgały zenitu. Wrogie królowi stronnictwo francuskie, z późniejszym królem hetmanem wielkim koronnym Janem Sobieskim na czele, jawnie występowało przeciw władcy, podważając jego prawa do korony. Z kolei regaliści, oskarżając przeciwników o zdradę, dążyli do postawienia Sobieskiego przed sądem sejmowym, co doprowadziło do zerwania kilku kolejnych sejmów.

Królewscy podzegli szlachtę do wystąpień przeciwko opozycji, zaś obóz hetmański buntował wojsko, by wbrew nakazom posłuszeństwa broniło swojego wodza wobec tyranii monarchy. A to wszystko w obliczu nieuchronnego najazdu Turków na Europę. Kiedy Polska stanęła u progu wewnętrznego krwawego konfliktu i brakowało tylko iskry, by wybuchły bratobójcze walki, Turcja wypowiedziała Rzeczypospolitej wojnę.

Zrozumiałe jest więc, że nikomu ze zwolenników panującego i jego małżonki nie zależało na podgrzewaniu nastrojów. Jednak czy cesarzowi mogłoby przyjść na myśl, iż taka sprawa wpłynie na wzajemne relacje z innym państwem?

Nie można tego jednoznacznie wykluczyć, ale co najmniej równoprawną tezą jest ta głosząca, iż cesarz działał pod wpływem emocji innego rodzaju. Zwyczajnie i po ludzku został zauroczony przez piękną awanturnicę i stracił dla niej głowę jak wielu innych, których spotkała na swej drodze. Uwiodła go, owinęła wokół paluszka i skłoniła, by dał jej to, czego od niego oczekiwała.

## Wenecja

Karnawał – słowo to było jej znane od dzieciństwa, ale nigdy się nie zastanawiała, co oznacza samo pojęcie, poza tym, że kojarzyło się z jedzeniem do syta. W dzieciństwie słyszała, że jaśnie państwo organizują bale w czasie karnawału, zapraszają gości, tańczą i uczują przez wiele dni do rana. Na wsi okres karnawału, czyli od święta Trzech Króli do Środy Popielcowej, nazywano zapustami i traktowano jako czas radości przed nadejściem smutnego okresu Wielkiego Postu. To wtedy organizowano chrzciny i wesela. Każdy mógł się najeść tłusto i do syta, bo jeszcze w komorach nie brakowało zapasów z opływającej w dostatki jesieni.

W Wiedniu zobaczyła, jak może wyglądać nieustająca przez trzy dni i trzy noce zabawa, kończąca się o północy, wraz z nadejściem Środy Popielcowej rozpoczynającej Wielki Post. W Polsce na ten czas używano słowa „mięsoпуст” oznaczającego, że zaraz mięso opuści stoły, by nie pojawić się na nich przez długie czterdzieści dni. Trzeba więc było najeść się na zapas. Tam też usłyszała, że słowo „karnawał” pochodzi od włoskiego *carne vale*, a to z kolei z innego łacińskiego określenia, również oznaczającego „żegnaj mięso”, i że nikt tak nie potrafi świętować tego czasu jak Włosi.

– Jeśli karnawał, to tylko w Wenecji, droga księżno – szepnął jej do ucha bogaty jak Krezus włoski arystokrata. Wiedziała, że jego rodzina dorobiła się milionów na handlu ze Wschodem. Bogaty, leniwy, młody i rozpuszczony luksusem – lubiła jego towarzystwo, a on wiedział, jak przyciągnąć zainteresowanie kobiety.

– Czemu nie?! – zawołała pewnego razu i wyruszyli razem na południe, by zobaczyć słoneczną Italię.

★

– Z pieniędzmi męża, ale bez jego krępującej obecności – to jest szczęście kobiety! – niespełna miesiąc później z niekłamaną radością klasnęła w dłonie Agnieszka. Za jej plecami bezszelestnie zmaterializowała się służka z dzbanem wina w ręku.

Osiągnąwszy swój cel na cesarskim dworze, Agnieszka postanowiła niezwłocznie wyjechać z miasta, w którym co prawda zdobyła liczne grono wielbicieli, ale jednocześnie czuła, jak wokół niej rośnie mur niechęci budowany misternie przez powiększające się grono zazdrosnych kobiet z jednej, zaś przez

przyjaciół jej męża z drugiej strony. Odczekała tylko do momentu, aż do jej szkatuły wpłynęła znaczna część z przysądzonych pieniędzy, i ruszyła w podróż po Europie.

Wyruszyła w drogę pewnego wiosennego poranka, nie oglądając się za siebie. Nazajutrz po przekazaniu jej pierwszej części należnych od Kollatiego środków poleciła służbie spakować kufry i następnego dnia już jej nie było w Wiedniu. Ruszyła na południowy zachód, w stronę Włoch, ciekawa pereł architektury opiewanych w niezliczonych opowieściach.

Od dziecka marzyła o tym, by zobaczyć te wszystkie cuda, o których szlachetnie urodzone towarzystwo rozprawiało w letnie wieczory spędzane w ogrodzie kolbuszowskiego pałacyku. Ona, siedząc w koronie drzewa, oczyma wyobraźni widziała kościoły, zamki, rzeźby i malowidła. Teraz przyszedł czas, by skonfrontować wyobrażenia z rzeczywistością.

Niczego nie planowała, dawała się ponieść fantazji, a pomysły realizowała natychmiast, nie zastanawiając się nad sensem podróży do tego czy innego miejsca. Dla bezpieczeństwa i wygody chętnie przyłączała się do orszaku poznanego właśnie towarzystwa, by po dotarciu na miejsce szukać nowych znajomości.

A okazji do bratania się nie brakowało! Młody arystokrata pozostał w rodzinnych dobrach, zatrzymany rozkazem ojca, a ona pojechała dalej.

W każdym miejscu na trasie swej podróży spotykała osoby zamożne, śmiertelnie znudzone i desperacko pragnące nowych doznań. Agnieszkę zaś wyprzedzała sława pięknej, tajemniczej i wyzwolonej kobiety, która usidliła samego cesarza, zmuszając go do obrony przed domowym tyranem. Kiedy więc wieść o jej pobycie w okolicy docierała do uszu miejscowych elit, natychmiast wysyłano zaproszenia, by zechciała swą osobą uświetnić bal, niejednokrotnie wydawany wprost z myślą o niej. A ona przebierała w ofertach. Bywała, brylowała, flirtowała i podbijała serca zastępów kolejnych wielbicieli, zaś jej sława rosła, docierając do najdalszych krańców Europy.

*Bellissima principessa*, czyli piękna księżniczka – nazwał ją pierwszy z napotkanych we Włoszech wielmożów i to określenie przyłgnęło do niej jak druga skóra. Ani imię, ani też rodowe nazwisko, jakim się chętnie posługiwała, nie było łatwe do wymówienia dla cudzoziemców, więc tak już pozostało.

Po wielu miesiącach niespiesznej podróży dotarła do Wenecji. Wreszcie mogła się sama przekonać, czym różni się karnawał w Wenecji od innych tego typu wydarzeń. I samo miasto od innych miejsc zamieszkiwanych przez ludzi.

Miasto zbudowane na wodzie nie rozczarowało jej. W ciągu ostatnich miesięcy zobaczyła wiele perełek architektury, ale Wenecja zauroczyła ją od razu. Po raz pierwszy zobaczyła orszaki weselne i kondukty pogrzebowe przemierzające się na łodziach. Jedne i drugie złożone z licznej gromady odświętnie odzianych osób, głośno obwieszczających swoją radość lub smutek.

Drugim odkryciem okazała się niewyobrażalna liczba mostów, których doliczono się niemal czterystu.

– Nic dziwnego – stwierdził pan Alberto, właściciel kamienicy, w której wynajęła pokoje dla siebie i swojej służby – w końcu miasto jest posadowione na ponad stu wysepkach oddalonych o ponad dwie mile od brzegu!

– Zdziwiająca! – zakrzyknęła z pewnym niedowierzaniem, bo wjeżdżając przez pierwszą bramę, nie miała świadomości, iż opuściła już stały ląd. – Skąd pomysł, by budować miasto na wodzie?

– W przeciwieństwie do innych dużych miast Italii – *signor* Alberto skwapliwie przysiadł się do swojej pięknej lokatorki, nie pytając jej o pozwolenie – Wenecja nie ma tak starożytnego rodowodu. Nie istniała w czasach *Imperium Romanum* jako miasto. Wówczas na bagnistym i niegościnnym brzegu w pobliżu miejsca, gdzie teraz jesteśmy, gnieździło się jedynie kilka chat rybackich, w których wegetowali ubodzy wieśniacy.

– To jak to się stało, że w tym miejscu wyrosła tak ogromna metropolia? – Agnieszka zawsze z podziwem odnosiła się do wielkich projektów. Może dlatego, że sama pochodziła z małej wioski i imponowały jej spektakularne dzieła ludzkich rąk?

Siedząc bez ruchu, jakby w obawie, że mogłaby zakłócić bieg historii, chłonęła opowieść o mieście, które powstało z niczego w czasach chaosu, pożogi i wojen. Usłyszała o barbarzyńskich Wizygotach pod wodzą Alaryka, którzy w piątym wieku po narodzinach Chrystusa zalali ziemie upadającego Cesarstwa Zachodniorzymskiego. Z drugiej strony napłynęły na żyzne ziemie Italii zastępy Hunów prowadzonych przez Attyłę. Miejscowi uznali, iż to jest ten przepowiedany od dawna koniec świata, i w większości biernie oddawali głowy pod miecze najeźdźców. Jednak garstka desperatów przedarła się do brzegu morza. Naciskani zewsząd, przepłynęli na widoczne w oddali wysepki za pomocą przoryzycznych tratw, by tam szukać ratunku dla swoich rodzin.

Uciekinierzy przetrwali, żywiąc się rybami, i założyli nowe miasto. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, nawiązali kontakty z tymi, którzy przetrwali na lądzie. Wymieniali ryby i sól pozyskiwane z morza na mąkę i tak zapoczątkowali tradycje handlowe miasta, które od tej pory stały się jego wizytówką. Dzięki wymianie z coraz odleglejszymi społecznościami miasto bogaciło się i rosło w siłę. Dookoła padały wielkie imperia, upadł Rzym w 476 roku, niemal tysiąc lat później Konstantynopol, a Wenecja kwitła, zyskując dzięki pieniądзом nie tylko wpływy gospodarcze, lecz także polityczne.

Tego wszystkiego dowiedziała się Agnieszka już w czasie pierwszej rozmowy z gadatliwym i bardzo dumnym ze swojego statusu weneccjanina gospodarzem.

Wieczorem Agnieszka wyszła z jedną służką na spacer, by z bliska przyjrzeć się atrakcjom miasta. Czuła w powietrzu zupełnie inną atmosferę od dotychczas jej znanych z polskich miast. Z jednej strony pośpiech niezliczonych łodzi,

łódek i łódeczek, tłoczących się w kanałach tuż pod jej stopami przywodził na myśl czasy, gdy wiejscy chłopcy pędzili czym prędzej bydło do zagrody, by zdążyć przed zmrokiem. Z drugiej – na ulicach rosnące tłumy strojnisiów pachnących winem, pudrem i podnieceniem. Piężni, bogaci i znudzeni szukali rozrywki. Unoszący się w powietrzu duch zabawy tłumił gwar ludzi zajętych codziennymi sprawami. Czuła się tu dobrze, jakby była u siebie. Też była piękna i bogata, a na dodatek młoda. Chciała się bawić i wiedziała, że nie znajdzie lepszego miejsca, by beztrudno spędzać czas.

★

Minęły zaledwie dwa dni od przyjazdu Agnieszki do miasta, gdy przy porannej toalecie do drzwi jej sypialni zastukał wyraźnie skrepowany *signor* Alberto.

– Posłaniec do jaśnie pani z Pałacu Dożów.

Agnieszka nieco się zaniepokoiła, gdyż wiedziała, że takie nagłe wizyty wysłanników władzy mogły być źródłem kłopotów. Znała już system rządów w mieście, które było najdłużej w dziejach świata funkcjonującą republiką o tysiącletnich niemal tradycjach. To, że w mieście nie było monarchy, nie znaczyło, że panowała tam demokracja. Początkowo faktycznie dożę, będącego obieralną głową państwa, wyłaniano w drodze głosowania wszystkich dorosłych obywateli płci męskiej. Od pięciuset lat jednak władzę w mieście sprawowała grupa najpotężniejszych kupców, zamieniwszy demokratyczny ustrój w arystokratyczne rządy garstki patrycjusza miejskich. To oni wyłaniali spośród siebie, a w praktyce spośród kilku rodzin dożywotniego przywódcę o dość ograniczonej władzy.

– Nie na tyle jednak, by nie mógł wtrącić do wilgotnego lochu każdego, kto nie spodobał się doży – jakby czytając w jej myślach, poinformował szeptem *signor* Alberto.

Na szczęście okazało się, iż to tylko zaproszenie na prywatną audiencję do pałacu.

– Wieści szybko się u was rozchodzą – skwitowała Agnieszka tuż po tym, jak gospodarz streścił jej zawartość dostarczonego przez posłańca pisma.

Okazało się, iż aktualny doża Wenecji don Domenico Contarini, jak na typowego Włocha przystało, jest nieuleczalnym romantykiem i niestrudzonym wielbicielem pięknych kobiet. Co prawda wyrósł już z wieku, w którym liczba miłosnych podbojów warunkowała jego poczucie męskości, ale tym więcej cenił sobie urodę, wdzięk i takt. O ile wcześniej gustował w pustych, acz urodziwych lalczkach, o tyle teraz na równi z urodą ważył intelekt. A tego Agnieszce nikt nie mógł odmówić.



Szybko więc znalazła wspólny język z włoskim wielmożą, stając się stałym gościem jego prywatnych komnat. Łączące ich uczucie bardziej przypominało przyjaźń byłych kochanków, którzy wiedzą o sobie wszystko i akceptują się takimi, jacy są, niżli płomienną miłość, ale wiemy, że połączyła ich nie tylko wzajemna fascynacja.

Don Domenico stał się dla pięknej Polki przewodnikiem, opiekunem i mecenasem w czasie jej wielomiesięcznego pobytu w mieście. Niestrudzenie odpowiadał na jej niezliczone pytania, z którymi zjawiała się każdego dnia.

– Jak to możliwe, by karnawał trwał przez pół roku? Czy miasto na to stać, by jego mieszkańcy ciągle się bawili? – od tego zaczęła ich pierwsze spotkanie.

– Jedni się bawią, inni zarabiają na tej zabawie. Tutejsi mieszczanie rzadko mają czas na rozrywkę – odpowiedział z pełną powagą doża, snując opowieść o handlowym znaczeniu karnawału dla Wenecji. O przyciąganiu bogatych obiboków wydających tutaj swoje pieniądze na rozrywki, o hotelarzach, rzemieślnikach i o kupcach obsługujących przybyszy z najdalszych zakątków świata.

– Miasto z tego żyje – rozłożył pulchne ręce, by pokazać otaczające go bogactwo. A było co pokazywać: tysiącletnie wazy, rzeźby dłuta mistrzów i obrazy malarzy na co dzień świadczących swe usługi monarchom i papieżom. – Nasi kupcy docierają do odległych krain w Azji, Ameryce i Afryce. Sprowadzamy stamtąd wszystko to, co tamtejsze ludy mają najcenniejszego, i dostarczamy towar do klientów o najbardziej wyrafinowanych gustach i głębokich skrzyniach ze złotem. Część towaru trafia na tutejsze stragany. Przez wiele miesięcy stoiska z egzotycznymi przyprawami, złotem, srebrem i szlachetnymi kamieniami oblegają tłumy przybyszy z dalekich stron.

## Powrót do Wiednia

Po kilkumiesięcznym pobycie w słonecznej Wenecji Agnieszka wyruszyła w dalszą drogę, chcąc zwiedzić całą Italię. Wśród licznych miejsc, które wymieniają kronikarze na trasie jej podróży, warto wspomnieć Ankonę, Rzym i Genuę. Podróżowała tak od niemal trzech lat, nie stroniąc od miłosnych podbojów, gdy zdecydowała się wrócić do Wiednia.

Co ją skłoniło do powrotu?

Pewności nie mamy. Być może chodziło o pieniądze – wiemy, że Kollati nie wywiązał się w pełni z obowiązku wypłaty sumy przysądzonej Agnieszce przez cesarza. Możemy przypuszczać, że kończyły jej się pieniądze, a listowne monity nie przynosiły efektów. W tej sytuacji przedsiębiorcza kobieta, wierząc w swą siłę perswazji, postanowiła osobiście upomnieć się o swoją należność. Wiemy, że Kollati chorował w tym czasie, nie można wykluczyć problemów z alkoholem.

Jest też inna wersja, rozpowszechniana w późniejszym czasie przez jej wrogów. Otóż głosili oni, iż skutkiem jednej z jej miłostek była ciąża, z którą Agnieszka musiała się ukrywać i uciekać z miejsca, gdzie jej rozwiąły tryb życia przysporzył jej wrogów.

Bez względu na powód faktem pozostaje, iż w 1675 roku nasza bohaterka pojawia się ponownie na wiedeńskich salonach i dokonuje kolejnego spektakularnego zwrotu w swoim życiu – wychodzi po raz trzeci za mąż. Należy pamiętać, że wciąż żył jej pierwszy mąż Bartosz Zatorski. Prawdopodobnie drugi również, a ona nie podejmowała kroków na rzecz unieważnienia żadnego z tych związków. Rozwodów wówczas nie było, jednak zamożni i przedsiębiorczy potrafili doprowadzić do unieważnienia małżeństwa. Co prawda dni jej austriackiego męża były policzone i na skutek długotrwałej choroby Kollati wkrótce pożegnał się ze światem, jednak czy było to przed ponownym zamążpójściem Agnieszki, czy po nim, nie możemy mieć pewności. Ona sama twierdziła, że już po, jej wrogowie dowodzili, że związała się, udając wdowę, jeszcze za życia Kollatego.

Same okoliczności i osoba nowego męża też wzbudzają kontrowersje. Otóż dwudziestosiedmioletnia Agnieszka, wciąż piękna i młoda, ale już doświadczona, skłoniła podstępem do ślubu młodszego o jedenaście lat, niespełna szesnastoletniego polskiego szlachcica Stanisława Rupniewskiego. Jeśli wierzyć relacjom, pobrali się w ten sam wieczór, w którym się poznali.

Stanisław Rupniewski, syn kasztelana sądeckiego Michała Rupniewskiego i Anny z domu Przyjemskiej, został osierocony przez oboje rodziców w dzieciń-

stwie. Ojciec zmarł, gdy Stanisław miał jedenaście lat, matka wkrótce po nim. Chłopcem opiekowała się starsza siostra Anna, żona Franciszka Szembeka, kasztelana kamienieckiego. Po śmierci obojga rodziców młodzieniec odziedziczył znaczny majątek i zgodnie ze zwyczajem kilka lat później wyruszył na Zachód, by tam dokonać ukoronowania swojej edukacji rozpoczętej w krajowych szkołach.

Zwyczaj odbywania takich podróży po Europie przez młodych panów przyjął się już w XVI wieku, później upowszechnił, utrwalił i przetrwał aż do upadku Rzeczypospolitej u schyłku wieku XVIII. Panująca moda zmuszała wręcz aspirujące do grona elit rodziny, by mimo coraz głośniejszej krytyki wysyłać swych synów u progu dorosłości w podróż inicjacyjną, bez której trudno było sobie wyobrazić późniejsze funkcjonowanie na salonach. Kto nie odbył co najmniej rocznej, a jeszcze lepiej dwu-, trzyletniej peregrynacji po stolicach Europy, nie mógł się uważać za człowieka kulturalnego i bywałego, godnego obcować z tymi, którzy takie doświadczenie mieli już za sobą.

Wspomnienia z podróży, wrażenia z pobytu, osobliwości oraz znajomość wielkich tego świata stały się ulubionym motywem konwersacji w towarzystwie. Kto tego nie doświadczył, czuł się wyalienowany. Traktowano go jak dziwoląga, pariasa wśród dobrze urodzonych, zaś podziw wzbudzali ci, którzy odbyli najdłuższą podróż, odwiedzili oprócz znanych również miejsca nieznane reszcie rozmówców. Więc – mimo iż wszyscy zdawali sobie sprawę, że z pierwotnej idei wyprawy edukacyjnej w celu studiowania na najlepszych uczelniach, szlifowania języków obcych i poznawania osób i instytucji wartych poznania pozostało już niewiele – i tak kolejne pokolenia polskich elit pielgrzymowały na Zachód.

W XVI wieku Polacy odwiedzali głównie miasta uniwersyteckie, studiowali, zdobywając cenną wiedzę, poznawali zasady funkcjonowania tamtejszych sądów i urzędów, a przy okazji zwiedzali. Sto lat później wyprawy takie bardziej przypominały luksusową turystykę niż ekspedycje edukacyjne. Młodzieńcy częściej bywali na salonach i w domach publicznych niż w bibliotekach i salach wykładowych. To, co wcześniej stanowiło przerywnik między okresami intensywnej nauki, teraz stało się celem samym w sobie. Nowe pokolenia już nie studiowały, a jedynie zwiedzały miasta uniwersyteckie, jednak na wykłady żałowały swego czasu, bo weselsze życie toczyło się nocą w salonach niżli w dzień na uczelni.

Dlatego wielu poważnych publicystów traktowało tego typu wyjazdy nie tylko jako bezcelowe, ale wręcz szkodliwe. Już dwadzieścia lat przed wyjazdem Stanisława Rupniewskiego popularny krytyk szlacheckich ułomności Krzysztof Opaliński pisał w satyrze *Na posyłanie synów do obcych krajów*, iż oszaleli ci, którzy własne dzieci dla edukacji posyłają za granicę. *Jeśli rozumiesz, że co dobrego przywiezie z tamtych krajów, chybaby francuską chorobę i z nią żonkę francuską –*

drwił z naiwnych rodaków, ostrzegając, iż tam się jedynie tańczyć i flirtować z cudzymi żonami można nauczyć.

Stanisław Rupniewski dopiero zaczynał swoją podróż, a Wiedeń był prawdopodobnie pierwszym przystankiem na mapie jego podróży. Dobrze wyekwipowany, młody, niedoświadczony i naiwny. Dla Agnieszki idealna ofiara.

Prawdopodobnie zatrzymali się w jednym zajeździe tuż po przyjeździe do Wiednia. Agnieszka dowiedziała się, iż pod tym samym dachem mieszka młodziutki paniczek z Polski o imponującej szkatule, i postanowiła, nie zwlekając, uwieść go tej samej nocy. Pod byle pretekstem wprosiła się do jego pokoju, sprokowała go do śmiałości, a potem zapalała świętym oburzeniem, gdy zbyt odważnie sobie poczynał. Odwołując się do jego honoru i w obronie własnej czci, zażądała ochrony przed ludzkimi językami.

Możemy sobie wyobrazić tę scenę, kiedy osłupiały młodzian wpatruje się w lamentującą nad swą dolą piękną kobietę, być może tuż po tym, gdy ktoś ich przyłapał w niedwuznacznej sytuacji w jego komnacie. Chcąc postąpić właściwie, wysłał służącego po księdza. Oświadcza się Agnieszce, a ona jego oświadczenia przyjmuje. Nim upłynęła noc, zostali małżeństwem.

Chcąc uniknąć kłopotliwych spotkań ze znajomymi, Agnieszka nakłania męża, by nie zatrzymywali się na dłużej w Wiedniu i niezwłocznie ruszali w dalszą drogę, kontynuując podróż na Zachód. Z tych samych względów unikano Italii, kierując się w stronę Francji.

Mimo tak nieoczekiwanych okoliczności poznania się i błyskawicznego zawarcia związku małżeńskiego można przypuszczać, iż utworzyli szczęśliwą i kochającą się parę. Podróżowali, zwiedzali i cieszyli się życiem. Wkrótce okazało się, że Agnieszka jest w ciąży. To nieco zmieniło plany podróży, ale nie przeszkodziło w realizacji wspólnych zamierzeń. Przed rozwiązaniem zatrzymali się na dłużej w stolicy Francji. To w Paryżu nasza bohaterka urodziła swojego pierwszorodnego syna Marcina Rupniewskiego. Wydawało się, że Agnieszka ma wreszcie szansę na stabilizację u boku nieco naiwnego, ale dobrodusznego i kochającego małżonka. Niestety, wkrótce szczęście się od nich odwróciło. Stanisław zapadł na nieznaną chorobę i w stosunkowo krótkim czasie zmarł.

Należy zdecydowanie odrzucić późniejsze insynuacje, jakoby padł ofiarą otrucia z ręki małżonki. Nie ma na to dowodów, a i w sytuacji, w jakiej była wówczas Agnieszka, zdecydowanie bardziej przydatny dla niej był mąż żywy niż martwy. Rodzina Stanisława Rupniewskiego, chcąc pozbawić Agnieszkę i jej syna praw do spadku, oczerniała ją na wszelkie możliwe sposoby, w tym zarzucając jej, iż przyczyniła się do śmierci męża.

## Powrót do kraju

W zupełnie nowej dla siebie i niezwykle trudnej sytuacji Agnieszka musiała na nowo przemyśleć swoje położenie. Oto została wdową z małym dzieckiem na ręku. Wdową w wieku niemal trzydziestu lat, co w tamtych czasach uznawano za wiek podeszły, szczególnie dla kobiety. Świadczą o tym wypowiedzi ówczesnych publicystów, traktujących osoby w tym wieku jako podstarzałe, mające już życie za sobą. Co prawda Agnieszka była nadal piękna, zgrabna i atrakcyjna, po porodzie bardzo szybko odzyskała dawną formę, ale zdawała sobie sprawę, że najlepsze lata ma już za sobą i musi myśleć o zabezpieczeniu na starość. Tym bardziej że teraz na jej barkach spoczywał również los syna.

Po śmierci Kollatiego szansa na wyrwanie z jego majątku należnych jej pieniędzy jeszcze bardziej się zmniejszyła, gdyż – oprócz licznych wierzycieli – pozostawił on po sobie nie mniej licznych krewnych, którzy walczyli o spadek zaciekłej niż lwy. Powoli traciła nadzieję, iż coś jej z tego pozostanie.

Postanowiła więc wrócić do kraju. Była w końcu wdową po dziedzicu znacznego majątku ziemskiego i matką jego jedyne go syna. Uznała, że ma pełne prawo do całości spadku po nim, i nie zamierzała się go wyrzec. Znając Agnieszkę, możemy się domyślać, iż ze swojego przybycia do domu męża uczyniła przedstawienie, które nie mogło ująć uwadze sąsiadów. Zgodnie ze zwyczajem przywozła do kraju trumnę z ciałem męża. Nadała przy tym całemu wydarzeniu odpowiednią oprawę i rangę, tak by wszyscy się dowiedzieli, iż ich sąsiad, kuzyn i brat pojął w trakcie podróży za żonę kochającą go kobietę, która teraz, zrozpaczona, wraca, nieutulona w żalu, i przywozi jednocześnie ciało i dziedzica zmarłego panicza.

Możemy przyjąć z dużą dozą pewności, że bliscy Stanisława Rupniewskiego wiedzieli już o jego ożenku na obczyźnie. W zwyczaju było regularne korespondowanie z rodziną i przyjaciółmi, a pominięcie tak ważnego kroku nie wchodziło w rachubę. Nawet gdyby po fakcie Stanisław zreflektował się, iż postąpił pochopnie, nie czekając na akceptację przez rodową starszyznę kandydatki na jego żonę, to ukrywanie swojego postępku nie miało sensu. Na Zachodzie podróżujących tak jak on Polaków było bardzo wielu. Odwiedzali te same miejsca i mieszkali w tych samych zajazdach, koligacje szlachty zaś sprawiały, że znaczniejsze rodziny znały się przynajmniej ze słyszenia. Więc nawet gdyby on pominął w liście do rodziny szczegół w postaci małżonki, to ktoś z napotkanych po drodze rodaków przekazałby wieści do kraju i najpóźniej w ciągu miesiąca czy dwóch dotarłyby one do uszu zainteresowanych.

Nagła decyzja o poślubieniu nieznannej kobiety, i do tego bez udziału bliskich oraz z dala od domu, z pewnością nie wzbudziła entuzjazmu zainteresowanych. Przeżyli szok i nie mogli się pogodzić z faktem, że nie mieli swojego udziału w tak ważnym wydarzeniu. Zresztą takie niespodziewane ożenki zawsze budziły podejrzenia, że zostały zawarte pod przymusem, że sprowokowano je podstępem lub groźbą skandalu skutkującego utratą honoru. Kiedy jeszcze małżonek był młody, atrakcyjny, acz niedoświadczony i bogaty, a ona znacznie starsza i niewiadomej konduity, to musiało to wzburzyć bliskich i pociągnąć za sobą niezliczone spekulacje.

Natomiast wieści o narodzinach potomka oraz o śmierci samego Stanisława niekoniecznie dotarły do rodziny przed przybyciem Agnieszki. Z tego, co wiemy, jego choroba miała charakter gwałtowny i niespodziewany oraz bardzo szybko zakończyła się śmiercią, zaś przyjście na świat dziecka zbiegło się w czasie ze zgonem ojca. Ten mógł więc nie zdążyć z napisaniem listu do rodziny. Co prawda w każdym orszaku młodzieńca wyruszającego w podróż tego typu znajdował się doświadczony preceptor, który miał czuwać nad jego edukacją, dobierać mu odpowiednie rozrywki, donosić rodzinie o postępach i generalnie dbać o formację intelektualno-duchową, jednak, co widać po samowolnej decyzji o ożenku, ten konkretny opiekun nie wywiązywał się ze swojego zadania. Mógł więc nie poinformować o śmierci pana, szczególnie jeśli wprost otrzymał takie polecenie.

Agnieszce bowiem mogło zależeć na zaskoczeniu sprzyjającym realizacji jej planów.

Latem 1677 roku atrakcyjna wdowa po Stanisławie Rupniewskim pojawiła się we właściwym urzędzie i okazała dokumenty potwierdzające jej prawa do majątku po zmarłym małżonku. Zanim rodzina zorientowała się w jej zamiarach, być może nawet jeszcze przed pogrzebem, Agnieszka, nie zwlekając ani chwili, zajęła wszystkie dobra należące dotychczas do nieboszczyka. Był to ogromny majątek, gromadzony przez pokolenia Rupniewskich, dający wdowie stabilizację i niezakłócony troskami egzystencjalnymi byt zarówno jej, jak i jej kilkumiesięcznemu wówczas synowi.

Postępowanie Agnieszki było zgodne z ówczesnymi kanonami. Wszystko to, co uczyniła, należało zrobić po śmierci członka rodziny. Jedyne, czym zgrzeszyła, był nadmierny pośpiech wywołujący zgorszenie bliskich nieboszczyka, choć przykładów podobnych zachowań znajdziemy w tamtej epoce bez liku. Ówczesny system prawny premiował zdecydowaną inicjatywę samych osób zainteresowanych. Poleganie na nielicznych, często skorumpowanych i opieszalych organach państwa prowadziło do wikłania się w niekończące się spory sądowe. Dlatego – w myśl zasady, że śmiałym szczęście sprzyja – każdy, kto się nie bał obmowy, brał sprawy w swoje ręce i kiedy druga strona deliberowała nad podjęciem jakichś kroków, ona już je wykonywała. Łatwiej bowiem było się

bronić przed wyzuciem z majątku, niż doprowadzić do jego przejęcia. Prawo chroniło w pierwszej kolejności posiadaczy dóbr przed uzurpatorami dążącymi do ich przejęcia.

Słabością Agnieszki, która miała wpłynąć na powodzenie jej zamierzeń, był brak wsparcia rodziny, szczególnie zaś męskich krewnych, którzy mogliby ją wspierać tam, gdzie kobiety nie miały wstępu. A miejsc takich było wiele, gdyż tamtejszy świat został stworzony przez mężczyzn i dla mężczyzn, kobietom zaś przypadały role drugoplanowe. Czczono je i stawiano na piedestale, wielbiono i wysławiano, ale decydować o sobie nie pozwalano. Mawiało się, iż ze względu na „słabość przyrodzenia” kobieta nie jest w stanie rozsądnie dysponować sobą ani swoim majątkiem. Agnieszka przekonała się o tym bardzo szybko, jeszcze w czasach Kolbuszowej, czerpiąc z tego doświadczenia mądrość, którą miała wykorzystać w przyszłości.

Były co prawda silne kobiety, które potrafiły iść pod prąd i łamać narzucone ograniczenia, ale i one dla wygody oraz większej skuteczności w działaniu ukrywały się za męskimi plecami. Wszyscy wówczas wiedzieli, kto w rodzinie decyduje, ale dla niepoznaki trzymano pod ręką figuranta, który bezwolnie służył za fasadę.

Agnieszka wkrótce również będzie musiała się rozejrzeć za podobnym rozwiązaniem.

## Proces

O ile podróżowanie po Europie za pieniądze pozyskane z majątku Kollatiego nie wymagało wielkiego doświadczenia, wiedzy ani znajomości obyczajów – wystarczyło uważnie obserwować, uczyć się i naśladować – o tyle już odnalezienie się w zawilosciach stosunków krajowych pociągało za sobą konieczność posiadania doświadczonego doradcy. W swoim najbliższym otoczeniu Agnieszka musiała mieć kogoś, kto znałby prawo i zwyczaje polskiej szlachty. Mógł nim być choćby preceptor zmarłego Stanisława, który po śmierci pracodawcy pozostał bez środków do życia. Znając spryt Agnieszki, możemy przypuszczać, że od pierwszej chwili postarała się owinąć sobie wokół palca męzowskiego opiekuna. To on zapewne podpowiedział swojej nowej pani, jak należy postąpić w kwestii majątków pozostałych po nieboszczyku. Być może nie spodziewał się tak szybkiego i bezwzględного działania, ale kierunek był właściwy.

Mimo poczynionych zastrzeżeń o tym, jak bardzo męski był ówczesny świat, to nie męczyzna stanął na drodze do realizacji celu naszej bohaterki. Głównym problemem Agnieszki w osiągnięciu jej zamierzeń okazała się inna kobieta. Równie pomysłowa i odważna, choć – jak wiemy – pozbawiona jej urody i uroku osobistego. Tym zacieklej więc walczyła o wygraną w starciu z osobą, której zdawała się nienawidzić uczuciem tak płomiennym, że była gotowa użyć wszelkich środków godziwych i niegodziwych, byleby tylko doprowadzić ją do upadku.

Anna Barbara Szembekowa z domu Rupniewska, występująca w źródłach jako kasztelanowa kamieniecka, była starszą siostrą nieboszczyka Stanisława. W chwili powrotu Agnieszki do kraju jej mąż Franciszek Szembek nie piastował jeszcze funkcji kasztelana kamienieckiego (zaszczytu tego dostąpił dopiero jedenaście lat później, w 1688 roku). Jednak niewątpliwie należał do wąskiego grona osób na tyle bogatych i wpływowych, iż jego żona mogła się uważać za przedstawicielkę ścisłej elity odrzucającej wszelki element napływowi.

Mąż Anny, Franciszek Szembek, wcześniej już żonaty z Zofią Pieniążek, z którą miał ośmioro dzieci, owdowiał w 1671 roku i wkrótce ożenił się z dużo młodszą od siebie Anną Rupniewską, z którą dochował się pięciu synów. W chwili zawarcia małżeństwa on miał już czterdzieści siedem lat, Anna zaś niespełna dwadzieścia. Przeszedł do historii nie tylko jako magnat piastujący szereg ważnych stanowisk, lecz także jako jedyny w dziejach naszego kraju ojciec czterech biskupów, z których dwóch zostało prymasami.

Anna, która sama wyszła za mąż za starszego o pokolenie mężczyznę, nie mogła pogodzić się z myślą, że jej młodszy braciszek ożenił się ze starszą o ponad dziesięć lat kobietą. Z jednej strony wietrzyła spisek, podejrzewając, iż



nastolatek dał się wciągnąć podstępem w związek z niewłaściwą kobietą, z drugiej zaś w grę wchodziły rozległe dobra rodu Rupniewskich o ogromnej wartości. Nie chciała zaakceptować faktu, iż w ich rodzinnym gnieździe zamieszka niegodna tego szczytu osoba, a do tego z dzieckiem, którego pochodzenie wydawało się Annie podejrzanę.

Dużym problemem okazało się położenie przejętych przez Agnieszkę dóbr. Sama siedziba rodu Rupniewskich – Rupniewo (lub Rupniowo, a dziś Rupniów) – leżała w odległości pięćdziesięciu kilometrów od Krakowa, w kierunku południowo-wschodnim od miasta. Od Kolbuszowej zaś, położonej na wschód od Krakowa, o ponad sto kilometrów. Za blisko, jeśli się weźmie pod uwagę, że niepełna dekadę wcześniej Agnieszka była bohaterką skandalu, który zmusił ją do ucieczki z Krakowa. Z miasta, w którym przed laty błyszczała urodą, bawiła się w najlepszych salonach, stykając się ze szlachtą, z którą teraz sąsiadowała. I za blisko ze względu na interesy rodu Lubomirskich, w których dobrach Agnieszka przyszła na świat i których poddanką nadal była zgodnie z ówczesnym prawem. A pamiętać należy, że wokół Rupniewa gęsto rozsiane były posiadłości tego magnackiego rodu. W odległości zaledwie sześciu kilometrów znajdowało się starostwo Tymbark dzierżawione przez Lubomirskich w nieodległej przeszłości.

Mając na względzie wielką skłonność ówczesnej szlachty do spotkań towarzyskich, jej ciągłą ruchliwość, ciekawość nowych twarzy oraz wręcz wścibskość, która popychała szczególnie kobiety do bywania i przyjmowania, możemy założyć, że Agnieszka miała wielki problem z ukryciem swojej tożsamości. Uznawana za jedną z najpiękniejszych kobiet tamtych czasów, zapadała w pamięć i mimo iż zmieniła się od swojego pobytu w Krakowie, że od wiejskiej dziewczyny, na którą jasnie państwo nie zwracali uwagi, dzieliła ją przepaść, to jednak prawdopodobieństwo dekonspiracji było ogromne.

Jednak to nie z tej strony nadszedł cios. Może Agnieszka skuteczniej unikała miejscowego towarzystwa, niż mogłoby się wydawać, może potrafiła ukryć swoją urodę pod wdowimi szatami, tego nie wiemy. Faktem jednak jest, iż do świadomości publicznej nie przebiło się to, że nowa sąsiadka jest tą znaną przed laty wesołą dziewczyną, prowadzącą skandaliczne życie przez kilka letnich miesięcy roku 1668 w Krakowie.

Na usprawiedliwienie tej zbiorowej amnezji można przypomnieć, iż wiele się w tym czasie działo, zarówno w polityce krajowej, jak i światowej, co zaprzątało uwagę wszystkich o wiele mocniej niż lokalny skandal z dziewczyną z pospólstwa próbującą się wdrzeć na salony. Podczas pierwszej bytności Agnieszki w Krakowie na polskim tronie zasiadał król Jan Kazimierz z dynastii Wazów. Rok później, po abdykacji poprzednika, szlachta wybrała na tron Michała Korybuta Wiśniowieckiego – potomka słynnego pogromcy Kozaków, kniazia Jaremy Wiśniowieckiego.

Po wyborze kraj ogarnęło wrzenie, bo nowy władca był tyleż kochany przez szlachtę, ile nienawidzony przez magnatów. Popierała go Austria, a zwalczała Francja. Habsburgowie próbowali go umocnić i utrzymać na tronie, zaś zrzucić z niego usiłowali stronnicy Francuzów z Janem Sobieskim, ówczesnym hetmanem wielkim koronnym, na czele. Emocje po obu stronach politycznego sporu były tak wielkie, iż poważnie obawiano się wybuchu kolejnej wojny domowej. W zwalczających się obozach mniej zwracano uwagę na fakt, iż u południowych granic gromadzą się ogromne wojska turecko-tatarskie, zaś Europa stoi u progu wielkiego niebezpieczeństwa zalewu ze strony muzułmańskich zagonów.

Zachód liczył, iż po raz kolejny nieprzyjacielska nawała rozbije się o piersi polskich rycerzy, że to nasz kraj poniesie cały ciężar walki, a społeczeństwa Zachodu dalej w spokoju będą konsumowały swój dobrobyt. To dlatego podróżowanie w atmosferze oczekiwania na cud i ratunek ze strony jej rodaków dawało Agnieszce dodatkowy komfort. Bo nie tylko jej osoba i wdzięk osobisty oddziaływały na otoczenie, lecz także sława narodu stanowiącego tamę przed barbarzyństwem znacznie dodawała splendoru jej podróży. Szczególnie mocno odczuwała to podczas pobytu w Wiedniu i w Wenecji. Tradycyjnie bowiem interesy tych dwóch ośrodków były najbardziej zagrożone przez turecką ekspansję.

Wracając do Wiednia w 1675 roku, zastała zupełnie nową sytuację. Turcy po spektakularnej klęsce w starciu z wojskami polskimi pod wodzą Sobieskiego pod Chocimiem w listopadzie 1673 roku nagle przestali straszyć swoją potęgą. Zmarły w wigilię wielkiej bitwy pod Chocimiem król Michał Korybut Wiśniowiecki ustąpił miejsca na tronie Janowi Sobieskiemu.

Tak więc między jedną a drugą wizytą Agnieszki w województwie krakowskim na polskim tronie zmieniło się trzech królów. W polityce krajowej i zagranicznej działo się bardzo dużo, zaś większość bywalców krakowskich salonów ustatkowała się, wracając do wiejskich majątków, umarła bądź zginęła na wojnach. Te fakty w połączeniu ze zmianami, jakie zaszły w samej Agnieszce, mogą tłumaczyć, dlaczego nikt nie skojarzył jej z młodą dziewczyną sprzed dziewięciu lat.

\*

Tuż po pogrzebie męża, jeszcze zanim zdążyła się na dobre urządzić w nowym domu, Agnieszka otrzymała pozew do sądu ziemskiego w Czchowie. W pozwie wyraźnie zaznaczono, iż jej szwagierka, Anna Barbara Szembekowa *de domo* Rupniewska, żąda zwrotu bezprawnie zajętych dóbr rodowych jej rodziny i przysądzenia ich powódce.

Nie wiemy, czy Agnieszka spodziewała się takiego obrotu sprawy. Niewątpliwie odczuła niechęć rodziny męża, przynajmniej jej części pod wodzą szwa-

gierki. Jednak zapewne miała nadzieję na poprawę relacji, szczególnie iż miała w ręku potężny argument w postaci syna, który zgodnie z prawem dziedziczył dobra rodowe po swoim zmarłym ojcu Stanisławie Rupniewskim. Ona zaś, jako prawowita żona poprzedniego właściciela majątności i matka jego spadkobiercy, czuła się w pełni uprawniona do dysponowania majątkiem zgromadzonym przez przodków męża <sup>60</sup>.

Nie zachowały się do naszych czasów akta procesu przed sądem ziemskim czchowskim, jednak możemy się domyślać, że powódka miała niewielką wiedzę na temat przeszłości swojej przeciwniczki, dlatego początkowo jej argumenty były za słabe, by wygrać batalię sądową. Nawet z poparciem całej potęgi rodu Szembeków.

Prawdopodobnie podstawowym zarzutem, jaki Anna stawiała w tym początkowym okresie sporu, by poprzeć swą tezę o bezprawności działań Agnieszki, był młody wiek jej brata w chwili, gdy wstępował on w związek małżeński, oraz brak zgody opiekunów. W sytuacji braku rodziców zwyczajowo zastępowali ich dalsi krewni i powinowaci, którzy w tego typu okazjach tworzyli grono doradców. Niewątpliwie do tego kręgu zaliczano męża Anny, który ze względu na swój wiek, pozycję i związki z rodziną Rupniewskich miał wiele do powiedzenia. Dodatkowo Anna mogła podnosić nagłość decyzji o małżeństwie, co nasuwało podejrzenia w kwestii czystości intencji wybranki oraz wolnej woli pana młodego.

Sprawny mecenas Agnieszki rozprawił się z takimi zarzutami w ciągu godziny. Krócej po prostu nie wypadało w epoce, w której krasomówstwo uchodziło za największą cnotę uczonych mężów. Jednak ten czas w zupełności wystarczył, by obalić wszystkie argumenty strony powodowej. Zaprezentowano akt ślubu i świadectwo chrztu, w którym figurował Stanisław Rupniewski jako ojciec dziecka. Przedstawiono zeznania świadków, którzy potwierdzili, że decyzja zapadła pospiesznie, księdza sprowadzono w środku nocy, ślub odbył się w izbie karczemnej, ale panicz nie sprawiał wrażenia przymuszanego, a i potem był bardzo szczęśliwy ze swoją małżonką.

Pozew odrzucono po pierwszej rozprawie. Agnieszka zaś odetchnęła pełną pierśią. – No to teraz jestem już panią na włościach! – zawołała pod drzwiami sądu, czując, że teraz, kiedy ma wyrok sądu, jej prawa do majątku Rupniewskich uzyskały nowy, znacznie mocniejszy walor.

Jednak, jak to zwykle bywa, przedwczesna radość szybko może się zamienić w rozpacz. Agnieszka wygrała bitwę, ale czekała ją długa i wyczerpująca wojna z najbardziej bezlitosnym wrogiem na świecie – z wściekłą, żądną zemsty szwagierką, która podejrzewała ją o zamordowanie jej ukochanego braciszka i uważała, że Agnieszka, zamieszkawszy w jej rodzinnym domu, kała swoją osobą uświęcone kąty.

## Trybunał

Płynąca z wielopokoleniowego doświadczenia mądrość głosi, że nie ma bardziej niebezpiecznej istoty niż wściekła kobieta. Tylko ona jest w stanie wykrzesać z siebie takie pokłady nienawiści i zjadłości, by zdobyć się na nadludzką wytrwałość i całymi latami, krok po kroku, nieubłaganie tropić ofiarę i dopaść ją w najmniej spodziewanej chwili. Mądrość ta opiera się na niejednym przykładzie, zaś konflikt Anny i Agnieszki jest jednym z najbardziej spektakularnych.

Przez całe lata Anna systematycznie i cierpliwie zbierała dowody przeciwko swojej bratowej, nie chcąc popełnić po raz drugi tego samego błędu, by nie narazić się na kolejną porażkę w obliczu sądu pociągającą z kolei drwiny otoczenia. Tym razem postanowiła, że nie zlekceważy przeciwniczki i znacznie lepiej przygotuje się do kolejnego starcia. Zaczęła od rozesłania szpiegów, którzy wyruszyli śladami Agnieszki w jej podróży po Europie, starając się prześledzić jej przeszłość, drażąc, przepytując i szukając dowodów zbrodni.

Agnieszka też nie próżnowała. Obserwując narastający konflikt tych dwóch silnych kobiet, mamy wrażenie, jakbyśmy byli świadkami wyścigu zbrojeń dwóch mocarstw nieuchronnie zmierzających ku rozpętaniu wielkiej wojny. Jak wiemy, Agnieszka miała sporo do ukrycia, dlatego kiedy z Wiednia od wiernego wielbiciela, a potem z Wenecji od starego doży nadeszły listy z ostrzeżeniem, że jej tropem podąża wynajęty człowiek, przestraszyła się i zaczęła szukać drogi ucieczki. Zgromadziła znaczną sumę w gotówce i wzmocniła ochronę rupniewskiego dworu.

Znała już najważniejszą zasadę i metodę obrony przed szlacheckim wymiarem sprawiedliwości, który – dość nierychliwy i pobłażliwy, szczególnie w stosunku do swoich – przyspieszał, kiedy przed obliczem sędziego stawiano zakutego w kajdany więźnia. Wbrew pozorom system ten stworzono dla dobra oskarżonego. Pochodził on ze szlacheckich przywilejów chroniących poddanych przed uciskiem ze strony króla i jego funkcjonariuszy. Gwarantowały te przywileje, iż zatrzymany szlachcic zostanie niezwłocznie postawiony przed sądem albo wypuszczony. Nie wolno było nikogo przetrzymywać w lochu bez wyroku sądu.

To między innymi dzięki takim gwarancjom, a co ważniejsze, konsekwentnej i solidarnej obronie ich przez cały stan, nie udało się w Polsce zbudować absolutyzmu, który w Europie łamał kręgosłupy niepokornych mających śmiałość upominać się o swoje prawa. Jednak uwięzienie ograniczało swobodę ruchu, a w razie przegranej prowadziło prosto z lochu na szafot. Dlatego każdy, kto miał odrobinę rozsądku, starał się nie dopuścić do zatrzymania. Odpowiadając

z wolnej stopy, można było dysponować swoim majątkiem, by wpłynąć na sąd, można było przewlekać w nieskończoność postępowanie, przekupić świadków, zatrudnić najlepszych adwokatów, a w ostateczności, gdyby to wszystko zawiodło, uciec daleko i przeczekać.

Mawiało się wówczas, że prawo u nas jak pajęczyna, „bąk się przebiję, uwięź nie muszyna”, więc na palcach jednej ręki można policzyć przypadki, kiedy wymiar sprawiedliwości wykazał się skutecznością wobec wielkich panów. Jednak pozycja Agnieszki nie stawiała jej w szeregu najpotężniejszych tego świata. Chroniła ją przed uwięzieniem, ale tylko do czasu, gdyby wyszła na jaw prawda o jej pochodzeniu. Wtedy ścieżka sprawiedliwości stałaby się nagle tak stroma i śliska, że w mgnieniu oka jej zgrabna szyja znalazłaby się w zasięgu katowskiego topora albo, co gorsza, sznura szubienicy.

Wszystko oczywiście zależało od tego, jak głęboko będą kopać szpiedzy szwagierki i czego się dokopią. Jeśli tylko jej przygód na Zachodzie i niemoralnego prowadzenia się, to poradzi sobie, nawet gdyby znów odżyły plotki o otruciu przez nią Stanisława. Gorzej, gdyby odsłoniło prawdę o jej pochodzeniu – wtedy straciłaby wszystko, a jej życie nie byłoby warte funta kłaków. Gdyż dla szlachty nie było większej zbrodni niż wdzieranie się osób niższych stanów w jej elitarne szeregi.

Piastowany przez wieki mit o szczególnej roli polskiej szlachty w świecie wymuszał obronę przed napływem obcego elementu kalającego szlachetną krew rycerzy – strażników wiary, tradycji i wolności. To wszystko Agnieszka już wiedziała. Raz dostała nauczkę, kiedy ją odtrącono i wypędzono z Krakowa za mieszanie się z towarzystwem, do którego nie miała prawa aspirować. Ośmieszenie, pogarda i palący wstyd to nic w porównaniu z konsekwencjami, na jakie była narażona teraz. Wtedy tylko bawiła się z lepszymi od siebie. To prawda, że uciekła od swoich obowiązków i sprytnie wcisnęła się na salony, ale elity potraktowały jej czyn jako stosunkowo mało szkodliwy wybryk. Fanaberię, która dostarczyła towarzystwu tematu do plotek na jeden sezon. Została skarcana i odesłana na wieś, zaś jej adoratorzy wyśmiani i zawstydzeni faktem, iż dali się omamić prostej dziewczusze ze wsi.

Teraz dokonywała zamachu na największe świętości: nie tylko podszywała się pod osobę wyższego stanu, ale też skłoniła podstępem do małżeństwa młodego szlachcica, urodziła dziecko, w którego imieniu zagarnęła majątki ziemskie przysługujące wyłącznie szlachcie. Działała w warunkach recydywy, na o wiele większą skalę i tym razem nie wywinęłaby się katu.

O tym jednak Anna jeszcze nie wiedziała, gdy wiele miesięcy po pierwszej przegranej, czyli w 1678 roku, składała pozew przed Trybunałem Koronnym. Znała więcej faktów, zdobyła nowe dowody, ale jeszcze na tym etapie sądziła, że ma do czynienia z osobą tego samego stanu.

Trybunał Koronny był szlacheckim sądem najwyższym, do którego składano apelacje od wyroków sądów niższej instancji. Jego siedziba znajdowała się w dwóch miastach: Piotrkowie, zwanym z tego powodu Piotrkowem Trybunalskim, i w Lublinie. Rozpoczynając swoją kadencję, sędziowie zasiadali przez pół roku, od początku października do Świąt Wielkanocnych w Piotrkowie, sądząc sprawy wielkopolskie, by po tym czasie rozpocząć kadencję małopolską, przenosząc siedzibę sądu do Lublina. Tam wymierzano sprawiedliwość do świąt Bożego Narodzenia. Ze względu na właściwość przedmiotowy spór miał zostać rozstrzygnięty w Lublinie.

Trybunał był sądem właściwym dla spraw dotyczących osób stanu szlacheckiego oraz w sporach między szlachtą a duchowieństwem. Różnił się od innych instytucji tego typu na świecie składem i organizacją. Sędziowie nie byli zawodowymi prawnikami, lecz przedstawicielami szlachty, w znakomitej większości bez wykształcenia prawniczego<sup>61</sup>, wybieranymi na jedną roczną kadencję na sejmikach ziemskich zwanych deputackimi. Nie było wewnętrznego podziału na izby i wszyscy deputaci głosowali wspólnie nad każdą sprawą. To pochodzenie sędziów, ich kadencyjność oraz brak formalnego wykształcenia sprawiały, że wydawane wyroki charakteryzowały się większą łagodnością. Często, nie trzymając się ślepo litery prawa, operowano tam zasadą słuszności, mając w większym stopniu na względzie dobro człowieka niż interesy państwa czy wymiaru sprawiedliwości.

Bombą, którą Anna odpaliła, licząc na pogrążenie bratowej, była sprawa jej małżeństwa z Kollatim. Jej szpiedzy dokopali się do informacji o jej związku z austriackim oficerem i próbowali zaszkodzić jej w oczach opinii publicznej rozpowszechnianiem informacji o niemoralnym prowadzeniu się pani oficerowej na wiedeńskim dworze, które doprowadziło do separacji małżonków. Same w sobie wieści te nie mogły być podstawą do wniesienia oskarżenia przeciwko Agnieszce, bo zdrady małżeńskie nie były przestępstwem w świetle prawa, przynajmniej świeckiego. Jednak ich celem było przygotowanie gruntu pod bardziej drastyczne zarzuty.

I faktycznie wiosną 1678 roku do bramy dworu w Rupniewie zastukał woźny sądowy, przynosząc pozew, w którym ponownie pojawiły się zarzuty bezprawnego zagarnięcia dóbr rodu Rupniewskich. Tym razem jednak uzupełnione o nowe twierdzenia, z których wynikało, iż małżeństwo Agnieszki ze Stanisławem Rupniewskim nie mogło zostać ważne zawarte ze względu na fakt, iż nadal pozostawała ona żoną Kollatiego. O pierwszym mężu – Bartoszu Zatorskim – oczywiście jeszcze nikt z zainteresowanych nie słyszał.

Wiemy, że Kollati wiosną 1678 roku już nie żył. Jednak kluczowe dla sprawy było ustalenie, czy jeszcze pozostawał w świecie żywych w 1675 roku, a konkretnie w tym dniu, w którym młody polski panicz spotkał piękną dziewczynę

i kazał czym prędzej sprowadzić księdza, by połączyć się z nią węzłem małżeńskim.

Agnieszka najwyraźniej nie miała w tej sprawie czystego sumienia, gdyż w przypływie paniki uciekła z zajmowanych majątków i schroniła się w klasztorze, gdzie była bezpieczna przed przemocą ze strony jej przeciwniczki oraz przed działaniami organów sądowych. Nie możemy wykluczyć, że ten desperacki krok został wymuszony przez Annę, która podjęła próbę pojmania bratowej i wtrącenia jej do lochu. Tego nie wiemy, ale niewątpliwie Agnieszka przestraszyła się i popełniła pierwszy poważny błąd w starciu ze swoją przeciwniczką. Ta bowiem, wykorzystując nieobecność rywalki i nie czekając na wyrok trybunału, zajęła majątki po zmarłym bracie i pozbawiła ją źródeł dochodów.

W klasztorze Agnieszka była bezpieczna. Wielowiekowa tradycja klasztornego azylu chroniła ją przed knowaniami wrogów. Żaden magnat, urzędnik królewski ani nawet sam król nie powazyliby się wystąpić przeciwko Kościołowi i złamać mir wewnątrz klasztornych murów. Aby siłą wyciągnąć stamtąd Agnieszkę, potrzeba by było desperata, który nie uląkłby się kościelnej kłatwy, procesu o najście oraz potępienia ze strony społeczności katolickiej. A takich na szczęście dla niej było niewiele w dziejach państwa polskiego. Jednak za luksus bezpieczeństwa trzeba było zapłacić rezygnacją z wielu możliwości i wygód. Skazując się na dobrowolną izolację, ograniczyła sobie swobodę ruchów. Kontakty z adwokatem zostały utrudnione i siłą rzeczy musiały odbywać się, przynajmniej częściowo, korespondencyjnie, zaś luksusy życia światowej damy zamieniły się w niewygodę klasztornej celi.

Jak widzimy, cios był precyzyjnie wymierzony i bardzo dotkliwy. Anna, mając do dyspozycji ogromne zasoby finansowe Szembeków, mogła sobie pozwolić na najlepszych adwokatów i wieloletnie, praktycznie nieskończone nękanie przeciwniczki. Agnieszka zaś, jedynie czerpiąc z dóbr po Stanisławie, skutecznie odpierała dotychczasowe ataki. Teraz, po utracie tej możliwości znacznie ograniczyła się jej swoboda działania w sądzie. Musiała postawić na tańszego mecenasa – imć pana Kostronia – który niegdyś słynął z ponadprzeciętnego sprytu, teraz jednak raczej z tego, iż częściej zaglądał do dzbanka niżli do księgi. Trzeba też było obrać mniej kosztowną linię obrony polegającą głównie na zbijaniu argumentów przeciwnika poprzez podnoszenie uzasadnionych wątpliwości co do wiarygodności dowodów drugiej strony.

W sądzie powódka domagała się wyroku jednoznacznie przysądzającego jej wszystkie majątki po zmarłym bracie, gdyż ze względu na nieważność małżeństwa Agnieszki i Stanisława ani ona, ani jej dziecko nie mieli prawa do dziedziczenia. Żądała również ukarania powódki za jej bezprawne działania pozbawieniem wolności oraz dotkliwą grzywną pozbawiającą Agnieszkę wszelkich środków do życia.

Oczywiście pełnomocnik naszej bohaterki przekonywał, iż zarzuty są bezpodstawne, zapewniał, że w chwili zawarcia związku ze Stanisławem jego klientka była już wdową i deklarował, iż dostarczy dowody na poparcie swoich twierdzeń, jeśli trybunał da mu czas na sprowadzenie świadków i dostarczenie dokumentów. Generalnie cały wysiłek obrony na tym etapie skupił się na odwleczeniu sprawy, gdyż wiadano, że ze względu na ogromne zaległości w rozstrzyganiu sąd miał wieloletnie opóźnienia. Takie odroczenie w celu dostarczenia istotnych dla sprawy dowodów mogło oznaczać nawet kilkuletnią zwłokę w rozpoznaniu.

Dałoby to Agnieszce czas na lepsze przygotowanie się do obrony. Jednak jej szwagierka, czując smak zwycięstwa, nie zamierzała pozwolić swojej ofercie, by się jej wymknęła. Naciskała więc ze wszystkich sił na jak najszybsze rozstrzygnięcie.

Dośłownie w przeddzień wywołania sprawy Agnieszka przeniosła się dyskretnie z miejsca dotychczasowego swojego pobytu, które pozostało tajemnicą, do klasztoru w Lublinie, niemal tuż obok budynku trybunału, chcąc być informowana na bieżąco o przebiegu procesu. Kobiety osobiście bardzo rzadko gościły w murach sądów. Prawo co prawda nie zabraniało stawiennictwa osób płci pięknej – ba, niekiedy było to wręcz konieczne – ale wszędzie tam, gdzie można było uzyskać zastępstwo męskiego członka rodziny bądź wynajętego pełnomocnika, zalecano, by z takiej możliwości korzystać. Uznawano bowiem, iż nie wypada, aby kobieta narażała swą niewinność na zetknięcie z brudami życia codziennego. Tam więc, gdzie sąd, gdzie przestępstwo, swary, złorzeczenia i przekleństwa, kobiece suknie rzadko widywano.

W tej sali sądowej decydowały się jednak losy Agnieszki, nie mogła więc ona siedzieć cierpliwie w klasztornej celi i czekać na wyrok. Zatrudniła dwóch bystrych chłopców, Maćka i Kajtka, którzy na zmianę przybiegali do furty klasztornej i przez grube deski okutych żelazem drzwiczek w pośpiechu wyrzucali z siebie informacje o tym, co się dzieje w jej sprawie. Z relacji wynikało, że adwokat dość dobrze sobie radzi z naporem strony powodowej dysponującej zeznaniami dwóch mało wiarygodnych świadków, którzy rzekomo spotkali żywego Kollatiego w gospodzie kilka dni przed datą ślubu Agnieszki ze Stanisławem.

Imć Kostroń donosił, iż bez większego trudu podtrzyma wątpliwości części sędziów, którzy nie wierzyli w winę Agnieszki. Adwokat umiejętnie utrzymywał ich w świadomości, iż Agnieszka wstępowała w nowy związek małżeński z pełnym przekonaniem, że jest wdową. Szacował jednocześnie, iż co najmniej połowa składu nie została przekonana przez Szembeków, była więc duża szansa na wygraną.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy doniesiono do klasztornej furty, iż już tylko mowy końcowe mecenasów obu stron dzielą zainteresowanych od



chwili, gdy sąd uda się na naradę. Wtedy Kajtek, który zdyszany przybiegł do Agnieszki z doniesieniem o rozpoczęciu przemówienia powódki, zatrzymał się na chwilę, zanim ruszył w powrotną stronę.

– Co się stało, Kajtuś? – Agnieszka przez drzwi wyczuła wahanie chłopca. Był sierotą z okolic Rupniewa. Służył przy dworze za miskę zupy i bardzo przypadł jej do gustu ze swoim rezolutnym charakterem.

– Starsza panienska... – wyczuła w jego głosie niepewność. Wiedziała, że tak w rupniewskim dworze służba mówiła o Annie Szembekowej ze względu na czasy, gdy żyli jeszcze rodzice Stanisława i Anny. Wtedy na nią mówiono starsza panienska, a na drugą córkę młodszą panienska. Może dlatego, że obie na pierwsze miały Anna. Przeciwniczce naszej bohaterki dano na chrzcie Anna Barbara, młodszej zaś Anna Józefa.

– Co z nią? – z napięciem czekała na odpowiedź, niemal słysząc, jak walczą w nim resztki lojalności wobec dawnej pani z poczuciem obowiązku w stosunku do nowej.

– Wydaje mi się, że ją właśnie widziałem.

– Gdzie? – Agnieszka nie mogła uwierzyć, że jej przeciwniczka osobiście przybyła do trybunału. Raczej skłonna była przyjąć, że gdzieś tu w pobliżu, jak ona, siedzi w jednej z kamienic i odbiera raporty z przebiegu procesu.

– W powozie – głos chłopaka zdradzał, że nie miał pewności co do tego, co zobaczył. – Jak pędziłem tutaj, to widziałem... tak mi się wydawało... – poprawił się zaraz – że widziałem starszą panienskę w powozie.

– Dobrze, że mi powiedziałeś – pochwaliła chłopca. – Wracaj do izby sądowej i przyslij mi Maćka.

Agnieszka nie chciała narażać malca na kolejne rozterki, dlatego odesłała go, by obserwował rozprawę, a drugiemu z chłopców, który nie był związany z rodziną Rupniewskich, poleciła obserwację powozu ze swoją przeciwniczką. Nie minęły dwa pacierze, jak wrócił z raportem. Dowiedziała się z niego, że Szembekowa już wcześniej zapewniła sobie przychylność połowy sędziów, jednak co do pozostałych nie miała pewności. Postanowiła więc wkroczyć do izby sądowej w odpowiednim momencie i, odgrywając rolę zbołałej siostry nieboszczyka, przeciagnąć resztę składu sędziowskiego na swoją stronę.

Agnieszka zawrzała gniewem i z poszumem sukni ruszyła czym prędzej do swej celi, by przygotować się do dania odporu knowaniom podstępnej szwagierki.

Udało się!

Nasza bohaterka doskonale wybrała czas swojego wejścia na salę. Wiedząc, że jej przeciwniczka próbuje przekonać sędziów swoją ostrą przemową, wkroczyła na salę tuż po tym, gdy wybrzmiały obelgi na jej temat. Swoją pokorną postawą, widocznym na twarzy cierpieniem i skromnością przekonała część wahających się, co przeważało szalę na jej korzyść.

Zarzuty zostały oddalone.

★

Myliliby się jednak ten, kto by pomyślał, że na tym cała sprawa zostanie zakończona. Co prawda prawo nie przewidywało możliwości podważenia prawomocnego wyroku trybunału, a z takim właśnie mieliśmy do czynienia, ale – jak mawiał uważny obserwator ówczesnego życia Jędrzej Kitowicz – „kiedy sędziowie zostali obrani, już nie prawo nimi, a oni prawem rządzą”. Każdy więc, kto miał wystarczającą determinację, by mimo przeciwności walczyć dalej, oraz środki na finansowanie tej walki, mógł się pokusić o zmianę orzeczenia sądu. A Annie nie brakowało ani jednego, ani drugiego.

Dlatego, z niewielką przerwą na ochłonięcie, wkrótce rozpoczęła przygotowania do kolejnej rundy. Powódka, korzystając z pieniędzy i wpływów męża, próbowała wywierać wpływ na wybór sędziów już na etapie sejmików deputackich. Wszędzie tam, gdzie było to możliwe, wspierała kandydatów życzliwych jej rodzinie. Jednocześnie szukała materiałów kompromitujących Agnieszkę. Próbowała odnaleźć krewnych Agnieszki i z czasem nabrała podejrzeń co do jej pochodzenia.

Agnieszka w tym czasie również nie próżnowała. Prowadząc swoją walkę w osamotnieniu, doszła do wniosku, że najbardziej przydałby się jej sprawdzony sojusznik, ktoś, komu mogłaby zaufać i kto wspierałby ją swym silnym ramieniem wszędzie tam, gdzie ona nie byłaby w stanie dotrzeć. To na tym etapie pojawił się w jej otoczeniu znany awanturnik, starosta łukowski Kazimierz Domaszewski, który wkrótce poprosił ją o rękę.

Z jej punktu widzenia, pomijając kwestię uczuć oraz atrakcyjności fizycznej pretendenta, zamążpójście za osobę, która z prawem miała wielokrotnie do czynienia, procesującą się we wszystkich instancjach od lat, było racjonalnym wyborem. Ktoś taki mógł ją wesprzeć swoim niebagatelnym doświadczeniem i przeważać szalę zwycięstwa na jej korzyść.

Jednocześnie wynajęci przez nią ludzie znaleźli cennych świadków, którzy potwierdzają, iż Kollati umarł przed jej ślubem ze Stanisławem, oraz dalekich krewnych Marcina Zborowskiego, ubogą szlachtę zaściankową, którzy w zamian za odpowiednią opłatę przypomniały sobie los sieroty po Marcinie Zborowskim.

Grunt pod starcie z obu stron został przygotowany. Jednak ze względu na marszałka trybunałskiego niechętnego Szembekom nie udało się Annie doprowadzić do wywołania sprawy. Z realizacją swojego planu musiała poczekać jeszcze przez rok.

W międzyczasie pojawiła się szansa na odzyskanie przynajmniej części fortuny po Kollatim. Agent Agnieszki doniósł z Wiednia, że po zaspokojeniu licznych wierzycieli pozostało jeszcze co nieco do podziału i gdyby przyjechała, to wyrwaliby ładny kawałek tortu. Agnieszka się wahała. Bała się wyjechać, by tutaj czegoś nie zaprzepaścić. Chciała wysłać kogoś innego, by w jej imieniu działał, ale z Wiednia wzywano, by osobiście przyjechała, bo tylko wówczas jest nadzieja na sukces. Musiała wykorzystać swoje osobiste wpływy i znajomości. Naradziła się z mężem, ten ją nakłaniał, by jechała, obiecując, że zajmie się tutaj wszystkim, więc ruszyła w drogę.

Tam już zastała zupełnie nową sytuację, atmosfera była inna, bo i w Polsce rządził nowy król sprzyjający wyraźnie odwiecznym rywalom Habsburgów – Francuzom. Więc zabieganie o własne sprawy szło znacznie trudniej, niż się spodziewała, ale ostatecznie zdobyła nieco gotówki i pospiesznie popędziła do kraju, z którego dochodziły do niej wieści, że tym razem na marszałka trybunalskiego został wybrany wojewoda łęczycki Piotr Opaliński, człowiek bez uprzedzeń do jednej i drugiej strony, więc Szembekowie rozpoczęli starania o wznowienie postępowania przed sądem.

Wydawało jej się, że jest dobrze przygotowana do procesu. Przed wyznaczonym terminem rozprawy ściągnęła do Lublina świadków, dokumenty czekały na prezentację, adwokat znał sprawę i, odpowiednio zmotywowany, pilnował wokandy. Ona, zachęcona sukcesem poprzedniego razu, postanowiła ponownie bezpośrednio uczestniczyć w rozprawie.

Jedenastego lipca 1681 roku woźny trybunalski wezwał strony na salę. Już na wstępie Agnieszkę spotkał niespodziewany cios – okazało się, że przeciwniczka odnalazła jej słabą stronę i sprowadziła na rozprawę jej pierwszego męża Bartosza Zatorskiego. Ona jednak bez mrugnięcia okiem wyparła się go i odrzuciła jako absurdalny zarzut chłopskiego pochodzenia i wielomęstwa, czyli wchodzenia w kolejne związki małżeńskie mimo trwania poprzednich. Odniosła wrażenie, że sędziowie dobrze przyjęli jej obronę i uwierzyli jej, a nie przepitemu kozakowi.

Przedstawiła świadków śmierci Kollatego, którzy potwierdzili, że tenże zmarł kilka dni przed datą jej ślubu ze Stanisławem Rupniewskim. Wezwała krewnych Marcina Zborowskiego, którego podawała jako swojego ojca, by potwierdzili jej wersję pochodzenia od tej rodziny, i ci uczynili, czego od nich oczekiwano. Zaprezentowali również drzewo genealogiczne z Agnieszką, a ona przedstawiła metrykę swego urodzenia, w której wyraźnie zapisano, kto ją spłodził i urodził.

Wydawało się, iż ostateczne zwycięstwo jest w zasięgu ręki. I wtedy grom z jasnego nieba!

Na salę wprowadzono w charakterze świadka wdowę po Marcinie Zborowskim, która zaświadczyła, że on nigdy nie ożenił się kobietą, którą Agnieszka

prezentowała jako swoją matkę. Do ostatecznego upadku zaś przyczyniła się sama pozwana. Otóż w prezentowanej metryce urodzenia, spreparowanej z najwyższą starannością, poleciła ująć sobie nieco lat, by uchodzić za młodszą niż w rzeczywistości. Tylko wcześniej nie sprawdziła, kiedy zmarł Marcin Zborowski wskazywany przez nią jako jej ojciec, i kiedy udowodniono, że zmarł dwa lata przed wskazywaną datą jej narodzin, cała linia jej obrony legła w gruzach. I tak przez własną próżność straciła wszystko.

Marszałek Opaliński wezwał strażę.

★

Nieprzyjemna wilgoć poranka zastała ją u stóp szafotu. Wdzierała się pod szaty, potęgując towarzyszące jej jeszcze w lochu uczucie zimna.

Z lekkim niedowierzaniem spojrzała na górującą nad sobą postać kata, który bez odrobiny litości gapił się na nią, jakby w oczekiwaniu, że sama ochoczo wskoczy na niski pień ustawiony w centralnym punkcie podwyższenia. Siła przyciągania przedmiotu, na którym spoczęła po raz ostatni niejedna żywa istota, wydała jej się wręcz obezwładniająca. Nie chciała na niego patrzeć, ale wzrok sam uciekał w stronę lepiącego się od brudu i pozostałości po poprzednich ofiarach kawałka drewna. Wstrząsnęła się z obrzydzeniem. Częściowo na widok kata, bardziej jednak przez wzgląd na jego zaniedbany warsztat pracy.

*Jak to człowiek szybko przyzwyczaja się do dobrego* – uśmiechnęła się do swoich myśli, a kłębiący się wokół podwyższenia tłum westchnął, zdumiony jej pogodną twarzą w obliczu śmierci. – Kilka lat temu brodziłam boso w świńskim łajnie, a dziś brzydzę się położyć szyję na oblepionym zaschniętą krwią i resztkami ludzkich włosów pniaku!

Postąpiła śmiało po schodach, unosząc oburącz długą suknię. Przed świtem, po krótkim wahaniu, zdecydowała się włożyć swoją najlepszą kreację. Trochę się martwiła, że krew zniszczy piękną szatę, ale wkrótce przyszła refleksja – *i tak nie będę miała już okazji włożyć jej po raz drugi!*

Idąc z dumnie podniesioną głową, wspomniwała Wenecję. Doskonale pamiętała dzień, w którym miała do niej przyjść słynna wenecka krawcowa. Czekala na nią, podniecona jak przed ślubem z Kollatim, czując, że od tej chwili już nic nie będzie takie, jakie było do tej pory. Krawcowa przyniosła jej do przymiarki suknię, którą Agnieszka miała teraz na sobie. Przejrzała się wtedy z aprobatą w lustrze i z głośnym śmiechem zakręciła się wokół. Dziś rano nie wyglądała już tak świeżo i radośnie, ale i tak na chwilę przed śmiercią prezentowała się o niebo lepiej od tych wszystkich tłoczących się wokół niej kobiet – i to bez względu na stan i wiek!

*Cudownie byłoby wrócić raz jeszcze do słonecznej Italii!* – rozmarzyła się, stając dumnie wyprostowana na wzniesionym specjalnie dla niej podwyższeniu. – *A wydawało się, że wszystko zmierza w dobrym kierunku* – przeniosła się myślami do dnia wczorajszego, gdy – pewna ostatecznego zwycięstwa – dumnym krokiem wkroczyła do sali sądowej lubelskiego trybunału.

Mecenas odradzał jej osobiste uczestnictwo w rozprawie, przekonywał, że lepiej nie ryzykować i pozostać w bezpiecznym klasztornym azylu pod ochroną sióstr. Ona jednak postanowiła postawić wszystko na jedną kartę i swoim urokiem oraz znakomitą grą aktorską przekonać nieprzekonanych, by raz na zawsze odsunąć od siebie i swojego syna zagrożenie płynące ze strony rodziny zmarłego męża.

Wydawało jej się, że jest przygotowana na każdą okoliczność. Większość sędziów, na czele z samym marszałkiem, zdawała się życzliwie nastawiona do jej sprawy. Odpowiednio wcześniej postarała się odwiedzić sędziów w ich stacjach, opisując swoją wersję konfliktu ze szwagierką. Wiedziała, że jej przeciwniczka czyni podobne starania, ale ufała w swój wpływ na mężczyzn, na którym do tej pory się nie zawiodła. Jej opowieść o chciwości krewnych męża, ich złej woli oraz nienawiści żywionej wobec bezbronnej sieroty brzmiała tak prawdopodobnie, że wyciskała łzy z oczu najbardziej twardych mężów.

Zadanie miała nieco ułatwione, gdyż w tym roku skład trybunału został znacznie uszczuplony przez zerwane sejmiki w wielu województwach. Gdzieś obok jej drobnego sporu toczyła się wielka gra możliwych o znacznie ważniejsze sprawy i to oni doprowadzili do zaostrzenia lokalnych konfliktów skutkujących zerwaniem niemal połowy zgromadzeń wybierających sędziów trybunalskich. Tak więc zamiast pięćdziesięciu, miała do przekonania trzydziestu dwóch sędziów i czuła, że w większości przypadków osiągnęła sukces.

Uniesiona na fali okazywanej sympatii, bez trudu odrzucała kolejne zarzuty, do których sąd również zdawał się nie przywiązywać większej wagi.

– Bo i cóż złego w tym, iż moja klientka kilkakrotnie wychodziła za mąż? – pytał z drwiną jej adwokat. – Toż i na tej sali niejeden z waszmościów choćby i dziś chętnie pojąłby za żonę tak urodziwą kobietę!

Chóralny śmiech potwierdził, iż argument został dobrze przyjęty. Co prawda jakoś trzeba było się wytłumaczyć z tego, że Agnieszka wychodziła za mąż za kolejnych mężczyzn, będąc żoną poprzedników, ale obrona postawiła na śmiałą taktykę zaprzeczania faktom i prezentowania własnej wizji wypadków.

Szybko i sprawnie rozprawiali się z kolejnymi zarzutami.

*Byliśmy zbyt pewni siebie i nie doceniliśmy przeciwników!* – skonstatowała ze smutkiem.

Zniecierpliwiony kat zaszurał nogami. Przyjrzała się z bliska tej odrażającej postaci. Wysoki i mocno zbudowany, budził grozę szczególnie obojętnym wyrazem twarzy, jakby fakt, iż odbierze życie kolejnej osobie, nie robił na nim wra-

żenia. Wzrok mimowolnie kierował się ku krzepkim, czerwonym dłoniom, które za chwilę ujmą stylisko topora. Teraz zgodnie z zasadami były puste, a narzędzie spoczywało poza zasięgiem wzroku skazańca, gdzieś pod wiązką słomy tuż obok nogi oprawcy.

Rozejrzała się wokół, obejmując wzrokiem morze głów wzniesionych w oczekiwaniu na widowisko. Gawiedź wpijała się tysiącem spojrzeń w jej oblicze w poszukiwaniu strachu, by sycić się cudzym nieszczęściem i cieszyć, że to nie ich głowa poturla się za chwilę pod nogi pomocników kata. Prześlizgnęła się obojętnie po spoconych z emocji twarzach, szukając znajomych. Ucieszyła się, że nie ma tu jej synka. Zabroniła go przyprowadzać w to miejsce – *niech zachowa mnie w pamięci wesolą i pełną życia!*

Agnieszka uklękła i, przełamując obrzydzenie, położyła głowę na lepiałym się od brudu pieńku.

Był mglisty poranek 12 lipca 1681 roku. Zanim wyczuła delikatny ruch powietrza, kątem oka ujrzała, że tłum wstrzymał oddech, a potem ciemność opanowała jej umysł.

# PIĘKNA BITYNKA – ZOFIA GLAVANI

*Kobiety żyją cnotliwie i jak należy tylko wtedy, gdy brak odpowiedniego miejsca, czasu i mężczyzny, który by je uwiódł*

Narajana, przysłowie hinduskie

## Dudu

Wiosna 1777 roku została zapamiętana w Stambule jako czas zarazy. Epidemia, przywleczona przez żołnierzy lub może kupców z dalekich krajów, dziesiątkowała ludność stolicy imperium osmańskiego, nie oszczędzając biednych ni bogatych. Każdej doby tysiące osób umierały w cierpieniu, a władze miasta próbowały zmniejszyć rozmiary klęski, ograniczając kontakty międzyludzkie. W ciągu dnia opatulone w ciemne szaty, wystraszone postacie przemykały zaułkami, by załatwić najbardziej palące potrzeby egzystencjalne. Trzeba było zdążyć przed zmrokiem, gdyż po wieczornej modlitwie nikt nie mógł pozostać na zewnątrz. Spotkania towarzyskie zostały zakazane, zaś przebywanie w obcym domu po zmroku karano chłostą, a recydywistów zsyłano na galery.

Szczególną ostrożność nakazano w kontaktach z cudzoziemcami, których tradycyjnie oskarżano o roznoszenie wszelkiego zła. Wzajemne kontakty między obcymi a miejscowymi obwarowano niezliczonymi zastrzeżeniami. Nocą na pustych ulicach miasta hulał wiatr.

Liczne zakazy i nakazy regulowały zasady kontaktów międzyludzkich, ograniczając je do niezbędnego minimum. Jednak o ile muzułmanie bez większego oporu poddawali się narzuconym rygorom, o tyle wśród części chrześcijan pokutował przesąd, iż nic tak nie zabezpiecza przed morowym powietrzem jak regularne spożywanie napojów na bazie alkoholu. Przdowali w tym przeświadczeniu oczywiście Polacy i Rosjanie, którzy systematycznie odkażali swoje organizmy, jedni faktycznie wierząc, iż środek ten chroni ich przed zakażeniem, inni zaś tłumiąc tym sposobem strach przed chorobą.

W majową noc 1777 roku, w samym środku szalejącej epidemii, w pałacyku zajmowanym przez szefa polskiej misji dyplomatycznej Karola Boscampa panującą ciszę rozerwał niespodziewany skowyt wydobyty z przepełnionej strachem gardzieli. Wyrwany nagle ze snu dyplomata wezwał jednym krótkim, żołnierskim słowem sługę Waclawa czuwającego pod drzwiami.

– Straż miejska nakryła naszego stróża na baraszkowaniu z jakąś dziewczką, jaśnie panie – pospieszył z wyjaśnieniem Waclaw, który już od dłuższej chwili obserwował przez okno przebieg wydarzeń.

– Szlag by to trafił, akurat dziś!? – zdenerwował się nie na żarty pan Karol. Stanął za zasłoną i jednym rzutem oka ogarnął rozgrywającą się na dole scenę. Klęczący cudzołożnik w potarganej koszuli, który zawodził ze strachu na całą okolicę, obok zapłakana dziewczka z obnażoną piersią, nad nimi srożący się podoficer na czele miejskiego patrolu. Znał turecki, więc rozumiał niektóre głośniejsze wypowiedziane na dole słowa. – Typowe tłumaczenia każdego złooczyńcy, przyłapanego na gorącym uczynku! – wzruszył ramionami, wracając do łóżka.

Nie miał nic przeciwko batożeniu sług, szczególnie że zarówno jedna, jak i druga strona proceduru nie obchodziły go ani na jotę. Wiedział co prawda, że siedzący przy bramie Turek nie będzie się nadawał do niczego przez wiele dni, ale nikt nie jest niezastąpiony, on zaś właśnie w tej chwili miał na głowie zbyt wiele spraw, by martwić się o jurnego bęcwała.

Hałas się wzmagał, więc nie było mowy o spaniu. Już cały personel misji stał przy oknach z nosami przyklejonymi do szyby.

– Chyba idą tu do nas! – ostrzegawczo zawołał Waclaw i już po chwili usłyszeli dobijanie się do drzwi.

– A czegoż oni chcą ode mnie? – prychnął dyplomata, ale wiedział, że jeśli nie chce spędzić reszty nocy na przepychankach słownych z dowódcą patrolu, musi czym prędzej wyjaśnić sprawę osobiście. Machnął ręką w stronę służki, by ten zapytał, o co może chodzić.

– Stróż, jaśnie panie, nie pozwala się wybatożyć – wrócił sługa z odpowiedzią, dorzucając po chwili milczenia, spowodowanego najwyraźniej szokiem, jeszcze bardziej sensacyjną wiadomością. – Twierdzi, że miał zgodę jaśnie pana na odwiedzinę tejże kobiety, która ma być mieszkanką naszej misji.

– Co takiego? – można się było spodziewać oporu albo próby obrony, ale tak absurdalnego tłumaczenia to jednak się nie spodziewał.

Nim się spostrzegł, już miał u swych stóp lamentującego stróża, który skorzystal z zamieszania i czym prędzej padł przed nim na twarz.

– Panie, błagam, ratuj, nie pozwól mnie chłostać. Ja stary już i nie przeżyję tej tortury!

– Stary!?! – wzruszył obojętnie ramionami dyplomata. – Na chłostę stary, a do rozpusty w sam raz! – mówiło puste spojrzenie, którym obrzucił wijącego się u jego nog stugę.



Ten jednak nie zamierzał dać się zbyć tak łatwo i zanim pan Karol zdążył cokolwiek powiedzieć, szepnął konspiracyjnie na tyle głośno, by on sam go usłyszał, za cicho jednak, by stojący przy drzwiach w oczekujących pozach zbrojni mogli zrozumieć, o czym rozmawiają: – Ta kobieta, panie, przyszła oddać pod twą łaskawą opiekę swoją młodziutką córkę!

– Córkę, powiadasz? – zastygł w połowie obrotu, jaki zamierzał wykonać, dając tym samym znak, iż nie obchodzi go los proszącego.

– Tak! – gorliwie potwierdził czym prędzej Turek. – Czternastoletnią, o niebiańskiej wręcz urodzie!

Mimo iż pan Karol przebywał w Stambule dopiero od kilku tygodni, to z poprzedniej swej bytności doskonale pamiętał gotowość greckich matek do stręczenia swoich córek dobrze sytuowanym mężczyznom. W ich trudnym położeniu materialnym, w jakim znajdowały się pod tureckim panowaniem, oddanie dorastającej córki możnemu protektorowi było jednym z łatwiejszych i dość popularnych sposobów zapewnienia przyszłości przynajmniej samej dziewczynie. A przy odrobinie szczęścia również jej rodzicom. Na cel tych starań obierano zwłaszcza dyplomatów, dla których wielomiesięczny pobyt poza domem był okazją do erotycznych przygód, zaś koszt takiej usługi nie stanowił nadmiernego obciążenia.

– Cudowna, wspaniała! – kusił lubieżnym szeptem Turek.

Dyplomata zerknął badawczo w stronę stojącego w drzwiach dowódcy patrolu. Ten tylko wzruszył ramionami, dając znak, że wszystko zależy od gospodarza tego domu. On zaś wahał się, bo nie dalej jak tydzień wcześniej ten sam stróż przyprowadził do niego nastolatkę, która spała teraz twardo dosłownie o kilka kroków od nich w skotłowanej pościeli polskiego posła.

– Dziewica! – zajęczał spazmatycznie Turek, widząc, że strażnicy zaczynają się niecierpliwić.

– Zawsze tak mówią – westchnął pan Karol, bo znał już wszystkie metody naganiaczy, którzy doskonale wiedzieli, że niedoświadczone seksualnie Greczynki są najbardziej pożądanym towarem. Mimo tej świadomości ciekawość w nim zwyciężyła. Po krótkim wahaniu zwrócił się więc do dowódcy straży, wołając stanowczym głosem:

– Zostawcie go! Było tak, jak mówi. Kobieta miała moją zgodę na przebywanie w stróżówce.

★

Rankiem niefortunna kochanka stróża przyprowadziła do pałacyku dyplomaty swoją córkę zwaną w domu Dudu, i tak oto po raz pierwszy skrzyżowały się drogi tej, która miała stać się jedną z najsłynniejszych kobiet swoich czasów,

oraz człowieka, który wypełniał misję przywrócenia stosunków dyplomatycznych między Polską i Turcją, a stał się promotorem jej spektakularnego sukcesu.

Dodatkowej pikanterii całej historii z małą Dudu dodaje fakt, iż Karol Boscamp, który z tak wielkim zapałem oddawał się rozpuście z małoletnimi dziewczynkami w stolicy obcego państwa, nie był osobą wolną – przeciwnie, pozostawał w związku małżeńskim z Katarzyną, która urodziła mu pięcioro dzieci. Jakby tego było mało, dwoje z tych dzieci zabrał ze sobą i teraz ci dwaj jego synowie w wieku zbliżonym do tego, w jakim znajdowały się kochanki ojca, ze zdumieniem obserwowali jego poczynania w roli amanta ich rówieśniczek.

Zanim przejdziemy jednak do opisu spotkania bohaterów tej historii, kilka słów na temat sytuacji międzynarodowej oraz samego dyplomaty, który okazał się postacią tyleż barwną, ile tragiczną. Zasiadający na polskim tronie od 1764 roku z woli Rosji król Stanisław August Poniatowski usiłował początkowo bezskutecznie zyskać uznanie innych władców, zwłaszcza zaś sułtana tureckiego. Jednak poza jego protektorką inni traktowali Poniatowskiego tak, jak to wynikało z jego faktycznego statusu, czyli jako agenta i marionetkę w rękę carycy Katarzyny.

Król i jego współpracownicy od pierwszych dni po objęciu władzy usilnie poszukiwali sposobu, by przebić się przez niechęć dworu osmańskiego, gdy zgłosił się do nich właśnie Karol Boscamp. Był to człowiek młody jeszcze jak na dyplomata, bo około trzydziestoletni, ale dysponujący już sporym doświadczeniem w kontaktach ze światem islamu. Urodził się w Holandii w rodzinie francuskich hugenotów. Świata po raz pierwszy objawił się w 1756 roku jako kurier posła pruskiego w Stambule. Miał tam znaczne zasługi w dbaniu o pruskie interesy, które jednak nie spotkały się z należyтым wynagrodzeniem. Służba dla Fryderyka II nie przynosiła pełniącym ją satysfakcjonujących profitów, więc zaszczyt jej pełnienia wiązał się z głodowymi pensjami, co niejednego skazało na krępującą konieczność oszczędzania do granic nędzy.

Zachowało się do naszych czasów wiele przekazów świadczących o graniczącej ze śmiesznością oszczędności urzędników i dyptomatów pruskich. Niektórzy z nich, chcąc poprawić swoje położenie, dorabiali po godzinach w sposób nie zawsze licujący z godnością monarszych funkcjonariuszy. Również ambitny i lubujący się w luksusie Karol rozpoczął poszukiwania dodatkowych źródeł dochodu. Niestety, znalazł je w mało chlubnym procederze – zajął się pokątnym stręczycielstwem zakrawającym wręcz na handel żywym towarem. To prawdopodobnie na tym tle doszło do konfliktu między nim a chanem krymskim. Jeśli do tego dodamy jego skłonność do intryg, zamiłowanie do plotek oraz pokątny obrót przemycanymi dobrami, to ukaże nam się obraz sprytnego, ale mało dyskretnego dyplomaty. W wyniku przykrego incydentu mającego związek z jego

pozadyplomatyczną działalnością Boscamp musiał porzucić służbę w dyplomacji pruskiej i wracać do Europy.

Na szczęście dla niego jego powrót z nieudanej misji zbiegł się w czasie ze zmianą na polskim tronie w 1764 roku i rozpacziwym poszukiwaniem przez nowego władcę zręcznych dyplomatów z biegłą znajomością języków orientalnych. Tę, dzięki wieloletniemu pobytowi na Wschodzie, Boscamp miał, więc czym prędzej rozpoczął zabiegi o przyjęcie na służbę polskiego dworu. Został zatrudniony i, otrzymawszy godziwe wynagrodzenie, zajął się korespondencją turecką. Wkrótce przygotowano misję dyplomatyczną do Stambułu, której celem było oficjalne zawiadomienie tamtejszego monarchy o elekcji króla Stanisława Augusta. Na czele poselstwa stanął Tomasz Aleksandrowicz, zaś wsparciem służył mu znawca tamtejszych stosunków, pan Karol.

Głównym problemem wysłanników było skłonienie sułtana, by w ogóle zechciał przyjąć posłów od władcy, którego nie uznawał, nawet bez żadnych formalnych deklaracji w sprawie legalności jego wyboru. I tutaj objawił się legendarny spryt Boscampa, który dzięki swoim znajomościom i nieformalnym zabiegom doprowadził do audjencji polskiego poselstwa przed obliczem tureckiego monarchy.

Od tej pory kariera pana Karola nabrała tempa. Po powrocie do Polski uznał, że korzystniej dla niego i jego spodziewanego awansu będzie zmienić przynależność kościelną. W kraju, w którym protestanci w tamtym okresie stanowili niewielki promil ludności, zaś wśród tych najbardziej wpływowych jeszcze mniejszy, trwanie przy mało popularnym kalwinizmie nie wydawało mu się racjonalnym wyborem. Przyjął więc chrzest w Kościele katolickim, a wkrótce – dzięki poparciu króla – uzyskał indygenat<sup>62</sup>, co poprawiło jego pozycję w stosunku do dominującej w polskiej polityce szlachty.

Prawdopodobnie to w tym okresie jego rosnąca pozycja na dworze królewskim zwróciła uwagę służb rosyjskich, które zaproponowały mu płatną współpracę. Oczywiście pozbawiony skrupułów dyplomata skrzętnie skorzystał z nadarzającej się okazji. Od tej pory w zamian za wypłaty dokonywane regularnie z kasy Ambasady Rosyjskiej w Warszawie przekazywał informacje i reprezentował interesy wrogiego mocarstwa. Mógł też liczyć na ochronę, wsparcie i opiekę rosyjskich dyplomatów na ścieżce swojego awansu.

Jesienią 1776 roku, w uznaniu jego zasług i jako zachętę do dalszych wysiłków, uzyskał polskie szlachectwo wraz z dodatkiem do pierwotnego nazwiska. Od tej pory nazywał się Boscamp-Lasopolski i cieszył pełnią praw i przywilejów przysługujących polskiej szlachcie. Kilka tygodni później ruszył na czele licznego orszaku ponownie z misją specjalną do Stambułu jako poseł i minister pełnomocny polskiego władcy w Turcji. Tym razem jego zadaniem było nawiązanie stałych relacji dyplomatycznych z dworem sułtana. I to w trakcie wykonywania tej misji spotkał się z bohaterką naszej historii.

– Oto moja córka Dudu, szlachetny panie! – mniej więcej trzydziestopięcioletnia Greczynka o przygasłej już nieco, ale jeszcze bujnej urodzie wypchnęła przed siebie dziewczę starające się sprawiać skromne wrażenie zalężnionego dziecka. Przeczyły jednak tej pozie bystre oczęta strzelające wokół.

– Idzie jej dopiero na czternasty rok, panie, i dopiero trzeci raz ulega wpływowi gwiazdy miesięcznej – perorowała matka, z dumą prezentując swą lato-rośl. – Wyprostuj się, nie garb się! – stuknęła dziewczynę w plecy, aż się rozniosło echem po komnacie.

Pan Karol nie spuszczał badawczego wzroku z dziewczyny, szacując ją jak konia na targu. Zbyt starym był wróblem, by się nabrać na zapewnienia co do wieku i niedojrzałości młodszej z kobiet. Oceniał, że jest o co najmniej trzy, a może i cztery lata starsza, niż mu próbowano wmówić, i w żadnym wypadku nie mogła dopiero wchodzić w wiek dojrzewania. Jej biodra, piersi i całe zaokrąglone kobieco ciało zdecydowanie przeczyły możliwości, by oto miał do czynienia z rozkwitającym dopiero dzieckiem.

Wielokrotnie odbywał podobne rozmowy, zawsze z matką lub ciotką dziewczyny traktowanej jak towar, który należało dobrze opakować, zareklamować i sprzedać kupcowi gotowemu zapłacić godziwą cenę. W zamian za pieniądze otrzymywał przywilej spędzenia w jej towarzystwie kilku tygodni, rzadziej miesięcy, do czasu, aż dziewczyna znudzi się swemu panu i zostanie zastąpiona przez inną – młodszą, ładniejszą, zabawniejszą. Obie strony znały doskonale reguły tej gry, ale obie udawały, że to ich pierwszy raz.

Dziś z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy stwierdzić, że Zofia Glavani w chwili spotkania ponadczterdziestoletniego wówczas Boscampa miała ukończone siedemnaście lat. Pochodziła ze zubożałej greckiej rodziny, których setki tysięcy zamieszkiwały ubogie dzielnice tureckich miast. Jej ojciec zajmował się handlem bydłem w odległej o sto kilometrów od Stambułu Bursie <sup>63</sup>, w której dziewczyna przyszła na świat. Matka zaś zajmowała się dziećmi i domem. Jednak kilka lat przed opisywaną sceną w życiu rodziny zaszła drastyczna zmiana, która mogła mieć związek z samą Dudu. Istnieje podejrzenie, że dziewczynka zadała się ze starszym od siebie chłopakiem, który roztrąbił w zamkniętej społeczności greckich osiedleńców swój sukces w zdobywaniu nie tylko serca dziewczyny, co przysporzyło rodzinie powodów do zmartwień.

Ciesząca się dotychczas dobrą opinią rodzina nagle została narażona na szyderstwa i obmowę sąsiadów. To mógł być podstawowy powód przeprowadzki z Bursy do Stambułu. Niestety, w nowym miejscu interesy ojca nie szły już tak dobrze jak w starym i wkrótce zgnębiony kłopotami Grek pożegnał się z życiem, zostawiając ubogą wdowę i ich dojrzewającą córkę.

Pozbawione dotychczasowych dochodów kobiety musiały same zadbać o swoje utrzymanie, co nie było łatwe w ich sytuacji. Pomocną dłoń wyciągnęła do nich młodsza siostra matki, która radziła sobie doskonale, świadcząc usługi towarzyskie zamożnym mieszkańcom stolicy, i nader ochoczo wdrożyła je do interesu. Nie wiemy, czy tylko matka zajęła się tym procederem (zapewniała Boscampa, że tak), ale z doświadczenia wiadomo, że młodsza z pań miałyby większe szanse na zarobek.

Zastosowane rozwiązanie potraktowano jako tymczasowe, bowiem uroda dziewczyny pozwalała marzyć o świetniejszej przyszłości dla niej. W gwarnej i bogatej stolicy imperium Osmanów niejedna gładkolica i czarnooka dziewczyna doszła do znacznego majątku przez łóżko zamożnego sponsora. Matki greckich dziewcząt służyły z zaradności w tego typu kontraktach. W zamian za oddanie młodzianki dziewczyny na służbę dyplomaty, kupca czy urzędnika otrzymywały kapitał mogący stanowić podstawę późniejszych sukcesów gospodarczych.

- Dziewica? - to jedno bardziej interesowało pana Karola niż wiek dziewczyny.

- O tak! - zawołała matka gorliwie. - Prawie - dodała znacznie ciszej.

- Co to znaczy prawie?! - pan poseł uniósł się gniewem, bo jeszcze wczoraj zapewniano go, że dziewczyna jest młoda, piękna i nie zaznała cielesnie żadnego mężczyzny. Teraz zaś widział, że może i dość piękna, ale nie tak młoda, jak mu wmawiano, i na dodatek jeszcze nie była dziewicą. On zaś stawiał sobie za punkt honoru i, jak mawiał, sposób na uniknięcie wstydliwych chorób, by nie zadawać się z kobietami doświadczonymi w erotycznym fachu.

- Miłościwy panie - zamachała mu rękami przed twarzą, próbując całą postawą zademonstrować, że nic wielkiego się nie stało oraz że nie powinien się unosić gniewem - to się zupełnie nie liczy, to tylko nic nieznaczący wypadek! Dudu nie zaznała mężczyzny, tylko została nieznacznie naruszona w dzieciństwie przez złośliwego kuzyna, ale to nie ma dla ciebie, panie, żadnego znaczenia!

- Jak naruszona? Co to ma znaczyć - nieznacznie? - nie ustępował dyplomata, który już niejedną raz słyszał podobne tłumaczenia i nigdy nie dawał im wiary. Tym razem jednak, może na skutek osłabienia po całonocnej pijatyce, a może zauroczony urodą dziewczyny, nie wyrzucił za drzwi sprzedawców wadliwego towaru, tylko pozwolił się przekonywać, jakby nieświadomy tego, że próbują mu wcisnąć artykuł o jakości znacznie odbiegającej od zamówionego.

- Jasny panie - nacierała nieustępliwie matka, a on wbrew sobie pozwalał jej mówić - ty jesteś dobry i sprawiedliwy, nie wypędzaj z domu biednej sieroty, ona ci się odwdzięczy, będziesz, panie, zadowolony.

Dyplomata, postępując niezgodnie ze swoimi zasadami, posłuchał i pozwolił jej zostać. Jak sam twierdził, zapłacił za nią matce tysiąc dukatów, co stanowiłoby ogromny majątek dla ubogiej greckiej rodziny. Osobiście, jako osoba utrzy-

mująca się z pensji, nie dysponował takim budżetem, by móc sobie pozwolić na tak znaczny wydatek. Z analizy podobnych transakcji wynika, iż kontentowano się sumami wielokrotnie niższymi, raczej rzędu kilkunastu czy kilkudziesięciu dukatów, i to jest prawdopodobnie kwota, jaką wówczas wydał.

Znacznie później od opisywanych wydarzeń odnotował w swoim pamiętniku wrażenia z pierwszych oględzin nowego nabytku, a dokonywał ich bardzo skrupulatnie. Zapisał, iż obdarzona była śliczną główką o najpiękniejszych oczach świata, z kształtnymi usteczkami, w których błyskały dwa rzędy równiutkich ząbków. Zachwycił się proporcjami jej głowy, linią twarzy, urodą uszu i nade wszystko bujnością włosów.

To widocznie ta część jej ciała – odsłonięta i najbardziej widoczna, przez co rzucająca się w oczy – przesądziła o jego wyborze. Gdyż kiedy ją rozebrał, nie miał już tak pochlebnego zdania o zasadności dokonanej inwestycji. Skrytykował szyję i kark jako mniej doskonałe w jego ocenie. Ramiona uznał za dość ładne, ale dłonie i stopy zdecydowanie za duże jak na swój gust. Pośladki, uda, kolana i łydki zgrabne i mogłyby, jak to ujął: *wytrzymać egzamin rzeźbiarza posągów*, podobnie jak pięknie ukształtowany brzuch.

Piersi jednak zwiotczałe, niekształtne i mimo młodego wieku zupełnie nieelastyczne w dotyku. Zwisające smętnie ku dołowi jak gruszki na drzewie. Do tego zauważył nieprawidłowości w budowie intymnych części jej ciała, które wynikać miały z rozpowszechnionych wśród greckich dziewcząt zabaw, jakim się oddawały w samotności. Najgorszy zaś okazał się silny i drażniący zapach jej potu, którego nie dało się przytłumić żadnymi perfumami, co raziło jego delikatne powonienie.

Jak widzimy, Boscamp, przynajmniej w chwili przelewania swych wrażeń na papier, był przeświadczony, że uroda dziewczyny pozostawia wiele do życzenia. Nakreślony przez niego obraz jest dość daleki od ideału, jaki utrwalił się w przekonaniu pokoleń o najpiękniejszej kobiecie swoich czasów. Co zatem skłoniło go do przyjęcia oferty, która nie odpowiadała jego wymaganiom? Miał już przecież w tym momencie w swojej sypialni młodszą od Zofii, bo czternastoletnią nałożnicę i jeśli nie planował budowy haremu, to nie potrzebował kolejnego nabytku.

Może jednak jego dotychczasowa nałożnica już mu się znudziła, może nie odpowiadała jego oczekiwaniom i liczył na coś więcej od nowej. A może instynkt łowcy, odkrywcy i zdobywcy przeważał nad rozsądkiem i stąd decyzja o pozostawieniu dziewczyny w siedzibie misji dyplomatycznej. Pomimo dość krytycznego osądu, wydanego zresztą dopiero po pewnym czasie, w okresie, w którym Boscamp nie pałał już sympatią do byłej kochanki, coś musiało go do niej przekonać. Może widoczna już wówczas determinacja w dążeniu do celu, może inteligencja, a nie bez znaczenia był też dziewczęcy wdzięk, którym była obdarzona w stopniu przyciągającym uwagę większości mężczyzn.

Dyplomata podkreślał również wielokrotnie znakomitą grę aktorską Dudu. Niewątpliwie obdarzona była ona naturalnym talentem, który rozwijała w kontaktach z innymi. Potrafiła słuchać, wspierać oraz współczuć, sprawiając, że jej rozmówca, bez względu na wiek i płeć, czuł się ważny, szanowany i doceniany, co przysparzało jej wielu sympatyków oraz wielbicieli. Podczas pierwszego spotkania, zgodnie z zaleceniem matki, zachowywała się skromnie i z dziewczęcą wstydlivością. Spodziewano się tego po niej, nie było więc niespodzianki. Później jednak pan Karol liczył na większą aktywność z jej strony i najwyraźniej jego oczekiwania nie zostały spełnione, i to do tego stopnia, że wróżył, iż widoczny brak temperamentu sprawi, że Zosia nie będzie w stanie zadowolić w łóżku żadnego mężczyzny.

Greckie kobiety słynęły z ognistego charakteru, również, a może przede wszystkim w sypialni, dlatego też spodziewano się po nich wiele w *ars amandi*. Ona jednak jeszcze nie umiała albo raczej nie chciała odkryć wszystkich swoich atutów. Jej rozumowanie, jak pokazało doświadczenie, nie było pozbawione podstaw. Plan podboju łoża dyplomaty opracowano starannie i zrealizowano konsekwentnie. Zapewne przemożny wpływ na jego kształt wywarły matka i ciotka naszej bohaterki, które uznały, że w przypadku niemłodego już, bardzo doświadczonego i znudzonego licznymi podbojami kochanka trzeba zastosować niekonwencjonalne metody. Przez jego sypialnię przewinęły się dziesiątki, jeśli nie setki gorących kobiet w różnym wieku, więc jedna więcej w tym samym typie nie ogrzeje mu pościeli na dłużej. Natomiast nieśmiała, skromna, podniecająca wyobraźnię swoją niewinnością i wciąż od nowa zdobywana, niedostępna dla innych może na dłużej zawładnąć umysłem zblazowanego libertyna.

Jak się okazało, miały rację. Dziewczyna utrzymała się znacznie dłużej niż inne i mimo krytycznych uwag co do jej urody, zapachu oraz rzekomego braku ochoty na łóżkowe figle Descamp nie pozbył się jej tak jak pozostałych.

Po latach wstydliwie ukrywana rzeczywistość wyglądała raczej tak, że pan Karol dał się zauroczyć młodziutkiej nałożnicy. W przeciwieństwie do wcześniejszych kobiet nie była dla niego tylko chwilową zabawką, przedmiotem do zaspokojenia bieżących potrzeb, ale dzięki swej niebanalnej osobowości, intrygom i zabiegom przyciągnęła na dłużej jego uwagę. On – ze swoim doświadczeniem w korzystaniu z płatnych usług erotycznych – uwierzył, że jego nowy nabytek darzy go niekłamanym uczuciem. Dostrzegł okazywane sobie oddanie, ufność, posłuszeństwo czy wręcz nabożną cześć, z jaką zwracała się do niego Zofia. Odnotował bystry umysł dziewczyny chłonący błyskawicznie wiedzę, przyswajający języki, gotowy uczyć się od niego i poprzez konwersację nabywać umiejętności zabawiania również słowem swojego rozmówcy.

Boscamp, który do tej pory postępował dość ostrożnie w kontaktach z kobietami, by nie urazić czułych na pozory muzułmańskich gospodarzy, i nie afiszował się swoim bogatym życiem erotycznym, zaczął przy nowej nałożnicy i pod

jej wyraźnym wpływem nagiąć własne zasady. Dotychczas trzymał swoje kochanki w wynajętym mieszkaniu poza terenem misji dyplomatycznej i albo sprowadzał je na wybrane noce, albo sam udawał się do nich z wizytą. Teraz, po kilku niefortunnych incydentach, w których dziewczyna uczestniczyła, w części przynajmniej prawdopodobnie bez swojej winy, została zakwaterowana w pokojach przylegających do sypialni dyplomaty.

Z zachowanej relacji wynika, iż jednym z powodów tak sprzecznej z dotychczasową polityką decyzji była napaść, jakiej dopuściła się wraz ze swymi braćmi odprawiona poprzedniczka Zofii. Kiedy pewnego ranka zapłakana i dotkliwie pobita Zofia przybiegła do swego pana, by się poskarżyć na krzywdę, której doznała, tylko ją wynagrodził i postawił pod drzwiami służę, by pilnował bezpieczeństwa. Kiedy jednak kilka tygodni później doniesiono mu, że wieczorami do jej stacji, na której mieszkała wraz z matką, przekrada się przystojny młodzieniec, zawrzał niepohamowanym gniewem. Wpadł z niezapowiedzianą wizytą, płosząc gacha, który umknął oknem, i długo srożył się, nie chcąc wybaczyć zdrady. Musiało mu jednak zależeć na kochance, gdyż ostatecznie dał się przekonać, iż to nie ona, ale jej matka była celem zalotów chłopaka.

Po tym jednakże incydencie zapadła decyzja, by odsunąć matkę mającą najwyraźniej zły wpływ na dziewczynę, a ją samą przenieść do budynków poselstwa.

Kolejne tygodnie intymnej znajomości z piękną Greczynką zdawały się przekonywać pana Karola, że ma on do czynienia z nieoszlifowanym diamentem, który w przeciwieństwie do poprzednich kochanek może mieć ogromny potencjał nie tylko erotyczny. O tym, że takie myśli pojawiły się w głowie dyplomaty, świadczą nie tylko jego słowa, ale przede wszystkim czyny. Otóż zdecydował się zainwestować niemałe kwoty w stroje i ozdoby dla młodej kochanki, ale też, co było niezwykle gestem, w jej wykształcenie i ogładę.

Wiemy już, że Zofia, oprócz ojczystego dla niej języka greckiego, znała w podstawowym przynajmniej stopniu również turecki i pewien zasób słówek z francuskiego. Posiadła umiejętność czytania i pisania w języku greckim, choć stopień opanowania tej sztuki uznano za wysoce niezadowolający. Boscamp postanowił zadbać o edukację kochanki, tak by jej żywy umysł znalazł swój wyraz w konwersacjach z nim i jego otoczeniem. Zatrudnił więc dla niej nauczyciela – młodego i dobrze znającego literaturę francuską eksmnicza, który porzucił habit dla pięknych oczu wybranki. Przez kilka miesięcy w drugiej połowie roku 1777 trwała intensywne nauka języka francuskiego, przyswajanie podstaw wiedzy ogólnej o świecie oraz zasad zachowania w wytwornym towarzystwie.

Zapewne gorliwa uczennica poczyniłaby w tym zakresie duże postępy, gdyby nie fakt, iż zauroczony urodą swej podopiecznej nauczyciel więcej skupił się na prawieniu jej komplementów i zabieganiu o jej życzliwość niżli na edukacji.



Powiadomiony o tym pan Karol czym prędzej oddalił zbędnego konkurenta, decydując, iż o dalszy rozwój zadba już osobiście. Po tym stosunkowo krótkim incydencie pozostały Zofii zamiłowanie do literatury francuskiej oraz dość dobra umiejętność konwersacji w tymże języku.

Wkrótce zapadła decyzja, by wykorzystać urok dziewczyny poza prywatnymi pokojami dyplomaty. Początkowo ostrożnie, później coraz śmielej zaczął on bywać w towarzystwie młodziutkiej kochanki na mniej oficjalnych przyjęciach, na których gromadziła się dyplomatyczna śmietanka towarzyska. I oto zaraz na początku tych eksperymentów z bywaniem Dudu w świecie elit zauważono pewną prawidłowość. Otóż mało znaczący przedstawiciel władcy nieuznanego przez część ówczesnych monarchów, do którego odnoszono się z delikatnym pobłażaniem i który musiał czynić intensywne zabiegi, by poprawić swoją pozycję w towarzystwie, nagle wzbudził zainteresowanie. Częściej go zapraszano, chętniej u niego bywano i generalnie z dnia na dzień wzrosła jego atrakcyjność towarzyska.

Boscamp był zbyt bystrym obserwatorem życia społecznego i politycznego, by nie zauważyć, że to nie on ani jego mocodawca, ale jego osoba towarzysząca cieszy się tak dużą popularnością, iż zaczęto go zapraszać w miejsca, w których dotychczas nie bywał. W zgodnej opinii ówczesnych komentatorów odpowiednio przygotowana do występów Zofia zwracała na siebie uwagę w najgęstszej ciżbie. Uroda to jedno, miała ją wiele kobiet na ówczesnych salonach. Z zachowanych opisów możemy śmiało wnioskować, iż stambulskie przyjęcia wręcz wypełnione były pięknymi osobami obu płci. Jednak nasza bohaterka miała coś więcej poza piękną buzią i zgrabną sylwetką. Potrafiła przyciągnąć uwagę otoczenia konwersacją, sposobem słuchania, śmiechem, zalotnym spojrzeniem, nieśmiałym rumieńcem oraz sposobem poruszania się.

W krótkim czasie świat towarzyski Stambułu, a w szczególności środowisko dyptomatów, zapełniły się wielbicielami uroku młodziutkiej Greczynki towarzyszącej już stale polskiemu dyplomacie. Stała się gwiazdą sezonu, ciekawostką, którą każdy chciał osobiście poznać i wręcz pochwalić się znajomością z osobą będącą na ustach całej śmietanki towarzyskiej.

Mając na względzie fakt, iż świat dyplomacji tamtych czasów był całkowicie zdominowany przez mężczyzn, nie możemy się dziwić, że piękna kobieta mogła zaistnieć w tworzących go sferach. Jeśli do tego dodamy szczegół, iż byli to w znakomitej większości dojrzały panowie, to kariera towarzyska młodziutkiego i zalotnego podlotka staje się oczywistością. Ale pytanie zasadnicze, które powinno w tym miejscu paść, brzmi: A co na to panie towarzyszące podstarzałym dyptomatom?

I odpowiedź na to pytanie jest nieoczywista, a wręcz zaskakująca – świat kobiet wbrew oczekiwaniom nie odrzucił Zofii. Znamy z historii, z literatury, a niekiedy też doświadczenia podobne sytuacje, gdy w środowisku pojawia się

nagle piękna kobieta, którą oczarowani jej urodą mężczyźni adorują, zaniebując swoje partnerki. To sytuacja nie do zniesienia dla lekceważonych pań i natychmiast kreująca atmosferę niechęci, w konsekwencji zaś niejednokrotnie prowadząca do utarczek słownych, narastania skłonności do wykluczenia, plotek i pomówień skutkujących wręcz nienawiścią kobiecej części salonu do pięknego intruza.

Tutaj natomiast, jeśli możemy wierzyć przekazom, do takiej sytuacji nie doszło.

Dlaczego?

Źródła z tego okresu nie udzielają jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Zresztą nawet gdyby było inaczej, to zawsze możemy wątpić w ich obiektywizm. Natomiast patrząc na sytuację z pewnego oddalenia i bazując na wiedzy, którą mamy o postępowaniu dziewczyny z tego okresu, możemy wskazać następujące przyczyny:

Po pierwsze, Dudu miała niesamowity dar zjednywania sobie ludzi. Do każdego, szczególnie w tym okresie, w którym jej sytuacja była nieuregulowana i wysoce niepewna, odnosiła się z ogromnym szacunkiem, pokorą oraz życzliwością. Nawet służba w pałacu pana Karola kochała ją miłością opiekuńczą, traktując bardziej jak członka rodziny niż jak osobę obcą, którą dla nich była. Tym bardziej do stojących znacznie wyżej w hierarchii towarzyskiej małżonek, konkubin i pozostałych pań o bardziej formalnym statusie musiała się odnosić z uniżoną przymilnością. Co też czyniła, zyskując sympatię albo co najmniej unikając agresywnego ostracyzmu.

Po drugie zaś, Zofia prawdopodobnie nie wdawała się wówczas w żadne romanse, nie wikłała w skandale czy przygody, które mogłyby zrazić do niej jej opiekuna. Dbała o jego dobre samopoczucie, dając mu do zrozumienia, że jest w nim nieprzytomnie zakochana oraz że jest gotowa spełniać każdą jego zachciankę. To sprawiało, iż panie nie dostrzegały w niej groźnej dla ich statusu rywalki. Musiały znosić z większą lub mniejszą wyrozumiałością zachwyty swych partnerów wobec innej kobiety, ale widząc, iż nie dopuszcza ona do większej poufałości ze sobą, pogodziły się z jej istnieniem, nie podejmując wrogich wobec niej działań.

★

Do tego dość niezwykłego w tych okolicznościach nastawienia pań wobec Zofii przyczynił się w znacznym stopniu pewien incydent z udziałem szefa misji dyplomatycznej Rosji w Stambule. Otóż znana zapewne wszystkim czytelnikom uległość polskiego króla Stanisława wobec rosyjskiej władczyni, carycy Katarzyny, wyrażała się między innymi w intencji pełnego podporządkowania jego

pragnień i działań żądaniom Rosji. Jeśli cokolwiek czynił ten król, to w nadziei, iż nie zrazi to do niego carskiej ekskochanki. Jako że z upływem czasu utwierdzała się ona w przekonaniu, iż w interesie Rosji jest, by Polska nie czyniła nic bez jej zgody, oczekiwano całkowitej bierności polskiego władcy.

Postawa taka była jednak sprzeczna z intencjami obozu polskich reformatorów wspierających naszego monarchę, więc pod wpływem otoczenia, ale niekiedy i własnych pragnień wypływających z idealizmu, w jakim został wychowany, podejmował Stanisław czasami samodzielne działania. Wierzył przy tym do końca, że próbując uleczyć liczne bóle polskiego państwa, realizuje idee bliskie Katarzynie, gdyż zapamiętał z młodości ich rozmowy o potrzebie poprawy losu zwykłych mieszkańców ich państw, dotychczas ciemżonych przez szlachtę i monarszych urzędników.

Żyjąc w świecie złudzeń, Stanisław najwyraźniej nie zauważył, że to, o czym marzyli młodzi, pełni ideałów kochankowie niepiastujący żadnej funkcji publicznej, musiało ustąpić pod ciężarem realiów, gdy stanęli na czele państw mających wiele rozbieżnych interesów. Katarzyna umieściła u boku polskiego króla swojego ambasadora, który miał pełnić funkcję nie tyle dyplomaty, ile namiestnika czy wręcz nadzorcy nad władcą i całym krajem. W okresie, o którym mówimy, misję tę pełnił Otto Stackelberg, który bez skrupułów narzucał polskiemu królowi wizję interesów rosyjskich, przymuszając go do jej realizacji.

Dlatego gdy Stanisław August rozpoczął starania o nawiązanie stosunków dyplomatycznych z innymi państwami, służby rosyjskie potraktowały te wysiłki jako działania nazbyt samodzielne i wrogie wobec Rosji. Szczególne zagrożenie upatrywano w kontaktach z Turcją, starając się torpedować wszelkie próby zbliżenia. Odczuwał tę politykę boleśnie sam polski władca, ale i w dalekim Stambule musiał się z nią borykać jego wysłannik. W owym czasie przebywał w tureckiej stolicy poseł rosyjski Aleksander Stachijew mający – wśród innych obowiązków – pilnować, by wysiłki Boscampa na rzecz poprawy relacji z imperium Osmanów nie przyniosły rezultatów.

Rosyjski dyplomata był w zgodnej opinii ówczesnych kronikarzy osobą o mało dyplomatycznym podejściu do swoich obowiązków. Zresztą Rosja słynęła z rosyłania posłów twardo, niekiedy wręcz brutalnie walczących o interesy swojego kraju, którzy oczywiście potrafili zmienić się w potulne baranki, gdy wymagały tego okoliczności. Stachijew był takim typowym rosyjskim reprezentantem sygnalizowanego nurtu, który wzbudzał respekt przez wzgląd na potęgę państwa, przy jednoczesnej niechęci dla stosowanych przezeń metod oraz dla braku elementarnej ogłady wymaganej od człowieka pełniącego misję w obcym kraju.

Polski dyplomata wielokrotnie w swoich listach do króla skarżył się na rosyjskiego odpowiednika, który uprzykrzał mu życie na wszelkie możliwe sposoby, utrudniając realizację powierzonych zadań. Jak sam zaznaczał, podejmował już

próby nawiązania bardziej przyjaznych kontaktów, ale przez długi czas bezskutecznie. I nagle, gdy przy jego boku pojawiła się wzbudzająca powszechne zainteresowanie piękność, pomyślał, że może wreszcie mieć instrument ułatwiający porozumienie z Rosjaninem.

Stachijew był co prawda prostackim gburem dbającym głównie o swoją wygodę, jednak dostrzegał i w pewnym sensie doceniał urodę kobiet. Prymitywny instynkt łowiecki kazał mu kolekcjonować podboje, którymi szczycił się jak trofeami myśliwskimi. Od kilku lat przebywał na tutejszej misji z żoną – będącą ciągle w połogu, nieatrakcyjną i stroniącą od towarzystwa prostą kobietą<sup>64</sup> – co nie przeszkadzało mu w utrzymywaniu z reguły płatnych relacji seksualnych z miejscowymi Greczynkami. Na co zresztą wydawał podobno nie tylko własne, lecz także służbowe pieniądze. Boscamp, znając jego upodobanie do młodych dziewcząt, polecił Dudu, by postarała się być miłą dla niego, ułatwiając tym sposobem relacje swego opiekuna z Rosjaninem.

I to faktycznie zadziało!

Nagle niechętnie stosunki między placówkami zostały ocieplone. Dyplomaci bywali u siebie nawzajem, rozmawiali przyjaźnie podczas wspólnych spotkań na neutralnym gruncie i nikt nie miał wątpliwości, że całkowitą zasługę za tak radykalny zwrot we wzajemnych stosunkach należy przypisać pięknej Zofii.

Wkrótce jednak okazało się, że Stachijew nie zamierza zadowolić się konwersacją i niewinnym flirtem z piękną dziewczyną. Przyzwyczajony do dość niewyszukanych form dochodzenia do celu, czyli zaspokajania żądz, nie chciał tracić czasu na próbę oczarowania obiektu swych westchnień (podobno i tak nie byłby zdolny do tego typu starań), dlatego zażądał, by Zofia po prostu stawiała się o wskazanej godzinie w jego sypialni.

Dla całego światka dyplomatycznego zgromadzonego w dzielnicy pod Stambułem nie były tajemnicą zwyczaje poszczególnych członków tej specyficznej społeczności. Dla Boscampa zapewne również, dlatego też powinien był się spodziewać takiego obrotu sprawy i jego podopieczna także. Jednak kiedy doszło do jednoznacznego postawienia żądania, oboje najwyraźniej nie byli na to przygotowani. Pan Karol nie zamierzał dzielić się swoją zdobyczą, która z każdym dniem zajmowała coraz więcej miejsca w jego sercu. A i samej Dudu nie przypadły do gustu końskie zaloty rosyjskiego brutala. Dlatego Rosjanin spotkał się z jednoznaczną, kategoryczną i nieodwołalną odprawą.

Odrzucenie oferty spowodowało małą epokę lodowcową w stosunkach polsko-rosyjskich w tym odległym kraju i być może przyspieszyło odwołanie Boscampa z jego misji dyplomatycznej. Jednak miało też dobre konsekwencje. Mianowicie wieść o odrzuceniu awansów słynącego z brutalności oraz elementarnego braku ogłady Rosjanina przysporzyło Zofii i jej opiekunowi całych rzeszy sympatyków. To być może właśnie z tego powodu dziewczyna nie została odtrącona przez żeńską część tego elitarnego towarzystwa, gdyż niejedna z pań

musiała stać się w przeszłości obiektem tak niewybrednych zalotów i prawdopodobnie nie każda potrafiła dać im równie zdecydowany odpór.

Po tych dramatycznych wydarzeniach w polskiej misji dyplomatycznej nastał czas beztroskiej sielanki. Pierwsze miesiące 1778 roku upłynęły panu Karolowi i jego wybrance na podróżach za miasto, kąpielach, spacerach i miłosnych uniesieniach na łonie natury. Po latach oboje wspominali ten czas jako cudowne chwile wytchnienia między okresami intensywnej pracy.

Niestety, wszystko, co dobre, szybko się kończy, więc wiosną 1778 roku rozpoczęły się przygotowania do opuszczenia stolicy imperium Osmanów. Nikt jednak, przynajmniej z głównych bohaterów tej historii, nie martwił się tym wyjazdem. Misja dyplomatyczna została zakończona i nie było powodu, by dłużej tracić czas i pieniądze w odległym mieście. Boscamp liczył, iż jego poświęcenie zostanie docenione przez mocodawcę, zarówno finansowo, jak i w formie kolejnych awansów i nadań, zaś Zofia miała nadzieję na kontynuację tak pomyślnie rozkwitającego związku.

Początkowe plany zakładały, iż Dudu będzie dyskretnie towarzyszyć polskiej delegacji. Boscamp nie chciał się rozstawać z dziewczyną, która zaważnęła już w całości jego sercem, a i sam obiekt jego zainteresowania liczył na lepszą przyszłość w Europie. Nie mogli jednak pojechać otwarcie razem, afiszując się swoim związkiem. Ślicznotka u boku dojrzałego i na dodatek żonatego mężczyzny w tamtych czasach nie uchowywałaby się bez wzbudzania sensacji, dlatego szukali wytłumaczenia obecności dziewczyny w orszaku dyplomaty. Oficjalnie, aby nie wzbudzać podejrzeń co do ich wzajemnych relacji, planowano zatrudnienie Greczynki w charakterze osoby prowadzącej w kraju łaźnię na wzór turecki dla samego króla lub jego krewnej.

Zofia cieszyła się z tych planów i nocami układała sobie w ślicznej główce różne scenariusze, w których pędziła dostatni żywot w dalekim, bogatym kraju u boku mężczyzny dbającego o jej potrzeby. Dzięki żywej wyobraźni potrafiła sobie wszystko zaplanować z najdrobniejszymi szczegółami, widząc wszystko w kolorach, a gdy mogła całkowicie się skupić, to i z dźwiękami oraz zapachami otaczającego ją nowego świata.

Niestety, w życiu nie zawsze wszystko idzie zgodnie z planem. Nagle jej wyjazd do dalekiego kraju, który w myślach zaczynała nazywać swoją nową ojczyzną, stanął pod znakiem zapytania. A wszystko przez posłańca, który pewnego dnia przywiózł listy z Polski.

Złe wieści mają to do siebie, że spadają zupełnie niespodziewanie, jak grom z jasnego nieba, rozchodzą się z szybkością ognia szalejącego w suchym stepie i często nadchodzą jedna po drugiej. Tak było i w tym przypadku.

A stało się to wówczas, gdy po młodzieńczemu beztrosko szczęśliwy pan Karol od wielu dni nadzorował przygotowania do wyjazdu. W zasadzie wszystko

było już gotowe. Oczekiwano tylko na obiecane pieniądze na podróż, które w każdej chwili powinny były nadejść z Polski.

★

Pewnego wiosennego poranka naszego dyplomatę zbudził gwar wielu głosów dobiegających przez uchylone okno sypialni od strony pałacowej bramy.

– Co też tam za hałas o tej porze? – rozniewany nieprzyjemnym przebudzeniem, przez dłuższą chwilę wiercił się w pościeli, starając się nie zbudzić twardo śpiącej Zosi. Po chwili jednak irytacja niesłabnącym dźwiękiem kazała mu wstać i podejść do okna.

– Co, u diabła? – wystarczył jeden rzut oka, by rozpoznał lokalnych kupców i dostawców wygrażających pięściami w stronę okien jego pokojów. Widział już takie obrazki w przeszłości, gdy pracował w służbie pruskiej. Zawsze budziły w nim zażenowanie pomieszone z niechęcią. Nie lubił kłopotliwych scen, toteż – w przeciwieństwie do Prusaków – traktował swoje zobowiązania poważnie. A przynajmniej starał się do tej pory tak postępować. Oni zaś systematycznie wchodzili w tego typu konflikty z miejscowymi. Korzystali z zaopatrzenia, odwołując czas zapłaty aż do granic cierpliwości, by, dopiero kiedy się wierzyciele zbuntowali i przychodzili tłumnie po swoją należność, tłumaczyć, że pieniądze nie dotarły w wystarczającej ilości, więc tylko ten, kto się zgodzi zrezygnować z części zobowiązań, może otrzymać zapłatę.

Wiele było przy tym kłótni i niesnasek. W pewnym okresie to jemu powierzono negocjowanie w takich sprawach, co wspominał jako najgorszy okres w swoim życiu. W końcu zawsze udawało się zażegnać kryzys, ale traktowani tak dostawcy odchodzili w gniewie, oświadczając, że już nigdy więcej nie będą robić interesów z Prusakami. Na ich miejsce przychodzili inni i na jakiś czas problem odsuwano w przyszłość, zaś szef placówki chował do sakiewki zaoszczędzone w ten sposób pieniądze.

Pan Karol szczyił się, że potrafi dobrze gospodarować finansami, i do tej pory pod oknami jego placówki nie było takich scen.

– Dlaczego właśnie dziś? – łamał sobie głowę, pędząc czym prędzej w niekompletnym stroju w stronę bramy, by uciszyć gwar, zanim wieść o incydencie rozejdzie się po całym mieście. Spodziewał się lada moment otrzymania weksła na pokaźną kwotę od polskiego króla i zamierzał przed wyjazdem uczciwie uregulować wszystkie swoje zobowiązania. Najwyraźniej wieść o jego rychłym wyjeździe zaniepokoiła kupców i ściągnęła ich w to miejsce.

Kiedy dochodził już do bramy, ponad szmer głosów tłumu przebił się uspokajający ton tureckiego zarządcy misji. Okazało się, że właśnie przybył z Polski posłaniec, który wbrew oczekiwaniom nie przywiózł pieniędzy.

A wszystko przez intrygi niezycziwych ludzi, dla których związek tych dwojga był solą w oku.

Plotki na temat romansu pana Karola docierały do Polski ze znacznym opóźnieniem i początkowo nie wzbudziły większego zainteresowania. Nie on pierwszy i nie ostatni, z jego pozycją i w jego wieku, zainteresował się wdziękami młodej dziewczyny. Niejedna urodziwa mieszkanka także tej okolicy wyszła dobrze za mąż dzięki posagowi, jaki uzbierała od swoich europejskich adoratorów. Również w tym przypadku spodziewano się podobnego zakończenia. Jednak kiedy w polskiej misji rozpoczęto poważne starania, aby zabrać Dudu ze sobą, wzbudziło to zaniepokojenie wielu osób.

Nie mamy pewności, kto wykazał się największą aktywnością w knuciu spisku wymierzonego w realizowany już projekt, ale krąg podejrzanych jest dość liczny. Wystarczy wspomnieć dwóch nastoletnich synów Boscampa, którzy przebywali u jego boku. Możemy sobie wyobrazić, iż nie byli zachwyceni romansiem ojca z ich rówieśniczką, ale niewiele mogli w tej materii zrobić. Natomiast powrót w tym towarzystwie do domu, w którym czekała na nich matka, nie wróżył radosnego powitania ani dla nich, ani dla ich rodziciela. Wizja dramatu, jaki rozegrałby się na ich oczach, łez i upokorzenia rodzicielki mogły skłonić do bardziej energicznych starań, by storpedować plany zakochałego jak sztubak i myślącego tylko o swoim szczęściu ojca.

Musimy też pamiętać rosyjskiego dyplomatę obrażonego w swojej samczej godności. Odrzucenie jego zalotów, i to przez kochankę osoby, której nie uważał za równą sobie, musiało zboleć, co w konsekwencji doprowadziło do jeszcze intensywniejszych zabiegów w celu dyskredytacji Boscampa. Nieprzychylnie dotychczas raporty o poczynaniach polskiej misji zamieniły się w ociekające nienawiścią paszkwile, w których demonizowano bohaterów całej historii.

Jeśli do tego kręgu zainteresowanych porażką planów podróży do Polski dodamy pewną część personelu pomocniczego naszej placówki dyplomatycznej mającą interes w tym, by dzięki przekazywanym pikantnym informacjom awansować w urzędniczej hierarchii, to będziemy mieć zarys kręgu potencjalnych dywersantów.

Faktem jednak jest, że osoby dotychczas deklarujące chęć zatrudnienia Greczynki w Polsce straciły wolę kontynuowania rozmów, odmawiając przesłania obiecanych wcześniej pieniędzy przeznaczonych na pokrycie kosztów podróży.

W tych okolicznościach wyjazd trzeba było odłożyć.

Boscamp nie miał ochoty wymykać się pod osłoną nocy, tak by uniknąć wierzycieli. Zamiast tego wysłał rozpaczliwe pismo do króla, w którym tłumaczył potrzebę zwiększonych wydatków przed wyjazdem do kraju.

W tym samym czasie nadszedł list od żony dyplomaty zawierający tak wiele szczegółów jego pożycia intymnego i tak wiele gorzkich słów, że nie było najmniejszej nadziei, by jego powrót z kochanką u boku mógł się zakończyć bez

wielkiego skandalu kładącego kres jego karierze dyplomatycznej. Wiedząc, że jego poczynania są pod pilną obserwacją i że ich skutki mogą być katastrofalne dla obojga, z bólem serca, ale jednak postanowił oddalić od swojego boku kochankę.

W ciągu kilku godzin nakazał spakowanie jej rzeczy i opuszczenie misji dyplomatycznej. Od tego dnia Dudu zamieszkała w domku tłumacza współpracującego z Boscampem od dłuższego czasu. Nie obyło się bez płaczu oraz dramatycznych gestów Zofii, której w ciągu kilku godzin świat się zawalił. Jeszcze wczoraj śniła o dalekich podróżach, zwiedzaniu świata i szczęściu u boku kochanka, a dziś chyłkiem wymykała się z pałacu, by zamieszkać w skromnym pokoiku, wręcz kątem u podrzędnego pracownika placówki.

Oczywiście rozstanie było pozorne i miało tylko uciszyć plotki, bo bez tego kroku, jak mu sygnalizowali przyjaciele, pan Karol nie mógł liczyć na dalszą życzliwość mocodawcy. W dalszym ciągu jednak kochankowie spotykali się i snuli plany na przyszłość, która nagle ukazała się w nieco mniej optymistycznych barwach.

Oboje musieli wykazać się cierpliwością oraz determinacją, której istnienia w sobie nawzajem nie podejrzewali. Jako pierwszy potrzebę gruntownej zmiany planów dostrzegł pan Karol, który już na wieść o nieprzysłaniu pieniędzy na podróż uznał, iż musi wracać do kraju sam. W przekonaniu tym utwierdził go list małżonki, która w niewybrednych słowach tłumaczyła mu, co i skąd powyrzywa jemu oraz jego ładacznicy, jeśli ośmieli się on przywieźć ją do Polski. Teraz trzeba to było wyjaśnić Dudu. Nie przyjęła tego dobrze. Fochom i płaczom nie było końca. Zapewnienia, przysięgi, podarunki, wreszcie i pieniądze, które miały zostać wypłacone natychmiast po przesłaniu środków na podróż, nieco uspokoiły dziewczynę, która z czasem sama zrozumiała, że inaczej być nie może. Nie chciała jednakże skończyć jak inne przed nią, które zadowolili się niewielką sumą i zostały zapomniane, jeszcze zanim kochankowie przekroczyli progi rodzinnych domów.

Zapewne początkowo, gdy matka po raz pierwszy prowadziła ją do łoża Boscampa, takie rozwiązanie jawiło jej się jako w pełni satysfakcjonujące i dające szansę na przyszłość lepszą niżli ta, jakiej mogłaby się spodziewać po swoim aktualnym statusie. Teraz jednak po dziesięciu miesiącach spędzonych w innym środowisku nauczyła się tak wiele i poznała tak wpływowe i zamożne osoby, że wizja małego domku na przedmieściach z gromadką dzieci i mężem u boku nie wydawała jej się już tak kusząca.

Uznała, że stać ją na więcej i musi iść za ciosem, bo tylko w ten sposób ma szansę na wyrwanie się z biedy do świata, który poznała i polubiła. Dlatego licytowała wysoko, żądając dla siebie więcej, niżli pan Karol mógłby jej dać, ale jeśli wnioskować z jego lojalnego postępowania w kolejnych dniach i tygodniach,



widać wyraźnie, iż zależało mu na niej i bardzo liczył na to, że ich rozstanie nie jest ostateczne.

Kiedy wreszcie dotarły upragnione pieniądze, Zofia została zaopatrzona wystarczająco, by przez pewien czas nie zaznać biedy. Otrzymała stałą pensję, wyposażone i opłacone lokum oraz depozyt w banku na wypadek, gdyby jej szybkie ściągnięcie do Polski nie było możliwe, a ona podjęłaby decyzję o wyjściu za mąż i rozpoczęciu nowego życia. Suma ta stałaby się wówczas jej posagiem. W zamian miała się ściśle trzymać instrukcji pozostawionych przez kochanka. Miała się dobrze prowadzić, nie wchodzić w intymne relacje z innymi mężczyznami, zaś ustanowiony opiekun otrzymał polecenie, by ograniczać jej kontakty z matką i uniemożliwić spotkania z ciotką, aby nie sprowadziły one Zofii ponownie na złą drogę.

Dwudziestego czwartego kwietnia 1778 roku orszak Boscampa ruszył w drogę powrotną do Polski, zaś pogrążona w smutku Dudu została sama w Stambule.



Kolejne miesiące były niezwykle trudne dla obojga kochanków. Ich cierpliwość oraz determinacja zostały wystawione na ciężką próbę, której wyniki były zupełnie odmienne od oczekiwanych.

Pan Karol w czerwcu przekroczył granicę Rzeczypospolitej i pospieszył do Warszawy, by zdać sprawozdanie ze swoich dokonań. Nie wiedział wówczas, że gdzieś po drodze odwróciła się od niego szczęśliwa gwiazda, która od kilkunastu lat mu przyświecała, pozwalając na szybki awans w strukturach polskiej dyplomacji. Powrót do stolicy sam w sobie był dość nieprzyjemny. Co prawda po zamieszaniu w sprawie nieprzysłanych pieniędzy oraz doniesieniach od przyjaciół o krążących na jego temat plotkach spodziewał się zdystansowanego powitania, ale chłód, z jakim go przyjęto, musiał być nieprzyjemnym zaskoczeniem.

W pierwszej kolejności odpowiadali za tę atmosferę Rosjanie. Carski ambasador Stackelberg od początku zniechęcał króla do tej misji, a kiedy ta wyruszyła, nieustannie szukał argumentów na potwierdzenie tezy, że została wysłana niepotrzebnie, zaś stojący na jej czele dyplomata narobi szkód, skompromituje swego władcę i zadrażni stosunki z Rosją. Nasz bohater sam podał na tacy wiele dowodów przeciwko sobie, które – odpowiednio spreparowane i rozdmuchane przez Rosjan – nie wyglądały dobrze.

W drugiej – rodzimi dygnitarze, dla których wywyższanie przez króla cudzoziemca, a za takie uznano wysłanie Boscampa na tak odpowiedzialną placówkę, było klęską, pomyłką, obrazą i nietaktem w jednym. By zrozumieć ten zestaw

negatywnych odczuć, należy pamiętać, iż między władcą a szlachtą trwała rywalizacja o to, kto ma kreować politykę zagraniczną państwa, w tym również wysyłać misje dyplomatyczne. Zawiedzeni niejednokrotnie poddani nie mieli nadmiernego zaufania do kolejnych władców, którzy, realizując własne interesy dynastyczne, nie raz i nie dwa wplątali Polskę w awantury szkodliwe dla kraju. Z doświadczenia zaś wiadano, że szlachcic na urzędzie dbał o interesy własne, swojego stanu i państwa, z którego był bardzo dumny, cudzoziemiec natomiast, zawdzięczający wszystko królowi i w pełni od niego zależny, pozostawał ślepo posłuszny mocodawcy. Dlatego jego wierność krajowi, którego interesów powinien strzec, nie była dlań priorytetem.

Pamiętajmy również, że w przeciwieństwie do państw Europy Zachodniej, gdzie monarchowie absolutni rozbudowali administrację do niespotykanych wcześniej rozmiarów, w Polsce urzędów było mało. Synowie miejscowej szlachty nie mieli więc gdzie robić karier. Jeśli do tego dodamy szcztątkową w tym okresie armię i zakaz parania się handlem przez szlachtę, to widzimy obraz kraju, gdzie młodzi szlachetnie urodzeni nie mieli praktycznie perspektyw na awans. Mogli jedynie zajmować się uprawą ziemi lub szukać swej przyszłości w strukturach Kościoła.

Dlatego też o każdy, nawet najmniej znaczący urząd walczono zawzięcie, a raz zdobytego strzeżono zazdrośnie, gdyż chętnych na jedno miejsce zawsze znajdowało się wielu. Nie może więc nas dziwić, iż powierzenie tak odpowiedzialnej, eksponowanej i dobrze płatnej misji osobie spoza kręgu rodzimych rodów wywołało zazdrość, niechęć i krytykę.

Trzecią grupą krytyków Boscampa byli obrońcy moralności. Ci, których wieści ze Sztambułu o niemoralnym prowadzeniu się dyplomaty przyprawiały o dreszcze. A że ambasada rosyjska dbała, by regularnie dostarczać i odpowiednio preparować wszelkie doniesienia o jego erotycznych przygodach, więc powodów do niechęci nie brakowało.

Został więc pan Karol przyjęty w Warszawie lodowato. Długo musiał czekać na audiencję u króla, zaś jego osiągnięcia oceniono więcej niż krytycznie. Do porażek zawodowych dołączyły się również kłopoty osobiste, których przyczyną była pani Katarzyna – wieloletnia małżonka Boscampa. Otóż na skutek trosk, których mąż jej nie szczędził, popadła w ciężką chorobę i miesiąc po powrocie dyplomaty do kraju zmarła.

Tymczasem w kraju trwała kampania wyborcza do sejmu. Niemalży wpływ na jej przebieg miały przygody miłosne naszego bohatera, znane już i szeroko komentowane we wszystkich prowincjach. Wśród wielu postulatów na nadchodzący sejm pojawił się i ten, by odsunąć cudzoziemców od piastowania czołowych funkcji w służbie Rzeczypospolitej, w tym również tych związanych z reprezentacją jej interesów na arenie międzynarodowej. Ustawę o żądanej tre-

ści sejm uchwalił jesienią 1778 roku, grzebiąc na zawsze szanse na dalszy rozwój kariery Boscampa <sup>65</sup>.

W tej sytuacji mógł on nadal pracować w służbie królewskiej, ale jedynie na podrzędnych stanowiskach, nie mogło już być mowy o tego typu misjach, jaką pełnił w Stambule. Nowa rzeczywistość skazała go na los niewiele znaczącego wykonawcy poleceń królewskich – człowieka do specjalnych (nie zawsze chlubnych) poruczeń. Dorabiał przy tym do pensji na niejawnym etacie ambasady rosyjskiej, której stał się płatnym współpracownikiem, szpiegiem i donosicielem. Żył więc wspomnieniami o swoich wielkich wyczynach, śniąc o wyżynach, których nie było mu dane osiągnąć, jednak nie rezygnował ze szczęścia w życiu osobistym. Postanowił odświeżyć znajomość z Dudu.

★

Tymczasem Zofia prawdopodobnie przeżywała równie ciężkie chwile. Niewiele wiadomo o tym okresie jej życia, jednak miesiące, które upłynęły od wyjazdu jej opiekuna, musiały się dłużyć niemiłosiernie. Podobno czas ten spędziła na tęsknocie i pisaniu rzewnych listów do kochanka, zupełnie nie korzystając z uroków życia towarzyskiego stolicy. Czy tak było? Trudno dziś rozstrzygnąć. Nastroju nie poprawiał fakt, iż wieści w drugą stronę płynęły z rzadka i raczej skąpo, co niewątpliwie przysparzało jej dodatkowych zmartwień.

On sam, opisując po latach swoje przygody jako rzekomo bezstronny narrator, tak wyjaśniał powody swojej wstrzeźliwości w kontaktach z kochanką: *...posel po powrocie do swej żony, pięknej, miłej i zawsze przezeń ubóstwianej, nawet wśród niedawnych wybryków, lecz teraz chorej i umierającej, nie myślał o swej dziewczynie więcej, niż ma to czynić uczciwy mężczyzna z chwilą, gdy obiecał jej zapewnienie bytu. Ponieważ śmierć żony pogrążyła go w nieopisanym smutku, upłynęło wiele czasu, zanim znowu pomyślał o dziewczynie pozostawionej w Konstantynopolu* <sup>66</sup>.

Wbrew twierdzeniu dyplomaty nie zajęło mu wiele czasu zdecydowanie o posłaniu po kochankę, gdyż pamiętamy o śmierci żony w lipcu 1778 roku, zaś list do Zofii od niego dotarł w grudniu tego roku. Jeśli uwzględnimy czas na pokonanie drogi przez posłańca, to okaże się, że od pogrzebu żony do wysłania listu do kochanki upłynęły trzy do czterech miesięcy.

Faktem jednakże pozostaje, iż długo wyczekiwanie pismo wreszcie nadeszło i od razu wywołało euforię w skromnym mieszkanku młodej Greczynki. Boscamp twierdził po latach, iż nie proponował jej niczego więcej, niż dotychczas miała, a więc ten sam status utrzymanki mieszkającej dyskretnie u jego boku. W zamian on zadbałby o nią, ułożył jej życie, a z czasem pomyślał o jej zamążpójściu za człowieka o odpowiednim dla niej pochodzeniu.

Odpowiedź była pełna radości, tęsknoty i miłosnego żaru<sup>67</sup>. Nic dziwnego, oto spełniał się sen Dudu o wyjeździe do dalekiego i bogatego kraju. Sen, który śniły tysiące podobnych jej dziewczyn, ale kiedy inne zestarzały się, czekając na swoją okazję, ona dostała szansę na jego realizację. Przygotowania do wyjazdu rozpoczęły się natychmiast, Zofia czekała na wezwanie już tak długo, że każdy dzień spędzony na dopełnianiu urzędowych formalności traktowała jak dodatkową torturę. Ku swojej wściekłości nie mogła jednak wyruszyć sama w tak daleką drogę, byłoby to zbyt niebezpieczne.

Na szczęście do powrotnej drogi szykował się pewien geometra z Gdańska, były podwładny Boscampa, i kilku innych podróżników, którzy zamierzali wyruszyć w tym samym kierunku, by w połowie drogi odłączyć się od karawany i podążyć w swoją stronę. Uformowana w ten sposób grupa opuściła Stambuł w styczniu 1779 roku. Znając już nieco charakter Zofii, możemy stwierdzić, iż nie miała w zwyczaju oglądać się za siebie, więc raczej bez żalu pożegnała matkę, ciotkę i znajome uliczki będące świadkami jej romantycznych przygód.

Podróż była trudna, również ze względu na porę roku. W jej trakcie okazało się, iż dokumenty, które otrzymała, prawdopodobnie na skutek złośliwości urzędnika, którego zaloty odrzuciła swego czasu, nie uprawniały jej do przekroczenia tureckiej granicy. Ten incydent sprawił, iż orszak musiał się zatrzymać i czekać w przygranicznej miejscowości na nowy paszport. Przerwa w podróży trwała kilka tygodni i sprawiła, że kochankowie w oczekiwaniu na upragnione spotkanie przemyśleli raz jeszcze swoje oczekiwania pod adresem drugiej strony. Dotyczyło to szczególnie Zofii, której apetyt na lepsze życie znacznie się zaostrzył w wyniku doświadczeń z podróży i własnych analiz. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, że gdyby nie problemy w drodze, gdyby dotarła bez opóźnień do Warszawy i zgodnie z planem zamieszkała z Boscampem, dziewczyny nigdy nie poznałyby świat i nie stałyby się ona najsłynniejszą kobietą swoich czasów.

Tak więc ślepy los zdecydował znowu o sprawach wielkich i małych tego świata.

Zgodnie z zaleceniem pana Karola Greczynka była traktowana z odpowiednią atencją, zapewniano jej wygody i odpowiedni poziom usług. Szybko owinęła sobie wokół palca towarzyszących jej mężczyzn, którzy zabiegali o jej życzliwość, spełniając każdą jej zachciankę, jakby była ich panią, a nie zwykłą przesyłką, którą z przyjaźni do adresata obiecali dostarczyć pod wskazany adres. Dopóki znudzona w oczekiwaniu na dokumenty Dudu nie zaczęła romansować z miejscowym wielmożą, dopóty stosunki wśród podróżnych układały się znakomicie.

To wywołało pewną konsternację jej opiekunów, czujących się w obowiązku dbać o interesy pana Karola. Początkowo próbowali przemówić jej do rozsądku, ale ich zignorowała i nadal spotykała się z mężczyzną. Wówczas próbowali siłą

zamknąć ją w pokoju i tym sposobem uniemożliwić spotkania z adoratorem. Wtedy doszło do strasznej awantury, w czasie której Zofia wykrzyczała, że jest narzeczoną ich przyjaciela i przyszlą panią Boscamp, więc powinni traktować ją z szacunkiem i respektować jej wolę, bo wkrótce mogą tego słono pożałować.

Doskonały talent aktorski przydał się Dudu po raz kolejny. Mężczyźni nie mieli sposobu, by szybko sprawdzić zasłyszane rewelacje, a gdyby faktycznie mówiła prawdę, to obawiali się, że mogą mieć kłopoty. Na wszelki wypadek więc przywrócili jej wcześniejszą swobodę, jednak wysłali też sprawozdanie do Warszawy z jej tutejszych dokonań.

Kłopotliwą sytuację rozwiązało nadejście stosownych dokumentów, zaś protesty porzucanego kochanka uciszyła interwencja tureckiego urzędnika. Jednak w tych dniach dziewczyna zasmakowała w splendorach należnych jej jako rzekomej narzeczonej polskiego dygnitarza. Spodobały jej się powitania, ukłony, lepsze pokoje i posiłki. Dlatego też, ruszając w dalszą drogę, nakazała głosić, iż odbywa podróż w charakterze przyszej żony poważanego urzędnika i udaje się do stolicy Rzeczypospolitej w celu zawarcia zaplanowanego małżeństwa z panem Karolem.

Tymczasem do Warszawy nadeszły listy od opiekunów Greczynki i w stolicy gruchnęła wieść, że Boscamp się żeni, i to z dziewczyną o podejrzanej konducie. Plotkom i obmowom nie było końca. Od śmierci żony minęło ledwie kilka miesięcy, a on już planuje poślubić kochankę, która samym swoim istnieniem przyczyniła się do śmierci porządnej kobiety – takie zdanie na ten temat powtarzano najczęściej.

On sam dowiedział się o swoich matrymonialnych projektach z nadesłanego pisma, ale niewykluczone, że ulica wiedziała już wcześniej. Ależ był zaskoczony, gdy nagle odkrył, że choć nie miał tego w planach, nagle objawił się wszystkim jako przyszlą pan młody!

Te nieustające rzeki złośliwców składających mu rzekomo szczere wyrazy podziwu, gratulujących młodej i podobno pięknej narzeczonej, skłoniły go do radykalnych działań. Z jednej strony kategorycznie zaprzeczał istnieniu takowych planów, odmawiając przyjmowania gratulacji. Z drugiej zaś czym prędzej wysłał list do osób eskortujących Zofię w jej drodze do Polski. Zażądał wstrzymania dalszej podróży, a od niej samej natychmiastowego zaprzestania rozpowszechniania nieprawdziwych informacji.

W swoich pismach nie krył goryczy z powodu zuchwałości dziewczyny. Wypominał jej niewdzięczność i zrywał wszelkie bezpośrednie kontakty. Skandal w takiej chwili, gdy ważyły się losy jego kariery, był mu niepotrzebny. Dlatego szeroko kolportował swoje zapewnienia, powtarzane w kolejnych latach po wielokroć, iż nigdy nie podejmował żadnych kroków w celu zalegalizowania swojego związku z panną Glavani ani nawet nie sugerował jej takiej możliwości. Jednocześnie w ekspresowym trybie znalazł greckiego kupca udającego się

w drogę do Stambułu, którego upoważnił do odprowadzenia dziewczyny do domu jej matki. Skoro nadużyła jego zaufania, to niech wraca tam, skąd przyszła.

Ona tymczasem dopiero się rozkręcała. Wyobraźnię miała bujną, talent ogromny, a gdy do tego dodała swój urok osobisty, to przekonywała każdego, komu opowiedziała swoją historię. Ta zaś każdego dnia zyskiwała nowe, coraz ciekawsze elementy. To w tych dniach zaczęła się w jej głowie rodzić nowa – o wiele szlachetniejsza – wersja pochodzenia i dzieciństwa małej Dudu. Zniknął ojciec – hodowca bydła, matka i ciotka – parające się stręczycielstwem oraz nierządem, a na ich miejsce pojawili się nowi, lepsi rodzice – zamożni, kulturalni, ustosunkowani i szlachetnie urodzeni. Zmieniła też swój życiorys. Oto, zamiast utrzymanki i kochanki licznych rozpustników, objawiła się światu skromna dziewczica wioząca przyszłemu mężowi kwiat swojej niewinności, który zamierzała złożyć na ołtarzu miłości.

Najbardziej tą nową, udoskonaloną wersją Zofii zdumieli się członkowie jej orszaku. Oto wyruszyli kilka tygodni wcześniej ze Stambułu z dziewczyną z pospółstwa o dość jednoznacznej reputacji, a teraz dowiadawali się, że wiozą grecką księżniczkę. Doskonale znali jej łóżkowe wyczyny, zaś kilka dni wcześniej sami byli świadkami dość swobodnych zachowań swojej podopiecznej, z której sypialni regularnie wychodził rankiem kochanek, i nagle okazało się, że jest nietkniętą dziewicą. To było zbyt wiele, nawet jak na tak łatwowiernych mężczyzn, za jakich ich miano. Milczeli jednak, odgrywali swoją rolę, zmierzając niespiesznie w stronę celu, pisząc jednocześnie coraz bardziej sensacyjne relacje, wysyłane systematycznie do Warszawy.

Pierwsze pismo, nakazujące wstrzymać dalszą podróż Dudu, zastało ich podczas kilkudniowego odpoczynku w Jassach. Stąd już tylko godziny dzieliły ich od granicy z Polską. Mężczyźni z lubością i nieskrywaną satysfakcją po wielokroć przeczytali je dziewczynie. Co bardziej zawile zwroty tłumaczyli tak, by nie miała najmniejszej wątpliwości, iż słowa „nigdy”, „przenigdy” i „na zawsze” odnoszą się do jej dalszej znajomości z panem Karolem oraz możliwości kontynuowania podróży do Polski.

Tego, że wieści o jej wybrykach tak szybko dotrą do Warszawy, Zofia najwyraźniej nie przewidziała, a że jeszcze doczekają się tak rychłej i zdecydowanej odpowiedzi ze strony pana Karola – już zupełnie nie brała pod uwagę. Dlatego łyż, rozpacz i dramat nad tak brutalnie złamaną, a świetnie się zapowiadającą karierą niedoszłej pani Boscampowej pojawiły się we wszystkich ówczesnych relacjach z nadgranicznego miasteczka.

Kilka dni później do Jass przybył z Polski grecki kupiec upoważniony przez ośmieszonoego kochanka do odprowadzenia Dudu z powrotem do Konstantynopola. Jej dotychczasowi opiekunowie poczuli się w tych okolicznościach zwolnieni z dalszych obowiązków wobec niej i zamierzali nazajutrz o świcie ruszyć

w stronę Kamieńca – polskiej twierdzy broniącej południowo-wschodnich rubieży Rzeczypospolitej. Dziewczyna zdała sobie sprawę z tego, że przesadziła w swoich intrygach, że zbyt wcześnie odkryła plany i, postępując nierozważnie, naraziła je na klęskę. Musiała wykorzystać pozostałe jej – już tak nieliczne – godziny, by przekuć porażkę w sukces.

Do legend światowej klasy aktorstwa przeszła noc dzieląca moment przybycia starego Greka do Jass od poranka dnia następnego. Niestety, nie znamy jej dokładnego przebiegu, ale możemy się domyślać, że Zofia wzniosła się na takie wyżyny swego talentu, że będąc sama we wrogim jej środowisku, mając przeciwko sobie jednoznaczne dyspozycje kochanka i grupę mężczyzn gotowych je wykonać, potrafiła przekonać ich, żeby tego nie zrobili.

Jak to się stało? Jakich argumentów użyła i co musiała zrobić?

Tego nie wiemy.

Faktem jednakże pozostaje, że rankiem następnego dnia Grek ruszył w dalszą drogę do Sambułu sam, zaś jego zaradna rodaczka, ponaglając gdańskiego geodetę, popędziła czym prędzej w stronę granicy z Polską. Podobno stary kupiec został do tego stopnia zmanipulowany, że nie tylko nie nalegał na wykonanie poleceń Boscampa, ale też – wzruszony ciężką dolą dziewczyny – przekazał jej znaczną sumę na pokrycie kosztów podróży, tak by nie musiała odmawiać sobie w drodze drobnych przyjemności.

★

Pan Karol w pewnym momencie chyba się zreflektował.

Uznał mianowicie, że źle postąpił. Podobno kilka dni po tym, jak wyprawił posłańca, przed oczami stanął mu obraz Dudu przekonującej go, że przyłapany nocą w jej domku kochanek nie przychodził do niej, tylko do jej matki. Znowu widział te wielkie, wypełnione łzami oczy, w których odbijał się strach pomieszany z miłością, a doprawiony nadzieją. Te drżące od wstrzymywanego płaczu delikatne usteczka. Cała postawa pełna pokory i błagania o litość. Wspomnienie to dało mu świadomość ogromu, wręcz bezmiaru talentu, jakim dysponuje ta dziewczyna. Dlatego doszedł do wniosku, że popełnił wielki błąd.

Nie dlatego, że ją odprawił, ale że zadanie jej odwiezienia z powrotem do Sambułu powierzył nieodpowiedniej osobie. Może po fakcie już usłyszał, że jest to człowiek o miękkim sercu, a może nie miał wyjścia i musiał brać, co miał pod ręką. Natomiast po kilku dniach przemyślał sprawę, doszedł do wniosku, że stary kupiec jest bez najmniejszych szans w starciu z talentem Dudu i że niechybnie nie poradzi sobie z nią zgodnie z jego oczekiwaniami. W ciągu tygodnia znalazł osobę bardziej stanowczą, również Greka, Konstantego Dymitra, któ-

remu zlecił dopilnowanie, aby dziewczyna bez dalszych komplikacji dotarła na miejsce przeznaczenia.

Ta kilkudniowa zwłoka sprawiła jednak, że posłaniec nie zdążył na czas. Orszak z cenną przesyłką ze Stambułu dotarł już do Kamieńca i Zofia miała kilka godzin, by roztoczyć swój czar nad mieszkańcami warownego grodu.

Zadanie było niełatwe z kilku powodów. Po pierwsze, dowódcą twierdzy kamienieckiej był generał Jan Witt, stary i oschły wojak, który do swojego znaczenia doszedł długą i ciężką pracą. Było mu szczególnie trudno, gdyż pochodził z holenderskiej rodziny mieszczańskiej i rywalizując o awans z synami szlacheckimi, musiał pracować w dwójnasób, by zostać zauważonym. Dokonał jednak tego i wysłużył sobie nie tylko awans w wojsku, lecz także podniesienie do stanu szlacheckiego. Życie jednak zahartowało go tak, że podwładni widzieli w nim osobę zimną, twardą i bezwzględną.

Stary generał znał osobiście Boscampa, który, przejeżdżając kilkakrotnie przez Kamieniec, zawsze gościł w jego komnatach i, znając jego słabość do numizmatów, przywoził mu jakąś rzadką monetę. To zbudowało więź między oboma panami, może nawet przyjaźń, więc kiedy jeden do drugiego miał prośbę, to nie wahał się jej wyrazić, a ten drugi niezwłocznie ją spełniał. W momencie przyjazdu Zofii do miasta Witt nie miał jeszcze jasnych dyspozycji co do jej osoby, jednak wiedział, że przybędzie oraz że na czas pobytu ma zamieszkać u pewnej zaufanej wdowy, której przesłano wcześniej odpowiednie środki.

Prawą ręką generała w twierdzy był jego syn Józef, czterdziestoletni kawaler służący wówczas w randze majora, podobno tak brzydki, że o szpetniejszego trudno w całej okolicy, ale – co gorsza – charakteru jeszcze podlejszego niżli sam odrażający wygląd. Znane nam późniejsze jego wyczyny sprawiają, iż bez trudu można uwierzyć w jego naturalną skłonność do czynienia zła.

Ojciec miał wobec niego duże plany, ale dotychczas nie znaleziono odpowiedniej partii, która przez swe pochodzenie i posiadane parantele mogłaby ułatwić karierę Witta juniora. Dlatego do tego wieku pozostał kawalerem skupiającym swą uwagę na rozrywkach towarzyskich.

Zofia w Kamieńcu nie traciła ani chwili. Czuła, że ściga się z czasem. Prawdopodobnie dotarły już do niej informacje o załamaniu się kariery dyplomatycznej jej dotychczasowego protektora. Wiedziała więc, że nawet gdyby udało jej się załagodzić jego gniew, to nie będzie mogła liczyć na luksusy u jego boku. Zaczęła już myśleć nie tylko o tym, by nie dać się odesłać do Stambułu, ale również o innych opcjach zrobienia kariery w kraju jawiającym się jej jako kraina mlekiem i miodem płynąca, a do tego pełna naiwnych mężczyzn, którzy pragnęli poznać grecką księżniczkę.

Nie inaczej było w przypadku komendanta twierdzy i jego syna. Zanim więc zdążyła dojść do siebie po wyczerpującej podróży, już przybył do niej posłaniec



z zamku z zaproszeniem na kolację. Pan generał był ciekawy kochanki swojego przyjaciela i zamierzał mu się odwdziżyć za dotychczasową życzliwość. Zofia przedstawiła się jako narzeczona Boscampa, demonstrowała skromność oraz nienaganne maniere mające świadczyć o jej szlachetnym pochodzeniu. Gospodarz wiedział, że dziewczyna kłamie jak z nut, jednak poza pobłażliwym uśmiechem nie dał po sobie poznać, iż nie wierzy w ani jedno jej słowo. Czas spędzony w towarzystwie gościa upływał szybko i przyjemnie, szczególnie dla młodszego z Wittów, który od razu znalazł się pod urokiem pięknej Greczynki.

Nazajutrz do kwatery komendanta dotarł list od pana Karola, w którym autor ostrzegał przed swoją kochanką. Szczerze opisywał jej charakter, informował, że wkrótce przybędzie jego posłaniec, i prosił o pomoc dla człowieka, który miał się zająć jej dalszym losem. Pismo to nie wpłynęło na stosunek Wittów do Zofii, gdyż już wcześniej wiedzieli, kim ona jest, i nie mieli najmniejszych złudzeń co do jej relacji z dyplomata ani też pochodzenia „greckiej księżniczki”. Zresztą najwyraźniej im to nie przeszkadzało, zaś młodszy z rodziny zamierzał skorzystać z wdzięków uroczego gościa.

Tutaj jednak spotkał się ze zdecydowaną odmową. Dziewczyna postanowiła odgrywać swoją rolę, którą przyjęła na siebie od pierwszych chwil w Kamieńcu, i owszem, pozwalała się adorować, wdzięcznie przyjmowała hołdy i zachwyty, flirtowała i kokietowała, jednak na noc zamykała drzwi do sypialni i żegnała w progu wielbicieli, zapewniając o swej wierności narzeczonemu.

Wreszcie po kilku dniach przybył do miasta posłaniec Boscampa. Przywiózł pisma, w tym pełnomocnictwa dotyczące Dudu. Udał się do komendanta, który obiecał pomoc przy wydaleniu jej z miasta. Prawdopodobnie już wtedy poczuł niepokój z powodu zachowania syna i chętnie skorzystał z okazji, by usunąć mu sprzed oczu piękny przedmiot pożądania, sprawiający, że ten cyniczny samolub chodził nocami po zamku i wzdychał jak średniowieczny kochanek, beznadziejnie zakochany w cudzej żonie. Ona zaś umiejętnie podsyciała w nim żądze, którą, jak zapewniała, mógł zaspokoić dopiero po ślubie.

Nazajutrz zgodnie ze szczegółową dyspozycją Boscampa uwieziono z miasta szlochającą Greczynkę, nie informując jej o celu podróży. Jej rozpacz początkowo nie była wielka i raczej na pokaz, gdyż miała nadzieję, że celem podróży będzie ostatecznie Warszawa. Być może sam dyplomata zwodził ją w swojej korespondencji, by uniknąć oporu, a ona uwierzyła, że jej wybaczył i zabiera ją do swego domu.

Nie pozwolono jej na pożegnanie z majorem Wittem, któremu zostawiła na pamiętkę pachnący sobą szal, w którym przyjmowała go ostatniego wieczoru. Spodziewała się, że adorator popędzi za nią i w razie niebezpieczeństwa wydalenia z kraju wybawi z opresji. On jednak nie wiedział o uknutej przeciw niej intrydze. Prawdopodobnie w tym momencie wykonywał rozkazy komendanta

gdzieś poza murami twierdzy, wysłany jak najdalej od obiektu swych westchnień.

Ufna w siłę swych sideł, Zofia tylko dla niepoznaki ronila łzy w powozie, nawet gdy zorientowała się, że uwożą ją w stronę granicy. Wierzyła, że po takich zapewnieniach, jakie usłyszała z ust majora, jest tylko kwestią godzin, by ten popędził w ślad za nią jak szalony. Nie mogła wiedzieć, że nie ma go w mieście i że wieści o jej uprowadzeniu nie dotarły do niego na czas. Dzień mijał, słońce chyliło się ku horyzontowi, powóz wyraźnie zmierzał w stronę przeciwną do Warszawy, a odsiecz ani śladu, dlatego dziewczyna postanowiła, że nie da się wywieźć z powrotem do Turcji.

Już na wieczornym postoju oznajmiła, że jeśli nie dowie się, jakie mają szczegółowe polecenia, to dalej z nimi nie pojedzie. Rankiem, po bezsensnym i bezowocnym oczekiwaniu na ratunek, rozpętała straszną awanturę, która niejednego skłoniłaby do rejterady. Jednak Dymitr, jej obecny opiekun, wspierany dzielnie przez gdańskiego geometrę, którego przysłano mu w międzyczasie w sukurs, został dobrany tak, by nie ulegał kaprysom dziewczyny i spełnił pokładane w nim nadzieje mimo pojawiających się przeszkód. Wśród krzyków, przekleństw i płaczów zaprzęgano konie i orszak szykował się do wyjazdu.

Gdy wszystko zostało już przygotowane, do komnaty Zofii weszli konwojenci i w milczeniu przekazali jej zapieczętowany list od Boscampa. Dowiedziała się z niego, że zostanie wynagrodzona za dotychczasową fatygę, ale ma poddać się jego woli i poleceniom posłańców, którzy niezwłocznie odstawią ją do Stambułu. Spełniły się jej najczarniejsze oczekiwania. Została zdradzona i oszukana!

Jakby tego było mało, zażądano od niej wszystkich listów, jakie otrzymała od tegoż kochanka. Próbowwała się opierać, odmówiła, argumentując to tym, że są dla niej zbyt cenne. Próbowwała grać na uczuciach, ale tym razem bez skutku. Siłą odebrano jej klucze, przeszukano kufry i zabrano korespondencję z dyplomata. Następnie otrzymała na drogę znaczną sumę, której odbiór pokwitowała, i zostawiono ją na chwilę samą, by ochłonęła i zakończyła przygotowania do dalszej podróży.

Leżącą w rozpacz na podłodze Dudu dobiegły głosy konwojentów. Wyraźnie słyszała, że zamierzają się rozstać. Jeden miał wracać czym prędzej do Polski, zabierając ze sobą listy, drugi zaś zabrać ją niezwłocznie do Gałacza – portu nad Dunajem, z którego regularnie kursowały statki do Stambułu. Tam zamierzał ją wsadzić na pokład i zapomnieć o kłopotliwej przesyłce.

Usłyszawszy te wieści, Dudu natychmiast przestała rozpaczać. Usiadła, poprawiła włosy, rozsunała bardziej suknię na piersiach i pchnęła ramieniem drzwi.

– Cóż znowu? – spiskowcy odsunęli się od siebie, zerkając z niechęcią na siedzącą u ich stóp Zofię.

– Pozwólcie przynajmniej, bym list do pana Karola napisała – powiodła po ich twarzach wzrokiem zmętniałym od cierpienia.

– Nie ma czasu! – burknął geometra, któremu spieszno było wsiadać na koń.

Drugi z rozmówców nie był taki stanowczy. Wzruszył ramionami i nie wypowiedział swego zdania, choć to jego dotychczas uznawała za twardszego z tych dwóch. Teraz jednak, gdy osiągnął już, co chciał, nie widział niebezpieczeństwa w spełnieniu prośby cierpiącej kobiety.

Wbiła więc proszący wzrok w jego oblicze, a on po krótkim wahaniu skinął głową.

– Niech pisze! Co nam to szkodzi?

I tak Zofia zyskała kolejne cenne godziny. Pisała list długo. Poprawiała go i zaczynała od nowa, aż wreszcie około południa gdańszczanin zagroził, że albo odda w ciągu kwadransa, albo rusza bez niego. Przyniosła mu zapieczętowane pismo, gdy już siedział na koniu. Smagnął wierzchowca szpicrutą i zniknął im z oczu w tumanach kurzu.

Ona została z Dymitrem, woźnicą i kobietą do posługi w karczmie. Pora była już tak późna, że nie było sensu wyjeżdżać. Postanowili więc zostać na jeszcze jedną noc.

Rankiem Zofia, mając już do czynienia z jednym tylko przeciwnikiem – greckim kurierem – postanowiła spróbować po raz kolejny skorzystać ze swoich atutów i przekonać go do odstawienia jej z powrotem do Kamieńca. Gdy ten jednakże stanowczo odmówił i siłą wyciągnął ją z pokoju, na oczach wszystkich odegrała dramatyczną scenę śmierci z rozpacz.

Widowisko musiało być przekonujące, skoro ponownie wstrzymano wyjazd i rzekomo nieprzytomną dziewczynę odniesiono do komnaty. Po tym incydencie przez kilka kolejnych dni wzywano lekarza, próbowano ustalić chorobę i znaleźć skuteczne lekarstwo. Do czasu, aż mało rozgarnięty major Witt wrócił do Kamieńca. Jego ojciec, przekonany, że dziewczyna jest już w połowie drogi do Stambułu, zlekceważył niebezpieczeństwo i poinformował syna o losie dziewczyny, a ten, dowiedziawszy się o całym spisku, popadł niemalże w obłąd z doznanej rozpacz.

Dalsze wydarzenia znane są w dwóch wersjach. Jednej, przekazanej po latach w relacji ratowanej z opresji dziewczyny, akcentującej znaczny udział zadurzonego oficera w akcji ratunkowej: wyobraźnia podpowiada obraz majora Witta pędzącego na złamanie karku w ślad za porwanym obiektem swych marzeń. Romantyczne spotkanie, cudowne uzdrowienie i kochankowie ruszają przed siebie, by od tej pory razem kroczyć przez życie.

Podobno nikt z konwoju Zofii nie protestował przeciwko porwaniu ich podopiecznej. Zapewne wszyscy odetchnęli z ulgą, że oto wreszcie skończyła się ich męka, gdyż o ile dziewczyna potrafiła być słodka dla wybrańców, o tyle sprzeciwiającą się jej woli zaznawali goryczy, o jakiej im się nie śniło.

Boscamp jednakże twierdził, że to sama Duda nakłoniła swojego opiekuna, by wrócił wraz nią do Kamieńca. Jakkolwiek wyglądały te zakulisowe działania, jedno wiemy na pewno: otóż na początku czerwca 1779 roku dziewczyna tryumfalnie powróciła do miasta, z którego wywieziono ją w zamkniętym powozie wiele dni wcześniej. Towarzyszył jej grecki kurier Konstanty Dymitr, współpracujący z nią teraz i przekazujący listy do i od Józefa Witta.

Zanim komendant twierdzy kamienieckiej zorientował się w niebezpieczeństwie grożącym niezwykle ambitnym projektom matrymonialnym jego syna, ten już popędził ze swoją wybranką kolejnym powozem, by jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem gniewu ojca. Czternastego czerwca 1779 roku w pobliskim kościele parafialnym w Zienkowicach Józef Witt i Zofia Glavani wzięli ślub.

## Pani Witt

Jeszcze przez wiele lat po tych wydarzeniach pamiętano w twierdzy całonocne wściekle przekleństwa starego generała podobne do ryków rannego niedźwiedzia. Wydawał je nieprzerwanie aż do świtu kolejnego dnia po tym, w którym się dowiedział, że zamiast skromnej, acz ustosunkowanej i zamożnej polskiej szlachcianki będzie miał za synową nałożnicę swojego przyjaciela – sprzedaną mu przez matkę praktycznie jak niewolnicę za kilka talarów. O reakcji matki pana młodego podania milczą, ale jakże wymowny jest fakt, iż popadła w ciężką chorobę i po upływie nieco ponad roku od momentu, kiedy została teściową, zmarła.

Zofia trochę inaczej wyobrażała sobie swoją przyszłość w nowej, wyśnionej ojczyźnie. Sukces, jaki osiągnęła, był może skromny, ale na ten moment odsuwał niebezpieczeństwo wydalenia z Polski i dawał małą stabilizację pozwalającą na przygotowanie się do dalszych kroków na drodze do pełnego triumfu. Bo ten zamierzała osiągnąć przy pomocy swojej nowej rodziny. Zdawała sobie sprawę, że niczego nie dokona, kryjąc się z małżonkiem przed gniewem jego ojca i żyjąc skromnie gdzieś na obrzeżach cywilizacji, jak to sobie wyobrażał major Witt, przekonany, że – wyklęci przez rodziców – będą musieli wieść taki właśnie żywot.

Jak zdążyliśmy już zauważyć, takie postępowanie nie leżało w naturze Dudu, dlatego gdy uznała, że pierwszy gniew komendanta minął, postanowiła ponownie go zaskoczyć śmiałym manewrem powrotu do twierdzy i niespodziewanego wtargnięcia do jego siedziby. Spotkanie synowej i marnotrawnego syna z jego rodzicami odbyło się za zamkniętymi drzwiami. Niewiele wiadomo o jego przebiegu, ale miło raczej nie było. Panna młoda już wcześniej musiała zauważyć, że pod surową skorupą starego wojaka kryje się serce wrażliwe na kobiece wdzięki, więc to do jego nóg upadła i, płacząc, błagała o wybaczenie. Generał zaś, chcąc nie chcąc, musiał się pogodzić z gorzką pigułką, jaką przyszło mu przełknąć, i przyjąć młodych pod swój dach.

O tym, iż okres gniewu był stosunkowo krótki, po nim zaś przyszedł czas na współpracę i próby ratowania resztek dobrego imienia rodziny, świadczy zachowana korespondencja komendanta z tego okresu. On, który był osobą najlepiej poinformowaną o pochodzeniu i dotychczasowych dokonaniach synowej, musiał kłamać i powielać jej nieprawdopodobne konfabulacje. Otóż już kilka dni po powrocie młodych do twierdzy rozpoczął się proces kolportowania poprawionej wersji życiorysu młodej pani Wittowej. W listach do przyjaciół stary generał początkowo przemilcza jej pochodzenie, akcentując fakt, iż była

ona narzeczoną Boscampa jadącą na ślub ze znanym dyplomata. Młodzi spotali się w twierdzy, zakochali w sobie i cóż – krew nie woda! <sup>68</sup>

Wkrótce jednak przyszedł czas na odważniejsze zmiany w życiorysie połączone z bardziej szczegółową wersją pochodzenia majorowej Wittowej. A ta nie zamierzała ograniczać się do drobnych zmian w swojej genealogii. Nie wystarczało jej twierdzenie o uczciwej profesji jej rodziców i nieco szlachetniejszym pochodzeniu, niżli wynikałoby to z metryki. Tego pragnęliby rodzice męża i z pierwszych relacji wynika, iż dążono w tym właśnie kierunku.

To jednak dla Zofii zdecydowanie za mało! Ona chciała iść na całość. Źle się czuła w roli tej gorszej w związku. Jeszcze w czerwcu 1779 roku cieszyła się z dobroci teścia, który zgodził się przygarnąć ubogą, plebejskiego pochodzenia, acz uczciwą dziewczynę pod swój dach, a kilka miesięcy później już twierdziła, że to ona zaszczycała Wittów swą osobą.

Tak właśnie!

Już wcześniej przebąkiwała o swoich szlacheckich korzeniach, ale nikt poważnie tego nie traktował, kiedy jednak zaczęła głosić w towarzystwie, że ma arystokratyczne pochodzenie, teściowie musieli albo ją wspierać, albo wyśmiać. Tego drugiego nie chcieli robić, gdyż za daleko już zabrnęli w swoich wysiłkach na rzecz koloryzowania jej metryki, więc stopniowo coraz śmieiej wspierali synową w propagowaniu jej wersji pochodzenia. A trzeba przyznać, że nie mieli lekko. Synowa stwierdziła, ni mniej, ni więcej, że ma arystokratyczne korzenie wywodzące się z greckiej rodziny książęcej, spowinowaconej z dawnymi władcami cesarstwa bizantyjskiego. Stworzyła skomplikowaną historię, opowiadaną zresztą w kilku nie dość ściśle ze sobą zgranych wersjach, którą próbowała kilkakrotnie niefortunnie uwiarygodnić, prezentując świadków, którzy raczej pograżali ją w swoich relacjach.

Tak więc legenda o jej arystokratycznym pochodzeniu, przykładowym prowadzeniu się i matrymonialnych planach wobec niej Boscampa słabo przebijała się do społecznej świadomości, tym gorzej, iż doskonale pamiętano okoliczności przybycia dziewczyny do Polski. Te plotki, skandale, wywożenie jej w zamkniętym powozie siłą, powrót, potajemny ślub i gniew rodziców pana młodego nie budowały odpowiedniej atmosfery. Sprawa była jeszcze zbyt świeża, by o tym zapomnieć, ale jak mówią, kropla draży skalę. Zofia zachowywała się przykładowie, jak na grecką księżniczkę przystało. Żadnych skandali, romansów ani awantur, za to dużo uśmiechów, życzliwości, drobnego flirtu, kokietowania rozmówców i mnóstwo barwnych opowieści ze świata – to wszystko pomagało przekonać lokalną społeczność do nowej atrakcji, którą coraz chętniej zapraszano do okolicznych majątków.

Dziewczyna była piękna, więc podobała się mężczyznom, a dopóki demonstrowała miłość i wierność w stosunku do męża, to i nie wadziła paniom, zawsze bardziej ciekawym wszelkich nowości. Tak więc żyła sobie nasza boha-

terka w warunkach coraz lepszych, lecz myliłby się ten, kto by sądził, że osiągnąwszy swój cel, zamierzała spocząć na laurach. Od początku próbowała wyrwać się do wielkiego świata. Kamieniec leżał na krańcu cywilizacji, otaczała go głucha prowincja, a jej marzyło się bywanie na światowych salonach, dlatego też planowała daleką podróż poślubną z panem Józefem, ale długo czasu minęło, zanim w nią wyruszyła.

Niektórzy szukają przyczyn tego opóźnienia w chorobie, a następnie śmierci matki pana Józefa, która zmarła w listopadzie 1780 roku, ale należy też pamiętać o słabym przygotowaniu Greczynki do tego typu eskapady. Jeśli zamierzała bywać w najlepszym towarzystwie, to musiała nadrobić braki w edukacji. Wiedzę, którą panienki z dobrego domu nabywały od najmłodszych lat, ona musiała opanować w ciągu roku i nie chodzi tutaj o edukację czysto szkolną, ale o zasady zachowania, tańca, konwersacji oraz oczywiście doskonale opanowanie języka francuskiego w mowie i w piśmie.

Miała pewne podstawy zdobyte u boku pana Karola, a zapewne też nie zmarowała tych długich miesięcy w Stambule, kiedy czekała na wezwanie do Polski, jednak to za mało, by mogła odgrywać rolę, jaką dla siebie wybrała. Dlatego musiała pracować nad sobą, tak ciężko jak nigdy, a jako osoba ambitna nie narzekała, tylko brała się do dzieła. Naturalny talent aktorski, wdzięk i uroda pomagały ukryć braki oraz odciągnąć uwagę rozmówcy od niedostatków, ale potrzebny był duży wysiłek, by osiągnąć efekty, o jakie Zofii chodziło. Zamierzała zawojować świat i nie miała ochoty czekać zbyt długo.

\*

Podróż poślubna młodych Wittów zaczęła się w lutym 1781 roku, a więc ponad półtora roku po tym, jak stanęli na ślubnym kobiercu. W tym czasie nie tylko oni przygotowywali się do wyjazdu, ale salony sposobily się do przyjęcia nowej gwiazdy. Wieści o egzotycznej piękności poślubionej przez syna komendanta twierdzy kamienieckiej docierały do Warszawy stopniowo, regularnie i – wraz z upływem czasu – coraz szerszym strumieniem. Każda karawana, poselstwo czy grupa podróżników przejeżdżające przez tę bramę Rzeczypospolitej dokładały kolejny szczegół do obrazu, jaki się kształtował w umysłach słuchaczy od wielu miesięcy. Każdy przybysz zaczynał relację od opisu urody i wdzięku nowej pani kamienieckiej, a ciekawość elit rosła z dnia na dzień.

Bardzo ważny impuls dla narodzin tej fali zainteresowania grecką „księżniczką” dała szeroko relacjonowana podróż księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego na polskie kresy, rozpoczęta wiosną 1780 roku. Ten czołowy spośród polskich magnatów analizowanego okresu arystokrata wybrał się w licznym towarzystwie na inspekcję dóbr, miast i fortyfikacji leżących na południowo-wschod-

nich rubieżach Rzeczypospolitej i odwiedził również Kamieniec. Tam zarówno on, jak i jego otoczenie zachwycili się synową komendanta i w przesyłanych do Warszawy relacjach podkreślali niezwykle przymioty pięknej Zofii.

Towarzyszący księciu młody pisarz Julian Ursyn Niemcewicz, utrwalający piórem poznawane atrakcje, w tym potężne fortyfikacje twierdzy, tak zapamiętał spotkanie z Dudu: *Największą atoli ciekawością w Kamieńcu Podolskim była synowa starego generała... Nie wiem, czy Helena, Aspazja, Lais, najstawniejsze Atenów piękności, wdziękiem i urodą przechodzić ją mogły. Nie widziałem piękniejszej w życiu moim kobiety. Do najforemniejszego składu twarzy, do najśodszych, najpiękniejszych oczu łączyła uśmiech anielski i głos chwytający za duszę. Rzekłbyś patrząc na nią, że to żywy z nieba zstąpiony anioł*<sup>69</sup>.

Podobne opinie rozpowszechniano w korespondencji płynącej do dworów, salonów i miast w całej Polsce, budząc coraz większe zainteresowanie kobietą podobną z urody i wdzięku do anioła.

Tymczasem sam „anioł” cieszył się swoją narastającą i na razie tylko zasłyszana popularnością wśród elit i u schyłku zimy roku 1781 zmierzał niespiesznie w stronę Warszawy. Ogromne nadzieje związane z wizytą pogłębiło zaproszenie do stolicy ze strony samego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego, który na swój koszt, co było niezwykle rzadkością u niego, wynajął dla państwa Wittów mieszkanie na czas ich pobytu w mieście. Niewątpliwie chciał w ten sposób docenić zasługi Wittów dla ojczyzny, ale i ciekawość dla urody dziewczyny odegrała tutaj niepoślednią rolę, monarcha bowiem słynął z zamiłowania do piękna w każdej postaci. Uroczysta prezentacja wyczekiwanej atrakcji na dworze królewskim miała miejsce w pierwszych dniach marca i, sądząc z hysterii, jaka opanowała towarzystwo, musiała wypaść bardzo korzystnie. Dwumiesięczny pobyt młodej pary w stolicy to czas wielkich triumfów, hołdów i zachwytów.

Tylko nieliczne z pań, i to z grona pierwszych rodów Rzeczypospolitej, wzbudziły zainteresowanie poetów, którzy chcieliby opiewać ich urodę, tymczasem Zofia zasłużyła na ten zaszczyt, zaś w tonie zachowanych strof pobrzmiwa zachwyt wręcz bałwochwalczy. O atmosferze panującej wokół jej osoby świadczy relacja przekazana przez wspomnianego już Niemcewicza, który tak ją widział: *Widok jej sprawił zawrót powszechny, nie rozmawiano, jak o pięknej Greczynce. Pamiętam, iż gdy raz na licznych asambalach pokazała się u pani hetmanowej Ogińskiej, tak wszyscy stracili przytomność, iż zapomniawszy o przyzwoitości, jedni obstąpili ją hurmem, drudzy, by lepiej cudo to widzieć, na stoły i stoliki włazili*<sup>70</sup>.

Sukces towarzyski Dudu był większy, niż ona sama się spodziewała. Wystarczył jeden wieczór, by zachwyciła się nią cała śmietanka towarzyska stolicy. Otrzymywała setki zaproszeń i bywała w najwytworniejszych salonach. Natomiast jej małżonek został przyjęty sceptycznie. To, co było atutem tego związku na prowincji, gdzie stale obecny u jej boku, wodzący za nią rozmiłowanym wzrokiem mąż łągodził lęki pań obawiających się o stałość uczuć swoich męż-



czyzn, tutaj zupełnie się nie sprawdzało. Ówczesne elitarne towarzystwo odrzucało tradycyjną moralność. Relacje damsko-męskie w stolicy nie ograniczały się wówczas do niewinnego flirtowania. Mężatki bez skrępowania przyjmowały w swojej sypialni kochanków i w dobrym tonie pozostawało, by nie dziwić się tego rodzaju wizytom. Nie może więc zaskakiwać fakt, iż zazdrosny mąż dla takiej atrakcji towarzyskiej był jak kamień u szyi. Ciężył jej więc coraz bardziej, krępując swobodę zachowania.

Trzeba przyznać, że sytuacja była dla niego mało komfortowa, również dlatego, iż z pełnoprawnego, a jeszcze do niedawna ważniejszego w tym duecie stał się tylko nic nieznaczącym dodatkiem do gwiazdy wielkiego formatu błyszczącej na stołecznym firmamencie. Był też na tyle nienowoczesny, niemodny, śmieszny wręcz w swej małostkowości, że okazywał otwarcie niezadowolenie z tego tylko powodu, iż sam monarcha zaszczycił jego żonę w swojej sypialni.

Po nim zaś w długiej kolejce ustawiła się niemal cała męska część arystokracji, co ona przyjmowała z wielką radością jako swoiście rozumiany hołd dla jej urody. Niemal każdy chciał spróbować słodczy greckiej „księżniczki”, lecz ona, szybko ucząc się nowych dla niej zasad, starannie dobierała, kogo dopuścić do łask, kogo trzymać w niepewności, a kogo odtrącić. Zrozumiała wnet, iż tak cenne dobro, jakim jest pożądana przez wszystkich jej uwaga, nie powinno się zdewaluować przez nadmierną jego eksploatację.

Wreszcie doczekała się tej chwili, że mogła w pełni wykorzystać swój talent, umiejętności i wiedzę, jakie zdobyła w Stambule, uwalniając się z gorsetu prowincjonalnej moralności, za co nie tylko nie spotykała jej krytyka, ale wręcz podziw i uznanie, zwłaszcza męskiej części towarzystwa. Stołeczni znawcy i koneserzy *ars amandi* docenili objawioną przed nimi w całej krasie sztukę, składali jej hołd, wymieniali się wrażeniami, a jej sława rosła z każdym dniem, osiągając najwyższe możliwe poziomy.

Ta nieznaną w tamtych czasach mania, którą obserwujemy dziś w stosunku do wszelkiej maści gwiazdorów, aktorów, sportowców czy celebrytów, odbiła się szerokim echem w całej Europie. Jednocześnie otworzyła wszystkie drzwi podróżującej parze, zaś w Warszawie spowodowała, iż wyjazd młodej pary zasmucił porzucone elity, co znalazło wyraz w jeszcze liczniejszych dziełach ówczesnych poetów.

Stanisław Trembecki poświęcił jej utwór zatytułowany *Do pani Wittowej, przejeżdżającej z mężem przez Warszawę do wód spaskich*:

*Słiczna Zofijo! Twoje nawiedziny  
Wiodą mi na myśl obaloną Troję.  
Z podobnej ona zginęła przyczyny:  
Jakże się słusznie o Kamieniec boję!*

*Czy mi się zdaje, czy tysiące koni*

*Widzę spocone i ludy w kurzawie,  
Krzyczące tłumy: do broni! Do broni!  
I już o Dniestru myślące przeprawie?*

*Są między nami Kleopatry usta.  
Liwiją znamy, choć dawno nie żyje,  
Chcąc cię uwiecznić, z rozkazu Augusta  
Już biegły Le Brun twe popiersie ryje.* [71](#)

A czas wyjazdu nadszedł szybciej, niż oczekiwano.

Naciskał na to major Witt, który nie bawił się w stolicy tak dobrze jak jego małżonka, musiał bowiem jakoś zapełniać samotne noce, kiedy czekał, aż będzie mógł wejść do wspólnej sypialni, ale i ona z wrodzoną sobie bystrością umysłu zrozumiała, że lepiej zostawić za sobą pewien niedosyt niż przesyt. Dlatego też, choć demonstrowała żal z powodu konieczności opuszczenia tak licznych nowo poznanych przyjaciół, nie opierała się nazbyt energicznie.

Sukces był większy, niżli się spodziewano.

Nieco obaw, przynajmniej na początku, wywoływała nieznana reakcja Boscampa na wizytę w mieście jego kochanki. On jednak jako wytrawny dyplomata postanowił się przyzaić, by nie wchodzić w drogę wschodzącej gwiazdce. Prawdopodobnie nawet się nie spotkali i dopiero znacznie później, będąc w trudnej sytuacji finansowej, pan Karol próbował z faktu znajomości z tak sławną postacią wyciągnąć dla siebie konkretne profity, co raczej nie przyniosło spodziewanych korzyści [72](#).

★

Kolejnym przystankiem na drodze państwa młodych w podróży poślubnej był Berlin, a po nim Poczdam, gdzie – rekomendowani gorąco przez nowych przyjaciół – zostali przedstawieni na monarszym dworze. Sam król pruski Fryderyk II, stary już i z wiekiem coraz bardziej ekscentryczny, opętany niechęcią do wszystkiego, co polskie, raczył przyjąć młodych Wittów i wyrazić się pochlebnie o urodzie Zofii.

Jednak Berlin nie był w owym czasie miejscem na mapie Europy istotnym ze względu na życie towarzyskie. Młodzi i pragnący zabawy raczej unikali jego ponurych, kojarzących się z pruskim drylem oraz musztrą klimatów. Dlatego też stał się on dla naszych bohaterów jedynie krótkim przystankiem w drodze do miejscowości uzdrowiskowej Spa, gdzie wówczas gromadziła się europejska elita, by pod pozorem zdrowotnych zabiegów oddawać się wyszukanym rozrywkom.

Każda epoka ma takie swoje modne miejsca, gdzie po prostu wypada być, i każdy aspirujący do elitarnego grona bywalców ówczesnych salonów musiał choć raz odbyć pielgrzymkę do stolicy europejskiej rozrywki, jaką było właśnie wtedy Spa. Latem można tu było spotkać arystokrację z całego kontynentu, choć najwięcej bywało Francuzów, Anglików oraz Austriaków oddających się hazardowi oraz rozrywkom erotycznym. Miejscowy przemysł hotelarski zapewniał komfort i dyskrecję na najwyższym możliwym poziomie.

Miejscowość należała w tym okresie do imperium Habsburgów, więc rodzina cesarska niejednokrotnie uświetniała je swoją obecnością, i tak też miało się stać latem 1781 roku, kiedy to do wód zjechał sam cesarz Józef II. Ten czterdziestoletni władca imperium austriackiego właśnie świętował pierwszą rocznicę samodzielnych rządów, które do tamtej pory sprawował wraz z apodyktyczną matką Marią Teresą. Choć teoretycznie zasiadał na tronie od szesnastu lat, to w praktyce musiał dzielić się władzą i dochodami z własną rodzicielką i dopiero niedawno nastąpił kres tej doskwierającej mu dwuwładzy. Świętując swoją samodzielność, reformował kraj, podróżował i oddawał się rozlicznym rozrywkom.

W czasie jednej ze swych podróży spotkał w Spa małżeństwo Wittów i również zachwycił się urodą młodej Greczynki. Zofia po niezwykle dla niej trudnym, ale zwycięskim debiucie na warszawskich salonach stała się bardzo pewna w kontaktach z wielkimi tego świata. Im dalej od osób, które mogły ją zdemaskować, tym bezpieczniej dla niej, więc wraz z rosnącą odległością od Warszawy rosła też jej śmiałość. Nie peszyły jej rozmowy z koronowanymi głowami, a dzięki swej rezolucji odpowiadała na każde pytanie z beczelną brawurą, której brakowało kobietom z najlepszym nawet domów.

W trakcie pierwszego spotkania cesarz skomplementował gładkość cery Dudu, zauważając, iż wiele poznanych kobiet została oszpecona przez ospę szalejącą w Turcji. Na co ona bez namysłu odpowiedziała, iż w dzieciństwie została zaszczepiona przeciwko ospie w Paryżu, gdzie wówczas eksperymentowano z tego typu zabiegami. Cesarz zaś bez zastrzeżeń przyjął wymyślone na poczekaniu wyjaśnienie i skwapliwie skorzystał z zaproszenia, by sprawdzić gładkość podziwianej skóry.

Również w Spa młoda Greczynka czuła się jak ryba w wodzie, zaś dobre przyjęcie przez samego cesarza otworzyło jej drzwi wszystkich salonów, więc bywała i brylowała, ciesząc się ogromnym powodzeniem zgromadzonego tam towarzystwa. W zabawie nie przeszkodziła jej nawet coraz widocześniejsza ciąża, której niedogodności przyjmowała z rozbijającym poczuciem humoru. Jej stopień zażyłości z Józefem II osiągnął wówczas taki poziom, iż – co było czymś niespotykanym w tego typu relacjach – zapowiedział jej wizytę w Paryżu, pisząc list do swej siostry, królowej Francji Marii Antoniny, żony Ludwika XVI.

Po spędzonych w Spa najbardziej upalnych miesiącach lata małżonkowie Wittowie ruszyli do Paryża. Zofia była już wówczas w zaawansowanej ciąży i spieszyła, by urodzić na miejscu, co też się stało 17 października 1781 roku. Urodziła wówczas swojego pierwotnego syna Jana i wbrew różnym plotkom sugerującym, iż jego ojcem mógł być Stanisław August Poniatowski lub inny z adoratorów, należy raczej przyjąć, iż sprawcą ciąży był sam major Witt. Patrząc na datę narodzin, musimy uznać, iż dziecię poczęto przed wyjazdem z Kamieńca, chyba że urodził się wcześniak, a nic na to nie wskazywało.

W Paryżu małżonek Dudu, wzorując się na polskiej szlachcie, która uznawała, że należy jej się w odniesieniu do tubylców i ich rangi tytuł co najmniej hrabiowski, polecił tytułować się hrabią de Witt. Więc i jego małżonka przedstawiała się i podpisywała we wszelkich pismach jako *Sophie comtesse de Witt*. Korzystając z listów polecających od koronowanych głów, została Zofia przyjęta w najlepszych domach Paryża. Szczególną sympatią i przyjaźnią zapalały do siebie ze słynną Dianą de Polignac pochodzącą ze starego arystokratycznego rodu, która wprowadzała ją nie tylko na miejscowe salony, ale też wszędzie tam, dokąd do tej pory cudzoziemki nie miały wstępu <sup>73</sup>.

Zofia błyskawicznie odzyskała formę po połogu i kontynuowała swoje podboje w kolejnym po Spa miejscu, gdzie nie przejmowano się moralnymi ograniczeniami. Paryż służył w ówczesnym świecie jako centrum stylu życia, do którego tradycyjne cnoty nie miały przystępu. Co prawda sam Ludwik XVI, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, nie praktykował ani nie popierał rozwiązłości, a nawet zdarzyło mu się kilka razy ją napiętnować, lecz jego otoczenie nie zamierzało iść w ślady swego władcy <sup>74</sup>.

Do grona adoratorów Zofii dołączyli wkrótce dwaj bracia królewscy, z których co najmniej jeden zaszczycił ją swą obecnością w sypialni. Ze swojej popularności małżonkowie korzystali pełnymi garściami, choć trzeba przyznać, iż mając wstęp na pierwsze salony, potrafili skorzystać z tej dogodności, również by wesprzeć osoby im z kolei rekomendowane przez króla Stanisława Augusta albo osoby poznane w przeszłości. Sam major Witt, dumny z posiadanego przodka i na nim koncentrujący swoją uwagę, jak się wydaje, pogodził się już ze swoją rolą męża przy sławnej i niezwykle popularnej żonie, ba, nawet nauczył się czerpać z tego tytułu pewne korzyści towarzyskie. W normalnych okolicznościach taka mała znacząca i dość bezbarwna persona nie miałaby szans, by zaistnieć w tak doskonałym towarzystwie, teraz jednak bywał i on na salonach królewskich, co w późniejszych czasach pozwalało mu pysnić się ponad wszelką miarę.

W lutym 1782 roku, a więc rok po jej rozpoczęciu, nadszedł czas powrotu i zakończenia podróży poślubnej. Młoda para spakowała kufry i wraz z noworodkiem ruszyła w drogę powrotną do Polski. Po drodze wstąpili do Wiednia, gdzie zabawili przez trzy tygodnie. Ich wizyta została odnotowana przez dypl-

matów ze względu na nietypowe zachowanie cesarza. Otóż, jak się okazało, nie zapomniał on gładkiej Greczynki i, mimo iż właśnie gościł u siebie papieża Piusa VI, znalazł czas na osobiste spotkanie. Audjencji udzielono obojgu małżonkom, chociaż w tym samym czasie cesarz odmawiał tego zaszczytu znacznie poważniejszym personom, zasłaniając się brakiem czasu i problemami ze zdrowiem.

Na czas ich pobytu w stolicy cesarstwa osobistą opiekę, zapewne na polecenie monarchy, sprawował nad nimi sam kanclerz, książe Kaunitz, co poczytywano za niemal równie wielki zaszczyt jak niedawną audjencję. Po nabraniu sił przed dalszą podróżą orszak Wittów ruszył już wprost do Kamieńca.



Powrót w domowe pielesze musiał być dla młodych niezwykle trudny, szczególnie dla Zofii. Z gwaru salonów na prowincjonalną głuszę i z towarzystwa koronowanych głów do prostych żołnierzy, drobnej szlachty bez obycia oraz więźniów odbywających karę w twierdzy. Ale, co najgorsze, z atmosfery zainteresowania, podziwu, wręcz uwielbienia ze strony europejskich elit do obojętności, a z czasem wręcz wrogości sąsiadów. Nie to, by echa ich towarzyskich przewag nie dotarły na Podole. Przeciwnie, znane były doskonale, choć niejednokrotnie w dość wykrzywionej postaci, a i odbierano je zupełnie inaczej niż w Warszawie, Wiedniu, Paryżu czy Spa. To, co tam zasługiwało na podziw, tutaj spotykało się z powszechnym potępieniem.

Szlachta naśmiewała się z oficera rogacza, zaś jego małżonkę wyzywano za plecami. Po kraju krążyły złośliwe wierszyki, fraszki i powiedzonka, w których odmalowywano obraz perwersji, jakich się dopuszczała młoda Wittowa, oraz zadowolonego małżonka, który cieszył się z powodzenia u innych swojej drugiej połowy.

Następne miesiące jawią się nam jako pewien przerywnik, czas odpoczynku między okresami wyteżonej aktywności. Doskonale się w nim odnalazł pan Józef, który – zadowolony z powrotu do domu – cieszył się, że oto wszystko wróciło na właściwe miejsce, a on może bez oczekiwania w długiej kolejce dostać się do sypialni swojej żony. Choć chyba nikt poza nim samym w to nie wierzył, zabawiał swoich rozmówców historyjkami, z których miało wynikać, iż wszystkie te splendory i zaszczyty, jakich doznali w podróży poślubnej, były jego osobistą zasługą. W jego opowieściach udział żony został zminimalizowany do granic możliwości, za to on jawił się jako przyjaciel największych tego świata, o którego uwagę zabiegały wszystkie koronowane głowy, które stanęły na drodze ich podróży.

Z czasem wypracował pewien, jego zdaniem bardzo sprytny, sposób na zwrócenie uwagi na swoje rzekome sukcesy. We wspomnieniach osób goszczących wówczas w Kamieńcu zachowały się takie bufonady, które wzmiankowano nie bez pewnego zażenowania. Jedną z nich była stała praktyka chwalenia się cennymi drobiazgami, które miały mieć swoją niezwykłą historię. Otóż zawsze w otoczeniu majora znajdował się jakiś domowy służalec typu lokaja, który wiedział, kiedy ma zwrócić uwagę na gest swego pana. Sięgał on na ten przykład, oczywiście w obecności gościa, po tabakierę, a przyuczony człowiek zadawał pytanie w stylu: „Czy to ta, którą jaśnie pan otrzymał w prezencie od króla Francji?”. On zaś z odpowiednią dozą dumy odpowiadał, że nie, ta akurat jest darem od carycy Katarzyny. Po czym długo rozwodził się nad okolicznościami, w których został tak hojnie obdarowany.

Z tych opowieści można było wysnuć jednoznaczny wniosek, że niewiele w polityce europejskiej ostatnio się działo bez udziału dzielnego wojaka. Doradzał przy zawieraniu traktatów między Rosją a imperium osmańskim, recenzował przyjęcie króla Francji oraz wspierał w wysiłkach politycznych króla Prus. Koronowane głowy podczas podróży poślubnej, ceniąc jego intelekt, okazywały mu taki szacunek i przyjaźń, iż bez jego zdania nie działo się niemal nic, co się wówczas działo [75](#).

Zofia w tym czasie próbowała sobie radzić na swój własny sposób, ale jako osoba obca w tym środowisku i ciesząca się co najmniej wątpliwą sławą, z trudem przebijala się przez gąszcz powiązań rodzinno-towarzyskich. Gdyby potrafiła, tak jak mąż, zadowolić się spokojnym życiem w murach twierdzy, byłoby jej łatwiej, ale ją ciągnęło do ludzi, chciała bywać i przyjmować u siebie. Bawić się i nadal pozostawać w centrum uwagi. Dlatego cierpiała, gdy z jednej strony utrzymywała korespondencję ze śmietanką towarzyską Europy – pisywali do niej listy arystokraci z Francji i Austrii, regularnie przychodziły pisma od polskiego króla – z drugiej zaś proste miejscowe szlachcianki gardziły nią i odmawiały kontaktów.

O tym, iż nasza bohaterka nie była li tylko przelotną kometą czy gwiazdą jednego sezonu na europejskich salonach, o której wszyscy zapomnieli, ledwie stracili ją z oczu, świadczą dokumenty z tamtych czasów. O znajomości z nią wspominają ówczesznie najwięksi, a potwierdzają pewne gesty, jak choćby ten wykonany w stosunku do cesarza Józefa II, i reakcje na nie ze strony adresatów. Otóż w 1783 roku władca ten podróżował po swoim kraju, przebywając dość krótko w pobliżu południowych granic Rzeczypospolitej. Zofia, zasłyszawszy o tym, iż jej przyjaciel jest tak blisko, posłała mu przez umyślnego kosz pięknych wiśni ze swego sadu. Władca przyjął dar łaskawie, obdarował posłańca zawrotną sumą stu dukatów, a potem częstował obecnych przy nim arystokratów, również polskich, mile wspominając darczyńcę i dopytując otoczenie, czy zachowało równie życzliwą pamięć o nim.

Jakże odmiennie na jej próby nawiązania kontaktów reagowało miejscowe towarzystwo. Do legendy przeszły afronty, jakie spotykały Greczynkę, gdy – w swej naiwności przekonana, iż również tutaj stanowi pożądaną atrakcję – składała wizyty w domach szlachty. Szczególnie głośnym echem odbiła się jej wyprawa do pobliskiego Tulczyna, który był siedzibą rodu Potockich – jednego z największych i najzamożniejszych w ówczesnej Rzeczypospolitej. Żona głowy tego rodu Stanisława Szczęsnego Potockiego, Józefina, pochodząca z równie znakomitego domu Mniszchów, na wieść o zbliżaniu się do jej pałacu kobiety, którą określała zawsze mianem kurwy, kazała zaprzęgać i pospiesznie opuściła pałac, wyjeżdżając do pobliskiej wsi. A to wszystko po to, by nie spotkać się z panią Wittową.

Zofia, odprawiona przez służbę tulczyńską w mało delikatny sposób, musiała przełknąć kolejne upokorzenie, być może już wtedy obiecując sobie, iż kiedyś zemści się za to po stokroć. Co też uczyniła w wielkim stylu, ale o tym w dalszej części opowieści.

Zarówno ten, jak i liczne kolejne incydenty uzmysłowiły Dudu, iż nie jest mile widziana w domach okolicznej szlachty. Ograniczyła więc kontakty do tych jedynie nielicznych rodzin, które mogły sobie pozwolić na ignorowanie niechęci wpływowych Potockich, których oddziaływanie na umysły współczesnych było wówczas ogromne.

Monotonię codziennego życia i kolejnych lat spędzonych na prowincji przezywały krótkie wycieczki do Jass i Lwowa. W tym okresie Zofia urodziła drugiego syna, a jej mąż awansował na generała i po śmierci ojca w grudniu 1785 roku został przez króla mianowany kolejnym komendantem twierdzy kamienieckiej, co było ukoronowaniem jego pragnień.

Pięć bardzo długich i wyjątkowo trudnych lat trwała przymusowa bezczynności naszej bohaterki. Między wiosną 1782 roku a początkiem roku 1787 jej aktywność ograniczała się do nużących obowiązków domowych, prób zabiegania o majątki oraz niewiele znaczących towarzysko gestów, które po tak spektakularnych sukcesach musiały być traktowane jak zajęcia godne emerytki, a nie tak żywej, niespełna trzydziestoletniej osoby. Trwały co prawda przymiarki do kolejnych wielkich wypraw, których celem były pierwsze dwory Europy, ale długo pozostawały one w sferze planów.

Ciągle coś stawało na przeszkodzie.

Walnie do izolacji Dudu przyczyniły się plotki i obmowy ze strony nienawidzących jej kobiet, w tym zwłaszcza wspomnianej już Józefiny Potockiej, nasilające się w takich momentach, w których rozważano możliwość powrotu Greczynki na salony, ale nie bez znaczenia pozostawał też opór męża, odmawiającego finansowania planów mogących narazić satysfakcjonującą go stabilizację. Raczej nie był na tyle głupi, by nie rozumieć, iż stan błogiego spełnienia, jaki

osiągnął dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, może zniknąć równie szybko, jak się pojawił.

Zofia, jak już niejednokrotnie wspomniano, nie należała do osób biernie czekających na rozwój wydarzeń, dlatego stale szukała okazji do wyrwania się spod kurateli męża. Latem 1786 roku spotkała we Lwowie duszę pokrewną, choć w ciele o wiele mniej imponującym. Wówczas to nawiązała znajomość z Marianną Mniszchową z domu Ossolińską. Ta stosunkowo młoda jeszcze przedstawicielka magnackich elit ówczesnej Rzeczypospolitej czuła się równie nieszczęśliwa i ograniczana w małżeństwie jak jej nowa przyjaciółka. Narzucone jej więzy wierności i posłuszeństwa mężowi uznała za niemożliwe do zniesienia, dlatego, ku oburzeniu znacznej części otoczenia, głośno deklarowała wolę ich odrzucenia. Marianna była od czterech lat żoną Józefa Mniszcha i w tamtym momencie matką dwójki dzieci. Jednak nie spełniała się w dotychczasowej roli i marzyła o przygodach miłosnych w dalekich, egzotycznych krajach.

Już w sierpniu 1786 roku obie panie podjęły jednomyślną decyzję, iż wyruszą razem w pełną szalonych przygód podróż do Stambułu. Solidarnie zobowiązały się też wspierać wzajemnie w pokonywaniu licznych przeszkód na drodze do realizacji ich marzenia. Na przeszkodzie ich planom stali w pierwszym rzędzie mężowie, którzy – znając zamiłowanie partnerek do miłosnych podbojów – za wszelką cenę pragnęli zatrzymać małżonki w domu. Oczywiście kategorycznie odmówili finansowania wyprawy, co przy ówczesnych stosunkach majątkowych, w których to mężczyźni mieli decydujący głos w tego typu kwestiach, skutecznie zahamowało przygotowania do wyjazdu. Co prawda Marianna pochodziła ze znacznie bogatszego środowiska i miała większe możliwości finansowe, ale, jak się okazało, nie na tyle duże, by mogła udźwignąć ciężar takiej wyprawy.

Rozpoczęły się wielomiesięczne przepychanki między podróżniczkami a ich domowymi tyranami, którzy robili, co mogli, by uniemożliwić wyjazd. Spory były na tyle głośne, że przebiły się do świadomości publicznej i pisano o nich w korespondencji zarówno prywatnej, jak i urzędowej <sup>76</sup>. Panie, korzystając ze swych wdzięków oraz używając pokusy egzotycznych przygód, skaptowały znaczne grono współtowarzyszy podróży obojga płci gotowych współfinansować wyprawę.

Ostatecznie, mimo zakrojonych na szeroką skalę przygotowań, do wyjazdu nie doszło. Przynajmniej nie w 1786 roku. Ze względu na dochodzące ze Wschodu pomruki możliwej wojny uznano, iż niebezpieczeństwo dostania się między wojujące strony jest zbyt wielkie.

Jednak to, co dla jednych jest zagrożeniem, dla innych niesie szansę. Nadzieję na zmiany zwiastował Zofii już koniec roku 1786. W polityce międzynarodowej ponownie narastało napięcie, które wkrótce miało się objawić otwar-



tym konfliktem między Rosją a imperium osmańskim. Ta pierwsza doprowadziła co prawda do skutku swój główny cel, jakim było uznanie jej aneksji Krymu wymuszone w 1783 roku, ale nie zamierzała na tym poprzestać. Eskalowała konflikt, czując słabość Turcji, by kontynuować proces rozbioru tego sąsiada.

Do wielkiej gry przyłączały się kolejne państwa, a i nasz król, który liczył, iż jego dawna kochanka caryca Katarzyna pozwoli mu skorzystać z okazji, by sobie pomóc. Niepoprawny optymista marzył, iż wesprze Rosję w nadchodzącym starciu, a w zamian uzyska zgodę na naprawę państwa pogrążonego w domowej anarchii.

Rozbita wewnętrznie dzięki umiejętnemu podsycaniu konfliktów przez sąsiadów Polska nie miała jednak wojska, siły ani znaczenia politycznego, by w nadchodzącej rozgrywce stanowić dla kóregokolwiek z graczy istotnego partnera. Prowadzona dotychczas służalcza polityka absolutnej bezwolności Rzeczypospolitej pod rządami króla Stanisława wobec Rosji nie przyniosła żadnej korzyści. Sąsiadom nie była potrzebna silna i aktywna Polska, oni woleli, aby było tak, jak było w ciągu ostatniego niemal stulecia i nie zamierzali tego zmieniać.

Król, łudząc się, iż swoją perswazją i urokiem osobistym zmieni dotychczasowe stanowisko Rosji, wyprosił audiencję u imperatorowej, na którą udał się z początkiem 1787 roku do Kaniowa leżącego w pobliżu Kamieńca. Przejazd monarchy pani komendantowa potraktowała jako swoją wielką szansę na przypomnienie o sobie i wraz z mężem oraz grupą okolicznych obywateli wyruszyła witać władcę. Co prawda król Stanisław nic nie uzyskał w Kaniowie, ale przyjął życzliwie swoich poddanych czekających nań w Wiśniowcu, najżyczliwiej zaś piękną Zofię, którą obdarował najhojniej ze wszystkich pań wyróżnionych wówczas przez siebie [77](#).

Po tym spotkaniu nasza bohaterka obiecywała sobie wiele. Przygotowała się do niego starannie, ponownie przyćmiła wszystkie obecne panie i prawdopodobnie liczyła, iż monarcha zabierze ją ze sobą. Skończą się dla niej lata nudnej wegetacji na prowincji, zaś powrócą dni chwały na parkietach stolicy. Tak się jednak nie stało i poza biżuterią nic nie zyskała. Może zbyt dobrze wypadła? A tego nie mogły jej darować zagrożone rywalki, walczące jak lwice o uwagę panów. I to ich intrygi uniemożliwiły powrót Greczynki na salony [78](#).

W tej sytuacji czym prędzej odświeżono zawieszony plany wyprawy do Stambułu.

Mimo stanowczego sprzeciwu mężów ekspedycja na czele z Zofią i Marianną w czerwcu 1787 roku wyruszyła w stronę granic Turcji. Prawdopodobnie po spotkaniu z królem w Wiśniowcu w maju tego roku pani komendantowa nie wróciła już do twierdzy kamienieckiej. Po ostrej wymianie zdań porzuciła męża, jak się obserwatorom wydawało, już na zawsze i kiedy on w smutku i upokorzeniu wracał do domu, ona pędziła na spotkanie nowych przygód.

W skład zorganizowanej ekipy wchodziły trzydzieści dwie osoby, z czego dziewięć pań i dwudziestu trzech panów, nie licząc licznej służby, którą zabrano, by dbała o wygodę podróżujących. Przebieg wyprawy jest nam doskonale znany, gdyż był szeroko relacjonowany przez źródła zarówno krajowe, jak i zagraniczne. Stosunek relacjonujących do idei ekspedycji rozrywkowo-awanturkowej, w której brały udział mężatki bez swych mężów, panny, a także kawalerowie oraz żonaci mężczyźni, którzy pozostawili w domu żony, był uzależniony od statusu i płci tworzących przekaz. Generalnie zachwycali się nią mężczyźni, szczególnie ci, których żony ani córki w tym nie uczestniczyły, zaś kobiety podchodziły do nagłośnionej wyprawy sceptycznie.

W połowie czerwca ekspedycja dotarła do portu czarnomorskiego w Chersoniu, gdzie spędziła osiem dni na zabawach organizowanych specjalnie dla nich przez miejscowe towarzystwo. Przez ten czas dachu nad głową podróżnikom użyczał tamtejszy konsul polski Antoni Zabłocki, który w swoich relacjach nie ukrywał zachwytu nad urodą pań, zaś szczególnie bliska jego sercu okazała się pani Mniszchowa. Ją to zwłaszcza słaawił pan Antoni, budząc zazdrość przyjaciółki przyzwyczajonej do hołdów zarezerwowanych wyłącznie dla niej.

Następnie zaokrętowano się na statek „Katarzyna Wielka”, by odpłynąć nim do Konstantynopola, gdzie opiekę nad podróżnikami roztoczył tamtejszy ambasador francuski Marie-Gabriel Choiseul de Gouffier. Istnieją ślady wcześniejszej znajomości Zofii z dyplomataą zawartej podczas podróży poślubnej państwa Witów. Ambasador był dotychczas znany w świecie głównie ze swych dokonań na polu naukowym, gdyż kilka lat wcześniej opublikował popularne dzieło na temat historii, kultury i przyrody wysp greckich.

Był już wówczas zauroczony piękną Greczynką, w czym zupełnie mu nie przeszkadzał fakt posiadania żony i ośmiorga dzieci. Na wieść o planowanej podróży obiektu jego westchnień podjął przygotowania godne wizyty koronowanej głowy i podobno tak właśnie traktował Zofię, zaś wieści o ich namiętym romansie szybko dotarły do europejskich stolic, budząc podziw jednych oraz zgorszenie drugich.

I to na tym polu uwydatniły się nieporozumienia między dwiema głównymi organizatorkami opisywanej ekspedycji. Obie panie miały podobny temperament i zbliżone poglądy na temat (nie)wierności małżeńskiej, więc od razu znalazły wspólny język. Zapewne obie też wiele sobie w tej mierze obiecywały po planowanej wyprawie. Jednakże poza konsulem Zabłockim, który u progu podróży znalazł się pod urokiem przedsiębiorczej Marianny, pozostali mężczyźni wzdychali wyłącznie do Zofii. Niewątpliwie górowała ona nad rywalką urodą, a zachwycona składanymi hołdami, ignorowała coraz chmurniejszą minę przyjaciółki z reguły oglądającej plecy mężczyzn tłoczących się u stóp Dudu. To nie wróżyło dobrze i nie mogło skończyć się szczęśliwie.

W swojej korespondencji z Konstantynopola Mniszchowa szeroko opisywała splendory, jakimi obdarzano je podczas podróży. Orientalny przepych, jakim otaczał panie zakochany francuski ambasador, wystawne bale, inscenizacje, spacer i przejażdżki bogato zdobionymi powozami. Wszystko to zwracało uwagę miejscowych i przyjezdnych na polską ekspedycję. Co prawda wszystkie zasługi przypisywała wyłącznie sobie i już na dość wczesnym etapie wyprawy zaprzestała wzmianek o swojej towarzyszce. 23 lipca pisała do Zabłockiego: *Tu w Konstantynopolu nie można lepiej, jak się znajdujemy; staliśmy dotąd w pałacu francuskim w Pera, teraz do samego Choiseula do Tarapii przenieśliśmy się, z którym kompania jest w świecie najmilsza. Tenże ofiarował mi okręt do podróży na Archipelag...*<sup>79</sup>.

Jednak nikt nie miał wątpliwości, kto faktycznie znajdował się w centrum tego ogromnego zamieszania. Podróż do Sztambułu to kolejny wielki sukces towarzyski Wittowej. Brylowała każdego wieczoru, olśniewała kreacjami i niecodzienną urodą, na którą zwracał uwagę każdy, kto znalazł się w jej otoczeniu. Bawiła się doskonale, jednak u jej boku narastało niezadowolenie towarzyszki, która nieco inaczej wyobrażała sobie wspólną świetną rozrywkę.



Docierające do kraju echa wielkiej ekspedycji przekazywano czym prędzej i z ogromną skwapliwością mężom cierpiącym niewyobrażalne katusze zazdrości. Będąc w podobnej sytuacji, zareagowali jednak zgoła odmiennie. Mniszech skupił się na zagłodzeniu żony. Z każdym dniem zacieśniał kontrolę początkowo niemałych środków, jakimi dysponowała niewierna małżonka. Uszczelniał wszelkie źródła dochodów, tak by nie miała za co się bawić.

Generał Witt, który i tak nie partycypował w kosztach podróży, postawił na pozytywne bodźce. Postanowił walczyć o żonę i odzyskać jej serce mimo niezliczonych afrontów, jakich doznał z powodu jej erotycznych ekscesów. Kolejne miesiące przynosiły opinii publicznej na przemian wieści o nowych dokonaniach Dudu oraz informacje o coraz bardziej rozpaczliwych działaniach jej męża. Kiedy minął pierwszy szok po ucieczce żony, komendant postanowił wyruszyć w ślad za nią i nakłonić ją do powrotu do siebie i dzieci. Nie było to jednak takie proste ze względu na ciążyący na nim obowiązek obrony granic. Szczególnie w tym momencie, gdy świat gotował się do kolejnego starcia Rosji i jej sojuszników z potęgą turecką i zwłaszcza tuż przy granicy ze spornym terytorium.

Mimo pełnej świadomości niedogodności sytuacji Witt postanowił, nie zważając na kolejny uszczerbek na honorze, zwrócić się do króla z prośbą o urlop. Prośba została natychmiast i stanowczo odrzucona. Generał, śledzący z niepo-

kojem wieści o żonie, niezwłocznie ponowił wniosek, podając jako powód urlopowania pilną potrzebę ratowania zdrowia. Po kraju rozeszły się szydercze uwagi o tajemniczej chorobie komendanta, której podłożem były zazdrość i tęsknota za piękną małżonką.

Monarcha postanowił odpisać osobiście i uczynił to w prostych, żołnierskich słowach, w których nie brakowało odwołań do obowiązków wobec ojczyzny, zaklęć i wezwań o honorowe wypełnianie przyjętych na siebie ciężarów. Generał jednakże za nic już miał swoją sławę i dobre imię. Nie zważał na pamięć ojca, który z taką chlubą stał na straży granic Rzeczypospolitej, ani na wieloletnie zabiegi, by to jemu przypadł zaszczyt kontynuowania ojcowskiej spuścizny. Chciał jedynie odzyskać swoją ukochaną, stąd kolejny list, w którym już bez owijania w bawełnę wyjaśniał przyczyny swoich dolegliwości. Błagał w nim króla o pozwolenie na przynajmniej krótki wyjazd naprzeciw małżonce, która według doniesień miała już udawać się w powrotną drogę.

Władca ponownie odmówił. Żądał posłuszeństwa, zabraniał narażania na wstyd korpusu oficerskiego przez tak prominentnego dowódcę. W końcu uciekł się do perswazji, tłumacząc jak dziecku, że żona wkrótce wróci do niego, trzeba tylko zachować cierpliwość. Chwalił jej rozsądek i odpowiedzialność, które niewątpliwie sprowadzą ją już niedługo ponownie do domu: *Nie przypuszczaj nawet WPan tej myśli do siebie, żebyś miał wychylić się z fortecy swojej z okazji żony swojej, bobyś sobie i nam tylko wstydu narobił, oddalając się od posterunku swego w czasie najkrytyczniejszym. Wszak żona W Pana zapewne powróci do W Pana niezadługo i można się spuścić na jej rozum i obrót, że ona będzie umiała obmyślić, któredy i jak najprędzej i najprzystojniej będzie miała powracać. A W Pan strzeż się, żebyś przez zbytnią troskliwość i swoją własną nie truł spokojność, i żebyś może choć niechcący jej samej nie popsuł układu do powrotu ku mężowi i dzieciom* <sup>80</sup>.

W międzyczasie podpowiedziano komendantowi, iż kobieta tak luksusowa jak jego małżonka potrzebuje dla zachęty odpowiedniej oprawy, a z tym dotychczas nie było najlepiej, więc pilnie poszukiwano środków, by takową zapewnić. Poza pensją komendanta i skromnymi zasobami na utrzymanie twierdzy i jej załogi nie miał nasz tęskniący bohater nazbyt wielu możliwości. Podpowiedziano mu jednak, by spróbował spieniężyć kolekcję zbiorów numizmatycznych, którą przez całe życie gromadził jego ojciec słynący z zamiłowania do rzadkich starych monet.

Na tym zagadnieniu skoncentrowała się na kilka tygodni uwaga dzielnego wojaka. Okazało się jednak, że tak wielki i cenny zbiór niełatwo może znaleźć nabywcę, szczególnie w kraju, gdzie kolekcjonowanie monet nie było jeszcze wówczas w modzie. Ostatecznie zainteresowanie nabyciem całości kolekcji wyraził sam władca. Zaczęły się targi o kwotę i sposób zapłaty, gdyż skarb królewski stale świecił pustkami. To na jakiś czas odciągnęło uwagę Witta od planowanego urlopu. Z początkowej ceny siedmiu tysięcy dukatów w brzęczącej

monecie, jakiej zażądał zbywca, stanęło na niespełna czterech i pół tysiąca, i do tego wypłaconych w damskiej biżuterii, podobno rzadkiej urody, którą w zamian przekazano ze skarbca królewskiego [81](#).

Tymczasem wieści o rychłym powrocie małżonki okazały się niesprawdzonymi pogłoskami, dlatego wkrótce pan Józef, ufając w potęgę brylantów, ponowił starania o urlop zdrowotny. Znając królewskie zdanie w tej materii, zwrócił się tym razem do Departamentu Wojskowego w Radzie Nieustającej, czyli – jak można by rzec w pewnym uproszczeniu – do ówczesnego ministerstwa spraw wojskowych. W razie niemożności zadośćuczynienia pierwotnej prośbie wnioskował o całkowite zwolnienie z dotychczasowych obowiązków.

Okazana desperacja generała, któremu, jak donoszono, żona codziennie z niezwykłą pracowitością dorabiała coraz większe rogi, wywołała kolejną falę dowcipów na ten temat. Nawet ówczesna prasa donosiła o sercowych kłopotach małżonka, szydząc bez umiaru i wróżąc rychłą dymisję pogiębionego komendanta [82](#).

Tymczasem w kręgach dworskich i wojskowych irytacja na szalejącego z rozpaczy po utracie żony komendanta zaczęła przeważać nad dotychczasowym współczuciem. A kiedy jeszcze do stolicy nadeszły raporty, z których jasno wynikało, iż generał nie wywiązywał się ostatnio należycie ze swoich obowiązków, postanowiono uczynić zadość jego prośbie i z końcem października 1787 roku przyjąć dymisję.

Rozpoczął się już przegląd kandydatów na następcę Witta, gdy nagle gruchnęła w kraju wieść, że oto piękna Zofia lada dzień wraca do Polski. Informację przywiózł generał Miączyński, który dotychczas towarzyszył Dudu w jej eskapadzie do Konstantynopola. Wiadomość uznano więc za wiarygodną, ale tym, co rozpałiło wyobraźnię salonów, była doniesienie, iż komendantowa przybywa wprost do Warszawy, by wszcząć procedurę rozwodową z małżonkiem.

W tej sytuacji generał postanowił wycofać swoją dymisję. Uznał, że skoro żona wraca, to nie musi już jej szukać i przekonywać do powrotu. Doszedł również do wniosku, iż jako komendant najważniejszej w kraju twierdzy jest atrakcyjniejszy dla swej wybranki niż jako oficer, choćby wysokiej rangi, ale bez przydziału. Wysłał więc list informujący o rezygnacji ze swojej rezygnacji. Podobno pismo w tej sprawie wpłynęło do Departamentu Wojskowego już po przegłosowaniu kandydatury Fryderyka Alojzego Brühla, który poczynił przygotowania do wyjazdu na tę wysuniętą placówkę.

✱

Kiedy w kraju mąż naszej bohaterki szalał z rozpaczy i miotał się od nadziei do głębokiego załamania, ona po pierwszych sukcesach też nie miała tak wesoło,

jak to wszystkim przedstawiano. Dwie główne organizatorki wyjazdu popadły w otwarty konflikt zaraz po przyjeździe do Stambułu i nie wyobrażały sobie dalszej podróży w swoim towarzystwie. Oficjalnie powodem rozstania było zagrożenie wojną, która wybuchła między Rosją a Turcją kilka dni po zacumowaniu ich okrętu u wybrzeży tureckich. Co prawda w samej stolicy nic już im nie groziło, ale atmosfera zabawy wywietrzała wobec nadchodzących wieści z pół bitewnych.

Wkrótce w pobliżu pojawił się gorszy wróg – mianowicie zaraza, która po raz kolejny naznaczyła życie Dudu, zmuszając ją do wyjazdu wraz z całym towarzystwem na wieś, gdzie prawdopodobieństwo zakażenia się było znacznie mniejsze. Część uczestników, z Marianną na czele, zamierzała kontynuować wyprawę, realizując jej pierwotne założenia, czyli zwiedzanie greckich wysp, reszta pod wodzą Zofii postanowiła wracać do kraju.

We wrześniu 1787 roku, zaopatrzona w listy polecające od kilku ambasadorów, pani komendantowa opuściła granice imperium Osmanów. Wybrała drogę okrężną, za to bezpieczniejszą, przez Wiedeń. Jednak i tu czekał ją zawód – Austria, podpisawszy z Rosją porozumienie zaczepno-obronne wymierzone w Turcję, właśnie przygotowywała się do wypowiedzenia wojny sułtanowi, więc nikt nie miał głowy ni czasu na organizowanie rozrywek dla pięknej pani komendantowej<sup>83</sup>. Dlatego jej wizyta w stolicy cesarstwa przeszła bez większego echa.

Za to w Warszawie wiele się po jej przyjeździe spodziewano!

Miejscowe towarzystwo szykowało się na zalew skandali, awantur i związanych z nimi plotek. Obiecywano sobie przednią rozrywkę z postępowania rozwodowego Wittów, ale ostatecznie niewiele z tego wyszło i plotkarze musieli obejść się smakiem. Zofia po bardzo chłodnym przyjęciu – król w tym momencie był stanowczo przeciwny wszelkim tego typu konfliktom – nie zabawiła zbyt długo i opuściła stolicę, zmierzając w stronę Lwowa, gdzie planowała zamieszkać. Ale drogę zabiegł jej stęskniony mąż i, nie wspominając nawet o swej hańbie, prosił o wybaczenie za wszelkie przewinienia.

W tej sytuacji Dudu zdecydowała się łaskawie przyjąć przeprosiny męża, który pokajał się za swe grubiaństwo, nieobyczajność oraz bezpodstawne sceny zazdrości, obiecując jej na przyszłość większą ogładę we wzajemnych stosunkach. Razem więc wrócili do Kamieńca, pan Józef na stanowisko komendanta, ona zaś – umiłowanej komendantowej. Oboje na potrzeby otoczenia sprawiali wrażenie, iż ich związek przeżywa renesans, jednak przynajmniej Zofia nie miała zamiaru dać się pogrzebać w rodzinnych pieleszach i stale poszukiwała sposobów na wyrwanie się z ponurej twierdzy. Bystry obserwator wówczas odnotował: *...pani komendantowa bardzo niechętna na Warszawę, król jęgomość ledwie że przemówił do niej, cały dwór się odwracał, woli tę tu twierdzę niż stolicę, tak przynajmniej mówiła, ale supponitur, że ten ptaszek prędko z klatki odleci*<sup>84</sup>.

## Grigorij Potiomkin

Grigorij Potiomkin był najbardziej jaskrawym przypadkiem awansu społecznego w ówczesnej Rosji dokonanego dzięki zasługom na polu erotycznym. Niejedyńy to przykład kochanka carycy Katarzyny II awansowanego na wyżyny dzięki tego typu usługom, ale niewątpliwie najbardziej spektakularny.

Pochodził ze skromnej rodziny szlacheckiej gospodarującej na majątku pod Smoleńskiem. Urodził się w 1739 roku i po osiągnięciu właściwego wieku został wysłany do Moskwy, by tam zdobyć wykształcenie. Jednakże jego legendarne lenistwo i zamiłowanie do rozwiązłości nie znalazły uznania w oczach nauczycieli, którzy doprowadzili do przedwczesnego przerwania edukacji. Wówczas, nie mając innego pomysłu na życie, wstąpił, jak wielu jego rówieśników, do wojska. Szczęśliwie dla siebie w 1762 roku, podczas zamachu stanu, który doprowadził do obalenia cara Piotra III i wyniesienia na tron jego małżonki Katarzyny zwanej później Wielką, służył w jednym z pułków gwardyjskich uczestniczących w spisku.

Zasługi jego zostały wynagrodzone materialnie oraz szybszą ścieżką awansu wojskowego. Przyznać trzeba, iż na tym polu Grigorij odnalazł się doskonale i – delegowany do coraz trudniejszych zadań – sprawdził się znakomicie, co w krótkim czasie dało mu awans na stopień generała. Po sześciu latach wojny rosyjsko-tureckiej przybył do Petersburga w styczniu 1774 roku w chwale bohatera i aurze tajemniczości przyciągającej do niego całe rzesze kobiet. W wieku trzydziestu pięciu lat pozostawał kawalerem, był wysoki, przystojny (mimo braku jednego oka utraconego przed laty w wyniku błędu lekarza) i bardzo bezpośredni w relacjach damsko-męskich.

Pirackiemu urokowi jednookiego wojaka wkrótce uległa też caryca, która pozbyła się dotychczasowego kochanka i zaprosiła do łóża Grigorija. Trzeba przyznać, iż w tych trudnych miesiącach odznaczył się on nie tylko alkwianymi wyczynami, lecz także sprytem i rozumem, które umożliwiły mu pozbycie się z pałacu cesarskiego wszechwładnego dotychczas klanu Orłowów i zbudowanie własnej klikki. Rządził przy jej pomocy monarchinią, a przez to i Rosją, przez ponad dwa lata, a kiedy znużył się Katarzynie i został wymieniony na nowszy model, zachował na tyle rozsądku, by nie robić scen, ale utrzymać dobre relacje z ekskochanką i jeszcze podsuwać jej kolejnych następców, tyleż przystojnych, ile bezrozumnych.

Dzięki temu pozostał w dobrych relacjach z władczynią i utrzymał się u steru władzy. Jego spektakularny awans na największego magnata w kraju i osobę najbardziej utytułowaną, a nawet, jak poszeptowano, tajnego małżonka carycy (co

nigdy nie znalazło potwierdzenia) przyniósł mu majątki i tytuły. Potiomkin stał się właścicielem niezmiernych posiadłości ziemskich z milionami chłopów pańszczyźnianych, w 1775 roku uzyskał tytuł hrabiego, najwyższą rangę wojskową, a rok później został księciem Cesarstwa Niemieckiego <sup>85</sup>.

Oczywiście, awansując w tak krótkim czasie z pozycji stosunkowo skromnego wojskowego do stanowiska drugiej osoby w imperium, zgromadził wokół siebie ogromny dwór pochlebców, którzy wbijali go w pychę, wróżąc co najmniej królewską koronę.

– Czemu nie! – marzył sobie coraz śmielej. – Skoro Katarzyna posadziła na polskim tronie swojego byłego kochanka, tego nieudacznika Stanisława, to w czym ja jestem gorszy?

– Nie gorszy, a lepszy, znacznie lepszy! – przekonywali klakierzy, podsuwając ambitnemu oficerowi wizję polskiej korony.

Był więc Potiomkin zaprzysięgłym wrogiem Polski suwerennej i jej króla, ale utrzymywał rozległe kontakty z wrogimi władcy magnatami. Kilka razy wydawało mu się, że szansa na przechwycenie polskiego tronu jest już bliska, ale do tej pory za każdym razem w ostatniej chwili wymykała mu się z rąk. Na pocieszenie po zajęciu Krymu stworzył sobie samozwańcze księstwo Taurydy i mianował się księciem taurydzkim <sup>86</sup>. Tytuł ten imperatorowa oficjalnie potwierdziła w 1787 roku. Ten zaś rok i następujący po nim miały się okazać latami największych wpływów i sukcesów rosyjskiego możnowładcy.

W czasie podróży po południowych rubieżach kraju w 1787 roku caryca Katarzyna była przyjmowana przez Potiomkina jak przez udzielnego władcę. Świadczyła mu swe łaski i okazywała życzliwość, on zaś bawił ją i ukazywał bogactwo swego kraju. Stworzony wokół niego olbrzymi dwór dorównywał liczebnością i okazałością otoczeniu samej władczyni, on zaś czuł się w środku tych splendorów jak sultan turecki z idącym w setki haremem najpiękniejszych kobiet z najprzedniejszych domów. Zarówno panny, jak i mężatki ciągnęły do niego, by zabiegać o uwagę i łaski, które mogły wywindować każdy ród, więc przebierał w kochankach, wśród których nie brakowało najpiękniejszych kobiet z książęcych domów.

Latem 1788 roku czterdziestodwuletni książę taurydzki oblegał turecką twierdzę Oczaków nad Morzem Czarnym leżącą o kilka dni szybkiej jazdy od Kamieńca. Był człowiekiem szczęśliwym, niemal spełnionym, zaś jego łożo ogrzewały tabuny najpiękniejszych kobiet walczących o miejsce u jego boku. Podobno trzymał przy łożu ogromną szkatułę z klejnotami, z której rankiem wynagradzał pełnymi garściami co bardziej sprawne kochanki.



Lato roku 1788 obfitowało również w Polsce w niezwykle ważne politycznie wydarzenia mające ogromne znaczenie dla przyszłości państwa. Rozgorączkowana szlachta w sierpniu zebrała się na sejmikach przedsejmowych i wybrała swoich reprezentantów, którzy mieli zdecydować o przyszłych losach Rzeczypospolitej. Jesienią zebrał się sejm, który przeszedł do historii pod nazwą Sejm Wielkiego lub Sejmu Czteroletniego, by dokonać fundamentalnych zmian ustrojowych. W powietrzu wyczuwało się podobno wówczas niesłychane podniecenie, oczekiwanie na lepsze oraz nadzieję, iż wreszcie po latach coś się zmieni.

Tymczasem nasza bohaterka starała się nie umrzeć z nudów w Kamieńcu. Poszukiwała rozrywek w bliższej i dalszej okolicy, ale nie było łatwo o zabawę w sytuacji, gdy szlachta zajęła się polityką. Rozgrzane do czerwoności polityczne emocje nie nastrajały do zabiegania o tradycyjne przyjemności, poszukiwano więc innego zajęcia. W sytuacji, gdy tuż obok polskiej granicy, której tak „gorliwie” strzegł pan komendant, prowadzono działania wojenne, Dudu wpadła na pomysł, by nawiązać kontakty towarzyskie z oficerami walczących państw. Konkretnie zaś z Rosjanami i Austriakami, którzy wspólnie i w porozumieniu atakowali posiadłości tureckie.

To, że panią komendantową ciągnęło do skupisk młodych i przystojnych mężczyzn, nikogo dziwić nie może, ale że generał wykazał się takim brakiem wyczucia, to już powinno zastanawiać i dawać pewien określony obraz stanu jego umysłu. I nie chodzi tu li tylko o wyczucie niebezpieczeństwa, jakie dla ich związku niesły takie kontakty z atrakcyjniejszymi partnerami, ale też o instynkt polityczny. Otóż po niemal ćwierćwieczu panowania Stanisława Augusta, którym cieszył się on z łaski Rosji, do jego świadomości zaczęło właśnie docierać, że Katarzyna nigdy nie zgodzi się na naprawę ustroju Rzeczypospolitej. Podobne przeświadczenie krystalizowało się w innych światłych umysłach epoki, choć nie wszystkim ta świadomość przeszkadzała.

W związku z powyższym część polskiej sceny politycznej coraz wyraźniej stawała na sojusz z Prusami, gdzie od niedawna panował Fryderyk Wilhelm II dający Polakom złudzenie, iż jest zwolennikiem suwerenności ich państwa. Wkrótce okazało się, iż zmiana na tronie nie oznaczała zmiany priorytetów pruskiej polityki, a tą niezmiennie pozostawało tuczenie się tego agresywnego państwa kosztem ziem sąsiadów – za każdą cenę i każdym możliwym sposobem. Tymczasem jednak nowy sejm, ośmielany deklaracjami Prus, podjął działania na rzecz zerwania zależności od Rosji. To zaś doprowadziło do ochłodzenia stosunków ze wschodnim sąsiadem.

W ciągu dosłownie kilku tygodni wpływy rosyjskich dyplomatów, rządzących się dotychczas w Polsce z butą większą niżli hiszpańscy grandowie i angielscy lordowie razem wzięci w swoich koloniach, stopniały niemal do zera. Wraz z postępowaniem tegoż zjawiska tak popularne dotychczas kontakty z Rosjanami stały się niepożądane, a w określonych okolicznościach nawet podejrzone.

Dlatego wizyty państwa Wittów w rosyjskich obozach wojskowych przysporzyły im w krótkim czasie więcej wrogów niż cała dotychczasowa działalność Zofii na polu uwodzenia żonatych mężczyzn.

Kiedy wieści o wspomnianych towarzyskich ekspedycjach dotarły do Warszawy, w sejmie przypomniano sobie o niechlubnych raportach z twierdzy, jakie napływały po ubiegłorocznych inspekcjach Kamieńca, wykazujących szereg nieprawidłowości w dysponowaniu środkami. Miały one przysporzyć w niedługim czasie znacznych kłopotów panu komendantowi, jednak wówczas nikt o tym jeszcze nie myślał.

Dokładnie nie wiadomo, kto ani też kiedy przedstawił panią komendantową Potiomkinowi. Oboje byli sławni, atrakcyjni i piękni. Niewątpliwie słyszeli o sobie wiele. Ciągnęło ich ku sobie, ale dotychczas nie spotkali się jeszcze, wbrew późniejszym plotkom na ten temat. Mamy pewność, że w czerwcu 1788 roku Wittowie przebywali w Kamieńcu. Pod koniec lipca doniesienia z obozu księcia taurydzkiego, w których wymieniano wszystkie najpiękniejsze panie u jego boku, nie wzmiankowały o Zofii, więc najpewniej dopiero jesienią tego roku doszło do pierwszego spotkania późniejszych kochanków.

Zainicjował je prawdopodobnie rosyjski generał Nikołaj Sałtykow goszczący już wcześniej małżeństwo Wittów w swoim obozie. To on zawiózł i przedstawił komendanta i jego piękną małżonkę Potiomkinowi w jego obozie pod Oczakowem. Wszystko wskazuje na to, że pan Józef był świadkiem kolejnego już romansu swojej żony, której oficjalnie towarzyszył w tej podróży, kiedy występowali jako niemal przykładne małżeństwo.

Książę taurydzki zachwyił się naszą bohaterką. Dwudziestośmioletnia Greczynka była wówczas w szczytowym okresie rozkwitu swojej urody. Każdy, kto przebywał w jej otoczeniu, czy to młody, czy stary, zwracał uwagę na piękno jej twarzy, zgrabną sylwetkę i zalotną osobowość przyciągającą wszystkie spojrzenia. Dlatego od pierwszego spotkania do wzajemnego zakochania i romansu nie upłynęło zbyt wiele czasu i od tej pory kochankowie stali się aż do śmierci Grigorija prawie nierozłączni. Woził ją ze sobą, obsypywał klejnotami, zapewniał majątności, z których później mogła czerpać niemałe dochody.

Sprawa ta pogorszyła i tak nie najlepsze wówczas notowania Wittów na polskiej scenie politycznej. Tym bardziej że Potiomkin, korzystając z nieprzychylnych Rosji gestów Sejmu Wielkiego, próbował zorganizować przy pomocy polskich magnatów, m.in. hetmana koronnego Franciszka Ksawerego Branickiego, dywersję wymierzoną w proces reformowania państwa polskiego. W grudniu 1788 roku Rosjanie po długim i ciężkim oblężeniu zdobyli Oczaków i Potiomkin, porzucając dwór, popędził do Petersburga donieść o swoim sukcesie, a przy okazji wymóc na Katarzynie zgodę na zdecydowaną interwencję przeciwko Polsce, co miało mu przynieść upragniony tron. Jeśli nie całego państwa, to przynajmniej wykrojonego z jego części księstwa.

W tej sytuacji wezwano generała Witta do złożenia wyjaśnień co do długotrwałych przypadków opuszczania bez stosownych pozwoleń murów twierdzy i fraternizowania się z oficerami nieprzyjanych wówczas Polsce wojsk. Odświeżono sprawę nieprzychylnych mu raportów i zarzucono mu okradanie twierdzy z publicznych pieniędzy wydawanych na zachcianki pięknej żony.

Komendant postanowił stanowczo bronić swego honoru. Dlatego niezwłocznie wyruszył w towarzystwie małżonki do Warszawy. Zofia, pozbawiona na ten czas towarzystwa Potiomkina i związanej z nim rozrywki, chętnie skorzystała z okazji, by odwiedzić stolicę, po której salonach wiele sobie obiecywała. Miejscowi prześmiewcy tak zapowiadali przyjazd Wittów nad Wisłę oraz strategię obronną generała:

*Niedobre swe znając sprawy  
Przywiózł żonę do Warszawy.  
Choć mu rogi przysposobi,  
Komendantem przecież zrobi.* [87](#)

Okazało się jednak, iż tym razem nie będzie to takie łatwe. Nie dosyć na tym, że zarzuty przeciw niemu były poważne, to nastawienie opinii publicznej bardzo złe. Wnet zorientował się pan generał, że nie tyle o zachowanie już stanowiska chodzi, ile o jego najmniej bolesną utratę. Istniało bowiem rozwiązanie mniej i bardziej brutalne. W tym drugim utrata następowała bez zachowania żadnych praw dla byłego komendanta, za to z naruszeniem jego dobrego imienia, gdyż taka dymisja zawsze miała konsekwencje honorowe. W pierwszym pozostawiano możliwość wskazania swojego następcy przy zaakcentowaniu dobrowolności odstąpienia od dalszego piastowania stanowiska. Dawało to z jednej strony okazję do podreperowania swojego budżetu, gdyż wskazany następca uiszcział okrągłą sumkę odstępnego poprzednikowi, z drugiej – co nie mniej ważne – utrzymywało pozory rezygnacji, a nie dymisji.

Trudność polegała w pierwszej kolejności na tym, iż stawiane zarzuty były poważne, dobrze udokumentowane i powszechnie znane, ale – co jeszcze ważniejsze – wiązała się z nieprzychylnym nastawieniem opinii publicznej do sprawy generała. Król zapewne i w tej kwestii wybrałby jakieś rozwiązanie kompromisowe, by nie zadrażniać, nie krzywdzić i generalnie załagodzić, załaskać i zapomnieć. Jednak wbrew tak wyraźnie artykułowanej opinii publicznej nie chciał występować. Dlatego postępowanie się toczyło, publiczność chłonęła opisy zdradzieckich poczynań małżonków kamienieckich, oni zaś szykowali zdecydowaną linię obrony.

Znane są jedynie poczynania generała, gdyż Zofia, jeśli działała w mężowskiej sprawie, jeśli czuła taką potrzebę i obowiązek lojalności wobec spraw mężowskich, to raczej oddziaływała zakulisowo. On wysmażył i opublikował sążniste usprawiedliwienie dla swoich czynów, w którym dowodził, uderzając

w najwyższe możliwe tony, iż wszystkie zarzuty godzące w jego nieposzlakowaną opinię i nienaruszony honor są całkowicie bezpodstawne i kłamliwe <sup>88</sup>.

Dudu w tym czasie bywała, szukała rozrywki w rozpolitykowanym mieście i na swój sposób uczestniczyła w życiu politycznym, chociażby wręczając z ujmującym uśmiechem wieńce najlepszym mówcom sejmowym, co wówczas stanowiło najwyższy wyraz zachwytu pań dla gorliwych patriotów.

Co prawda złośliwcy ani na moment nie odstępowali od jej boku i wszelkie gesty, choćby najszlachetniejsze i najbardziej niewinne, ubierali od razu w gorset zabiegów o rozgrzeszenie czynów własnych i męża, o czym świadczy kolejny wierszyk:

*W Stambule stradawszy wieńca,  
Przyjechała tu z Kamieńca,  
By udziałem swego ciała  
Grzechy mężowskie zmasała,  
Nadstawia dolnej czupryny,  
Żeby męża pokryć winy. <sup>89</sup>*

Trudno jednoznacznie określić, na ile jej działania miały wskazywany przez satyryków cel, a na ile tylko jej własną rozrywkę, ale zapewne Dudu – jak wszędzie, gdzie się znalazła – miała na myśli i tym razem przede wszystkim zabawę.

Ostatecznie nic z tych wytężonych zabiegów nie wyszło i Józef Witt został, ku satysfakcji swych wrogów, pozbawiony komendantury nad Kamieńcem bez prawa do decydowania o następstwie. Przypomniano, iż nie dzieje mu się krzywda, gdyż sam jeszcze kilka miesięcy temu wręcz gorączkowo chciał się pozbyć tego brzemia. Jesienią 1789 roku mianowano na jego miejsce generała Józefa Orłowskiego, zaufanego człowieka księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego.

W tej sytuacji pokonani i upokorzeni Wittowie mogli tylko czym prędzej wyjechać z nieprzyjaznego im miasta. Możemy się tylko domyślać, w jakiej to nastąpiło atmosferze i ile drwin towarzyszyło tej ewakuacji. Pewnym pocieszeniem dla nich były sukcesy księcia taurydzkiego, który w grudniu 1790 roku ze swoim wojskiem zdobył potężną turecką twierdzę Izmailów i pospieszył do Petersburga, by donieść o swych przewagach. Tam właśnie umówiła się z nim Zofia, która pospieszyła do carskiej siedziby wraz z małżonkiem, co miało przysłonić prawdziwy charakter jej roli u boku Potiomkina.

Ekskomendant został zapamiętany ze swego pobytu głównie z tego, iż wszystkich wokół, kto chciał słuchać i kto nie chciał, przekonywał o wyłącznie przyjacielskich relacjach jego małżonki z księciem Grigorijem. Według niego miała ona być pierwszą, która w tej roli występuje, ceniona zaś była za zalety intelektu, a nie urody. Towarzystwo podkpiwało z biednego rogowca, który na

pocieszenie otrzymał od „przyjaciela” swej żony wyrobiony specjalnie dla niego w Wiedniu tytuł hrabiego Cesarstwa Rzymskiego. Od tej pory mógł się już nim legalnie posługiwać, gdyż, jak pamiętamy, od lat kazał się tak tytułować, szczególnie podczas zagranicznych kontaktów.

W marcu 1790 roku Zofia dostała się do Petersburga, została bowiem oficjalnie przedstawiona samej monarchini, która – chcąc okazać życzliwość bardziej dla jej kochanka niżli dla niej samej – przyjęła ją nadzwyczaj dobrze. Obdarowała ją cennymi kolczykami, a później też innymi prezentami, dodając do nich własnoręcznie adresowane listy, co nie było w codziennym użyciu przy kontaktach imperatorowej z osobami z pierwszych nawet domów Rosji.

Dudu czuła się w Petersburgu doskonale ze względu na znacznie większą niż w Polsce swobodę obyczajową. Panująca tutaj powszechna rozwiązłość seksualna wyższych sfer zdumiewała nawet francuskich i angielskich libertynów, zaś sama władczyni świeciła przykładem, zmieniając kochanków i ze swego niezwykłe bujnego życia erotycznego nie czyniąc wielkiej tajemnicy.

Co prawda Greczynka na własną rękę raczej nie eksperymentowała z tak popularnymi wówczas doświadczeniami z seksem zbiorowym, ale wraz ze swym patronem mogła doświadczyć niejednego, również w tym zakresie.

Tymczasem Potiomkin, jakby wyczuwając, że już niewiele dni mu pozostało, szalał w polityce i na salonach. Dnie całe spędzał na intrygach przeciwko Polsce. Liczył, że teraz wreszcie nastąpi ten moment, gdy caryca, zniecierpliwiona ciągłym dążeniem Polaków do suwerenności, odsunie od władzy jednego byłego kochanka i wesprze w walce o tron drugiego, czyli właśnie jego. Świadczyły o tym jego publiczne przechwałki, jakie wygłaszał do kobiet w czasie petersburskich libacji: *Wiedz i o tym, że jeszcze nie straciłem nadziei być królem polskim!* – powiedział pani Puszkin, zaś innym razem, pokazując dłonie paniom i chwalać ich piękno: *Jak będę królem polskim, będziecie mię w rękę całowały*<sup>90</sup>.

Moment ten wydawał mu się szczególnie bliski w maju 1791 roku, gdy do Rosji dotarły wieści o uchwaleniu przez Sejm Wielki Konstytucji 3 maja. Przeciwnicy reform zebrali się pod jego skrzydłami, licząc na zbrojną interwencję w obronie starego ładu. Większość najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z faktycznych planów księcia wobec ich ojczyzny.

Jednak wbrew i ich, i jego oczekiwaniom nie było natychmiastowej zbrojnej reakcji.

Pomijając inne, mniej istotne czynniki, warto wskazać na utratę kontroli księcia nad sypialnią imperatorowej. Mianowicie dopóki przebywał tam faworyt z nadania Potiomkina, to i w państwie wszystko działo się zgodnie z jego wolą. Jednak od miesięcy okupował ją niejaki Zubow, skrajnie niechętny księciu taurydzkiemu, więc wiele decyzji rozstrzygano na „nie”, byleby tylko pogłębić i osłabić wpływ jego kamaryli dworskiej w państwie.

Potiomkin wściekał się, groził i żądał, a choć niczego mu otwarcie nie odmawiano, bo nawet Katarzyna bała się jego gniewu, to nic nie szło po jego myśli. Wszystko grzęzło w niemożności, której siłą sprawczą byli bez najmniejszej wątpliwości Zubow i jego poplecznicy.

Dni schodziły na politykowaniu, noce jednak należały do Zofii, w której towarzystwie Potiomkin bywał wszędzie. Jej ranga w tych miesiącach urosła do niespotykanych dotychczas rozmiarów. W końcu była faworytą do niedawna drugiej osoby w ogromnym państwie. Człowieka może już nie wszechmocnego, ale z wielką jeszcze władzą, wzbudzającego powszechny lęk nie tylko w Rosji, lecz także daleko poza granicami kraju. O ile wcześniej książe miewał wokół siebie wiele różnych kobiet, z którymi pokazywał się publicznie, o tyle teraz od dłuższego czasu miejsce u jego boku praktycznie niepodzielnie zajęła Zofia. To jej kłaniali się najwyżsi urzędnicy i jej składali hołdy ambasadorowie obcych państw. Książe zaś przy niej bawił się, pił, intrygował i szalał, starając się nie dostrzegać symptomów postępującej choroby.

A tymczasem, choć temat ten był wyraźnie zakazany, otoczenie coraz śmielej przebąkiwało o tym, że książe jest chory. Coraz trudniej było ukryć wyraźne objawy choroby umysłowej przejawiającej się w gwałtownych wybuchach publicznej wściekłości. Książe potrafił nie tylko zbesztać generałów czy najwyższych urzędników, i do tego publicznie, ale też zdarzało mu się przechodzić w takich razach do rękoczynów. Bicie generałów w czasie narad sztabowych, tłuczenie zastawy własnej lub cudzej wyrzucanie za drzwi dostojników podczas spotkań towarzyskich to w jego epoce nie był rzadki widok, co niekoniecznie zjednywało mu sojuszników.

Powszechnie dziś się uważa, że jego napady szału miały związek z nieleczoną chorobą weneryczną, która w tym wieku przechodziła w stadium atakujące umysł nosiciela, przejawiająca się agresywnym zachowaniem i niekontrolowanymi wybuchami wściekłości. Do tego dochodził niełatwy dla organizmu tryb życia księcia nadużywającego alkoholu, spędzającego noce na hulankach, zbyt mało poświęcającego czasu na odpoczynek.

W 1791 roku Potiomkin miał zaledwie pięćdziesiąt dwa lata i nie myślał o śmierci. Piątego sierpnia tego roku wyjechał z Petersburga w towarzystwie Dudu, spiesząc do Jass, gdzie wkrótce miały się rozpocząć negocjacje pokojowe z Turcją. Miał też w planach wiele spotkań, z których szczególnie nas zajmujące miało być to z przywódcami obozu wrogów Konstytucji 3 maja – Szczęsnym Potockim i Sewerynem Rzewuskim, którzy błagali go o wsparcie zbrojne w walce z przeciwnikami krajowymi<sup>91</sup>. W drodze jednak zasłabł i choć dotarł do Jass, to już w takim stanie, że zaczęto poważnie obawiać się o jego życie. On jednakże nie dopuszczał do siebie myśli o śmierci. Uznał swój stan za przejściową słabość i zamierzał dalej pracować. Wyjechał do Gałacza, gdzie odpoczywał przez kilka dni, a potem ruszył w drogę powrotną. W drodze z Gałacza do

Jass zasłabł, kazał zatrzymać powóz i wynieść się na pole, gdzie zmarł nagłą śmiercią 16 października 1791 roku, ku przerażeniu wszystkich swoich klientów oraz przyjaciół.

Od razu zaczęły się szerzyć plotki o otruciu księcia. Podejrzewano wrogów zewnętrznych i krajowych. Szczególnie zniechęcony Zubow był często wskazywany jako ten, który mógł skorzystać ze słabości swego przeciwnika w chwili choroby i otruc Potiomkina.

Wśród wielu sierot po wszechwładnym możnowładcy znalazła się też Zofia, która – po raz kolejny osiągnąwszy stabilizację i wysoką pozycję towarzyską – nagle przez śmierć swojego protektora została strącona z piedestału.

## Szczęśny Potocki

Ten tak niechlubnie w dziejach Polski zapisany magnat urodził się czterdzieści lat przed opisywanymi w poprzednich wersach wydarzeniami. Nadano mu co prawda imiona Stanisław Szczęśny, ale jest znany głównie z tego drugiego, więc i tutaj będziemy się nim posługiwać. Niewątpliwie był on w swojej epoce najbogatszym magnatem Rzeczypospolitej, osobą ambitną, dumną i pyszną. Jednocześnie, mimo swego statusu, potrafił się przypochlebić szlachcie, bratać się z nią i przez to lepiej niż jego przeciwnicy polityczni z obozu patriotycznego zjednywać sobie wyborców. Ci ostatni ze względu na zamiłowanie do obcych strojów, nowych obyczajów i pogardę dla tradycji byli traktowani nieufnie przez szlachtę.

On zaś – tradycjonalista, przeciwnik zmian ustrojowych i hojny sponsor sejmikowych przyjęć – jednał sobie tłumy, a dzięki fortunie i rodzinnym koneksjom szybko wspinał się po szczeblach kariery. W chwili śmierci Potiomkina Potocki był posłem na Sejm Wielki, członkiem Komisji Edukacji Narodowej, generałem artylerii koronnej oraz piastował wiele innych urzędów i stanowisk w administracji cywilnej i wojskowej.

Jako jedyny syn swoich rodziców i spadkobierca majątków licznych rozgałęzień rodu od najmłodszych lat był się łakomym kąskiem dla wszystkich panien w Europie<sup>92</sup>. On jednak w wieku osiemnastu lat zakochał się w skromnej szlachciance Komorowskiej, z którą się potajemnie ożenił. Rodzice, którzy od dawna pertraktowali z pierwszymi rodami magnackimi w kraju o rękę najkorzystniejszej partii dla jedynaka, dostali szału na wieść o samowoli syna. Nakazali porwać ciężarną synową i utopić ją w przeręblu<sup>93</sup>.

Sprawa stała się głośna i niebezpieczna nawet dla tak zamożnych i wpływowych ludzi. Szlachta nie lubiła, by porywano i mordowano im córki, więc szum się zrobił i ferment w całym kraju, tym bardziej iż nie było najmniejszych wątpliwości, kto odpowiada za ten bestialski mord. Jedyne faktu, iż działo się to w okresie niepokoju związanych z konfederacją barską i następującym wkrótce potem pierwszym rozbiorem Polski, spowodował, iż myśl publiczna biegła w stronę państwowych wydarzeń, a nie prywatnych krzywd mniej wpływowych rodów.

Jednak i wówczas musieli Potoccy użyć całej swej potęgi, by wyciszyć aferę<sup>94</sup>, zaś młodego amanta spacyfikowano i zgodnie z wcześniejszym planem, po uspokojeniu nastrojów, ożeniono z Józefiną Mniszchówną. Dziewczyna pochodziła z rodu równie znakomitego i niemal dorównującego Potockim majątkiem. Była bardzo pewna siebie, wyniosła i zimna. To właśnie ona zasły-



nęła w Rzeczypospolitej prześladowaniem i postponowaniem młodziutkiej Zofii Wittowej, która po pełnej sukcesów towarzyskich podróży poślubnej chciała się bratać z okoliczną elitą.

Szczęśny od lat znajdował się w orbicie wpływów Potiomkina, gdyż to z opcją rosyjską związał swoje interesy polityczne. Późniejsi historycy, chcąc uwypuklić znaczenie obozu patriotów i pokazać większe niżli w rzeczywistości poparcie dla zmian ustrojowych doby Sejmu Wielkiego, twierdzili, iż Potocki kompromitował się na jego forum wystąpieniami sławiącymi Rosję i jej imperatorową, tracąc przy tym resztki poparcia oraz autorytetu.

Tylko częściowo mają rację. Gdyby tak było, iż reformatorzy mogliby liczyć na większość w umysłach ówczesnej szlachty i w ławach sejmowych, to nie musieliby forsować konstytucji podstępem i w tajemnicy przed większością sejmową. Niewątpliwie panowali oni wówczas w sferze, którą dziś nazwalibyśmy medialną. Potrafili narzucić swoją narrację w debacie publicznej. W ławach sejmowych mieli świetnych mówców, których publiczność oklaskiwała z galerii i nagradzała wieńcami. Jednak szeroko zakrojone badania naukowe, prowadzone również przez autora, jednoznacznie wskazują na znacznie większą popularność poglądów konserwatywnych wśród decydującej o sprawach państwowych szlachty – wrogiej rewolucyjnym zmianom zapisanym w Konstytucji 3 maja.

Dlaczego w takim razie mniejszość narzuciła swoje zdanie większości i nie tylko uchwaliła – fakt, że podstępem, ale jednak – i utrzymała wprowadzone zmiany? Jednym z możliwych odpowiedzi jest to, iż zostali przytłoczeni propagandą proreformatorską i poddali się jej. Jednak zapomnieliśmy o drugim, dawniej często podnoszonym wytłumaczeniu, mianowicie takim, iż konserwatyści mieli już dość przepychanek z chwiejnym królem. Chcieli zrzucić go z tronu za zgodą albo nawet z pomocy Rosji i koronować jednego z przedstawicieli swojego obozu. Chętnych na krajowym podwórku nie brakowało, zaś najgłośniejsze podobno mówiono o Szczęśnym Potockim <sup>95</sup>.

Tak więc w otoczeniu Zofii w krótkim czasie pojawiło się nie tylko wiele koronowanych głów, lecz także liczni pretendenci do polskiego tronu. Niektórzy doszukiwaliby się w tym zbiegu okoliczności udziału ambicji naszej bohaterki – w myśl przysłowia głoszącego, iż droga do władzy jest pełna mężczyzn popychanych przez kobiety – ale w tym przypadku to byłyby przecenienie jej mocy sprawczej. W obu bowiem przykładach panowie objawili ambicje monarsze jeszcze przed poznaniem Dudu. Co nie oznacza, iż nie mogła ona ich w tych ambicjach utwierdzać i umacniać.

Początki znajomości Greczynki z największym polskim magnatem zaginęły gdzieś w pomroce dziejów. Prawdopodobnie spotkali się na salonach, na których wspólnie bywali, a już na pewno w otoczeniu Potiomkina, z którym Szczę-

sny ostatnio dużo spiskował. Udział obojga potwierdzono również na pogrzebie księcia taurydzkiego, jednak dotychczas była to zapewne dość luźna znajomość.

Po pogrzebie jednak zarówno Wittowie, jak i trójka spiskowców antykrólewskich, czyli Rzewuski, Branicki i Potocki, pozostali w Jassach, gdzie już bez udziału Potiomkina prowadzono negocjacje pokojowe rosyjsko-tureckie. W ich cieniu, mimo żałoby po przywódcy, toczyło się wesole życie towarzyskie, zaś dla Dudu był to czas poszukiwania nowego opiekuna. Chociaż formalnie nadal była żoną ekskomendanta kamienieckiego, to niewiele ich już ze sobą łączyło i nie byłby on w stanie zapewnić jej życia na takim poziomie, do jakiego przywykła w ostatnich latach.

Obserwatorzy życia towarzyskiego wskazują na przełomowe dla relacji Zofii z Potockim znaczenie balu z okazji imienin carycy Katarzyny, który wydawał Szczęsny w Jassach dwa miesiące po pogrzebie Potiomkina. Był wówczas taki zwyczaj, iż zamożni poddani organizowali uroczystości ku czci swoich władców z okazji urodzin czy imienin, jednak zdarzające się również wydawanie przyjęć na cześć obcych, niekoniecznie przyjaznych koronowanych głów uznaje się za przejaw lizusostwa i kunktatorstwa politycznego. W tych okolicznościach ocierającego się wręcz o zdradę. Jednak polski magnat najwyraźniej nie widział w tym nic zdroźnego, przygotował taki bal i zaprosił nań małżeństwo Wittów<sup>96</sup>.

Pozbawiona dotychczasowego opiekuna i sponsora Zofia musiała od tygodni planować strategię złowienia najlepszej partii w okolicy. Podobno Szczęsny nie był trudną zdobyczą do schwytania w sidła kusicielki z wielu względów. Najważniejszym z nich był ten, iż jego relacje z małżonką nie układały się najlepiej. Żona od lat nauczyła się korzystać z usług dużo młodszych kochanków, którzy ochoczo zaspokajali jej wybujały temperament, i zaniebdywała w łóżu męża. Ten więc był zmuszony poszukiwać przygodnych miłostek poza małżeńską sypialnią.

Dudu miała ogromne doświadczenie w tego typu podbojach, a niewątpliwie dodatkową podniechęć dawał jej fakt, iż mogła tym sposobem zemścić się na kobiecie, która poniżyła ją przed laty, odmawiając przyjęcia w swoim pałacu w Tulczynie – wtedy gdy, przybywszy z wizytą do pani Potockiej, Zofia została odprawiona pogardliwie i z drwiną spod pańskich drzwi. W kilka tygodni Dudu dokonała tego, iż teraz ona była panią serca właściciela niezmiernych dóbr o wielomilionowej wartości. W tym również tych, do których nie była wpuszczana.

Podobno Zofia nie miała trudnego zadania. Jej cel był kochliwy i trudno go było określić mianem tytana intelektu. Niektórzy zaś pisali o nim wprost: *...był indywiduum umysłowo nadzwyczaj ograniczonym, poziomem swego intelektualnego rozwoju zaledwie przekraczającym granicę debilizmu...; Szczęsny okazywał niestety niesłychaną ociężałość intelektualną i umysłową tępotę...; ...był psychicznie słabym*

*i ograniczonym, niezdolnym zupełnie do samodzielnego myślenia...; ...słabość charakteru i tępota umysłowa wyszły na jaw w całej okazałości* <sup>27</sup>.

Świadkowie twierdzą, iż magnat zakochał się na zabój, że poza Dudu świata wówczas nie widział, a nawet że przestały go interesować problemy wielkiej polityki, które do tej pory w całości zaprzętały jego umysł. Były to zaś przełomowe dla Rzeczypospolitej miesiące, w których on sam i jego stronnictwo mieli odegrać kluczową rolę. Decydowały się losy przyszłości państwa polskiego i gdyby naszej bohaterce naprawdę zależało na ratowaniu w sumie obcego dla niej kraju, to kto wie, jak by się potoczyły jego dalsze losy.

Pierwsze miesiące 1792 roku upływały zakochanej parze na przyjemnościach i zabawach organizowanych w Jassach. Generał Witt zaprzyjaźniał się z generałem artylerii Szczęsnym Potockim, ten zaś z jego małżonką, co nie wywoływało sprzeciwów męża przyzwyczajonego już do takich układów. W cieniu zaś rozrywek towarzyskich toczyła się wielka gra. Do miasta przybył z polecenia polskiego króla Stanisław Kostka Potocki, kuzyn Szczęsnego, by odciągnąć go od pozostałych spiskowców i skłonić do powrotu do kraju. Jednocześnie przeciw temu działali Rosjanie oraz Rzewuski i Branicki.

Zofia podobno nakłaniała kochanka do zgody z królem i powrotu do kraju. Polskie poselstwo z wdzięcznością wspominało jej życzliwe podejście do niego i do prezentowanych przezeń propozycji. Jednak nacisk z drugiej strony był przemożny <sup>28</sup>. Gdyby Szczęsny się wahał, gdyby Kostka Potocki miał korzystną dla niego propozycję, to wówczas w chwili zwątpienia można byłoby użyć wpływu kobiecej ręki. Jednak z punktu widzenia magnata powrót do kraju, by uzyskać przebaczenie za spiskowanie przeciw królowi, w porównaniu z wizją zdobycia korony dla siebie, czym go ciągle mamiono, nie był rozwiązaniem, które warto byłoby rozważać.

Tak więc magnat pozostał w obozie spiskowców.

W marcu 1792 roku, wezwany do Petersburga, pospieszył, by poznać plany imperatorowej wobec Polski. Te zaś z pozoru wyglądały doskonale. Wizja korony na jego głowie jawiła się wprost na wyciągnięcie ręki. Trzeba było jedynie zawiązać konfederację przeciwko Konstytucji 3 maja i wezwać Rosję na pomoc przeciwko tym, którzy ośmielili się dokonać zmian w ustroju Rzeczypospolitej. Tak też uczyniono. Przy pomocy rosyjskich doradców przygotowano akt konfederacji, który ogłoszono w maju 1792 roku w przygranicznej miejscowości Targowica. Na czele władz konfederackich postawiono Szczęsnego Potockiego i wezwano na pomoc wojska rosyjskie.

Z rozkazu carycy stutysięczna armia przekroczyła granice polsko-rosyjskie. Zaczęła się wojna, w której uczestniczyli również konfederaci, walcząc przeciwko swoim rodakom.

W tych gorących miesiącach ogromnego natężenia emocji Zofia czekała na wynik knozań politycznych w Chersoniu, gdzie zostawił ją kochanek, by tam

bezpiecznie schroniła się przed możliwymi skutkami działań wojennych. W drugiej połowie czerwca, kiedy uznano, iż nie niesie to za sobą dużego niebezpieczeństwa, Szczęsny polecił Dudu, by przeniósł się do jego siedziby rodowej w Tulczynie, gdzie witano ją jak nową panią na włościach. Wszyscy już wiedzieli, że to nie jest zwykła, przelotna miłośka ich pana. Wszyscy poza Józefiną Potocką – ona lekceważyła doniesienia o wielkiej miłości męża. Uważała, że jak wielu innych wyszaleje się i wróci na łono rodziny. W Tulczynie jednak czuli, że nadchodzą nowe czasy, zaś Zofia z każdym dniem coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, iż może i chce mieć to wszystko na własność.

Trzytygodniowy pobyt Szczęsnego i Zofii w Tulczynie wypełniono zabawą i hołdami składanymi jej przez klientów magnata. Bawili się, odpoczywali i nikt im w tej sielance nie przeszkadzał, gdyż żona przebywała w tym czasie z dziećmi w Wiedniu. Odpoczynek ten zaowocował ciężą i umocnił pozycję Dudu u boku marszałka konfederacji targowickiej.

Po tych krótkich wczasach on wyruszył na wojnę i, jak wierzył, po koronę, ona zaś dyskretnie za nim. Pokonany wkrótce król zgłosił swoje przystąpienie do konfederacji targowickiej, zaś zwycięzcy zwołali sejm do Grodna, by tam przypieczętować swój sukces. I wówczas, jak grom z jasnego nieba, spadła na wszystkich wieść, iż imperatorowa porozumiała się z królem Prus w sprawie drugiego rozbioru Polski. Zaś wojska pruskie bezzwłocznie wkroczyły do Wielkopolski, by zająć ustalone terytoria.

Szok, niedowierzanie i przerażenie wstrząsnęły sercami konfederatów. Oni się mieli za zbawców ojczyzny, a nie za jej morderców. Szczęsny, czytając na posiedzeniu władz konfederacji pruską deklarację rozbiorową, płakał i nie był w stanie wykrztusić słowa. Branicki popędził do Zubowa, błagając o zmianę decyzji. Wszyscy nagle zrozumieli, że byli tylko pionkami w wielkiej grze mocarstw. Zostali oszukani i to na nich spadnie całe *odium* za nieszczęścia, jakie sprowadzili na swoich rodaków.

To jednak nie był koniec ich upokorzenia. Zaborcy zmusili ich do podpisania traktatów rozbiorowych oraz spacyfikowania nastrojów w pozostałym jeszcze państwie kadłubowym. Szczęsnemu częściowo udało się tego uniknąć, bowiem zaczął tchórzliwie symulować ciężką i nieuleczalną chorobę, pod pretekstem której bardziej uciekł, niż wyjechał, by zająć się swoimi prywatnymi sprawami. Zamiast myśleć o ojczyźnie, którą swymi knowaniami wpędził w śmiertelne kłopoty, rozpoczął pertraktacje z żoną w sprawie ich ostatecznego rozstania oraz podziału majątku.

Potocka o kwestiach majątkowych chętnie rozmawiała, natomiast o sformalizowaniu rozpadu ich związku nawet nie chciała słyszeć. Stanowczo odrzuciła wszelkie próby działań zmierzających w tę stronę. W tej sytuacji Szczęsny, nie mogąc przełamać uporu żony, podpisał z nią porozumienie, na mocy którego

oświadczył, iż ze względów zdrowotnych wyjeżdża za granicę, zaś ona przejmuje zarząd nad jego majątkami. Zyskami z tego tytułu mieli się dzielić.

Jednocześnie Zofia podjęła starania na rzecz rozwiązania swojego małżeństwa z ekskomendantem kamienieckim, które początkowo też nie przynosiły pomyślnych rezultatów, zaś rozmowy ruszyły z miejsca dopiero wtedy, gdy do negocjacji włączyli się prawnicy kochanka oferujący w jego imieniu znaczne sumy na pokrycie strat z tego tytułu.

W kwietniu 1793 roku Dudu urodziła pierwszego poczętego ze Szczęsnym syna, któremu nadała imię Konstanty. Formalnie jego ojcem był Witt jako mąż matki, ale nikt nie miał wątpliwości, kto tak naprawdę przyczynił się do jego spłodzenia. W tym czasie Potocki ruszył już na emigrację do Hamburga. Przebywał tam przez dwa lata, bawiąc początkowo sam, a potem z przybyłymi do niego kochanką i synkiem. Oddawali się tam rozrywkom, kiedy zdradzona przez niego ojczyzna dogorywała w konwulsjach sejmu rozbiorowego, insurekcji kościuszkowskiej, wojny i trzeciego rozbioru.

Latem 1794 roku urodził im się drugi syn, Mikołaj, zaś z kraju zaczęły dobiegać informacje o procesach zdrajców prowadzonych w dobie insurekcji kościuszkowskiej. Wściekli rodacy uznali winę konfederatów targowickich w dziele sprowadzenia obcych wojsk na ziemię Polski i skazali zdrajców na śmierć, utratę czci, urzędów i wszelkich praw obywatelskich, a także konfiskatę majątku zdrajców. Niektórych udało się schwytać i wykonać wyrok<sup>29</sup>. Szczęsny, bezpieczny na swej emigracji, został skazany zaocznie. Jednak sam fakt, iż poważono się uznać go za zdrajcę, uraził go do tego stopnia, iż w listach do carycy Katarzyny wyrzekł się swojego polskiego obywatelstwa, przyjmując zwierzchnictwo władców Rosji.

Ambitny plan pozostania już na zawsze poza granicami kraju w zderzeniu z rzeczywistością nie przetrwał nawet dwóch lat. Okazało się, iż środki przesyłane przez Józefinę nie są wystarczające, by zaspokoić wszystkie potrzeby tak rozrzuconego towarzystwa, jakie skupiło się wokół Szczęsnego na emigracji. Dlatego niemal natychmiast po stłumieniu ostatniego oporu Polaków próbujących rozpaczliwie walczyć o niepodległą ojczyznę rozpoczęto starania o zgodę rosyjskiego dworu na powrót do rodzinnych włości. Okazało się, że Rosja nie ma nic przeciwko temu, by ten, który tak bardzo przyczynił się do upadku własnego kraju, zamieszkał w nowych granicach wschodniego imperium.

W czerwcu 1795 roku Szczęsny wsiadł na statek płynący do Petersburga, by wcześniej zameldować się na carskim dworze, Zofia zaś z dziećmi ruszyła drogą lądową. Oboje z mocnym postanowieniem zakończenia dotychczasowych swych małżeństw oraz rozpoczęcia wspólnego, legalnego już pożycia.

Choć ekskomendant kamieniecki nie wzbraniał się przeciwko ostatecznemu rozstaniu, to nie zamierzał tanio sprzedać wolności swojej pięknej żonie, tym bardziej że trzeba było udowodnić przed sądem, iż małżeństwo zostało zawarte

niezgodnie z zasadami prawa. Adwokaci Greczynki przyjęli przed sądem lwowskim, gdzie toczyło się postępowanie, linię braku dobrowolności przy zawieraniu związku, oczywiście z jej strony. Wywodzili mianowicie, iż Duda została przymuszona do przyjęcia na siebie węzłów małżeńskich. Każdy, kto o początkach jej pobytu w Polsce miał jakiegokolwiek pojęcie, uśmiechał się na myśl o tym drwiąco, ale chodziło o pretekst, który dla sądu byłby wystarczający do stwierdzenia nieważności małżeństwa.

Generał Witt za odpowiednim odszkodowaniem przyznał, iż zmusił młodą, przestraszoną i nieświadomą dziewczęcę do ślubu. Znaleźli się świadkowie, którzy potwierdzili okoliczności, na koniec zaś sama ofiara teźże przemocy zeznała pod przysięgą, iż została zastraszona i przymuszona. To wystarczyło sądowi, by 17 listopada 1795 roku uznać małżeństwo Wittów za nieważne.

Koszty postępowania były ogromne, gdyż prawnicy robili, co mogli, by obławić się na takiej sprawie, do tego wielki, idący w setki tysięcy złotych okup, jaki trzeba było zapłacić mężowi, i nie mniejsze zabezpieczenie dla syna Jana <sup>100</sup>. W sumie koszty te mogły wynieść około miliona złotych, co było jak na owe czasy niewyobrażalnej wręcz wielkości kwotą. Szczególnie jeśli pamiętamy, iż roczne dochody ze wszystkich dóbr Szczęsnego wynosiły około trzech milionów złotych.

W tym samym czasie Szczęsny negocjował ze swoją żoną warunki rozwiązania małżeństwa. Początkowo Józefina jednoznacznie nie odrzuciła propozycji rozstania. Należy raczej wątpić, by na poważnie godziła się z takim rozwiązaniem, gdyż sytuacja, w jakiej się znajdowała, odpowiadała jej potrzebom. Cieszyła się pozycją legalnej żony wielkiego magnata i matki jego dzieci, korzystała w sposób praktycznie nieograniczony z jego majątku, a jednocześnie miała swobodę w romansowaniu. Nie bardzo nawet wypadało wytykać jej rozwiązłość, gdyż miała doskonałą wymówkę w postaci niewiernego męża jawnie utrzymującego jedną z najsławniejszych kobiet Europy.

Tak więc sytuacja dla Potockiej była niemal idealna. Dlaczego więc miałyby chcieć ją zmieniać? Otóż nie chciała i nie miała takiego zamiaru, o czym świadczy fragment jednego z listów pisanych do Adama Moszczeńskiego: *Co się tyczy rozvodu, ile znam męża mego, nie spodziewam się, aby o tym myślał; podstępny człowiek, ojciec jedenaścioro dzieci żyjących, w czterdzieści trzech leciech może się bawić, ale ani szaleć, ani zwodzonym być [mu] nie przystoi. Ale dajmy na to, mój Moszczeński, aby go Wittowa uwiedła, to próżnie by tego żądał. Do rozvodu dwie woli potrzebne, ja nigdy na niego nie pozwolę. Przyjaźń moja dla męża mego, uszanowanie dla samej siebie, przywiązanie dla dzieci moich, wszystko o stałości mojej nienaruszonej zaręcza w tej mierze.*

Jednak, aby nie zdrażniać stosunków z mężem, który, jak wierzyła, kiedyś się znudzi swoją kochanką, nie była nadmiernie stanowcza w rozmowach o możliwości spełnienia jego życzenia. Zwodziła go i zapewniała, że nie będzie

stać na przeszkodzie jego szczęściu. To z kolei wzbudziło euforię w sercu Dudu. Jej listy z tego okresu pełne są radości z nadchodzącego spełnienia jej najskrytszych marzeń. Uwolniła się wreszcie od Witta i z nadchodzących relacji wynikało, iż lada dzień i Szczęsny będzie wolny, stąd bijąca z kart listu radość: *A więc jest pewne, że ona się zgodzi, i to chętnie, na nasze szczęście? Osądź sam, jakżem szczęśliwa! Powiadasz mi, że kochasz pana Witta? Ja również powinnam kochać tę, która zwraca ci wolność. Och, mój Boże, nie tylko będę ją kochała, ale nawet, gdybym była na Ukrainie, pobiegłabym rzucić się jej do stóp i dziękować! Zgadza się na wszystko, jest kontenta z naszego wspólnego szczęścia, czyni to wszystko chętnie – cóż odtąd mogłoby mi przeszkadzać w jej miłowaniu, jaki żal mogłabym mieć do niej? Nie mam już powodu, aby żywić do niej pretensje, jak wtedy, gdy sądziłam, że staje na przeszkodzie naszemu szczęściu. ...serce prawdziwie uszczęśliwione, jak moje w tej chwili ... nie może nikogo nienawidzić*<sup>101</sup>.

Kiedy jednak sprawy z generałem Wittem<sup>102</sup> znalazły swój szczęśliwy koniec i naciski na Józefinę przybrały na sile, ona usztywniła swoje stanowisko. Przez jakiś czas unikała jednoznacznej deklaracji, być może znajdując przyjemność w utrzymywaniu tego stanu niepewności i pełnej zależności szczęścia swojego męża (a zwłaszcza jego kochanki) od siebie, by ostatecznie powiedzieć stanowcze „nie” jego prośbie uwolnienia go od przysięgi małżeńskiej.

Na wieść o odmowie Zofia się załamała.

Źródła dość zgodnie donosiły, iż oboje byli pewni, że zgoda Józefiny jest przesądzona, że wszelkie opóźnienia czy trudności wynikały jedynie z potrzeby doprecyzowania rozliczeń majątkowych. Dudu, by ułatwić porozumienie, wspierała żądania swojej poprzedniczki, nakłaniała Szczęsnego do ustępstw i łagodziła wszędzie tam, gdzie tylko było to możliwe. W swoich listach, ciesząc się, że sprawy idą do przodu, błogosławiła Józefinę i jej dzieci, liczyła na przyjazne relacje po rozstaniu Potockich, a tu okazało się, że to tylko podstępna gra złośliwej arystokratki, która po raz kolejny pokazała Zofii, gdzie jest jej miejsce. Jedynym ustępstwem, na jakie była gotowa, było opuszczenie Tulczyna, by oni mogli się tam wprowadzić, i wyjazd do Petersburga.

Następne lata były bardzo trudne dla naszej bohaterki. Dobiegając lat czterdziestu, nie miała męża, stałych dochodów ani własnego dachu nad głową. Była kochanką magnata zależną od jego kaprysów, matką dwójki jego dzieci i do tego w ciąży z trzecim (urodziła w 1797 roku córkę Helenę). Wkrótce, w stosunkowo krótkim czasie wszystkie jej dzieci ze związku ze Szczęsnym poumierły i w rok 1798 wchodziła w fatalnej kondycji fizycznej i umysłowej. Mieszkała co prawda w pięknym pałacu w Tulczynie, otoczona bogactwem i drogimi przedmiotami, ale jej życie nie należało do najłatwiejszych.

Na szczęście nadchodzący rok miał się okazać lepszy od pozostałych. Znowu była w ciąży, zaś jej widoki na zostanie panią Potocką ponownie odżyły, nabiera-

jąc realnych kształtów i kolorów. A to wszystko za sprawą nielubianego pasierba oraz kochanka sprzed wielu lat.

Otóż okazało się, że z nielubianych przez nią wizyt dzieci Szczęsnego, które często przyjeżdżały w odwiedziny do ojca, zostając bardzo długo i traktując ją jak intruza, oszustkę oraz złodziejkę ich ukochanego tatusia, może wyniknąć coś dobrego. Mianowicie najstarszy pasierb, młodszy od niej o szesnaście lat, wówczas dwudziestoletni Szczęsny Jerzy, zakochał się w kochance swego ojca i, zauroczony, naprzykrzał się jej ze swoimi uczuciami. Początkowo zbywała je lekceważąco, ale kiedy zaoferował swoje pośrednictwo w negocjacjach o rozwiązanie małżeństwa rodziców, zaczęła traktować je poważnie.

Dodatkowej nadziei przysporzył jej dawny wielbiciel, były ambasador Francji w Stambule Choiseul, który uciekł po wybuchu rewolucji francuskiej wprost ze swej placówki do Petersburga, gdzie został dobrze przyjęty i zatrudniony. Tam poznał czterdziestoczteroletnią Józefinę Potocką otoczoną jedenaściorgiem dzieci, z którą połączył go namiętny romans. I to on wzbudził w niej myśl, by rozstać się ostatecznie z mężem i połączyć z nową miłością. Utwierdzana w swym przekonaniu, że to już odpowiedni wiek na stabilizację – a i kandydat wydał jej się właściwy – nakłaniana przez syna do rozwodu z mężem, zaczęła wysyłać sygnały o gotowości do ustępstw.

Poinformowana o tym fakcie Zofia natychmiast zareagowała, zmuszając Szczęsnego do wysunięcia korzystnej oferty, co ten niezwłocznie uczynił. W zamian za zgodę na rozwiązanie małżeństwa Józefina otrzymała rozległe dobra ziemskie oraz gwarancje znacznych sum zabezpieczających ją oraz dzieci przed niedostatkiem. Po podpisaniu porozumienia orzeczenie sądu stwierdzające nieważność dwudziestotrzyletniego związku Józefiny ze Szczęsnym było już tylko formalnością.

Procedurę przeprowadzono błyskawicznie, również dlatego, że Duda znowu była w ciąży i tym razem chciała urodzić dziecko mogące szczyć się nazwiskiem Potockich. Tak więc skromny ślub zawarto 17 kwietnia 1798 roku, a kilka miesięcy później urodził się Aleksander – pierwszy z pięciorga dzieci w tym sformalizowanym już związku.

Dla Zofii nastał okres szczęścia i stabilizacji. Zajął się domem, urządzaniem swoich słynnych ogrodów, nazwanych od jej imienia Zofiówką, oraz rodzeniem i wychowywaniem dzieci. Pierwsze lata po ślubie były spełnieniem jej dziecięcych marzeń o bogactwie i tak pożądanym bezpieczeństwie.

Tymczasem ta, która ustąpiła jej miejsca u boku Szczęsnego, nie żyła długo ani szczęśliwie. Co prawda i ona planowała zalegalizować swój związek z Choiseulem, ale musiała poczekać na rozwód Francuza z matką jego ośmiorga dzieci. Zanim do tego doszło, Józefina zaszła po raz kolejny w ciążę <sup>103</sup>, której nie chciała już donosić ze względu na wiek i wygodę, dlatego udała się do leka-



rza z prośbą, by usunął dziecko. W wyniku komplikacji po zabiegu kobieta zmarła w październiku 1798 roku.

Zofia zaś żyła, bawiła się i romansowała z jak zawsze licznymi wielbicielami. Potocki próbował walczyć z jej skłonnością do zdrady, niemijając mimo upływu czasu, gniewał się, straszył, urządzał jej awantury, ale na niewiele to się zdało. Zapewne problemy małżeńskie również nie pozostały bez wpływu na stan jego ducha i zdrowia. Na początku XIX stulecia Szczęsny pograżył się w stanie, który dziś określilibyśmy mianem głębokiej depresji. Nic dziwnego, w końcu był najbardziej zniechęconym przez rodaków człowiekiem – symbolem zdrady narodowej i sprzedawczykiem w czystej postaci. Każdy, kto wspominał upadek Rzeczypospolitej, musiał pamiętać o jego roli w tym niechlubnym dziele. Każde dziecko, ucząc się w domu historii ojczyzny, zapamiętywało, iż to on stał na czele konfederacji, która bezpośrednio sprowadziła na kraj obce wojska.

Co prawda raczej nikt nie ośmielił się rzucić mu w twarz oskarżeń, ale krążące wśród ludzi pisemka, niechętnie spojrzenia ludu i osobista świadomość popełnionych czynów nie poprawiały samopoczucia człowiekowi, który jeszcze niedawno mienił się obrońcą praw i przywilejów szlacheckich, a w konsekwencji zbawcą ojczyzny. Kiedy do tego dodamy rozczarowującą sytuację w domu, gdzie – zamiast upragnionej miłości – coraz częściej spotykał się ze wzgardą kolejnych adoratorów żony i pretensjami dzieci nienawidzących macochy oraz otwarciem demonstrujących swoje uczucia, to doprawdy nie miał lekko ten starzejący się magnat.

Gwoździem do trumny Szczęsnego okazał się romans Dudu z pasierbem Szczęsnym Jerzym, który zaowocował kolejną ciążą i straszliwymi awanturami. Potocki dostał szału, gdy się dowiedział, że oto jego trzecia już żona urodzi mu wkrótce dziecko, które będzie jednocześnie jego pierwszym wnukiem.

Tego było mu za wiele!

Magnat już wcześniej izolował się od otoczenia, przebywając najchętniej w towarzystwie znanego wówczas w okolicy szarlatana i mistyka Tadeusza Grabianki, który, stworzywszy wokół siebie sektę, wciągnął do niej Szczęsnego, wyłudając przy okazji znaczące sumy. Teraz zaś zaczął podejrzewać, że jest truty przez swoich najbliższych, dlatego rozpoczął kurację zdrowotną polegającą na picciu dużych ilości wody ze smołą, co doprowadziło do wycieńczenia organizmu i śmierci w marcu 1805 roku. Jednak nawet po śmierci nie zaznał spokoju, gdyż jego ciało w kaplicy kościoła tulczyńskiego zostało zbezczeszczone i ograbione, prawdopodobnie przez miejscowych złodziejasków. Rano w dniu pogrzebu żałobnicy zobaczyli, że nieboszczyk został wyrzucony z trumny, obdarty z bogato galonowanego munduru rosyjskiego generała, orderów i klejnotów oraz porzucony na posadzce pod ścianą kościoła. Incydent ten

przywoływano przez dekady jako wyraz „wdzięczności” rodaków oraz zasłużoną karę za rolę, jaką nieboszczyk odegrał w dziele zniszczenia ojczyzny.

## Wdowa

W wieku czterdziestu pięciu lat Zofia została niemal jednocześnie wdową i matką ostatniego syna, Bolesława, którego urodziła kilka dni po pogrzebie, a którego ojcem był jej pasierb Szczęsny Jerzy Potocki. Może liczyła, że po tych ostatnich nerwowych miesiącach w jej życiu zapanuje spokój, gdyż zachowując bogactwo, pozbawiona natrętnej kurateli zazdrosnego męża, odzyska swobodę w decydowaniu o sobie?

Ale jakże się myliła!

Żadna z tych rzeczy nie nastąpiła. Szczęsny Jerzy był osobą o ogromnych problemach psychicznych, zamęczającą macochę/kochankę do końca swego krótkiego życia przejavami zaborczej miłości. Do tego, jako najstarszy z synów zmarłego, przejął tymczasowy zarząd nad majątkiem, gdy wszystkie dzieci jednocześnie zażądały swoich udziałów w ogromnej masie spadkowej.

Pamiętając, iż z małżeństwa z Józefiną żyło jedenaścioro potomstwa i z nowego pięcioro, możemy się domyślać liczby problemów, jakie się naraz objawiły. Co prawda Szczęsny Jerzy, który już wcześniej dał się poznać jako nałogowy hazardzista i lekkomyślny utracjusz, w ciągu kilkunastu miesięcy swojego zarządzania majątkiem uczynił wszystko, by do podziału niewiele zostało, trwoniąc pieniądze tak zapamiętale, że przeraził i zjednoczył przeciwko sobie resztę, ale kłopotów nie rozwiązał.

Pomógł natomiast Zofii w jej walce o istotną część masy spadkowej. Prawo przewidywało, że w takim przypadku do wdowy należały jej dobra, które wniosła do wspólnoty małżeńskiej (czyli niewiele), oraz równa z dziećmi część pozostałego majątku. To dawałoby jej jedną siedemnastą całości, czyli o wiele mniej, niż potrzebowała do zaspokojenia swoich potrzeb. Zażądała więc połowy spadku i została poparta przez najstarszego pasierba.

Ostatnie siedemnaście lat życia Dudu spędziła na walce o ogromną schedę po zmarłym małżonku. W pierwszej kolejności przejęła zarząd nad masą spadkową, a Szczęsnego Jerzego wysłała w podróż na zachód Europy, z której nie wrócił już żywy <sup>104</sup>. Następnie przy pomocy swojego nowego kochanka, okrytego ponurą sławą wśród Polaków Nikołaja Nowosilcowa, uzyskała prawo do większości pozostałego po mężu majątku. Potem zaś ze zmiennym szczęściem wojowała z pasierbami o pieniądze. Co ciekawe, kiedy dorosły jej własne dzieci, niektóre z nich również wystąpiły z roszczeniami finansowymi przeciwko matce.

Głośnym echem w Europie odbił się przypadek wyrzucenia matki przez jej dwudziestoletniego syna Mieczysława z rodzinnych majątkości. Awantura,

w trakcie której Zofia posunęła się do tego, iż zakwestionowała prawe pochodzenie własnego syna, by ukazać bezpodstawność jego roszczeń, oparła się o samego cara. Ten zaś nakazał wyrodnemu synowi zwrot majątku i przeproszenie matki pod groźbą dożywotniego zesłania do Tobolska.

Wkrótce Greczynka miała stoczyć swoją ostatnią walkę. Tym razem jednak ze swoim ciałem, które przez te wszystkie lata tak dobrze jej służyło. Okazało się, że jest chora na raka macicy. Wiele niechętnych jej osób wyciągnęło z tego faktu daleko idące wnioski o sprawiedliwości dziejowej, która każe płacić za grzechy w taki właśnie przewrotny sposób. Wyruszyła jeszcze w ostatnią podróż do Petersburga, z której już nie wróciła. Zmarła w drodze powrotnej, w Berlinie, 12 listopada 1822 roku, w wieku sześćdziesięciu dwóch lat [105](#).

★

Tak zmarła ta, która urodziła się w skromnym domu handlarza bydłem, została sprzedana przez matkę jako niewolnica polskiemu dyplomacie, a potem własnym sprytem dotarła na szczyty towarzyskie i finansowe ówczesnego świata. Niewiele brakowało, by jej kariera osiągnęła wymiar jeszcze bardziej spektakularny, gdyż Zofia była kilka razy blisko tronu, nie tylko jako kochanka króla i być może cesarza, lecz też dlatego, że jej kochanek Potiomkin szykował się do koronacji i ostatni mąż Szczęsny Potocki również planował zasiąść na polskim tronie.

Ciekawe, na ile ich ambicje wynikały z inspiracji otaczających ich kobiet, w tym samej Zofii. Przypomnijmy ponownie znane przysłowie, iż droga do władzy jest pełna męczyzn popychanych przez kobiety.

## Zakończenie

Czy Agnieszka była rzeczywiście taka śliczna, jak powiadano? A czy Zofia i Marysieńka były takie piękne i atrakcyjne? Co oznaczały te słowa w dawnych czasach? Czy dzisiejsze ślicznotki miałyby wzięcie w dawnych czasach, a ówczesne czy dziś wzbudziłyby zachwyty salonów?

Raczej nie.

Panna wówczas powinna być gładka – czyli na twarzy pozbawiona śladów po ospie, odbarwień, szpecących znamion i zarostu – ówczesne techniki ukrywania defektów urody nie były tak doskonałe jak dzisiejsze, zresztą zwyczaj malowania/pudrowania przyszedł późno i głównie na królewskim dworze. Powinna mieć zęby, im więcej i im ładniejsze, tym lepiej – to nie takie oczywiste, bo badania wykazują, że o ile w średniowieczu ludzie nie mieli próchnicy i dość długo zachowywali zdrowe zęby, o tyle w tamtych czasach słodczyce czyniły znaczne spustoszenie w uzębieniu. Marysieńka jeszcze jako nastolatka miała problemy z dokuczliwym bólem zębów, a leczono je tylko poprzez wrywanie. Można więc śmiało stwierdzić, że przynajmniej ona miała poważne braki w uzębieniu. Przeszła też ospę, więc choć Sobieski twierdził, iż nie została oszpecona, to należy wątpić, czy rozmiłowany wzrok Celadona zauważyłby nawet znaczne defekty skóry.

Ładna dziewczyna szczyliła się też bujnymi włosami. W tym kontekście warto pamiętać o trapiących ówczesne elity chorobach wenerycznych, które powodowały występowanie plam na skórze, owrzodzenie różnych części ciała oraz wypadanie włosów. Chociaż w ich przypadku gorsze od choroby były lekarstwa. Leczono bowiem głównie maścią rtęciową, powodującą stałą utratę włosów.

Za chude i o niezdrowym wyglądzie też nieładne, opalone ceniono tylko wśród plebejuszy, kobiece kształty, duże piersi, regularne rysy twarzy, duże i ładne oczy, uszy nie za wielkie i nieodstające. Kanon urody się zmieniał i był nieco inny za czasów Marysieńki i Agnieszki, a inny w okresie oświecenia, gdy swoje tryumfy święciła Zofia.

Ogromne znaczenie miały wrodzony wdzięk oraz coś nieuchwytnego, a nawet wówczas niedefiniowalnego, co dziś zwiemy seksapilem. Naturalny i dostrzegany przez wszystkich czar, jaki roztaczają tylko niektóre osoby obdarzone tym niezwykłym darem przyciągania do siebie osobników płci obu. Niewątpliwie każda z nich to miała i potrafiła wykorzystywać do perfekcji. Nie mniejsze znaczenie miały talent aktorski, umiejętność ciekawego mówienia, ale przede wszystkim uważnego słuchania, tak by rozmówca miał wrażenie, że jego

słowa znajdują odbiorcę, który rozumie i docenia przekazywaną wiedzę, nie bacząc na jej obiektywną wartość.

## Bibliografia

1. Baranowski B., *O hultajach, wiedźmach i wszetecznicach. Szkice z obyczajów XVII i XVIII w.*, Łódź 1988.
2. Baszkiewicz J., *Ludwik XVI*, Wrocław 1985.
3. Bednaruk W., *Agnieszka przed Trybunałem*, Lublin 2008.
4. Boscamp-Lasopolski K., *Moje przelotne miłości z młodą Bitynką*. Rękopis z roku 1789 opracował i wstępem opatrzył J. Łojek, Kraków 1963.
5. Bogucka M., *Staropolskie obyczaje w XVI–XVII wieku*, Warszawa 1994.
6. Bystron J., *Dzieje obyczajów w dawnej Polsce wiek XVI–XVIII*, Warszawa 1994.
7. Chemperek D., *Z chłopki księżna. Historia wielkiej mistyfikacji z XVII wieku*, Lublin 2000.
8. Czacki M., *Wspomnienia z roku 1788 po 1792*, Poznań 1862.
9. Fabiani B., *Warszawski dwór Ludwika Marii*, Warszawa 1976.
10. Imieliński K., *Erotyzm*, Warszawa 1970.
11. Imieliński K., *Seksuologia. Mitologia, historia, kultura*, Warszawa 1989.
12. Jerlicz J., *Latopisiec albo Kroniczka*, wyd. K.W. Wójcicki, Warszawa 1853.
13. Kienzler I., *Marysieńka i Sobieski. Wielka miłość*, Warszawa 2018.
14. Kitowicz J., *Opis obyczajów za panowania Augusta III*, Warszawa 1985.
15. Kitowicz J., *Pamiętniki czyli Historia polska*, Warszawa 1971.
16. Komaszyński M., *Księża Contiego niefortunna wyprawa po koronę Sobieskiego*, Warszawa 1971.
17. Komaszyński M., *Maria Kazimiera D'Arquien Sobieska królowa Polski 1641–1716*, Kraków 1983.
18. Komaszyński M., *Piękna królowa Maria Kazimiera D'Arquien Sobieska 1641–1716*, Kraków 1995.
19. Kozakiewicz M., *Kobieto, ty wieczna istoto*, Szczecin 1987.
20. Kraushar A., *Sprawa Dogrumowej przed sądem marszałkowskim 1785 roku*, Kraków 1861.
21. Król S., *101 kobiet polskich*, Książka i Wiedza, Warszawa 1988.
22. Kuchowicz Z., *Miłość staropolska*, Łódź 1982.
23. Kuchowicz Z., *Obyczaje staropolskie XVII–XVIII wieku*, Łódź 1975.
24. Kuchowicz Z., *Wizerunki niepospolitych niewiast staropolskich XVI–XVIII wieku*, Łódź 1974.
25. Kuchowicz Z., *Żywoty niepospolitych kobiet polskiego baroku*, Łódź 1989.
26. Libiszowska Z., *Żona dwóch Wazów*, Warszawa 1963.
27. *Listy Jana de Witte, generała-majora wojsk koronnych*, wyd. S. Krzyżanowski, Kraków 1868.

28. *Listy pani Mniszchowej, żony marszałka w. koronnego, pisane do matki*, Rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu za rok 1866.
29. Łojek J., *Dzieje pięknej Bitynki. Opowieść o życiu Zofii Wittowej-Potockiej (1760–1822)*, Warszawa 1982.
30. Łojek J., *Dzieje zdrajcy*, Katowice 1988.
31. Matuszewicz M., *Diariusz życia mego*, Warszawa 1986.
32. Morsztyn J.A., *Utwory zebrane*, opr. L. Kukulski, Warszawa 1971.
33. Niemcewicz J.U., *Pamiętniki czasów moich*, wyd. J. Dihm, Warszawa 1957.
34. Olkiewicz J., *Najjaśniejsza Rzeczpospolita Wenecka*, Warszawa 1972.
35. Pasek J., *Pamiętniki*, Warszawa 1836.
36. Putek J., *Mroki Średniowiecza*, Warszawa 1983.
37. *Rok nadziei i rok klęski 1791–1792: z korespondencji Stanisława Augusta z posłem polskim w Petersburgu Augustynem Deboli*, wybór i oprac. J. Łojek, Warszawa 1964.
38. Rousseau de la Valette, *Miłości królewskie*, tłum. J. Olkiewicz, Warszawa 1971.
39. Sajkowski A., *Staropolska miłość. Z dawnych listów i pamiętników*, Poznań 1981.
40. Sobieski J., *Listy do Marysieńki*, opr. L. Kukulski, Warszawa 1962.
41. Stojek-Sawicka K., *Szlachcianki w dawnej Polsce. Na salonach i od kuchni*, Warszawa 2013.
42. Targosz K., *Uczony dwór Ludwika Marii Gonzagi (1646–1667). Z dziejów polsko-francuskich stosunków naukowych*, Wrocław–Warszawa–Kraków–Gdańsk 1975.
43. Trembecki J.T., *Wirydarz poetycki*, Lwów 1910.
44. Trembecki S., *Pisma wszystkie*, Warszawa 1953.
45. *Usprawiedliwienie się J. W. de Vitte, generał-majora i komendanta fortecy kamienieckiej*, Warszawa, brak daty wydania.
46. Vastatrix A., Bednaruk W., *Harem*, Warszawa 2019.
47. Wróbel Z., *Erotyzm w religiach świata*, Łódź 1990.
48. *Zagadki i odpowiedzi na nie, zamykające w sobie charaktery lub intrygi senatorów duchownych i świeckich, ministrów, postów na sejm 1788 i innych niektórych osób i kobiet in publicum wydane 1790 roku*, Warszawa 1790.
49. *Zagadki Sejmu Czteroletniego*, wyb. E. Rabowicz, Warszawa 1996.
50. *Z pamiętnika A. Chrzęszczewskiego [w:] Pan na Tulczyni*, A. Czartkowski, Lwów–Poznań 1925.
51. Żeleński-Boy T., *Marysieńka Sobieska*, Warszawa 1974.



# Przypisy

[1](#) T. Żeleński-Boy, *Marysienka Sobieska*, Warszawa 1974, s. 47.

[2](#) Por. M. Komarzyński, *Maria Kazimiera D'Arquien Sobieska królowa Polski 1641–1716*, Kraków 1983, s. 10.

[3](#) Młodszy brat króla Ludwika XIII przysparzał mu wielu zmartwień ze względu na swe zamiłowanie do spisków. Jako osoba ambitna i nielojalna wielokrotnie próbował poprzez intrygi doprowadzić do obalenia starszego brata, by tym sposobem samemu zasiąść na tronie. Związek wiecznego buntownika z potężnym rodem Gonzagów był nie na rękę otoczeniu władcy obawiającemu się wzmocnienia jego pozycji, więc doradcy króla jednoznacznie sprzeciwiali się temu mariażowi.

[4](#) Był to czas dla niej trudny także dlatego, iż jej ojciec, realizując swe ambitne plany dynastyczne, walczył w tym okresie o swoje prawa do księstwa Mantui i, przebywając we Włoszech, trwoniał wszystkie pieniądze na osiągnięcie politycznego celu, przez co na utrzymanie córki nie wystarczało już środków i żyła ona w Nevers niemalże w nędzy.

[5](#) Podobno Maria Ludwika już we wczesnym dzieciństwie zapewniała swoje otoczenie, że jak dorośnie, to zostanie królową, i swego marzenia nie porzuciła aż do tej chwili.

[6](#) W przeciwieństwie do Francji polski król nie mógł wypowiedzieć wojny Turcji, choć bardzo chciał, gdyż leżało to w gestii sejmu, musiał więc poprzez prowokacje doprowadzić do tego, by to sułtan wypowiedział wojnę Polsce.

[7](#) O tym, jak zwodnicze jest bezpieczeństwo dzieci, przekonał się król dość szybko, mając dotychczas troje legalnych dzieci ze związku z Cecylią, z których tylko jedno jeszcze żywe; pozostałe zmarły przy porodzie lub wkrótce po nim; doczekał się w 1647 roku nagłej choroby i śmierci ukochanego synka, co doprowadziło go do rozpaczyny rujnującej z kolei jego zdrowie.

[8](#) Obszerniejszy fragment tego listu patrz T. Żeleński-Boy, *Marysienka Sobieska...*, s. 52.

[9](#) Wielu autorów rozważa też inne motywy wyjazdu Marysienki z Polski, takie jak niebezpieczeństwo związane z niepewną sytuacją w dobie powstania Chmielnickiego oraz w okresie bezkrólewia – patrz M. Komarzyński, *Maria Kazimiera D'Arquien Sobieska królowa Polski 1641–1716*, Kraków 1973, s. 13 – co nie znaczy, że nie brano pod uwagę również tego aspektu.

[10](#) W latach 1648–1668, obejmujących panowanie Jana Kazimierza, niewiele odnotowujemy okresów pokoju: od 1648 do 1655 r. (z przerwami na okresowe rozejmy) trwało powstanie Chmielnickiego wspomagane przez Tatarów, a w późniejszej fazie przy udziale Rosji; w latach 1655–1660 wojna ze Szwecją (wspieraną okresowo przez Prusy i Siedmiogród), w latach 1654–1667 (również z przerwami) wojna z Rosją, a w latach 1665–1666 rokosz Lubomirskiego.

[11](#) Co jeszcze ciekawsze, najstynniejsi zdrajcy litewscy Janusz i Bogusław Radziwiłłowie byli w czasie bezkrólewia po śmierci Władysława IV gorącymi zwolennikami Jana Kazimierza i tak ostro oponowali przeciwko elekcji Karola, że grozili wręcz zerwaniem unii z Koroną.

[12](#) Jan Kazimierz próbował jeszcze ratować sytuację, wydając piękną pannę Schönfeld za mąż za francuskiego dyplomata rezydującego przy polskim dworze, mającego służyć mu za skuteczną zasłonę. Jednak los i na tym polu okazał się niełaskawy, gdyż Austriaczka zakochała się w swym mężu i odmówiła dalszych schadzek z królem. Wkrótce zaś nowożeńcy opuścili Polskę; por. wydaną po raz pierwszy w Paryżu w 1679 roku książkę Rousseau de la Valette, *Miłości królewskie*, tłum. J. Olkiewicz, Warszawa 1971, s. 69 i in., gdzie znajduje się obszerny opis romansu króla z dwórką królowej.

[13](#) Sebastian Cefali do Piotra Vidoniego, Lublin, 26 VIII 1656, cyt. za Maria Kazimiera d'Arquien de la Grange, *Listy do Jana Sobieskiego*, oprac. L. Kukulski, Warszawa 1966, s. 41.

[14](#) Cyt. za Maria Kazimiera d'Arquien de la Grange, *Listy do...*, s. 46–47.

[15](#) Tamże, s. 46–47.

[16](#) Tamże, s. 48.

[17](#) Tamże, s. 59.

[18](#) Cyt. za J.T. Trembecki, *Wirydarz poetycki*, Lwów 1910, s. 215.

[19](#) Cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 63.

[20](#) Rousseau de la Valette, *Miłości królewskie...*, s. 78.

[21](#) Rękopis z Biblioteki Raczyńskich, sygn. 20, s. 158.

[22](#) Cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 69.

[23](#) Por. tamże, s. 80, gdzie następujący fragment: *...skoro Wć o mnie nie chcesz wiedzieć; niech Wci Bóg za to odplaci i niech okaże Wci łaskę, żeby jmp. Golecki i jmp. korągi byli zawsze zadowoleni – szczęście Wci od tego przecież zależy. Najbardziej gniewa mnie, że mnie Wć nakłaniaasz, żebym tak postępowała, iżby oni byli zadowoleni...*

[24](#) Cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 69 i in.

[25](#) Cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 79.

[26](#) Cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 121–122.

[27](#) Cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 124–125.

[28](#) Gryzelda Wiśniowiecka do Zamoyskiego, Zamość, 6 grudnia 1660, cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 126.

[29](#) Michał Wiśniowiecki do Zamoyskiego, Wiśniowiec, 21 maja 1662, cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 164.

[30](#) J. Jerlicz, *Latopisiec albo Kroniczka*, wyd. K.W. Wójcicki, Warszawa 1853, t. II, s. 62 i in.

[31](#) Cyt. za T. Żeleński-Boy, *Marysieńka...*, s. 70.

[32](#) Sobieski wspominał po latach, że obserwował Marysieńkę w Warszawie, gdy tuż po pierwszym połogu, wiosną 1659 roku, popadła w ciężką chorobę, i później w Zamościu i Zwierzyńcu podziwiał ją w tańcu i przy zabawie, por. *J. Sobieski, Listy do Marysieńki*, opr. L. Kukulski, Warszawa 1962, s. 231–232.

[33](#) W listopadzie 1659 roku Maria Kazimiera pisała do będącego na wyprawie wojennej Sobieskiego: *Posyłam Wci szkaplerz i złoty krzyżyk z piękną relikwią, żeby znaleziono przy Wci znak chrześcijanina, w razie gdybyś Wć został zabity. Powinieneś Wć cenić sobie ten dar nie ze względu na ofiarodawczynię, ale dla relikwii, bo nie wyobrażaj sobie Wć, że to jakiś dowód mojej szczególnej łaski. Oboje wiemy, że Wć nie dbasz o moje łaski, nie powinienes zresztą o nie dbać, ale to jest rzecz, którą bym zrobiła dla każdego.*

[34](#) Cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 89.

[35](#) Cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 110.

[36](#) Cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 111, 125 i 127.

[37](#) O tym, iż Sobieski nie posłuchał wyżej przytoczonych wezwań, świadczy fakt, iż listy dochowały się do naszych czasów, ich fragmenty tamże, s. 130–132.

[38](#) Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 134 i in.

[39](#) W styczniu 1662 roku odpowiadała na skargi Sobieskiego: *Współczuję Wci udrękom, ale i mnie jest bardzo niemiło, że un chłop gruby śpi na jednej ze mną poduszce.* Cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 161.

[40](#) Tamże, s. 159 i 161.

- [41](#) Maria Kazimiera *Listy...*, s. 160–161, bardzo uroczysty pogrzeb syn zorganizował w Żółkwi w pierwszych dniach lutego 1662 roku.
- [42](#) Tamże, s. 156, gdzie następujący fragment listu z 2 listopada 1661 roku: *Fujara oświadczył mi, że wyjedzie w przyszły czwartek, musiałam mu pożyczyć dwa tysiące franków na początek podróży.*
- [43](#) Tak Jerlicz, *Latopisiec...*, t. II, s. 98.
- [44](#) Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 200.
- [45](#) Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 218 i in.
- [46](#) Ktoś w monarszym otoczeniu wpadł na pomysł, by – skoro żona nie może go przekonać – posłać po teścia do Francji i sam markiz d'Arquien przybędzie i przemówi do rozsądku Zamoyskiemu. Na szczęście zreflektowano się, iż jest mało prawdopodobne, by polski magnat posłuchał osoby tak niewiele dla niego znaczącej.
- [47](#) Cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 227.
- [48](#) Antoni de Lumbres do Ludwika XIV, Warszawa, 26 lutego 1665, cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 229.
- [49](#) Antoni de Lumbres do Ludwika XIV, Warszawa, 23 kwietnia 1665, cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 236.
- [50](#) Andrzej Morsztyn poświęcił jej okolicznościowy wiersz pt. *Serenada północna na ślub niezwyčajny wielkiego stadła, intonowana w Warszawie przy skończonej sprawie*, cały tekst patrz J.T. Trembecki, *Wirydarz poetycki...*, t. I, s. 128 i in.
- [51](#) Bogusław Radziwiłł do Marii Anny Radziwiłłówny, Królewiec, 20 maja 1665, cyt. za Maria Kazimiera, *Listy...*, s. 239.
- [52](#) J.A. Morsztyn, *Utwory zebrane*, opr. L. Kukulski, Warszawa 1971, s. 297.
- [53](#) Sobieski J., *Listy do...*, s. 57.
- [54](#) Cyt. za M. Komarzyński, *Maria Kazimiera...*, s. 63.
- [55](#) Szlachta zaś przeciwnie. Uważała takie zwyczaje za plebejskie, co wyraził dobitnie Wacław Potocki, pisząc, iż szlachetnie urodzony *Nie chce być z prostakiem w jednym interesie, Którego tak chrzczą, jako święto dnia przyniesie.*
- [56](#) Żyjący nieco później od opisywanych czasów Marcin Matuszewicz, zamożny szlachcic, ale nie magnat, sprowadził na pogrzeb swojego ojca 474 duchownych, by wspólnie modlili się o życie wieczne nieboszczyka.

[57](#) Później te kazania i mowy pogrzebowe wydawano w formie książek, by zachować je dla potomności.

[58](#) Warto przy tym pamiętać, że w obradach sejmikowych brała udział ta bardziej aktywna i świadoma część szlachty, więc jeśli wśród niej analfabetyzm dotyczył ponad połowy obecnych, to w całej populacji był jeszcze większy.

[59](#) Dostać kosza – określenie podobno pochodzące jeszcze z okresu średniowiecza. Miało ono rzekomo być odzwierciedleniem pewnego zwyczaju w zalotach ówczesnych konkurentów. Otóż zainteresowany dziewczyną kawaler stawał pod murami zamku/wieży i śpiewał jej lub deklamował wiersze. Jeśli był mile widziany, to dziewczyna spuszczała mu na linie kosz, by go wciągnąć na górę, jeśli kosz nie miał dna, to oznaczało to odmowę przyjęcia oświadczyn. Stąd powiedzenie „dać komuś kosza”.

[60](#) W opisywanym okresie majątki ziemskie przypadały w spadku potomkom męskim, kobiety otrzymywały gotówkę, biżuterię, stroje i zastawę. Nieruchomości przekazywano kobietom w wyjątkowych sytuacjach, zwłaszcza gdy nie było męskich potomków.

[61](#) Pewien wyjątek stanowili deputaci duchowni, których w znacznie mniejszej liczbie wybierały do tego sądu kapituły diecezjalne w poszczególnych diecezjach. Oni mieli wykształcenie prawnicze, przynajmniej w zakresie prawa kanonicznego, jednak ich obecność nie miała wielkiego znaczenia dla Agnieszki, gdyż nie uczestniczyli aktywnie w tego typu sprawach. Ich rola ujawniała się w sporach mieszanych, w których jedną ze stron była osoba lub instytucja duchowna.

[62](#) Indygenat – uznanie obcego szlachectwa lub nadanie zagranicznemu rodowi praw i przywilejów szlacheckich w Polsce.

[63](#) Bursa leżała w prowincji znanej już w starożytności pod nazwą Bitynia, dlatego Boscamp użył jej do określenia pochodzenia Zofii, nazywając „piękną Bitynką”.

[64](#) Pełna niechęci do ludzi i kraju, w którym musiała przebywać, praktycznie nie opuszczała swych komnat, obawiając się zarażenia od miejscowych jakąś chorobą, zaś w dobie epidemii jej lęk przerodził się wręcz w obsesję izolującą ją od otoczenia, por. J. Łojek, *Dzieje...*, s. 57.

[65](#) Ustawa ta była bardziej przypomnieniem wcześniejszych regulacji w tym względzie niżli całkowicie nowym prawem, ale jako iż król nie stosował się do obowiązujących zasad, szlachta postanowiła przypomnieć mu o nich stosowną uchwałą sejmu, por. *Ostrzeżenie względem Departamentu Cudzoziemskiego*, Volumina Legum, t. VIII, s. 580, gdzie zapisano: *Ponieważ Konstytucje roku 1607 y 1662 tytuło: O Cudzoziemcach, stanowią, ażeby Poselstwa wszelkie do zagranicznych Dworów sama rodowita szlachta Polska dobrze osiadła sprawowała, uskuteczniając więc rzeczzone ustawy, takowe Poselstwa, Rezydencje y inne podobne w zagranicznych państwach urzędy, gdy terażniejszych J.K.Mość odwoła, przez rodowitą tylko szlachtę Polską sprawowane być mogą.*

[66](#) K. Boscamp-Lasopolski, *Moje przelotne...*, s. 55.

[67](#) Odpisać miała w następujących słowach: ... *jego niewolnica wkrótce przybędzie na skrzydłach wiatru, aby dopomóc mu w oplakiwaniu straty, którą niedawno poniósł, aby wspólnymi łzami zrosić grób tej, na miejscu której tak bardzo życzyłaby sobie umrzeć niewolnicą – że teraz śpieszy, aby ją zastąpić w miłości do swego pana i władcy...*, K. Boscamp-Lasopolski, *Moje przelotne...*, s. 56.

[68](#) Patrz: *Listy Jana de Witte, generała-majora wojsk koronnych*, wyd. S. Krzyżanowski, Kraków 1868, s. 255, gdzie list do szambelana Bertranda z 26 czerwca 1779 roku, z wyrazami wdzięczności za imienninowe życzenia, a w nim taki fragment: *Imienniny obchodzone były jak wesola stypa. Gdyż tegoż dnia musiałem się dać przebłągać synowi memu, iż mimo wiedzy nas rodziców ową cudzoziemkę poślubił, którą jmc pan Boscamp sobie na żonę sprowadził. Owóż jmc panu Boscampowi wieniec grochowy, a nam pokrzywiany; trzeba, widzę, i ten dopust przyjąć od Boga.*

[69](#) J.U. Niemcewicz, *Pamiętniki czasów moich*, wyd. J. Dłhm, Warszawa 1957, t. I, s. 129, który jednak później na bazie nabytych już doświadczeń dodawał: *Lecz niestety! Jak zwodnicza jest powierzchowna postać. Ta tak piękna, tak czarująca postać ciała zawierała w sobie najprzewrotniejszą duszę.*

[70](#) J.U. Niemcewicz, *Pamiętniki...*, t. I, s. 130.

[71](#) S. Trembecki, *Pisma wszystkie*, Warszawa 1953, t. I, s. 64 i in.

[72](#) Napisał wówczas (prawdopodobnie w 1789 roku) i złożył na ręce króla rękopis pamiętnika, w którym opisał dzieje swojej znajomości z naszą bohaterką, patrz: K. Boscamp-Lasopolski, *Moje przelotne miłości z młodą Bitynką*, wyd. J. Łojek, Kraków 1962.

[73](#) W styczniu 1782 r. zaproszono ją wraz z mężem na bal wydany przez samą królową, gdzie została zaprezentowana królewskim małżonkom, tak J. Łojek, *Dzieje pięknej...*, s. 96.

[74](#) Por. J. Baszkiewicz, *Ludwik XVI*, Wrocław 1985, s. 139 i in., gdzie autor przedstawia przygodę arystokratycznego młodzieńca, który – przyłapany przez zazdrosnego męża w sypialni pewnej damy – musiał ratować się ucieczką przez okno. Jako iż mieszkanie znajdowało się wysoko w wersalskim pałacu, monarcha nakazał przenieść część co bardziej ponętnych i skłonnych do romansów pań na parter, argumentując swą decyzję następująco: *Skoro już absolutnie tak być musi, byśmy tu żyli w otoczeniu dziwek, niech je przynajmniej ulokują wszystkie na parterze: ludzie nie będą ryzykowali wówczas skręcenia karku.*

[75](#) Szerzej o opowieściach dzielnego majora Witta patrz J. Łojek, *Dzieje pięknej...*, s. 107 i in.

[76](#) Szerzej patrz J. Łojek, *Dzieje pięknej...*, s. 116 i in.

[77](#) Otrzymała wówczas w darze złote kolczyki z brylantami o wartości 525 dukatów, tak J. Łojek, *Dzieje pięknej...*, s. 118.

[78](#) Pamiętać też należy o świeżej jeszcze aferze Dogrumowej, która kilka miesięcy wcześniej wywołała na dworze trzęsienie ziemi, gdy pewna awanturniczka z nieznaną do dziś inspiracją (choć przy wyraźnie widocznym śladzie rosyjskim) oskarżyła czołowych polskich magnatów o próbę otrucia króla, by potem zmienić zdanie i stwierdzić, iż to władca chciał za pomocą trucizny pozbyć się swoich politycznych konkurentów. Zapewne nikt nie tęsknił w takiej chwili do towarzystwa innej, równie sławnej i kontrowersyjnej postaci, jaką była pani komendantowa. Szerzej o całej sprawie patrz A. Kraushar, *Sprawa Dogrumowej przed sądem marszałkowskim 1785 roku*, Kraków 1861, s. 245 i in.

[79](#) „Listy pani Mniszchowej, żony marszałka w. koronnego do matki”, *Rocznik Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu za rok 1866*, s. 229 i in.

[80](#) Cyt. za J. Łojek, *Dzieje pięknej...*, s. 126.

[81](#) Zakupione wówczas przez monarchę zbiory rzadkich monet stały się podstawą słynnego gabinetu numizmatycznego Stanisława Augusta, którego pozostałości znajdują się dzisiaj w Muzeum Narodowym w Warszawie, tak J. Łojek, *Dzieje pięknej...*, s. 127.

[82](#) *Z Kamieńca piszą, że pomieniony generał w ciężkiej jest rozpacz i bliski wariacji, dla tej osobliwie przyczyny, że żona jego, osobliwszej urody Greczynka, namówiwszy się z grafem Ostrogiem, pojechała do Stambułu i pisała do niego, że już więcej nie powróci.* Cyt. za J. Łojek, *Dzieje pięknej...*, s. 127.

[83](#) Austria przystąpiła do wojny przeciwko Turcji w lutym 1788 roku.

[84](#) Z pamiętnika A. Chrząszczewskiego [w:] *Pan na Tulczynie*, A. Czartkowski, Lwów-Poznań 1925, s. 60 i in.

[85](#) Według wyliczeń badaczy imperatorowa wydała na swych kochanków około 100 mln rubli, z czego ponad połowę na jednego tylko Potiomkina. Jeśli uświadomimy sobie, iż roczne wydatki państwa rosyjskiego na wszystkie potrzeby wynosiły w latach siedemdziesiątych XVIII wieku ok. 35 mln rubli, a utrzymanie największej armii w Europie kosztowało rocznie 10 mln rubli, to zobaczymy skalę obciążeń, jaką stanowili faworycy władcy, por. J. Łojek, *Dzieje pięknej...*, s. 135.

[86](#) Nazwa pochodziła od starożytnej Taurydy istniejącej w dawnych wiekach na terytorium Krymu.

[87](#) *Zagadki i odpowiedzi na nie, zamykające w sobie charaktery lub intrygi senatorów duchownych i świeckich, ministrów, posłów na sejm 1788 i innych niektórych osób i kobiet in publicum wydane 1790 roku*, Warszawa 1790, s. 35 i in.

[88](#) Cały tekst patrz: *Usprawiedliwienie się J.W. de Vitte, generał-majora i komendanta fortecy kamienieckiej*, Warszawa brak daty wydania.

[89](#) *Zagadki Sejmu Czteroletniego*, wyb. E. Rabowicz, Warszawa 1996, s. 214.

[90](#) *Rok nadziei...*, s. 68.

[91](#) Szczęsny Potocki pisał w liście do Potiomkina datowanym na 14 maja 1791 roku: *Rzeczpospolita przepadła razem z naszą wolnością ... król, którego imperatorowa dała wolnemu narodowi, nie jest już dłużej głową Rzeczypospolitej, ale panem nowej monarchii ... Wszyscy dobrzy Polacy, których nie uwiódła kabała pruska i królewska, są przekonani, iż ocalenie ojczyzny może przyjść tylko za strony Rosji.* Cyt. za J. Łojek, *Dzieje pięknej...*, s. 157.

[92](#) Z powodu swych bogactw zwany był małym królem na Rusi.

[93](#) J. Kitowicz, *Pamiętniki...*, s. 373: *Potocki, wojewoda kijowski, haniebnie takim syna ożenieniem urażony, jakoby nierównym, nasał ludzi w dom Komorowskiego, którzy przebrani w larwy [maski] na twarzach, zbrojno wszedłszy na pokoje, porwali z kompanii zatrwożonej ową młodą panią i wraz z nią za pomocą nocy ciemnej zniknęli.*

[94](#) J. Kitowicz, *Pamiętniki...*, s. 374, autor wspomina również o wielomilionowym odszkodowaniu dla rodziców nieboszczki.

[95](#) J. Kitowicz, *Pamiętniki...*, s. 543: *Gdyby pan Szczęsny Potocki nie miał innej myśli, tylko zniszczenie konstytucji 3 maja, nie potrzeba by mu było sprowadzać Moskwy do Polski; dosyć by było na ten koniec przybyć na sejm. Konstytucja 3 maja z początku była w nienawiści u większej połowy narodu, a nawet u większej połowy samych posłów, pod niebytność których została uknowana... Ale pan Szczęsny Potocki dalszy miał zamiar swojej ambicji. Nabiła się jemu głowa koroną, a to z słów imperatorowej rosyjskiej przed kilka laty wyrzeczonych w Chersonie do tegoż Potockiego: „Nie widzę nikogo zdaniejszego do korony polskiej nad wpana”.*

[96](#) Ówczesne źródła wspominają o zauroczeniu Szczęsnego osobą imperatorowej. Podobno marzył o tym, by zostać jej kochankiem mimo różnicy wieku – Katarzyna była starsza od Szczęsnego o dwadzieścia trzy lata, por. M. Czacki, *Wspomnienia z roku 1788 po 1792*, Poznań 1862, s. 46 i in.

[97](#) Tak J. Łojek, *Dzieje pięknej...*, s. 163–168.

[98](#) Szczególną aktywnością w tych dniach wykazywał się Rzewuski, por. List Stanisława Kostki Potockiego do Stanisława Augusta z 22 stycznia 1792 roku[w:] *Rok nadziei i rok klęski 1791–1792*, red. J. Łojek, Warszawa 1964, s. 199: *Jestem przekonany, że bez tego złośliwego człowieka między Wittową i mną doprowadzilibyśmy generała do posłuchu głosowi rozsądku, wobec tego, iż służyła mi ona wszelką pomocą w tej sprawie i nie mała przyczyniła się do zmartwienia Rzewuskiego.*

[99](#) Powieszono wówczas w gronie największych zdrajców, między innymi odkrywcę talentu Zofii i autora jej sukcesu towarzyskiego Karola Boscampa.

[100](#) W tamtym okresie młodszy syn Wittów już nie żył, więc Jan był ich jedynym.

[101](#) Cytat za J. Łojek, *Dzieje pięknej...*, s. 221 in.



[102](#) Witt, korzystając z uzyskanych bogactw, utrzymywał w swych włościach cały harem kochanek, a jakby tego mu było mało, w wieku sześćdziesięciu jeden lat przymusił do ślubu (podobno również przy pomocy ekszony) siedemnastolatkę, walczącą potem przez wiele lat o unieważnienie ich małżeństwa.

[103](#) Według ówczesnych źródeł Józefina urodziła już czternaścioro dzieci, z czego żyło w tym okresie jedenaścioro z nich.

[104](#) Pograżony w hazardzie i hulankach, zmarł w październiku 1809 roku w wieku trzydziestu trzech lat, daremnie oczekując, iż macocha do niego dołączy.

[105](#) Zboczyła tam w drodze powrotnej do domu w celu podjęcia u tamtejszych słynnych lekarzy kuracji, którą jej polecano na przeżywane cierpienia.